

MROČNA
SERIA

HENNING

MANSELL

mężczyzna,
który się
uśmiechał



W
B

Ali-Baba

HENNING MANKELL

**MĘŻCZYŻNA,
KTÓRY SIĘ
UŚMIECHAŁ**

MANNEN SOM LOG

PRZEŁOŻYŁA IRENA KOWADŁO-PRZEDMOJSKA

w
ydawnic
ab
two

Powinniśmy się lękać nie amoralności wielkich ludzi, ale tego, że to właśnie ona często prowadzi do wielkości.
Alexis de Tocquevill

1 Mgła.

Jest jak skradający się bezszelestnie drapieznik, pomyślał. Nigdy się nie przyzwyczaję. Chociaż całe życie mieszkam w Skanii, gdzie mgła obleka ludzi płaszczem niewidzialności. Była dziewiąta wieczorem jedenastego października 1993 roku.

Mgła nadciągnęła pośpiesznie od strony morza. Wraciał do domu w kierunku Ystad. Ledwie minął Wzgórza Brórsarpskie, wjechał prosto w biel.

Natychmiast poczuł silny lęk.

Boję się mgły, pomyślał. Powiniennem raczej bać się człowieka, którego właśnie spotkałem na zamku w Farnholmie. Sympatycznego mężczyzny i jego wzbudzających postrach współpracowników, zawsze dyskretnie trzymających się na uboczu, gdzie cień skrywa ich twarze. Powiniennem myśleć o nim i o tym, co, jak zrozumiałem, kryje się za jego przyjaznym uśmiechem i nieposzlakowaną opinią obywatela poza wszelkimi podejrzeniami. Jego powiniennem się obawiać, a nie mgły nadciągającej znad zatoki Hanó. Teraz, gdy już wiem, że bez wahania uśmierci każdego, kto stanie na jego drodze.

Włączył wycieraczki, żeby oczyścić przednią szybę z wilgotnej pary. Nie lubił prowadzić po ciemku. W światłach samochodu z trudem rozróżniał przemykające przez szosę zające.

Jeden jedyny raz, ponad trzydzieści lat temu, przejechał zającą. Zdarzyło się to w drodze do Tomelilli. Był wczesny wiosenny wieczór. Do dziś pamiętał, jak nadaremnie dociskał pedał hamulca, i tuż potem miękki odgłos

uderzenia o karoserię. Zatrzymał się i wysiadł z samochodu. Zając leżał na szosie i przebierał tylnymi łapkami. Górną część ciała miał bezwładną, ani na chwilę nie spuszczał z niego wzroku. On zmusił się wtedy do poszukania kamienia na poboczu i z zamkniętymi oczami uderzył zająca w głowę. Potem szybko wrócił do samochodu, nie oglądając się za siebie.

Nigdy nie zapomniał oczu zwierzęcia i gwałtownie przebierających tylnych łapek. Nie udało mu się uwolnić od tamtego wspomnienia. Stale do niego powracało - zazwyczaj, gdy najmniej się tego spodziewał.

Usiłował otrząsnąć się z nieprzyjemnego uczucia.

Zając, który nie żyje od trzydziestu lat, może kogoś prześladować, ale mu nie zagraża, pomyślał. Lepiej uważać na żywe.

Zdał sobie nagle sprawę, że częściej niż zwykle spogląda we wsteczne lusterko.

Boję się, myślał dalej. Dopiero w tej chwili zdałem sobie sprawę, że uciekam. Zrozumiałem, co kryje się za murami zamku w Farnholmie, i od tego uciekam. I wiem, że oni wiedzą, że ja wiem. Ale jak dużo? Wystarczająco dużo, żeby mogli się obawiać, że nie dochowam tajemnicy zawodowej, której zobowiązałem się przestrzegać jako świeżo upieczony adwokat? W zamierzchłych czasach, kiedy takie zobowiązanie miało jeszcze jakąś wagę. Czyżby się bali sumienia starego adwokata?

W tylnym lusterku widział ciemność. Był sam we mgle. Za niespełna godzinę będzie w Ystad.

Na chwilę poczuł się lepiej. Więc jednak go nie śledzili. Jutro podejmie decyzję, co dalej robić. Porozmawia z synem - współpracownikiem i współwłaścicielem kancelarii adwokackiej. Zawsze jest jakieś rozwiązanie - tego nauczyło go życie. Teraz też musi się znaleźć.

Wyciągnął dłoń i w ciemności wymacał radio. Samochód

wypełnił głos, który opowiadał o nowych odkryciach w dziedzinie genetyki. Słowa przepływały, nie docierając do jego świadomości. Spojrzał na zegarek, dochodziło wpół do dziesiątej. W tylnym lusterku wciąż było ciemno. Mgła stopniowo gęstniała. Mimo to ostrożnie docisnął pedał gazu. Z każdym kilometrem, który oddalał go od zamku w Farnholmie, czuł się bezpieczniej. Być może lękał się bez powodu?

Starał się uporządkować myśli.

Jak to się zaczęło? Zwyczajna rozmowa telefoniczna, kartka na biurku z prośbą o pilny telefon do klienta w sprawie weryfikacji umowy handlowej. Nazwisko nic mu nie mówiło. Mimo to zadzwonił; niewielkiej kancelarii w prowincjonalnym mieście nie stać było na odmawianie nowym klientom. Nadal pamiętał głos w słuchawce, uprzejmy, z północnym akcentem - stanowczo brzmiący głos człowieka, którego czas jest na wagę złota. Sprawa dotyczyła skomplikowanej transakcji na dostawy cementu przez armatora zarejestrowanego na Korsyce do Arabii Saudyjskiej, gdzie firma klienta reprezentowała przedsiębiorstwo budowlane Skanska. Była, zdaje się, mowa o budowie gigantycznego meczetu, który miał powstać w Khamis Mushayt. A może chodziło o uniwersytet w Dżuddzie.

Kilka dni później spotkali się w hotelu Continental w Ystad. Przyszedł wcześniej, w restauracji nie było jeszcze gości. Siedział przy stoliku w rogu i widział, jak nadchodzi. W sali był tylko on i jugosłowiański kelner, który ponuro wpatrywał się w wysokie okno. Była połowa stycznia, gwałtowny wichur znad Bałtyku miał wkrótce przywiał śnieg. Lecz mężczyzna, który szedł w jego kierunku - z pewnością poniżej pięćdziesiątki - był opalony i miał na sobie ciemnoniebieski garnitur. W jakimś sensie zupełnie nie pasował ani do styczniowej pogody, ani do Ystad. Obecny

przybysz z uśmiechem, który nie w pełni harmonizował z opalenizną na twarzy.

Takie było pierwsze zetknięcie z mężczyzną z zamku w Farnholmie. Człowiekiem znikąd, w uszytym na miarę niebieskim garniturze. Ten człowiek stanowił osobny świat, którego centrum był uśmiech, a dokoła - jak ciemne satelity - krążyły po dwu orbitach czujne, wzbudzające lęk cienie.

Już za pierwszym razem zauważył te cienie. Nie przypominał sobie, żeby mężczyźni mu się przedstawili. Obaj zajęli miejsca przy stoliku na uboczu i wstali bezszelestnie, gdy spotkanie dobiegło końca.

Złote czasy, pomyślał z goryczą. Byłem na tyle głupi, że w nie uwierzyłem. Świata prawnika nie powinno przesłaniać złudzenie nadchodzącego raju, w każdym razie nie ziemskiego. Po upływie pół roku połowa obrotów kancelarii pochodziła od opalonego mężczyzny, po roku dochód kancelarii się podwoił. Wyплаты przychodziły punktualnie, nie zdarzyło się, by musieli wysyłać upomnienie. Stać ich nawet było na remont domu, gdzie mieściła się kancelaria. Transakcje nie budziły zastrzeżeń, aczkolwiek były skomplikowane i rozsiane po całym świecie. Mężczyzna z zamku w Farnholmie prowadził interesy ze wszystkich kontynentów, na pozór z przypadkowo wybranych miejsc. Faksy, telefony, a nieraz i połączenia radiowe często przychodziły z osobliwych miast, które z trudem odnajdywał na globusie stojącym obok kanapy w poczekalni. Wszystko było jednak w porządku, chociaż trudno uchwytnie i nie zawsze zrozumiałe.

Nowe czasy - pamiętał, że tak właśnie myślał. Tak wyglądają. Jako adwokat powinienem być nieskończenie wdzięczny, że mężczyzna z Farnholmu trafił akurat na moje nazwisko w książce telefonicznej.

Myśl się urwała jak ucięta nożem. Przez chwilę sądził, że to złudzenie. Potem zauważył światła samochodu w tylnym

lusterku.

Ścigali go i byli już bardzo blisko.

Strach natychmiast powrócił. Więc jednak go ścigali. Złękł się, że nie dochowa tajemnicy zawodowej i zacznie mówić.

W pierwszym odruchu chciał mocniej docisnąć pedał gazu i uciekać przez mleczną mgłę. Pot spływał mu po ciele pod koszulą. Światła były tuż za nim.

Cienie, które zabijają, pomyślał. Nie umknę im, nikt im nie umknie.

Po chwili samochód go wyprzedził. Zdażył zauważyć szarą twarz starego człowieka. Zaraz potem czerwone światła zniknęły we mgle.

Wyciągnął chusteczkę do nosa z kieszeni marynarki i otarł pot z twarzy i karku.

Za chwilę będę w domu, pomyślał. Nic się nie stanie. Pani Duner własnoręcznie zanotowała w biurowym kalendarzu moje dzisiejsze spotkanie w Farnholmie. Nikt, nawet on, nie wysłałby swoich cieni, żeby zgładziły starszego adwokata w drodze do domu. To zbyt ryzykowne.

Upłynęły niemal dwa lata, zanim po raz pierwszy zrozumiał, że coś jest nie tak. Sprawa była błaha; przeglądał kilka transakcji, gdzie Rada Eksportu*[* Instytucja promująca szwedzki eksport.] figurowała jako gwarant wysokiego kredytu. Części zamienne do turbin w Polsce, żniwiarki do Czechosłowacji. Zwrócił jego uwagę pewien drobiazg - kilka liczb, które się nie zgadzały. Myślał, że to błąd maszynowy, dwie pozycje, które zamieniono miejscami. Dopiero, gdy cofnął się do punktu wyjścia, zauważył, że to nie przypadek, lecz celowe działanie. Niczego nie brakowało, wszystko znajdowało się na swoim miejscu, a wynik okazał się porażający. Odchylił się do tyłu na krześle, pamiętał, że był późny wieczór, i zdał sobie sprawę, że wpadł na trop przestępstwa. Z początku nie chciał w to uwierzyć. W końcu jednak musiał przyznać, że nie ma innego wyjaśnienia.

Dopiero o świcie szedł do domu ulicami Ystad i przystanąwszy w okolicach Stortorget, pomyślał, że jedynym wytłumaczeniem jest to, że mężczyzna z Farnholmu popełnił przestępstwo. Poważne nadużycie zaufania, oszustwo podatkowe na dużą skalę i fałszowanie dokumentów.

Później wcięż szukał czarnych dziur we wszystkich dokumentach, które przychodziły do niego z Farnholmu. I znajdował je, nie zawsze, ale prawie. Powoli zaczynały do niego docierać skala i zasięg przestępstwa. Długo nie chciał spojrzeć prawdzie w oczy. Ale wreszcie musiał.

Mimo to nie zareagował. Nie podzielił się swoim odkryciem nawet z synem.

Czy dlatego, że w głębi duszy nie chciał uwierzyć, że to prawda? Że nikt prócz niego - ani urząd skarbowy, ani żaden inny - nic nie zauważył?

Czyżby wpadł na trop nieistniejącej tajemnicy?

A może już od samego początku było za późno? Od kiedy mężczyzna na zamku w Farnholmie stał się najważniejszym klientem kancelarii?

Mgła w dalszym ciągu gęstniała. Sądził, że się rozproszy, kiedy będzie się zbliżał do Ystad.

W tym momencie zrozumiał, że dłużej tak nie może być. Teraz, gdy już wie, że mężczyzna z Farnholmu ma krew na rękach.

Musi porozmawiać z synem. Mimo wszystko istnieje jeszcze w Szwecji sprawiedliwość, nawet jeśli pojęcie sprawiedliwości w szybkim tempie się dewaluuje. Jego własne milczenie też jest częścią tego procesu. To, że tak długo przymykał oczy, nie może usprawiedliwiać dalszego milczenia.

Nigdy nie byłby w stanie odebrać sobie życia.

Nagle gwałtownie przyhamował.

Ujrzał coś w świetle reflektorów. Z początku sądził, że to

zając. Potem zorientował się, że coś stoi na drodze we mgle.

Zatrzymał samochód i zapalił długie światła.

Pośrodku drogi stało krzesło. Zwyczajne drewniane krzesło. Siedziała na nim naturalnej wielkości lalka. Miała białą twarz. Mógł to równie dobrze być człowiek przypominający lalkę. Cziri w piersi kołatanie serca.

Mgła podpływała do reflektorów.

Nie mógł zignorować krzesła i lalki. Ani paralizującego strachu, który go ogarnął. Spojrzał ponownie w lusterko. Widział tylko ciemność. Ostrożnie podjechał do przodu, na jakieś dziesięć metrów od krzesła z lalką. Wtedy znów się zatrzymał.

Lalka wyglądała zupełnie jak człowiek. Nie jak pośpiesznie sklecony strach na wróble.

Ona jest dla mnie, pomyślał.

Drżącą ręką wyłączył radio i nasłuchiwał. Panowała zupełna cisza. Ciągle nie mógł się zdecydować.

Nie z powodu krzesła we mgle czy niesamowitej lalki. Było tu coś więcej, coś, czego nie mógł dostrzec.

Boję się, pomyślał raz jeszcze. Strach zaćmił mi jasność myślenia.

Wreszcie jednak odpiął pasy bezpieczeństwa i otworzył drzwi samochodu. Zaskoczyło go chłodne, wilgotne powietrze.

Następnie wysiadł z auta ze wzrokiem utkwionym w krzesło i lalkę w blasku reflektorów. Jego ostatnią myślą było, że ten widok przypomina scenę teatralną, na którą za chwilę wejdzie aktor.

Potem usłyszał za sobą jakiś odgłos.

Nie zdążył się odwrócić.

Cios trafił go w tył głowy.

Zanim osunął się na wilgotny asfalt, już nie żył.

Mgła stała się teraz nieprzenikniona.

Była za siedem minut dziesiąta.

Porywisty wiatr wiał z północy.

Mężczyzna na wyziębionym brzegu kulił się w jego podmuchach. Od czasu do czasu przystawał i odwracał się tyłem do kierunku wiatru. Stał zupełnie nieruchomo, ze schyloną głową i rękami w kieszeniach płaszcza. Potem znów rozpoczął pozornie bezcelowy spacer, dopóki nie zniknął w szarym świetle.

Kobieta, która codziennie wyprowadzała psa na brzeg, ze wzrastającym niepokojem obserwowała mężczyznę. Chodził wzdłuż brzegu od świtu do zapadającego po południu zmroku. Pojawił się nagle pewnego dnia, kilka tygodni wcześniej, jak wyrzucony na brzeg rozbitek. Zwykle, gdy mijala nielicznych napotkanych ludzi, pozdrawiali ją skinieniem głowy. Teraz jednak, późną jesienią - zbliżał się listopad - rzadko kogoś spotykała. Człowiek w czarnym płaszczu jej nie pozdrawiał. Z początku sądziła, że to z nieśmiałości, następnie uznała, że z braku wychowania albo dlatego, że jest cudzoziemcem. Jeszcze później odniosła wrażenie, że przytłacza go wielki smutek, a wędrowni wzdłuż brzegu są pielgrzymką, dzięki której ucieka od jakiegoś nieznanego cierpienia. Krok miał nierówny i podrygujący. Raz szedł powoli, niemal powłócząc nogami, to znów ni stąd, ni zowąd podrywał się i na wpół biegnąc, pokonywał trasę swej osobliwej wędrowni. Wydawało jej się, że nie kierują nim nogi, lecz raczej niespokojne myśli. Wyobrażała sobie, że mężczyzna w kieszeniach trzyma zaciśnięte w pięści dłonie. Nie widziała ich, ale miała pewność, że tak właśnie było.

Po tygodniu uznała, że sprawa jest jasna. Samotny mężczyzna, przybyły nie wiadomo skąd, przechodzi poważny kryzys psychiczny. Podobny był do statku, który na zdradliwym morzu szuka wytyczonego szlaku za pomocą niedokładnej mapy. Stąd jego niedostępność i niespokojne

przechadzki. Wieczorami rozmawiała o samotnym wędrowcu ze swoim mężem. Kiedyś nawet wybrali się razem na spacer z psem, mimo że mężowi bardzo dokuczał reumatyzm i najchętniej siedziałby w domu. On też uważał, że jej spostrzeżenia są trafne. Niemniej uznał, że zachowanie mężczyzny jest podejrzane. Zatelefonował do swego dobrego kolegi, policjanta ze Skagen, i zwierzył mu się w zaufaniu. Może to zbieg, osoba poszukiwana, która uciekła z któregoś z niewielu już czynnych szpitali psychiatrycznych? Jednak policjant - człowiek doświadczony, który widział już niejedną dziwną postać, odbywającą pielgrzymkę na sam czubek Półwyspu Jutlandzkiego w poszukiwaniu ciszy i ukojenia - rozwiął jego obawy. Niech go zostawią w spokoju. Wybrzeże pomiędzy wydrami i miejscem, w którym stykają się dwa morza, jest kapryśną ziemią niczyją - należy do tego, kto jej potrzebuje.

Kobieta z psem i mężczyzna w czarnym płaszczu przechodzili obok siebie jeszcze przez kolejny tydzień niby dwa mijające się statki. Pewnego dnia, dokładnie dwudziestego czwartego października 1993 roku, wydarzyło się coś, co uznała za przyczynę jego nagłego zniknięcia.

Był to jeden z tych rzadkich bezwietrznych dni, kiedy brzeg i morze toną w nieruchomej mgle. Syreny okrętowe buczały, niczym porzucona, niewidoczna trzoda. Cały ten osobliwy krajobraz jakby wstrzymał oddech. Nagle spostrzegła człowieka w czarnym płaszczu i gwałtownie przystanąła.

Nie był sam. Stał w towarzystwie niewysokiego mężczyzny w wiatrówce i czapce z daszkiem. Obserwowała ich, nowo przybyły coś mówił - jakby próbował tamtego o czymś przekonać. Od czasu do czasu wyjmował ręce z kieszeni i gestykułował, aby podkreślić jakieś słowo. Nie słyszała, o czym mówili, ale po sposobie bycia nowo przybyłego domyślała się, że jest zdenerwowany.

Po kilku minutach ruszyli wzdłuż brzegu i pochłonęła ich mgła.

Dzień później mężczyzna znów pojawił się na brzegu sam. Jednak po pięciu dniach zniknął. Do późnego listopada chodziła z psem na mierzeję w Grenen, spodziewając się, że znowu spotka ubranego na czarno mężczyznę. Lecz mężczyzna nie powrócił. Nigdy więcej go nie spotkała.

Już przeszło rok komisarz Kurt Wallander z ystadzkiej policji przebywał na zwolnieniu lekarskim i nie był w stanie podjąć pracy. Przez cały ten czas rosło w nim poczucie bezsilności i ono kierowało jego czynami. Raz za razem, gdy już nie wytrzymał w Ystad i mógł sobie na to pozwolić, wyruszał w bezplanowe podróże w próżnej nadziei, że gdy tylko znajdzie się gdzie indziej, lepiej się poczuje, a może nawet odzyska podstawowy napęd życiowy. Wykupił wycieczkę na Karaiby. Już w samolocie był mocno podпиты, a podczas dwóch tygodni spędzonych na Barbadosie ani razu na dobre nie wytrzeźwiał. Cały ten pobyt wprowadził go w stan narastającej paniki, dominowało w nim uczucie, że nigdzie nie czuje się u siebie. Chował się w cieniu palm, w niektóre dni nie opuszczał nawet pokoju hotelowego, bojąc się kontaktu z innymi ludźmi. W morzu wykąpał się tylko jeden raz, kiedy zatoczył się na pomoście i wpadł do wody. Pewnego wieczoru, gdy wreszcie odważył się wyjść między ludzi, aby odnowić swój zapas alkoholu, zaczęła go prostytutka. Usiłował przegonić ją i przytrzymać jednocześnie. Ale uczucie desperacji i pogardy dla samego siebie było silniejsze. Spędził trzy doby z dziewczyną w cuchnącej witriolem norze, w brudnej pościeli o zapachu pleśni, a po jego spoconej twarzy po omacku przesuwały się karaluchy z wysuniętymi czułkami. Pozostały mu z tego czasu mgliste migawki wspomnień. Nie potrafił sobie przypomnieć imienia dziewczyny, nie był nawet pewny, czy je znał. Kładł się na niej z furią, szukając zaspokojenia.

Kiedy już wyciągnęła od niego ostatnie pieniądze, pojawiło się dwóch krzepkich braci i wyrzucili go za drzwi. Wallander wrócił do hotelu, żywiąc się do końca pobytu jedynie śniadaniem, które były opłacone, i wysiadł na lotnisku w Sturupie w gorszym stanie niż przed Wyjazdem. Lekarz, u którego bywa! na regularnych kontrolach, był zdenerwowany i zabronił mu tego rodzaju wycieczek z obawy, że Wallander kompletnie się rozpije. Jednak dwa miesiące później, na początku grudnia, komisarz ponownie wyruszył w podróż za pieniądze pożyczone od ojca pod pretekstem zakupu nowych mebli, co miało poprawić mu nastrój. Podczas całego tego okresu unikał, jak tylko mógł, wizyt u ojca, który właśnie się ożenił z kobietą o trzydzieści lat młodszą, prowadzącą mu dotąd gospodarstwo. Z pieniędzmi w kieszeni Wallander poszedł do ystadzkiego biura podróży i wykupił trzytygodniową wycieczkę do Tajlandii. Powtórzyła się sytuacja z Karaibów, z tą różnicą, że udało się uniknąć całkowitej katastrofy dzięki temu, iż pewien emerytowany aptekarz, który siedział obok niego w samolocie, wylądował w tym samym hotelu co Wallander i zapalałszy do niego sympatią, postanowił interweniować, gdy ten zaczynał pić już od śniadania i zachowywać się w sposób ogólnie zwracający uwagę. Na skutek tej interwencji udało się odesłać Wallandera do domu o tydzień wcześniej, niż było w planie. Również tym razem zagłuszał uczucie wstrętu do samego siebie w ramionach kolejnych, coraz to młodszych prostytutek. Później przez całą koszmarną zimę żył w stałym strachu przed śmiertelną chorobą. Pod koniec kwietnia, niemal po roku, okazało się, że uniknął zarażenia. Przyjął to obojętnie i mniej więcej w tym samym czasie jego lekarz zaczął się poważnie zastanawiać, czy Kurt Wallander nadaje się jeszcze do pracy w policji, a nawet w ogóle do pracy, i czy nie kwalifikuje się raczej do jak najszybszego przejścia na rentę.

Zaraz potem komisarz wyjechał, a raczej uciekł po raz pierwszy do Skagen. Udało mu się skończyć z piciem dzięki córce Lindzie, która powróciwszy z Włoch, zastała go w opłakanym stanie. Postąpiła tak, jak powinna - z porozrzucanych po mieszkaniu butelek wylała resztki alkoholu, a następnie zrobiła ojcu awanturę. Przez dwa tygodnie, kiedy u niego mieszkała, miał wreszcie z kim porozmawiać. Razem udało im się przeciąć najbardziej bolesne wrzody w duszy Wallandera, a w dniu wyjazdu Linda uwierzyła w jego obietnicę, że przestanie pić. Kiedy znów został sam, przeraziła go myśl o przesiadywaniu w pustym domu. W gazecie przeczytał ogłoszenie niedrogiego pensjonatu w Skagen.

Wiele lat wcześniej, gdy Linda była jeszcze niemowlęciem, spędził kilka letnich tygodni w Skagen z żoną Moną. Wspominał ten pobyt jako jeden z najszcześniejszych okresów w swoim życiu. Mieli niewiele pieniędzy, spali w przeciekającym namiocie, lecz przepełniało ich uczucie, że znajdują się w centrum życia i świata. Zatelefonował jeszcze tego samego dnia i zamówił pokój. Przyjechał do pensjonatu na początku maja. Właścicielka - wdowa polskiego pochodzenia - zostawiała go w spokoju, wypożyczyła mu rower i codziennie rano jeździł na bezkresne wybrzeże półwyspu Grenen. Na bagażniku wiózł zapakowane w reklamówkę drugie śniadanie i wracał do pensjonatu dopiero późnym wieczorem. W pensjonacie mieszkali sami starsi ludzie, w pojedynkę lub parami. Panowały tu cisza i spokój jak w czytelnicy. Po raz pierwszy od przeszło roku Wallander zaczął normalnie sypiać i czuł, że to, co się w nim przelało, pomału zaczyna się cofać.

Podczas tego pierwszego pobytu w Skagen napisał trzy listy. Pierwszy do swojej siostry Kristiny. W ciągu minionego roku często się do niego odzywała, żeby się dowiedzieć, jak Kurt się czuje. Mimo że wzruszała go troskliwość siostry, nie

był w stanie do niej napisać ani zatelefonować. Co gorsza, pamiętał jak przez mgłę, że znajdując się w stanie upojenia alkoholowego, wysłał do Kristiny bełkotliwą pocztówkę z Karaibów. Nigdy na ten temat nie mówiła, a on nie pytał, mając nadzieję, że był wtedy na tyle pijany, że podał zły adres lub zapomniał nakleić znaczek. Ale podczas pobytu w Skagen pisał do niej w łóżku przed zaśnięciem, z teczką podłożoną pod papier listowy. Usiłował wyrazić uczucia pustki, wstydu i winy, które prześladowały go od czasu, gdy rok wcześniej zabił człowieka. I chociaż nie ulegało wątpliwości, że działał w obronie własnej i nawet najbardziej drapieżna i negatywnie nastawiona do policji prasa nie znalazła dla siebie pożywki, zrozumiał, że już zawsze będzie dźwigał ciężar winy. Nigdy się go nie pozbędzie, w najlepszym razie nauczy się z nim żyć.

Mam wrażenie, że część mojej duszy zastąpiła proteza - pisał. W dalszym ciągu nie potrafię się nią posługiwać. Nieraz, w gorszych chwilach, wydaje mi się, że nigdy się tego nie nauczę. Ale jeszcze się całkowicie nie poddałem.

Drugi list adresowany był do kolegów z komendy policji w Ystad, a kiedy Wallander wreszcie wrzucił go do czerwonej skrzynki na pocztę w Skagen, uświadomił sobie, jak wiele jest w nim nieprawdy. Musiał jednak do nich napisać. Podziękował za sprzęt stereo, który wspólnie mu podarowali ubiegłego lata. Przeprósł, że dziękuje z tak dużym opóźnieniem. Do tego miejsca wszystko było prawdą. Lecz gdy w zakończeniu napisał, że już się lepiej czuje i ma nadzieję niebawem wrócić do pracy, poczuł, że jest to tylko pobożne życzenie. Rzeczywistość wyglądała całkiem inaczej.

Trzeci list, który napisał podczas pierwszego pobytu w pensjonacie w Skagen, był do Baiby, do Rygi. W ciągu minionego roku pisywał do niej mniej więcej co dwa miesiące i za każdym razem mu odpowiadała. Zaczął ją

uważać za swoją patronkę i nie chcąc jej niepokoić - z obawy, że przestanie mu odpisywać - skrywał uczucie, które do niej żywił. Albo tak mu się tylko wydawało. Przewlekły okres wyniszczającej bezsilności spowodował, że niczego już nie był pewien. W rzadkich chwilach absolutnej jasności umysłu, zwykle gdy znajdował się na brzegu lub szukał schronienia wśród wydm przed kąsającym wiatrem, zdawał sobie sprawę, że to nie ma sensu. Znał Baibę zaledwie przez kilka krótkich dni w Rydze, kochała swojego zamordowanego męża, kapitana policji Karlisa. Dlaczego, na litość boską, miałyby nagle pokochać szwedzkiego policjanta, który zrobił jedynie to, co do niego należało, chociaż niezupełnie zgodnie z obowiązującym regulaminem? Jednak bez większego trudu potrafił ignorować owe chwile jasności. Jakby obawiał się stracić coś, czego - wiedział to w głębi duszy - nigdy nie posiadał. Baiba, marzenie o Baibie stanowiło ostatni niezdobyty przyczółek. Wmawiał sobie, że musi go bronić, choćby był tylko złudzeniem.

Spędził w pensjonacie dziesięć dni. Po powrocie do Ystad postanowił tam wrócić, jak tylko będzie mógł. Już w połowie lipca był z powrotem i dostał ten sam pokój. Tym razem również pożyczył rower i spędzał całe dni nad morzem. Inaczej niż poprzednio, plaża była pełna wczasowiczów i miał uczucie, że krąży jak niewidoczny cień, podczas gdy tamci się śmiali, bawili i chlapali w wodzie. Wyglądało na to, że wyznaczył sobie niedostrzegalny dla innych posterunek na mierzei Grenen, gdzie spotykają się dwa morza. Tam patrolował samotnie i stojąc na straży samego siebie, usiłował znaleźć wyjście z opłakanej sytuacji. Po pierwszym pobycie Wallandera w Skagen lekarz dostrzegł pewną poprawę w jego stanie zdrowia. Ale była ona zbyt nieznaczna, by można mówić o radykalnej zmianie. Wallander spytał, czy nie mógłby odstawić leków, które brał

już od przeszło roku. Czuł się po nich ociężały i zmęczony. Lekarz uważał, że to za wcześnie, i prosił go, by jeszcze na jakiś czas uzbroił się w cierpliwość.

Co rano po przebudzeniu Wallander zadawał sobie pytanie, czy tym razem zdoła wstać z łóżka. Spostrzegł, że łatwiej mu to przychodzi w pensjonacie w Skagen. Zdarzały się chwile lekkości i ulgi, kiedy udawało mu się zrzucić przygniatający ciężar wydarzeń sprzed roku i w przeblyskach nadziei ujrzeć przed sobą przyszłość.

Podczas wielogodzinnych wędrówek wzdłuż brzegu począł ostrożnie wracać do minionych wydarzeń, szukając sposobu, by zapanować nad udręką i znaleźć w sobie siłę, która pozwoliłaby mu znowu stać się policjantem - policjantem i człowiekiem.

W tym czasie przestał również słuchać muzyki operowej. Często na wędrówki brzegiem morza zabierał ze sobą swój mały magnetofon. Jednak pewnego dnia poczuł, że ma dość. Wróciwszy do domu wieczorem, zapakował do walizki wszystkie kasety z muzyką operową i schował je do szafy. Następnego dnia pojechał na rowerze do Skagen i kupił kilka kaset z muzyką pop. O wykonawcach miał tylko mgliste pojęcie. Najbardziej zdziwiło go, że nie odczuwał braku muzyki, która towarzyszyła mu przez tyle lat.

Nie mam już miejsca na więcej, myślał. Jestem czymś wypełniony po brzegi, niedługo to się ze mnie przeleje.

W połowie października powrócił do Skagen. Tym razem z mocnym zamiarem postawienia sobie jasnego celu w życiu. Lekarz zauważył u niego wyraźne znamiona poprawy, stopniowe wychodzenie z przewlekłej depresji, i zachęcał go do wyjazdu do duńskiego pensjonatu, w którym pobyt wyraźnie dobrze mu robił. Dyskretnie, dochowując tajemnicy lekarskiej, w poufnej rozmowie dał do zrozumienia szefowi policji Bjórkowi, że istnieje nadzieja na powrót Wallandera do służby w policji.

Powrócił więc do Skagen i na nowo podjął swoje wędrówki. Jak zwykle jesienią, wybrzeże było opustoszałe. Zdarzało się Wallanderowi spotykać nieliczne osoby, z reguły starsze; to jakiegoś ociekającego potem biegacza, to znów ciekawską kobietę na spacerze z psem. Wyruszał samotnie, patrolując obszar, który sam sobie wyznaczył, i maszerował coraz pewniejszym krokiem tuż przy ledwie widocznej, płynnej granicy, gdzie brzeg spotykał się z morzem.

Myślał o tym, że jest na półmetku wieku średniego, za kilka lat skończy pięćdziesiątkę. Przez ostatni rok schudł i znowu mieścił się w ubraniach, które od siedmiu, ośmiu lat wisiły w szafach. Stwierdził, że dawno już nie był w tak dobrej formie fizycznej jak teraz, kiedy przestał pić. Ten fakt mógł stać się punktem wyjścia do układania planów na przyszłość. Jeśli nie zajdzie nic nieprzewidzianego, może jeszcze żyć co najmniej dwadzieścia lat. W gruncie rzeczy jego wątpliwości dotyczyły tego, czy będzie w stanie wrócić na służbę, czy też powinien spróbować zająć się czymś zupełnie innym. Nie dopuszczał do siebie myśli o przejściu na rentę. Takiego życia by nie zniósł. Spędzał czas nad brzegiem morza, najczęściej w oparach dryfującej mgły, która z rzadka ustępowała miejsca dniom z czystym i przejrzystym powietrzem, gdy nad migoczącymi falami szybowały mewy. Niekiedy czuł się jak mechaniczny człowiek-zabawka, któremu zapodział się gdzieś kluczyk do nakręcania, więc on tym samym stracił źródło wcześniejszej energii. Zastanawiał się, co mógłby robić, gdyby porzucił zawód policjanta. Prawdopodobnie dostałby pracę jako szef niższego szczebla w jakiejś firmie ochroniarskiej. Nie bardzo wiedział, do czego innego może przydać się policyjne doświadczenie, jeśli nie do śledzenia przestępców. Możliwości było niewiele, chyba żeby zdecydował się na radykalną zmianę, pozostawiając na zawsze za sobą lata przepracowane w policji. Kto chciałby jednak zatrudnić

niemal pięćdziesięcioletniego byłego policjanta, który poza rozwikływaniem mniej lub bardziej zagmatwanych przestępstw niewiele potrafi?

Opuszczał brzeg morza, gdy zaczynał mu doskwierać głód. Siadał na zimnym piasku między wydrami, w miejscu osłoniętym od wiatru, i wyjmował termos i kanapki. Jedząc, usiłował bez większego powodzenia zastanawiać się nad czymś innym niż nad swoją przyszłością. Zmuszał się do racjonalnego myślenia, równocześnie czując, że gdzieś w zakamarkach jego mózgu czają się nierealne marzenia, które tylko czekają, aby odezwać się z większą siłą.

Podobnie jak innych policjantów, kusiła go nieraz myśl, by znaleźć się po drugiej stronie, popełniać przestępstwa. Często się dziwił, dlaczego policjanci popełniający przestępstwa tak rzadko wykorzystują swoją wiedzę na temat najbardziej elementarnej procedury śledczej, aby uniknąć wpadki. W myślach układał sobie rozmaite scenariusze przestępstw, dzięki którym stałby się bogaty i niezależny. Na ogół dość szybko i z niesmakiem przepędzał tego rodzaju myśli. Za żadne skarby nie chciał się upodobnić do kolegi z pracy, Hanssona. Jak opętany, spędzał on większą część życia, obstawiając konie, które niemal nigdy nie wygrywały. Wallander uważał to za kompletną stratę czasu.

Później powracał do swojej wędrówki. Jego myśli poruszały się po polu wyznaczonym przez figurę trójkąta, w którego najdalszym kącie zawisło pytanie, czy mimo wszystko nie powinien na nowo podjąć pracy w policji. Wrócić, odpędzać wspomnienia z ubiegłego roku, być może nauczyć się pewnego dnia z nimi żyć. Powrót do poprzedniego zajęcia był jedyną realistyczną opcją. Świadomość, że usuwając z otoczenia groźnych przestępców, przyczynia się do zwiększenia bezpieczeństwa ludzi, dawała mu iskierkę nadziei na sens w życiu. Jeśli z tego zrezygnuje, to nie tylko

straci pracę, do której, jak wiedział, nadaje się lepiej niż wielu jego kolegów, lecz odetnie się od tego, co gdzieś głęboko w nim tkwi - od uczucia, że jest częścią jakiejś większej całości, nadającej treść jego egzystencji.

Ostatecznie jednak po tygodniu spędzonym w Skagen, gdy jesień coraz wyraźniej przechodziła w zimę, zrozumiał, że nie podoła. Czas, kiedy był policjantem, bezpowrotnie minął, rany, które nosił w sobie po zeszłorocznych wydarzeniach, zmieniły go na zawsze.

Tego popołudnia, gdy gęsta mgła przesłaniała mierzeję Grenen, zrozumiał, że wyczerpał już wszystkie argumenty za i przeciw. Porozmawia z lekarzem i z Bjórkiem. Nie wróci na służbę.

Poczuł od razu wewnętrzną ulgę. Przynajmniej jednego był pewien. Dosięgła go zemsta człowieka, którego rok temu zabił na polu, wśród niewidocznych owiec.

Tego samego wieczoru pojechał rowerem do Skagen i upił się w małej, zadymionej restauracji, gdzie było niewielu gości i zbyt głośna muzyka, przekonany, że tym razem nie będzie pił następnego dnia, że jest to tylko utwierdzenie się w posępnej prawdzie, że jego życie policjanta dobiegło końca. Kiedy, zataczając się na rowerze, wracał w nocy do domu, przewrócił się i podrapał sobie policzek. Właścicielka pensjonatu jeszcze nie spała, zaniepokojona, że nie wrócił jak zwykle do domu. Pomimo jego słabych protestów obmyła mu twarz i obiecała wyprać zabrudzone ubranie. Później pomogła mu otworzyć drzwi do pokoju.

- Był tu wieczorem jakiś pan i pytał o pana Wallandera - poinformowała, wręczając mu klucz.

Wallander patrzył na nią, nie rozumiejąc.

- Nikt o mnie nie mógł pytać - odparł. - Nikt nie wie, że tu jestem.

- Ten pan wiedział. Zależało mu, żeby się z panem zobaczyć.

- Mówił, jak się nazywa?

- Nie. Ale to był Szwed.

Wallander pokiwał głową i wymazał z pamięci tę wiadomość. Nie chciał się z nikim spotykać i był pewny, że z nim również nikt nie chce się widzieć.

Nazajutrz, gdy pełen skruchy udał się na wybrzeże, nie pamiętał już słów właścicielki z poprzedniej nocy. Mgła była gęsta, czuł się bardzo zmęczony. Po raz pierwszy zadał sobie pytanie, co właściwie tu robi. Po przejściu niespełna kilometra począł wątpić, czy będzie w stanie iść dalej, usiadł więc na dnie przewróconego wraku dużej łodzi, na wpół zagrzebanej w piachu.

W tej samej chwili zauważył mężczyznę, który wynurzywszy się z mgły, zmierzał w jego kierunku.

Jak gdyby ktoś niespodziewanie wszedł do jego biura, znajdującego się na bezkresnym wybrzeżu.

Z początku ujrzał nieznaną sylwetkę w wiatrówce i czapce z daszkiem, jakby nieco za dużej. Po chwili postać wydała mu się znajoma. Jednak dopiero gdy wstał, a mężczyzna podszedł bliżej, zobaczył, kogo ma przed sobą. Witając się, Wallander skrywał zaskoczenie. Skąd wiedział, gdzie mnie szukać, pomyślał. Usiłował sobie przypomnieć, kiedy ostatnio spotkał Stena Torstenssona. Musiało to być na posiedzeniu w związku z jakimś tymczasowym aresztowaniem, ubiegłej wiosny, tak brzemiennej w skutki.

- Szukałem cię wczoraj w pensjonacie - odezwał się Sten Torstensson. - Nie chciałem cię niepokoić. Ale muszę z tobą porozmawiać.

Kiedyś byłem policjantem, a on adwokatem, pomyślał Wallander. Po prostu. Koło nas zasiadali przestępcy, i co jakiś czas, bardzo rzadko, sprzeczałyśmy się, czy nakaz aresztowania jest uzasadniony. Poznaliśmy się bliżej w trudnym okresie, prowadził moją sprawę rozwodową z Moną. Pewnego dnia zauważyliśmy, że coś się wydarzyło, coś, co mogło być początkiem przyjaźni. Przyjaźń rodzi się

często ze spotkania, od którego nikt nie oczekuje cudu. Ale przyjaźń to jest cud, tego mnie nauczyło życie. Zaprosił mnie na swoją zagłówkę na jakąś sobotę i niedzielę, już kiedy Mona ode mnie odeszła. Wiało jak diabli, sama myśl o tym, że miałbym znowu kiedyś wejść na łódź, napawała mnie wstrętem. Potem zaczęliśmy się widywać, niezbyt często, ze stosownymi przerwami. Teraz mnie odnalazł i chce ze mną porozmawiać.

- Słyszałem, że ktoś mnie szukał - odpowiedział Wallander. - Jak, do diabła, mnie tu znalazłeś?

Czuł, że nie potrafi ukryć irytacji z powodu wtargnięcia do jego twierdzy, obwarowanej morzem i wydmami.

- Znasz mnie - powiedział Sten Torstensson. - Nie lubię się narzucać. Moja sekretarka wręcz twierdzi, że boję się narzucać sam sobie, cokolwiek by to miało znaczyć. Zadzwoiłem do Sztokholmu do twojej siostry. Właściwie skontaktowałem się z twoim ojcem i on mi dał jej numer. Znała nazwę pensjonatu i wiedziała, gdzie leży. Przyjechałem wczoraj i noc spędziłem w hotelu koło Muzeum Sztuki.

Ruszyli wzdłuż brzegu, wiatr dmuchał im w plecy. Kobieta, która zwykle spacerowała z psem, stanęła w miejscu, przyglądając się im. Wallander przypuszczał, że musiała się zdziwić na widok jego gościa. Szli w milczeniu, Wallander wyczekiwał, nienawykły do towarzystwa.

- Musisz mi pomóc - przemówił wreszcie Torstensson. - Jako przyjaciel i policjant.

- Jako przyjaciel - odparł Wallander. - Chociaż wątpię, czy potrafię. Nie jako policjant.

- Wiem, że w dalszym ciągu jesteś na zwolnieniu - powiedział Sten Torstensson.

- Nie tylko - odrzekł Wallander. - Jesteś pierwszą osobą, której mówię, że nie będę już policjantem.

Sten Torstensson raptownie przystanął.

- Jest, jak jest - podsumował Wallander. - Powiedz raczej, dlaczego przyjechałeś?

- Mój ojciec nie żyje.

Wallander znał jego ojca. Był również adwokatem. Ale tylko wyjątkowo występował jako obrońca w sprawach karnych. O ile Wallander sobie przypominał, zajmował się głównie doradztwem finansowym. Usiłował obliczyć, ile ojciec Stena mógł mieć lat. Chyba około siedemdziesiątki, wiek, którego wielu nie dożywało.

- Kilka tygodni temu zginął w wypadku samochodowym - ciągnął Sten Torstensson. - Tuż na południe od Wzgórz Brórsarpskich.

- Bardzo mi przykro - powiedział Wallander. - Jak to się stało?

- O to właśnie chodzi - odparł Sten. - Dlatego tutaj przyjechałem.

Wallander spojrział na niego ze zdziwieniem.

- Zimno tu - zauważył Sten Torstensson. - W Muzeum Sztuki można napić się kawy. Mam samochód.

Wallander kiwnął głową. Rower wystawał z bagażnika, gdy jechali między wydłami. W kawiarni Muzeum Sztuki o tak wczesnej porze było mało ludzi. Dziewczyna za ladą nuciła melodię, którą zaskoczony Wallander rozpoznał z niedawno zakupionej przez siebie kasety.

- Był wieczór - zaczął Sten Torstensson. - Dokładnie jedenastego października. Ojciec złożył wizytę jednemu z naszych najważniejszych klientów. Według policji, jechał z dużą szybkością, stracił panowanie nad wozem, wpadł w poślizg i zginął.

- To się dzieje szybko - skomentował Wallander. - Jedna sekunda nieuwagi może mieć katastrofalne następstwa.

- Tego wieczoru była mgła - powiedział Sten Torstensson. - Ojciec nigdy nie jeździł szybko. Dlaczego miałby to robić w czasie mgły? Panicznie się bał, że przejedzie zająca.

Wallander przyglądał mu się w zamyśleniu.

- Coś ci chodzi po głowie - orzekł.

- Dochodzenie prowadził Martinsson - poinformował Sten Torstensson.

- On jest dobry - zapewnił Wallander. - Jeżeli mówi, że tak było, nie ma powodu, aby mu nie ufać.

Sten Torstensson popatrzył na niego z powagą.

- Nie mam wątpliwości, że Martinsson jest zdolnym policjantem. Ani że ojciec leżał martwy w pogruchotanym samochodzie, który wylądował na dachu w polu. Chodzi o to, że zbyt dużo rzeczy się nie zgadza. Coś musiało się wydarzyć.

- Ale co?

- Coś innego.

- Na przykład?

- Nie wiem.

Wallander się podniósł i poszedł dolać sobie kawy. Dlaczego nie powiem mu prawdy, pomyślał. Że Martinsson ma wyobraźnię i energię, ale bywa niedbały.

- Przeczytałem materiał dochodzeniowy - kontynuował Sten Torstensson, kiedy Wallander usiadł z kawą. - Wziąłem go ze sobą na miejsce, gdzie zginął mój ojciec. Przeczytałem protokół obdukcji, rozmawiałem z Martinssonem, zastanawiałem się i na nowo zadawałem pytania. Teraz jestem tutaj.

- Jak mam ci pomóc? - spytał Wallander. - Przecież jako adwokat wiesz, że w każdej sprawie lub dochodzeniu istnieją białe plamy, których nie potrafimy wypełnić. W chwili wypadku ojciec był sam w samochodzie. Jeśli cię dobrze zrozumiałem, nie ma żadnych świadków. Jedyńm, który mógłby przedstawić prawdziwą wersję wydarzenia, był twój ojciec.

- Coś się stało - powtórzył Sten Torstensson. - Coś się nie zgadza. Chcę wiedzieć co.

- Nie mogę ci pomóc - odparł Wallander. - Naprawdę chciałbym.

Wydawało się, że Sten Torstensson go nie słyszy.

- Kluczyki - powiedział. - Jako przykład. Nie tkwiły w stacyjce. Leżały na podłodze.

- Mogły zostać wypchnięte - zauważył Wallander. - Przy wgniecionej karoserii wszystko jest możliwe.

- Stacyjka była nienaruszona. Kluczyki nie miały najmniejszego odkształcenia.

- Nawet to można jakoś wytłumaczyć - powiedział Wallander.

- Mógłbym ci podać więcej przykładów - ciągnął dalej Sten Torstensson. - Wiem, że coś się stało. Mój ojciec zginął w wypadku samochodowym, który był czymś innym.

- Czy mógł popełnić samobójstwo? - zapytał Wallander po chwili namysłu.

- Przyszło mi to na myśl - przyznał Sten Torstensson.

- Ale to, moim zdaniem, wykluczone. Znałem mojego ojca.

- Większość samobójstw zdarza się niespodziewanie - zauważył Wallander. - Możesz oczywiście mieć na ten temat inną opinię.

- Jest jeszcze jeden powód, dla którego nie mogę się pogodzić z wersją wypadku - wyznał Sten Torstensson.

Wallander spojrzał na niego bacznie.

- Ojciec był wesołym człowiekiem i miał łatwość nawiązywania kontaktów z ludźmi - mówił dalej Sten Torstensson.

- Gdybym nie znał go tak dobrze, nie zauważyłbym może nieznacznej, ledwie zauważalnej, a jednak wyraźnej zmiany, jaka w nim zaszła w ciągu ostatniego pół roku.

- Możesz to dokładniej opisać? - spytał Wallander. Sten Torstensson przecząco pokręcił głową.

- Właściwie nie - rzekł. - To było raczej wrażenie. Że coś nim wstrząsnęło. Coś, co za wszelką cenę starał się przede mną

ukryć.

- Nigdy o tym nie rozmawialiście?

- Nigdy.

Wallander odsunął pustą filiżankę po kawie.

- Nie potrafię ci pomóc, nawet gdybym bardzo chciał - powiedział. - Mogę cię wysłuchać jako przyjaciel. Ale jako policjant już nie istnieję. Nawet mi nie pochlebia, że przyjechałeś taki kawał drogi, żeby ze mną porozmawiać. Czuję się znudzony i przygnębiony.

Sten Torstensson otworzył usta, aby coś powiedzieć, ale się powstrzymał.

Wstali i wyszli z kawiarni.

- Muszę to oczywiście uszanować - odezwał się wreszcie Sten Torstensson, kiedy stali przed Muzeum Sztuki.

Wallander odprowadził go do samochodu i wyjął swój rower z bagażnika.

- Ze śmiercią nigdy nie wygramy - niezręcznie próbował go pocieszyć.

- Nie mam takiego zamiaru - odpowiedział Sten Torstensson. - Chcę tylko wiedzieć, co się stało. To nie był zwyczajny wypadek.

- Porozmawiaj jeszcze raz z Martinssonem - podsunął mu Wallander. - Ale lepiej nie mów, że to wyszło ode mnie.

Pożegnali się, Wallander odprowadził wzrokiem samochód, który zniknął wśród piaszczystych wzgórz.

Nagle zaczął się śpieszyć. Nie mógł już dłużej czekać. Tego samego popołudnia zatelefonował do swojego lekarza i do Bjórka, żeby oznajmić, że odchodzi z policji.

Został jeszcze pięć dni w Skagen. Nie opuszczało go uczucie, że jego wnętrze jest jak wypalony wojną krajobraz. Poczul jednak ulgę na myśl, że wreszcie podjął decyzję.

W niedzielę trzydziestego pierwszego października wrócił do Ystad, by złożyć podpis na odpowiednich dokumentach i formalnie zakończyć karierę policjanta.

W poniedziałek rano pierwszego listopada leżał w łóżku z otwartymi oczami, kiedy tuż po szóstej zadzwonił budzik. Miał za sobą nieprzespaną noc, poza krótkimi chwilami niespokojnej drzemki. Wiele razy wstawał z łóżka i stojąc przy oknie z widokiem na Mariagatan, myślał, że kolejny raz podjął w życiu niewłaściwą decyzję. Być może nie było już dla niego innej drogi życiowej? Nie znalazłszy zadowalającej odpowiedzi, zrezygnowany przysiadł na kanapie w dużym pokoju i słuchał przyciszonej muzyki, płynącej z radia. Wreszcie, zanim jeszcze zadzwonił budzik, pogodził się z myślą, że nie ma wyboru. Widział jasno, że nadeszła chwila kapitulacji. Ale mówił sobie, że prędzej czy później wszyscy dochodzą do tego punktu. Wszystkich w końcu obezwładniają niewidoczne siły. Nikt się przed tym nie uchroni.

Kiedy zadzwonił budzik, wstał z łóżka, wziął spod drzwi dziennik „Ystads Allehanda”, nastawił kawę w kuchni i poszedł wziąć prysznic. Wydało mu się dziwne, że na jeden dzień powraca do dawnej rutyny. Wycierając się pod prysznicem, usiłował przywołać w pamięci ostatni dzień pracy sprzed niemal półtora roku. Było lato, po uprzątnięciu biura udał się do portowej kawiarni, gdzie napisał mętny list do Baiby. Nie był pewny, czy wydaje mu się to czymś odległym, czy nie.

Usiadł przy kuchennym stole i mieszał łyżeczką w filizance z kawą.

Wtedy był ostatni raz w pracy.

Teraz będzie tam po raz ostatni.

Od dwudziestu pięciu lat jest policjantem. Cokolwiek czeka go w przyszłości, minione dwadzieścia pięć lat ukształtowało jego osobowość i nic tego nie zmieni. Nie pomogą prośby o unieważnienie dotychczasowego życia ani żądanie nowego rozdania. Nie można się cofnąć. Pytanie, czy można jeszcze iść naprzód.

Usiłował nazwać uczucia nurtujące go tego jesiennego poranka. Ale w głowie miał pustkę. Jak gdyby jesiennie mgły wtargnęły do jego świadomości.

Westchnął i sięgnąwszy po gazetę, zaczął ją pobieżnie przeglądać. Wędrował wzrokiem po tytułach, odnosząc wrażenie, że już niejedną raz oglądał te same zdjęcia i czytał te same teksty.

Zamierzał właśnie odłożyć dziennik, kiedy jego uwagę zwrócił nekrolog.

Z początku się nie zorientował. Potem poczuł ucisk w żołądku.

„Sten Torstensson, adwokat, urodzony 3 marca 1947, zmarł 26 października 1993”.

Wallander zdezorientowany wpatrywał się w nekrolog.

Zmarł przecież ojciec, Gustaw Torstensson? Ze Stenem widział się niespełna tydzień temu na wybrzeżu Grenen.

Szukał wyjaśnienia. To musi być ktoś inny. Albo pomyłono osoby. Jeszcze raz przeczytał nekrolog. Nie było omyłki.

Sten Torstensson, mężczyzna, który pięć dni wcześniej odnalazł go w Skagen, już nie żył.

Siedział bez ruchu.

Potem wstał, sięgnął po książkę telefoniczną i wybrał numer. Wiedział, że ten, do którego dzwoni, jest już na nogach.

- Martinsson! - odpowiedział Martinsson.

Wallander z trudem się powstrzymał, żeby nie odłożyć słuchawki.

- Mówi Kurt - powiedział. - Mam nadzieję, że cię nie obudziłem.

W słuchawce zapanowała długa cisza, potem usłyszał głos Martinssona.

- To ty? - powiedział tamten. - Ciebie się nie spodziewałem.

- Wiem - odparł Wallander. - Ale muszę cię o coś zapytać.

- Nie mogę uwierzyć, że chcesz odejść - oznajmił

Martinsson.

- Na to wygląda - odrzekł Wallander. - Ale nie w tej sprawie dzwonię. Chciałbym wiedzieć, co się stało z mecenasem Stenem Torstenssonem.

- Nie wiesz? - zapytał Martinsson.

- Przyjechałem do Ystad wczoraj wieczorem - oznajmił Wallander. - Nic nie wiem.

Martinsson ociągał się z odpowiedzią.

- Został zamordowany - wyjaśnił wreszcie. Wallander wcale się nie zdziwił. W chwili kiedy zobaczył nekrolog, od razu zrozumiał, że Sten nie umarł naturalną śmiercią.

- Został zastrzelony w swojej własnej kancelarii we wtorek wieczorem - ciągnął Martinsson. - To nie do pojęcia. Taka tragedia. Kilka tygodni temu jego ojciec zginął w wypadku samochodowym. O tym może też nie wiedziałeś?

- Nie - skłamał Wallander.

- Wróć na służbę - powiedział Martinsson. - Potrzebujemy cię do wyjaśnienia tej sprawy. I wielu innych.

- Nie - odpowiedział Wallander. - To już postanowione. Wytłumaczę ci, jak się zobaczymy. Ystad to małe miasto. Prędzej czy później się spotkamy.

Szybko zakończył rozmowę.

W tym samym momencie zrozumiał, że to, co przed chwilą powiedział Martinssonowi, jest nieprawdą. W ciągu jednej chwili wszystko się zmieniło.

Przez ponad pięć minut stał nieruchomo koło telefonu w przedpokoju. Potem wypił kawę, ubrał się i zszedł do samochodu. Tuż po wpół do ósmej po raz pierwszy od przeszło półtora roku przekroczył drzwi komendy. Przywitał się skinieniem głowy ze strażnikiem w recepcji, skierował się prosto do gabinetu Bjórka i zapukał do drzwi. Bjórk przyjął go na stojąco. Wallander zauważył, że tamten zeszczuplał, widział również, że nie bardzo panuje nad sytuacją.

Ułatwię mu sprawę, pomyślał. Ale z początku nic nie będzie mógł zrozumieć. Podobnie zresztą jak ja.

- Cieszymy się naturalnie, że już lepiej się czujesz - zaczął niepewnie Bjórk. - Ale z pewnością wolelibyśmy, żebyś powrócił na służbę, zamiast nas opuszczać. Jesteś nam potrzebny.

Wskazał ręką na swój zawalony papierami stół.

- Dzisiaj muszę zająć stanowisko w tak różnych sprawach, jak projekt nowego uniformu dla policji oraz kolejna niezrozumiała propozycja zmian w wojewódzkich zarządach policji i wśród wojewódzkich szefów policji. Wiesz coś na ten temat?

Wallander pokręcił przecząco głową.

- Zastanawiam się, dokąd to wszystko zmierza - ciągnął ponuro Bjórk. - Jeśli przejdzie projekt nowych mundurów, to, moim zdaniem, przyszły policjant będzie wyglądał jak ni to stolarz, ni to konduktor w pociągu.

Spojrzał wyczekująco na Wallandera, ale ten w dalszym ciągu milczał.

- W latach sześćdziesiątych zreorganizowano policję - mówił dalej. - Teraz wszystko ma się znowu zmienić.

Parlament postanowił zlikwidować lokalne zarządy policji i ustanowić tak zwaną policję krajową. Ale policja przecież zawsze była krajowa? Czy może być inna? Prawa dzielnicowe przestały obowiązywać już w średniowieczu. Jak poradzimy sobie z codzienną pracą, jeżeli zasypią nas stosem mętnych dokumentów? Ponadto muszę przygotować wystąpienie na całkowicie niepotrzebnej konferencji na temat tak zwanej techniki wydalania z kraju. W normalnym języku chodzi o to, żeby bez zbędnego rozgłosu i przepychanek wydalać autokarami i promami ludzi, którym odmówiono zezwolenia na pobyt.

- Rozumiem, że masz mnóstwo różnych spraw - odparł Wallander i pomyślał, że Bjórk w ogóle się nie zmienił.

Nigdy się nie odnalazł w roli szefa. Stanowisko go przerosło.

- Ty najwyraźniej nie pojmujesz, że potrzebujemy wszystkich dobrych policjantów, jacy istnieją - rzekł Bjórk i ciężko usiadł za biurkiem. - Mam tu wszystkie papiery - mówił dalej. - Brakuje tylko twojego podpisu, abyś zamienił się w byłego policjanta. Muszę się pogodzić z twoją decyzją, choć robię to z wielką niechęcią. Spodziewam się, że nie będziesz miał nic przeciwko temu, że na dziewiątą wyznaczyłem konferencję prasową. W ciągu ostatnich kilku lat stałeś się znany, Kurt. Mimo że niekiedy postępowałeś trochę nietypowo, przyczyniłeś się niewątpliwie do poprawy naszego wizerunku. Niektórzy twierdzą, że nowo przyjęci kandydaci na policjantów pod twoim wpływem zdecydowali się zdawać do Wyższej Szkoły Policji.

- To z pewnością nieprawda - zaprzeczył Wallander. - A konferencję prasową możesz odwołać.

Zauważył, że Bjórk jest poirytowany.

- Nie ma mowy - odpowiedział tamten. - Przynajmniej tyle możesz zrobić dla swoich kolegów. Poza tym chce o tobie napisać „Svensk Polis”.

Wallander podszedł do biurka.

- Nie rezygnuję - oznajmił. - Przyszedłem dzisiaj z zamiarem podjęcia pracy.

Bjórk patrzył na niego skonsternowany.

- Nie będzie żadnej konferencji prasowej - ciągnął Wallander. - Od dziś wracam na służbę. Poproszę mojego lekarza, żeby uznał mnie za zdrowego. Czuję się dobrze. Chcę podjąć pracę.

- Mam nadzieję, że nie przyszedłeś się ze mnie nabijać...

- zaczął zbity z tropu Bjórk.

- Nie - zapewnił Wallander. - Zdarzyło się coś, co spowodowało, że zmieniłem zdanie.

- Bardzo mnie zaskoczyłeś - powiedział Bjórk.

- Siebie samego również - przyznał Wallander. - Tak

naprawdę podjąłem decyzję jakąś godzinę temu. Mam tylko jeden warunek. A raczej prośbę.

Björk skinął głową zaniepokojony.

- Chcę się zająć sprawą Stena Torstenssona - oznajmił Wallander. - Kto prowadzi dochodzenie?

- Biorą udział wszyscy - odpowiedział Björk. - W grupie dochodzeniowej jest Svedberg, Martinsson i ja. Z prokuratury Per Akesson.

- Sten Torstensson był moim przyjacielem - oświadczył Wallander.

Björk pokiwał głową i wstał z za biurka.

- Czy to aby prawda? - zapytał. - Zmieniłeś zdanie?

- Słyszałeś, co powiedziałem.

Björk wyszedł z za biurka i stanął naprzeciwko Wallandera.

- Dawno nie miałem lepszej wiadomości - oznajmił.

- Możemy już podrzeć te papiery. To się twoi koledzy zdziwią.

- Kto zajął moje dawne biuro? - zapytał wymijająco Wallander.

- Hansson.

- Chciałbym tam wrócić, jeżeli to możliwe.

- Naturalnie. Zresztą Hansson jest w tym tygodniu na kursie szkolenia zawodowego w Halmstad. Możesz się tam od razu wprowadzić.

Wyszli razem na korytarz i przystanęli przed drzwiami dawnego pokoju Wallandera.

Na drzwiach nie było plakietki z jego nazwiskiem. Poczul ukłucie gniewu.

- Muszę mieć godzinę dla siebie - powiedział.

- Zebranie w sprawie morderstwa Stena Torstenssona odbędzie się o wpół do dziewiątej - poinformował Björk. - W małym pokoju konferencyjnym. Jesteś pewny, że mówisz poważnie?

- Nie mam ochoty na żarty.

Po chwili wahania Bjórk mówił dalej:

- Zdarzało ci się postępować odrobinę nierozważnie, a nawet nieobliczalnie. Sam musisz przyznać.

- Nie zapomnij odwołać konferencji - przypomniał Wallander.

Bjórk podał mu rękę.

- Witaj z powrotem - powiedział.

- Dziękuję.

Wallander zamknął za nim drzwi i natychmiast zdjął słuchawkę z widełek. Rozejrzał się po pokoju. Biurko było nowe. Należało do Hanssona. Ale stare krzesła były jego, Wallandera.

Powiesił kurtkę i usiadł.

Ten sam zapach, pomyślał. Ten sam środek do czyszczenia, to samo suche powietrze i ten sam słaby zapach kawy, która bezustannie leje się w tym budynku.

Długo siedział bez ruchu.

Męczył się z górą rok, poszukując prawdy o sobie i swojej przyszłości. Z wolna dojrzewało w nim postanowienie, przebijając się przez apatię. Potem otworzył gazetę i wszystko się zmieniło.

Po raz pierwszy od bardzo dawna poczuł przyjemny dreszcz w całym ciele.

Podjął decyzję. Nie wiedział, czy jest słuszna. Ale to już nie miało znaczenia.

Pochylił się nad biurkiem, przysunął sobie notes i zapisał tylko dwa słowa:

Sten Torstensson. Wrócił na służbę.

3

O wpół do dziewiątej, gdy Bjórk zamknął drzwi do pokoju zebrań, Wallander poczuł się tak, jak gdyby nigdy nie miał przerwy w pracy. Półtora roku, które minęło od czasu, kiedy ostatnio brał udział w zebraniu grupy dochodzeniowej, nagle przestało istnieć.

Siedzieli teraz wokół owalnego stołu, tak jak wiele razy przedtem. Ponieważ Bjórk jeszcze nie zabrał głosu, Wallander przypuszczał, że koledzy spodziewają się krótkiej, zwyczajowej mowy z podziękowaniem dla niego za lata spędzone na służbie. Następnie Wallander się oddali, a oni ponownie pochylił się nad swoimi notatkami, aby kontynuować śledztwo w sprawie nieznanego sprawcy, który zamordował Stena Torstenssona.

Wallander usiadł na swoim zwykłym miejscu, po lewej stronie Bjórka. Krzesło obok niego było puste. Jak gdyby koledzy nie chcieli siedzieć za blisko kogoś, kto właściwie nie jest już jednym z nich. Naprzeciwko siedział Martinsson i hałaśliwie wycierał nos. Wallander zastanawiał się, czy widział kiedyś niezakatarzonego Martinssona. Obok niego kołysał się na krześle Svedberg, swoim zwyczajem skrobiąc się ołówkiem w łysinę.

Wszystko byłoby jak zwykle, myślał Wallander, gdyby niesiedząca samotnie przy drugim końcu stołu kobieta w dzinsach i niebieskiej koszuli. Wallander nigdy wcześniej jej nie widział, lecz wiedział, kim ona jest, a nawet jak się nazywa. Jakies dwa lata temu zaczęto mówić o potrzebie wzmocnienia sekcji kryminalnej ystadzkiej policji i wtedy nazwisko Ann-Britt Hóglund pojawiło się po raz pierwszy. Była młoda, zaledwie trzy lata temu ukończyła Wyższą Szkołę Policji, ale już zwróciła na siebie uwagę. Należała do dwójki absolwentów wyróżnionych za dobre wyniki w nauce i wzorową postawę - przykład dla innych kandydatów na oficerów policji. Pochodziła ze Svarte w Skanii, ale

dzieciństwo spędziła na przedmieściu Sztokholmu. Były się o nią okręgi w całym kraju, ona jednak postanowiła wrócić do okolic, z których pochodzi, i przyjąć pracę w komendzie w Ystad.

Wallander ściągnął na siebie jej wzrok, w odpowiedzi uśmiechnęła się do niego przelotnie.

Zatem wszystko jest inaczej niż kiedyś, przemknęło mu przez myśl. Z kobietą w zespole nie będzie już tak samo.

Z zadumy wyrwał go Bjórk, który wstał z krzesła. Wallandera nagle ogarnął niepokój. Może już jest na wszystko za późno? Może już został zwolniony, a jeszcze o tym nie wie?

- Poniedziałkowe ranki są zazwyczaj ciężkie - zaczął Bjórk. - Zwłaszcza dzisiaj, kiedy mamy się zająć szczególnie ponurym i niezrozumiałym morderstwem, popełnionym na naszym znajomym, mecenasie Torstenssonie. Jednak tym razem mam na początek dobrą wiadomość. Kurt oznajmił, że jest zdrowy i od dziś przystępuje do pracy. Co do mnie, to z radością witam cię w naszym gronie - zwrócił się do Wallandera. - I wiem, że wszyscy twoi koledzy czują to samo. A także Ann-Britt, której jeszcze nie poznałeś.

W pokoju zapanowała cisza. Martinsson z niedowierzaniem wpatrywał się w Bjorka, podczas gdy Svedberg, przechyliwszy na bok głowę, nieufnie przyglądał się Wallanderowi. Ann-Britt sprawiała wrażenie, jak gdyby słowa Bjorka do niej nie dotarły.

Wallander zrozumiał, że wypadałoby coś powiedzieć.

- To prawda - zapewnił. - Od dziś wracam do pracy. Svedberg przestał się kołysać na krześle i z hukiem uderzył dłońmi w stół.

- To dobrze, Kurt. Klnę się na moją duszę, że jeszcze jeden dzień bez ciebie, a wszystko by się zawaliło.

Na ten spontaniczny komentarz Svedberga wszyscy wybuchnęli śmiechem. Kolejno podchodzili do Wallandera,

podając mu rękę. Podczas gdy on z trudem próbował ukryć wzruszenie, Björk starał się zorganizować ciastka do kawy. Wszystko to trwało kilka minut. Nie mieli więcej czasu na okazywanie uczuć, z czego Wallander był w tym momencie zadowolony. Otworzył przyniesiony z biura notes, w którym zapisał tylko jedno nazwisko: Sten Torstensson.

- Kurt mnie pytał, czy może od razu włączyć się do śledztwa - powiedział Björk. - Uważam, że nie ma żadnych przeszkód. Zacznijmy teraz od podsumowania tego, co dotychczas wiemy. Potem damy Kurtowi czas na zapoznanie się ze szczegółami.

Skinął na Martinssona, który najwyraźniej przejął rolę Wallandera jako referującego przebieg wydarzeń.

- Jestem w dalszym ciągu lekko oszołomiony - zaczął Martinsson, przerzucając notatki. - Ale w zasadzie wygląda to następująco: W środę rano, dwudziestego siódmego października, czyli pięć dni temu, Berta Duner, sekretarka, zjawiała się jak zwykle w pracy parę minut przed ósmą. Tam zastała martwego Stena Torstenssona, zastrzelonego we własnym gabinecie. Leżał na podłodze, między biurkiem a drzwiami. Został trafiony trzema strzałami, z których każdy był śmiertelny. Ponieważ w budynku nie ma mieszkańców i jest to stary, kamienny dom o grubych murach, w dodatku stojący przy ruchliwej ulicy, nikt nie słyszał strzału. W każdym razie nikt się dotychczas nie zgłosił. Pierwsze wyniki obdukcji wskazują na to, że Sten został zastrzelony około wpół do jedenastej wieczorem. To by się zgadzało ze świadectwem pani Duner, że Sten Torstensson pracował często do późnych godzin wieczornych, szczególnie od czasu tragicznej śmierci ojca.

Martinsson przerwał i spojrzał pytającym wzrokiem na Wallandera.

- Wiem, że ojciec zginął w wypadku samochodowym - powiedział Wallander.

Martinsson skinął głową i mówił dalej:

- Tyle wiemy do tej pory. Jednym słowem, bardzo niewiele. Nie mamy motywu, broni, z której padły strzały, ani świadków.

Wallander przez moment rozważał, czy powinien w tej chwili opowiedzieć o wizycie Stena Torstenssona w Skagen. Zbyt wiele razy w życiu popełnił śmiertelny grzech policjanta - ukrywał informację, którą powinien podzielić się z kolegami. Naturalnie za każdym razem uważał, że ma powody, aby zachować milczenie, ale zdawał sobie sprawę, że jego argumenty opierały się na kruchych podstawach.

Popełniam błąd, myślał. Rozpaczynam drugie życie policjanta od przekreślenia całego wcześniej zdobytego doświadczenia.

Coś mu jednak podpowiadało, że tym razem jest to ważne.

Szanował swój instynkt. Bywał on jego najbardziej zaufanym sprzymierzeńcem lub najgorszym wrogiem.

Wiedział, że tym razem postępuje słusznie.

Uczepiło się go coś, co powiedział Martinsson. A może coś, czego nie powiedział.

Jego rozmyślenia przerwało uderzenie dłoni Bjórka w stół. Często oznaczało to, że szef policji jest zniecierpliwiony lub poirytowany.

- Prosiłem przecież o ciastka - powiedział Bjórk. - Ale naturalnie nie przychodzą. Proponuję wobec tego przerwę, a wy w tym czasie wprowadźcie Kurta w szczegóły sprawy. Zbierzemy się jeszcze raz po południu. Może do tego czasu obiecane ciastka już nadejdą.

Po wyjściu Bjórka wszyscy przenieśli się na koniec stołu. Wallander czuł, że powinien coś powiedzieć. Nie miał prawa narzucać swojej obecności grupie, jak gdyby nic się nie wydarzyło.

- Spróbuję zacząć od początku - rzekł. - Mam za sobą trudny okres. Długo wątpiłem, czy będę w stanie powrócić do

służby w policji. Zabicie człowieka, nawet w obronie własnej, to ciężkie przeżycie. Ale postaram się zrobić wszystko, co w mojej mocy.

W pokoju zapadła cisza.

- Nie myśl, że cię nie rozumiemy - odezwał się w końcu Martinsson. - Co prawda, pracując w policji, musimy być przygotowani na wszystko, jak gdyby okropnościom nie było końca, mimo to szczerze się przejmujemy, gdy coś dotknie bliskiego kolegę. Jeśli cię to pocieszy, to bardzo nam ciebie brakowało, tak jak przed paroma laty brakowało nam Rydberga.

Zmarły wiosną 1991 roku inspektor kryminalny Rydberg był ich idolem. Dzięki ogromnej wiedzy zawodowej i umiejętności nawiązywania bezpośredniego, osobistego kontaktu stanowił zawsze centralny punkt odniesienia w nieustannie zmieniającym się przebiegu każdego śledztwa.

Wallander zrozumiał, co Martinsson miał na myśli.

On sam był jedynym, który zbliżył się do Rydberga i zdołał się z nim zaprzyjaźnić. Pod szorstką maską odkrył człowieka o dużej wiedzy, znacznie wykraczającej poza tę czysto zawodową.

Otrzymałem schedę, pomyślał Wallander.

Właściwie Martinssonowi chodzi o to, żebym przejął pałeczkę, którą zawsze dzierżył Rydberg. Istnieją przecież niedostrzegalne pałeczki.

- Jeżeli nikt nie ma zastrzeżeń, to pojedę teraz do kancelarii Torstenssona - oznajmił, wstając, Svedberg. - Siedzi tam paru urzędników z Izby Adwokackiej i przeglądają wszystkie dokumenty. Chcieliby, żeby był przy tym ktoś z policji.

Martinsson podsunął Wallanderowi stertę papierów.

- To dotychczasowe materiały - poinformował. - Sądzę, że potrzebujesz chwili dla siebie, żeby to przejrzeć.

Wallander skinął głową.

- Wypadek samochodowy - powiedział. - Gustaw

Torstensson.

Martinsson spojrział na niego zdziwiony.

- To zamknięta sprawa - odparł. - Staruszek zjechał z szosy.

- Jeżeli nie masz nic przeciwko temu, chciałbym zajrzeć do raportu - rzekł ostrożnie Wallander.

Martinsson wzruszył ramionami.

- Zostawię go w pokoju Hanssona - oznajmił.

- Już nie - sprostował Wallander. - Dostałem z powrotem mój dawny pokój.

- Szybko zniknąłeś - powiedział, wstając, Martinsson. - I szybko wracasz. Łatwo się przejęzyczyć.

Wyszedł z pokoju, w którym pozostał już tylko Wallander i Ann-Britt Hóglund.

- Dużo o tobie słyszałam - powiedziała.

- Wszystko, co słyszałaś, to na pewno prawda. Niestety.

- Myślę, że wiele się będę mogła od ciebie nauczyć.

- Bardzo wątplię.

Wallander wstał pośpiesznie, chcąc zakończyć rozmowę, zgarnął papiery i teczki, które dostał od Martinssona. Ann-Britt Hóglund przytrzymała mu drzwi, gdy wychodził na korytarz.

Wszedł do pokoju i zamknął za sobą drzwi. Był cały spocony. Zdjął marynarkę i koszulę i zaczął się wycierać zasłoną okienną. W tej samej chwili Martinsson bez pukania otworzył drzwi. Stał jak wryty na widok półnagiego Wallandera.

- Przyniosłem ci tylko raport o wypadku samochodowym Gustawa Torstenssona. Zapomniałem, że to już nie są drzwi do Hanssona.

- Wciąż jestem staroświecki - przypomniał Wallander. - Pukaj, proszę, zanim wejdiesz.

Martinsson położył teczkę na biurku i szybko zniknął. Wallander wytarł się do sucha, włożył koszulę, usiadł i zaczął czytać.

Było już po jedenastej, kiedy odsunął od siebie ostatnią teczkę.

Wszystko wydawało mu się trudne. Nie wiedział, od czego zacząć.

Przywołał w pamięci postać Stena Torstenssona, wylaniającą się z mgły na jutlandzkim wybrzeżu.

Zwrócił się do mnie o pomoc, myślał. Prosił, żebym wyjaśnił, co przydarzyło się jego ojcu. Wypadek samochodowy, który był czymś innym, ale nie samobójstwem. Mówił o zmianie w nastroju ojca. Kilka dni potem zostaje zastrzelony późnym wieczorem we własnej kancelarii. Opowiadał, że ojciec był wzburzony. Ale on sam wydawał się spokojny.

Zamyślony Wallander sięgnął po notes, w którym przedtem zapisał nazwisko Stena Torstenssona. Teraz dopisał jeszcze Gustawa Torstenssona.

Potem zmienił kolejność nazwisk.

Podniósł słuchawkę i z pamięci wybrał numer pokoju Martinssona. Nikt nie odpowiadał. Spróbował jeszcze raz, ale bezskutecznie. Przyszło mu wreszcie do głowy, że od czasu, kiedy ostatnio używał tu telefonu, wewnętrzne połączenia mogły się zmienić. Wstał i wyszedł na korytarz. Drzwi pokoju Martinssona były otwarte, wszedł więc do środka.

- Już przeczytałem materiały dochodzeniowe - oznajmił, siadając na chybotliwym krześle dla interesantów.

- Jak widzisz, nie mamy wielu punktów zahaczenia - rzekł Martinsson. - Jeden, a może kilku sprawców weszło późnym wieczorem do kancelarii Stena Torstenssona, zabijając go na miejscu. Dotychczas nie stwierdzono kradzieży. W wewnętrznej kieszeni miał portfel. Pani Duner, od ponad trzydziestu lat zatrudniona w kancelarii, stanowczo twierdzi, że nic nie zginęło.

Wallander pokiwał w zadumie głową. Nadal nie mógł sobie

przypomnieć, co uderzyło go w tym, co wcześniej powiedział lub czego nie powiedział Martinsson.

- Byłeś pierwszy na miejscu zbrodni - zwrócił się do Martinssona.

- Pierwsi byli Peters i Noren - sprostował Martinsson.

- Oni mnie wezwali.

- Zawsze istnieje jakieś pierwsze wrażenie - ciągnął Wallander. - Jakie miałeś odczucie?

- Morderstwo na tle rabunkowym - bez wahania odpowiedział Martinsson.

- Ilu ich było?

- Nie potrafię nic powiedzieć, nie znaleźliśmy żadnych śladów. Ale użyto tylko jednej broni - tego jesteśmy raczej pewni, mimo że ekspertyza techniczna nie została jeszcze zakończona.

- Czyli włamał się jeden człowiek? Martinsson skinął głową.

- Sądzę, że tak - powiedział. - Ale nie mam na to dowodów, ani za, ani przeciw.

- Sten Torstensson został trafiony trzema strzałami - mówił dalej Wallander. - W serce, w brzuch tuż poniżej pępka i w czoło. Nie myślę się chyba, twierdząc, że mamy do czynienia z kimś, kto z pewnością potrafi posługiwać się bronią?

- Myślałem o tym - przyznał Martinsson. - Ale to może być równie dobrze przypadek. Podobno przypadkowy strzał zabija równie często, co strzał oddany przez osobę, która dobrze celuje. Czytałem o tym w amerykańskich badaniach. Wallander wstał z krzesła i dalej mówił na stojąco.

- Dlaczego ktoś się włamuje do kancelarii adwokackiej?

- zapytał. - Zapewne dlatego, że chodzą słuchy o niebotycznie wysokich honorariach adwokatów. Ale czy ktoś taki naprawdę uważa, że w kancelarii leży stos banknotów?

- Na to może odpowiedzieć tylko jedna lub dwie osoby - odparł Martinsson.

- Schwytemy sprawców - powiedział Wallander. - Mam

zamiar tam pojechać i się rozejrzeć.

- Pani Duner przeżyła, rzecz jasna, ogromny wstrząs. W ciągu niespełna miesiąca całe jej życie legło w gruzach. Najpierw ginie stary Torstensson. Ledwie skończyła załatwiać formalności związane z pogrzebem, zostaje zamordowany jego syn. Mimo szoku, jakiego doznała, udało się nawiązać z nią nadspodziewanie dobry kontakt. Adres znajdziesz na zapisie rozmowy, jaką przeprowadził z nią Svedberg.

- Stickgatan dwadzieścia sześć - rzucił Wallander. - Za hotelem Continental. Czasami tam parkuję.

- Zdaje się, że to niedozwolone - zauważył Martinsson.

Wallander wrócił po kurtkę i wyszedł z komendy. W recepcji siedziała nieznamiona dziewczyna. Pomyślał, że powinien się zatrzymać i przedstawić. Chociażby po to, żeby zapytać, czy wierna Ebba odeszła ze służby, czy też pracuje wieczorami. Ale nie zrobił tego. Mimo że w ciągu godzin spędzonych w komendzie nic specjalnego się nie wydarzyło, czuł wzrastające napięcie. Uświadomił sobie, że musi trochę pobyć sam. Spędził długi okres bez towarzystwa innych ludzi. Teraz musiało trochę potrwać, żeby mógł się od tego odzwyczaić. Zjeżdżając w dół w stronę szpitala, poczuł przez chwilę niejasną tęsknotę za odosobnieniem w Skagen, swoim samotnym posterunkiem i bezpieczną, niczym niezakłóconą wartą.

Ten okres już minął. Znowu powrócił na służbę.

Przyzwyczajając się, pomyślał. Tyle że to musi trochę potrwać. Kancelaria adwokacka mieściła się przy Sjómansgatan, w murowanym, pokrytym żółtym tynkiem domu, niedaleko prawie wyremontowanego budynku starego teatru. Przed domem parkował wóz policyjny, a na przeciwległym chodniku stało kilku gapiów, rozprawiając o tym, co się wydarzyło. Znad morza wiał porywisty wiatr, Wallander skulił się, wysiadając z samochodu. Pchnął ciężką bramę i

omal nie wpadł na Svedberga, który właśnie wychodził.

- Zamierzałem kupić coś do jedzenia - powiedział Svedberg.

- Możesz iść - odpowiedział Wallander. - Z pewnością trochę tu zabawię.

W przedpokoju siedziała beczynnienie młoda urzędniczka kancelarii. Wyglądała na zaleknioną. Wallander natknął się na jej nazwisko w materiałach śledztwa, była to Sonja Lundin, zatrudniona dopiero od kilku miesięcy. Świadcstwo kobiety nie wniosło nic istotnego do sprawy.

Wallander podał jej rękę i przedstawił się.

- Trochę się tylko rozejrzę - powiedział. - Pani Duner tu nie ma?

- Siedzi w domu i płacze - szczerze odparła dziewczyna.

Wallander zupełnie nie wiedział, jak zareagować.

- Ona tego nie przeżyje - mówiła dalej Sonja Lundin. - Na pewno też umrze.

- Nie trzeba tak myśleć - zaprzeczył Wallander, słysząc, jak pusto brzmią jego słowa.

Kancelaria adwokacka Torstenssona była miejscem pracy ludzi samotnych, pomyślał. Gustaw Torstensson owdowiał przeszło piętnaście lat temu, syn, Sten Torstensson, przez wszystkie te lata nie miał matki i w dodatku był kawalerem. Pani Duner rozwiodła się na początku lat siedemdziesiątych. Trzy samotne osoby, które spotykały się dzień w dzień. Teraz dwie z nich nie żyły, a trzecia była jeszcze bardziej samotna niż dotychczas.

Wallander doskonale rozumiał, że pani Duner może siedzieć w domu i płakać.

Drzwi do pokoju zebrani były zamknięte. Wallander słyszał dochodzące stamtąd szmery. Po bokach znajdowały się drzwi, a na nich nazwiska obu adwokatów, wygrawerowane na błyszczących mosiężnych tabliczkach.

Wiedziony nagłym impulsem otworzył najpierw drzwi do gabinetu Gustawa Torstenssona. Zasłony były zaciągnięte,

wewnątrz panował mrok. Zamknął za sobą drzwi i zapalił światło. W pokoju unosił się delikatny zapach cygar. Wallander wodził naokoło wzrokiem, mając wrażenie, że znalazł się w innej epoce. Ciężkie skórzane kanapy, stół z marmurowym blatem, obrazy na ścianach. Pomyślał, że nie przyszło mu do głowy, iż mordercom Stena Torstenssona mogło chodzić o dzieła sztuki. Przystanął obok jednego z obrazów, usiłując rozpoznać podpis autora i zorientować się, czy na ścianie wisi oryginał, czy kopia. Nie potrafił jednak odczytać sygnatury ani ocenić autentyczności obrazu, oddalił się zatem i począł okrążyć pokój. Obok masywnego stołu stał okazały globus. Na stole, oprócz kilku ołówków, telefonu i dyktafonu, nic więcej nie było. Usiadł w wygodnym fotelu za biurkiem i rozglądając się dookoła, raz jeszcze przywołał słowa Stena Torstenssona, które usłyszał przy kawie, w Muzeum Sztuki w Skagen.

Wypadek samochodowy, który nie był wypadkiem. Mężczyzna, który w ostatnich miesiącach życia usiłował ukryć coś, co go gnębiło.

Wallander zastanawiał się, na czym właściwie polega praca adwokata. Adwokat broni, kiedy prokurator wnosi oskarżenie. Udziela porad prawnych. Jest powiernikiem wielu tajemnic i musi przestrzegać obowiązku zachowania tajemnicy zawodowej.

Wallander rozumiał coś, nad czym się nigdy wcześniej nie zastanawiał, a mianowicie, że adwokaci strzegą wielu sekretów.

Po chwili wstał. Jeszcze za wcześnie na wyciągnięcie jakichkolwiek wniosków.

Kiedy wyszedł z pokoju, Sonja Lundin w dalszym ciągu siedziała nieruchomo na krześle. Otworzył drzwi do gabinetu Stena Torstenssona. Na moment gwałtownie przystanął, jak gdyby ciało martwego Torstenssona nadal leżało na podłodze, tak jak na zdjęciu, które widział w

materiałach śledztwa. Jedyne jednak, co tam leżało, to plastikowa płachta. Ciemnozielony dywan został zabrany przez techników kryminalnych.

Pokój przypominał ten, który Wallander przed chwilą opuścił, z tą różnicą, że obok biurka stało kilka nowoczesnych krzeseł dla interesantów.

Na biurku nie było żadnych papierów. Tym razem Wallander nie usiadł w fotelu.

Nadal poruszam się tylko po powierzchni, myślał. Jak gdybym jedynie nasłuchiwał i rejestrował otoczenie wzrokiem.

Wyszedł z pokoju i zamknął za sobą drzwi. Svedberg wrócił i próbował namówić Sonję Lundin na świeżo zakupioną kanapkę. Wallander pokręcił przecząco głową, gdy tamten z kolei zaproponował ją jemu. Wskazał na pokój zebrań.

- Siedzi tam dwóch tak zwanych egzekutorów z Izby Adwokackiej - wyjaśnił Svedberg. - Przeglądają wszystkie dokumenty. Wpisują do rejestru, plombują, zastanawiają się, co robić dalej. Trzeba zawiadomić klientów, inni adwokaci przejmą ich sprawy. Kancelaria Torstenssona w zasadzie przestała istnieć.

- Musimy, rzecz jasna, mieć dostęp do dokumentów - oświadczył Wallander. - Kto wie, czy prawdy o tym, co się wydarzyło, nie należy szukać wśród ich klientów.

Svedberg zmarszczył czoło i spojrzał pytająco na Wallandera.

- Ich? - zapytał zdziwiony. - Masz chyba na myśli Stena Torstenssona? Ojciec się przecież zabił na drodze?

Wallander pokiwał głową.

- Masz rację - poprawił się. - Miałem oczywiście na myśli klientów Stena Torstenssona.

- Właściwie szkoda, że nie jest na odwrót - powiedział Svedberg.

Wallander zamierzał zignorować uwagę Svedberga, ale

raptem dotarło do niego jej znaczenie.

- Dlaczego? - zapytał zdziwiony.

- Wygląda na to, że stary Torstensson miał bardzo niewielu klientów - odparł Svedberg. - Podczas gdy Sten Torstensson prowadził bardzo dużo spraw.

Svedberg wskazał ruchem głowy pokój zebrania.

- Twierdzą, że będą potrzebowali ponad tydzień, żeby się z tym uporać - wyjaśnił.

- W takim razie nie będę im teraz przeszkadzał - powiedział Wallander. - Porozmawiam raczej z panią Duner.

- Chcesz, żebym z tobą pojechał? - zaoferował się Svedberg.

- Nie trzeba - odparł Wallander. - Wiem, gdzie mieszka.

Wsiadł do samochodu i zapuścił motor. Czuł się niepewny i zagubiony. Po chwili zmusił się do podjęcia decyzji. Zacznie od końca, który zna tylko on. Tego końca, który zasugerował mu Sten Torstensson przy okazji wizyty w Skagen.

Musi istnieć jakiś związek, myślał, jadąc powoli na wschód. Minał budynek sądu, Sandskogen i po chwili wyjechał z miasta. Między pierwszą a drugą śmiercią. Wszystko inne nie ma sensu.

Patrzył na szary krajobraz za boczną szybą. Zaczęła się drobna mżawka. Podkreślił ogrzewanie.

Jak można kochać to błoto, myślał. A jednak. Jestem policjantem i wszędzie, gdziekolwiek się ruszę, jest błoto. A mimo wszystko nie zamieniłbym tego życia na żadne inne.

Dojazd do miejsca, gdzie zabił się Gustaw Torstensson, zajął mu nieco ponad trzydzieści minut. Wallander miał ze sobą raport z miejsca wypadku i wsunawszy go do kieszeni kurtki, wysiadł z samochodu. Zanim rozpoczął oględziny, wyjął z bagażnika kalosze i naciągnął je na nogi. Wiatr przybierał na sile, rozpadało się na dobre. Było mu zimno. Na żerdzi na wpeł rozwalonego płotu siedział myszołów, uważnie mu się przypatrując.

Okolica była wyjątkowo wyludniona, nawet jak na Skanię.

W pobliżu nie było ani jednego gospodarstwa, Wallandera otaczały tylko brązowe pola, podobne do skamieniałych morskich fal. Droga biegła prosto, sto metrów dalej zaczynała się wznosić i ostro skręcała w lewo. Wallander położył na masce szkic z miejsca wypadku, porównując go z rzeczywistością. Samochód Torstenssona wylądował na dachu po lewej stronie drogi, dwadzieścia metrów w głąb pola. Na drodze nie było śladów hamowania. W chwili wypadku panowała gęsta mgła.

Wallander odłożył raport do samochodu. Ponownie stanął na szosie i rozejrzał się. Dotychczas nie przejechał jeszcze żaden samochód. Myszołów nadal siedział na żerdzi. Wallander przeszedł przez rów i wszedł w wilgotną glinę, która grudkami oblepiła mu kalosze. Odmierzył dwadzieścia metrów, po czym odwrócił się i spojrzał na drogę. Przejechał samochód z rzeźni, zaraz po nim dwa samochody osobowe. Deszcz się nasilał. Wallander usiłował odtworzyć przebieg wydarzeń. Prowadzący samochód starszy mężczyzna znalazł się w gęstym pasie mgły. Nagle traci kontrolę nad pojazdem, samochód wypada z drogi, koziółkuje raz lub dwa i łąduje kołami do góry. Martwy kierowca siedzi zapięty pasami. Oprócz kilku skaleczeń na twarzy, miał na karku ślady uderzenia od twardej, metalowej części samochodu. Zapewne śmierć nastąpiła natychmiast. Dopiero o świcie zauważył go jakiś rolnik jadący traktorem.

Nie musiał nawet szybko jechać, pomyślał Wallander. Mógł stracić kontrolę nad wozem i nacisnąć w panice pedał gazu. Samochód wpadł na pole. Opis Martinssona z miejsca wypadku wygląda na wyczerpujący i poprawny.

Już miał zawrócić do auta, kiedy dostrzegł na ziemi na wpół wdeptany w glinę przedmiot. Pochylił się i wyciągnął nogę drewnianego brązowego krzesła. Rzucił ją na pole, a wtedy myszołów zerwał się z płotu i odfrunął, ciężko łopocząc skrzydłami.

Pozostał mi jeszcze wrak samochodu, pomyślał Wallander. Ale i tam chyba nie znajdę nic szczególnego, na co Martinsson wcześniej nie zwróciłby uwagi.

Wrócił do samochodu, oskrobał z grubsza glinę z kaloszy i zmienił buty. W drodze do Ystad zastanawiał się, czy nie skorzystać z okazji i nie odwiedzić ojca i jego nowej żony w Lóderup. Postanowił jednak dać sobie spokój. Zależało mu na rozmowie z panią Duner i chciał obejrzeć wrak samochodu, zanim będzie musiał wracać na komendę.

Zatrzymał się przy stacji benzynowej OK przy wjeździe do Ystad, napił się kawy i zjadł kanapkę. Rozejrzał się po wnętrzu lokalu. Uderzyło go, że szwedzkie pustkowia zawsze najbardziej rzuca się w oczy z okien w restauracjach przy stacjach benzynowych. Tknięty nagłym niepokojem, wyszedł, ledwie łyknąwszy nieco kawy. Wjeżdżał do miasta w deszczu, przed hotelem Continental skręcił w prawo, następnie jeszcze raz w prawo w wąską ulicę Stickgatan. Zaparkował niestarannie, częściowo na chodniku, przed różowym domem, gdzie mieszkała Berta Duner. Zadzwoił do drzwi i czekał. Trwało blisko minutę, zanim drzwi się otworzyły. W wąskiej szparze mignęła blada twarz.

- Moje nazwisko Wallander, jestem z policji - powiedział, na próżno usiłując odszukać w kieszeni policyjną legitymację. - Chętnie bym z panią porozmawiał, jeżeli pani pozwoli.

Pani Duner otworzyła drzwi i wpuściła go do środka. Podążyła mu wieszak, Wallander powiesił na nim swoją wilgotną kurtkę. Poprosiła go do salonu z błyszczącym parkietem i dużym oknem, wychodzącym na ogródek z tyłu domu. Rozejrzał się po pokoju i stwierdził, że znajduje się we wnętrzu, w którym nie ma miejsca na przypadek, meble i elementy dekoracyjne zorganizowane były w najdrobniejszych szczegółach.

Z pewnością podobnie podchodzi do pracy w kancelarii, pomyślał. Podlewanie kwiatów i nienaganne prowadzenie

kalendarza spotkań to prawdopodobnie dwie strony tego samego medalu.

Życie, w którym nie ma miejsca na przypadek.

- Proszę usiąść - powiedziała pani Duner nieoczekiwanie szorstkim tonem.

Wallander spodziewał się, że ta niepozorna, nienaturalnie chuda kobieta o siwych włosach będzie miała cichy głos. Usiadł w staroświeckim wiklinowym fotelu, który zatrzeszczał pod jego ciężarem.

- Czy mogę panu zaproponować filiżankę kawy? - zapytała.

Wallander odmownie potrząsnął głową.

- Herbaty?

- Też nie - odpowiedział. - Chcę tylko zadać parę pytań. Potem sobie pójdę.

Pani Duner przysiadła na skraju kwiecistej kanapy, po drugiej stronie stołu ze szklanym blatem. Wallander zorientował się, że nie wziął ze sobą pióra ani notesu. Co gorsza, nie przygotował sobie nawet wstępnych pytań, choć dawniej było to jego elementarnym nawykiem. Wcześniej się nauczył, że w czasie prowadzenia śledztwa nie istnieje coś takiego jak neutralne przesłuchania lub rozmowy.

- Chciałbym najpierw wyrazić ubolewanie z powodu tragicznych zająć - zaczął niepewnie. - Z Gustawem Torstenssonem zetknąłem się zaledwie kilka razy. Ale Stena Torstenssona dobrze znałem.

- Prowadził pana sprawę rozwodową dziewięć lat temu - zauważyła Berta Duner.

W tym momencie Wallander ją sobie przypomniał. To ona przyjmowała jego i Monę, gdy spotykali się w kancelarii adwokackiej, a potem wychodzili stamtąd ze starganymi nerwami. Miała wtedy mniej siwe włosy, być może nie była też tak chuda. Mimo to zdziwiło go, że nie rozpoznał jej od razu.

- Ma pani dobrą pamięć - powiedział.

- Mogę zapomnieć nazwisko - odparła. - Ale zawsze pamiętam twarz.

- Ze mną jest chyba podobnie - przyznał Wallander. Zapadło milczenie. Ulicą przejechał samochód. Wallander zrozumiał, że powinien był poczekać z wizytą u Bertie Duner. Nie wiedział, o co ma pytać, nie miał punktu zaczepienia. Nie chciał również wracać do ponurych wspomnień z przeciągającego się rozwodu.

- Rozmawiała już pani z moim kolegą Svedbergiem - odezwał się po chwili. - Niestety, w trudniejszych dochodzeniach pytań jest więcej. I nie zawsze zadaje je ten sam funkcjonariusz.

Jęknął w duszy, słysząc, jak niezręcznie się wyraża. Niewiele brakowało, aby wstał, przeprosił i wyszedł. Zmusił się jednak, żeby jakoś zebrać myśli.

- Nie muszę pani pytać o to, co już wiem - zapewnił.

- Nie musimy rozmawiać o tym, jak przyszła pani rano do biura i zastała zamordowanego Stena Torstenssona. Chyba że przypomniła pani sobie coś, czego pani wcześniej nie powiedziała.

Odpowiedź nadeszła szybko i zdecydowanie.

- Nie. Wszystko powiedziałam panu Svedbergowi.

- W poprzedzający wieczór - ciągnął Wallander - o której wyszła pani z biura?

- Było około szóstej. Może pięć po, nie później. Sprawdziłam kilka listów, które przepisała panna Lundin. Następnie zadzwoniłam do pana Torstenssona z pytaniem, czy jest coś jeszcze do zrobienia. Powiedział, że nie, i życzył mi miłego wieczoru. Potem włożyłam płaszcz i wyszłam.

- Drzwi się zatrzasnęły? I Sten Torstensson został w środku sam?

- Tak.

- Czy wie pani, jakie miał plany na tamten wieczór? Spojrzała na niego zdziwiona.

- Zamierzał naturalnie dalej pracować. Przy takim nawale pracy Sten Torstensson nie mógł po prostu pójść sobie do domu.

Wallander pokiwał głową.

- Rozumiem, że pracował - powiedział. - Zastanawiam się tylko, czy miał jakąś szczególnie pilną sprawę?

- Wszystko było pilne - odparła. - Ponieważ jego ojciec został zabity kilka tygodni wcześniej, był naturalnie zavalony pracą. To się rozumie samo przez się.

Wallandera zaskoczył jej dobór słów.

- Mówi pani o wypadku samochodowym?

- A o czym innym mogłabym mówić?

- Powiedziała pani, że ojciec został zabity. To oryginalny sposób ujęcia sprawy.

- Albo się umiera, albo się zostaje zabitym - oświadczyła. - Umiera się w łóżku z tak zwanych przyczyn naturalnych. Lecz sam pan musi przyznać, że kiedy ginie się w wypadku samochodowym, zostaje się zabitym.

Wallander wolno pokiwał głową. Domyślał się, co chciała powiedzieć. Mimo to nie był pewny, czy za jej słowami nie kryje się coś innego, czy nie jest to podświadomy komunikat, mający związek z podejrzeniami, które pchnęły Stena Torstenssona do złożenia wizyty w Skagen. Nagle przyszła mu do głowy pewna myśl.

- Czy pamięta pani może, co robił Sten Torstensson kilka dni wcześniej? - zapytał. - W niedzielę dwudziestego czwartego i w poniedziałek dwudziestego piątego października?

- Był w podróży - odpowiedziała bez wahania.

Zatem Sten Torstensson nie wyjechał w tajemnicy, pomyślał Wallander.

- Powiedział, że musi na kilka dni wyjechać, oderwać się od smutnych myśli o śmierci ojca - mówiła dalej. - Przełożyłam naturalnie wszystkie spotkania, które zaplanował.

Nagle, zupełnie niespodziewanie, wybuchnęła płaczem. Wallander natychmiast poczuł się bezradny. Fotel niespokojnie zatrzeszczał pod jego ciężarem.

Berta Duner szybko wstała z kanapy i wyszła do kuchni. Słyszał, jak wyciera nos. Po chwili wróciła.

- Ciężko mi - wyznała. - Niewiarygodnie ciężko.

- Rozumiem - odparł Wallander.

- Wysłał mi pocztówkę - powiedziała z lekkim uśmiechem.

Wallander pomyślał, że na pewno znów się rozplacze. Ale była bardziej opanowana, niż przypuszczał.

- Chce pan obejrzeć?

- Chętnie.

Wstała i podeszła do półki z książkami przy dłuższej ścianie.

Wyjęła pocztówkę z porcelanowej miseczki i podała mu.

- Finlandia musi być pięknym krajem - powiedziała. - Nigdy tam nie byłam. A pan?

Wallander spoglądał zaskoczony na pocztówkę. Przedstawiała krajobraz morski w zachodzącym słońcu.

- Tak - odpowiedział powoli. - Byłem w Finlandii. Zgadza się, to bardzo piękny kraj.

- Proszę wybaczyć moje wzburzenie - poprosiła. - Ale kartka przyszła tego samego dnia, kiedy znalazłam go martwego.

Wallander skinął głową z roztargnieniem.

Pomyślał, że ma o wiele więcej pytań do Berty Duner, niż się spodziewał. Równocześnie dotarło do niego, że nie nadszedł jeszcze właściwy czas. Sten Torstensson powiedział więc sekretarce, że jedzie do Finlandii. Przyszła stamtąd pocztówka - zagadkowy dowód. Lecz kto ją wysłał? Skoro Sten Torstensson w tym samym czasie przebywał na Jutlandii?

- Ze względu na dochodzenie chciałbym zatrzymać tę pocztówkę na kilka dni - powiedział. - Osobiście ręczę, że do pani wróci.

- Rozumiem - odparła.

- Ostatnie pytanie, zanim wyjdę - dodał Wallander. - Czy nie zauważyła pani nic szczególnego w ostatnim okresie przed jego śmiercią?

- Co pan przez to rozumie?

- Że zachowywał się inaczej niż zwykle.

- Był oczywiście głęboko wstrząśnięty i przybity śmiercią ojca.

- A poza tym?

Wallander słyszał, jak źle zabrzmiało to pytanie. Niemniej czekał na odpowiedź.

- Nie - odpowiedziała. - Był taki, jak zawsze. Wallander wstał z wiklinowego fotela.

- Będę chciał jeszcze z panią rozmawiać - uprzedził. Berta Duner nadal siedziała na kanapie.

- Kto mógł zrobić coś tak potwornego? - zapytała. - Wejść, zabić człowieka i potem po prostu sobie pójść, jakby nigdy nic.

- Tego się właśnie musimy dowiedzieć - powiedział Wallander. - Nie wie pani, czy miał jakichś wrogów?

- Jakich mógł mieć wrogów?

Po chwili wahania Wallander zadał jeszcze jedno pyta-

- Jak pani sądzi? Co się mogło stać? Wstała z kanapy, nim odpowiedziała.

- Dawniej można było zrozumieć nawet to, co wydawało się nie do pojęcia. Ale nie dzisiaj. Nawet w naszym kraju nie jest to już możliwe.

Wallander włożył kurtkę, wciąż ciężką od wilgoci. Kiedy znalazł się na ulicy, przystanął. Wspomniał cytat z Biblii, który przyswoił sobie za młodu, już jako świeżo upieczony policjant.

„Jest czas rodzenia i czas umierania”.

Myślał o tym, co usłyszał na pożegnanie od Berty Duner. Miał niejasne wrażenie, że powiedziała coś ważnego o Szwecji. Coś, do czego powinien wrócić. Ale na razie

odsunął od siebie jej słowa.

Muszę spróbować zrozumieć zamiary zmarłych, pomyślał. Pocztówka z Finlandii, ze stemplem nadania w dniu, kiedy Sten Torstensson bez wątpienia pił ze mną kawę w Muzeum Sztuki w Skagen dowodzi, że nie mówił prawdy. W każdym razie nie całej prawdy. Człowiek nie może kłamać, sam o tym nie wiedząc.

Wsiadłszy do samochodu, walczył ze sobą, jak postąpić dalej. Jako osoba prywatna najchętniej wróciłby do mieszkania na Mariagatan i zaszył się w sypialni, zaciągając zasłony. Jako policjant nie mógł sobie na to pozwolić.

Spojrzał na zegarek. Była za kwadrans druga. Najpóźniej o czwartej musi być z powrotem w komendzie na popołudniowym zebraniu sprawozdawczym grupy dochodzeniowej. Chwilę się wahał, nim podjął decyzję. Wreszcie ruszył, skręcił w ulicę Hamngatan i trzymając się lewej strony, wjechał z powrotem na Österleden. Jechał potem Malmövägen, aż do skrzyżowania z drogą na Bjaresjö. Przestało się wicher to zrywał się, to ustawał. Po przejechaniu kilku kilometrów Wallander skręcił z głównej drogi i zatrzymał się przed ogrodzeniem, na którym wisiała zardzewiała tabliczka: Niklasson - Złomowisko. Brama była otwarta, wjechał między spiętrzone szkielety samochodów. Zastanawiał się, ile razy w życiu już tu przyjeżdżał. Niklasson był niezliczoną ilość razy podejrzany lub oskarżony w sprawach o paserstwo. Wśród policjantów w Ystad był legendarną postacią, gdyż nigdy nie został skazany, mimo że często wydawało się, że są przeciwko niemu niezbite dowody. Lecz w końcu zawsze znajdowała się niewidoczna igła, która przebijała balon ze zgromadzonymi dowodami i Niklasson powracał do dwóch zespanowanych ze sobą przyczep kempingowych, które służyły mu równocześnie za mieszkanie i biuro.

Wallander wyłączył silnik i wysiadł z samochodu. Brudny

kot obserwował go z zardzewiałej maski starego peugeota. W tej samej chwili Wallander dostrzegł Niklassona wychodzącego zza sterty opon. Miał na sobie ciemny płaszcz i naciągnięty głęboko na oczy brudny kapelusz, który przykrywał długie włosy. Wallander nigdy nie widział go w innym stroju.

- Kurt Wallander - powiedział, uśmiechając się Niklasson. - Dawno się nie widzieliśmy. Przychodzi pan po mnie?

- A powinienem?

- Sam pan wie najlepiej - odparł ze śmiechem Niklasson.

- Masz u siebie samochód, który chcę zobaczyć - oznajmił Wallander. - Ciemnoniebieski opel, którego właścicielem był Gustaw Torstensson.

- Aha, ten - przytaknął Niklasson i ruszył przed siebie. - Jest tam. Dlaczego pan komisarz chce go oglądać?

- Bo człowiek, który nim jechał, zginął w wypadku.

- Ludzie jeżdżą jak idioci - stwierdził Niklasson. - Dziwi mnie tylko, że nie ginie ich jeszcze więcej. Tutaj go pan ma. Jeszcze nie zacząłem rozbiórki. Jest w takim stanie, w jakim go przywieziono.

Wallander skinął głową.

- Możesz mnie zostawić, dam sobie radę - powiedział.

- Nie wątpię - odparł Niklasson. - Nawiasem mówiąc, zawsze się zastanawiałem, jak człowiek się czuje, kiedy zabije drugiego człowieka.

Pytanie było nieoczekiwane.

- Czuje się paskudnie - odparł Wallander. - A ty co myślałeś?

Niklasson wzruszył ramionami.

- Nic - powiedział. - Tak sobie tylko pytam.

Kiedy Wallander został sam, obszedł samochód naokoło raz i drugi. Zdziwiło go, że na zewnątrz był prawie nieuszkodzony, mimo że uderzył w kamienny murek, ciągnący się wzdłuż pola, a następnie przekoziółkował co

najmniej dwa razy. Przykucnął i zajrzał do środka od strony kierowcy. Natychmiast zauważył kluczyki. Leżały na podłodze obok pedału gazu. Z niejakim trudem udało mu się otworzyć drzwi, podniósł kluczyki i wsadził je do stacyjki. Sten Torstensson miał całkowitą rację. Ani kluczyk, ani stacyjka nie były uszkodzone. Zamyślony powtórnie okrążył samochód. Potem wcisnął się do środka i próbował ustalić, o co Torstensson uderzył się w kark. Szukał dokładnie i nie bardzo potrafił zrozumieć, jak do tego doszło. Tu i ówdzie w samochodzie były, co prawda, plamy które wyglądały na zaschniętą krew, nie mógł jednak odnaleźć punktu, w którym nastąpiło uderzenie w tył głowy. Wallander wypełznął z samochodu z kluczykami w rękę. Sam nie wiedząc czemu, otworzył bagażnik. Leżało tam trochę starych gazet i resztki połamanego krzesła. Przypomniawszy sobie nogę od krzesła, którą zauważył w polu. Wyciągnął kawałek gazety i odczytał datę. Była sprzed ponad pół roku. Zamknął bagażnik.

Nagle dotarło do niego, co przed chwilą zobaczył i na co natychmiast nie zareagował.

Pamiętał dokładnie treść raportu Martinssona. Jedną rzecz Martinsson dokładnie sprawdził. Wszystkie drzwi, prócz drzwi kierowcy, były zamknięte, zamknięty był również bagażnik.

Stał bez ruchu.

Połamane krzesło leży w zamkniętym bagażniku, pomyślał. Jedna noga od krzesła leży w glinie. W samochodzie siedzi martwy mężczyzna.

Pierwszą reakcją Wallandera było oburzenie z powodu niedbale przeprowadzonego śledztwa i uproszczonych wniosków. Potem uświadomił sobie, że Sten Torstensson również nie zauważył nogi od krzesła i, co za tym idzie, nie zareagował na zamknięty bagażnik.

Powoli wracał do swego samochodu.

Sten Torstensson miał zatem rację. Jego ojciec nie zginął w zwykłym wypadku. Mimo że Wallander nic nie wiedział, domyślił się, że coś się wydarzyło w tamten mglisty wieczór na opustoszałej drodze. Musiał się tam znajdować przynajmniej jeszcze jeden człowiek. Lecz kto?

Niklasson wyszedł z przyczepy.

- Napije się pan kawy? Wallander odmownie pokręcił głową.

- Nie ruszaj samochodu - polecił. - Musimy go ponownie zbadać.

- Radzę uważać - odparł Niklasson. Wallander zmarszczył czoło.

- Dlaczego?

- Jak on się nazywał? Jego syn? Sten Torstensson? On też tu był i oglądał samochód. A teraz również nie żyje. Tylko tyle. Nic więcej.

Niklasson wzruszył ramionami.

- Tylko tyle. Nic więcej.

Wallanderowi nagle przyszła do głowy pewna myśl.

- Czy był tu jeszcze ktoś oglądać samochód? - zapytał. Niklasson potrząsnął głową.

- Nikogo innego nie było.

Wallander ruszył z powrotem do Ystad. Czuł zmęczenie. Nadal nie zdawał sobie sprawy z tego, co właściwie odkrył.

W zasadzie nie było żadnych wątpliwości. Sten Torstensson miał rację. Wypadek samochodowy stanowił przykrywkę, pod którą ukrywało się coś innego.

Było siedem po czwartej, kiedy Björk zamykał drzwi do pokoju zebrania. Wallander z miejsca wyczuł nastrój bezsilności i marazmu. Domyślał się, że żaden z obecnych śledczych nie ma do zaraportowania nic, co w istotny lub zasadniczy sposób wpłynęłoby na stan dochodzenia. To jeden z tych powszednich dni pracy policjanta, którego nigdy nie pokazują w filmach, pomyślał przelotnie. A jednak

w takich właśnie niemych chwilach, gdy wszyscy są zmęczeni, a nieraz i rozdrażnieni, praca posuwa się do przodu. Musimy przyznać, że nic nie wiemy, żeby się zmusić do dalszego działania.

W tym momencie podjął decyzję. Nie umiał sobie później wyjaśnić, czy powodowany próżnością podjął próbę usprawiedliwienia swojego powrotu i tym samym objęcia dawnego stanowiska, czy w atmosferze ogólnej niemocy ujrzał dla siebie szansę, żeby się pokazać i udowodnić, że mimo wszystko nadal jest policjantem, a niewypalonym wrakiem, który powinien mieć w sobie dość przyzwoitości, by usunąć się w obszar milczenia.

Bieg myśli przerwało mu ponagląjące spojrzenie Bjórka. Wallander odmówił nieznacznym ruchem głowy. Wciąż nie miał nic do powiedzenia.

- Czy coś już mamy? - zapytał Bjórk. - Na jakim jesteśmy etapie?

- Chodziłem po mieszkaniach - zaczął Svedberg. - W okolicznych domach, klatka za klatką. Nikt nie słyszał niczego szczególnego, nikt niczego nie zauważył. Co dziwniejsze, nie zgłosili się żadni świadkowie. Całe dochodzenie utknęło w martwym punkcie.

Svedberg zamilkł, Bjórk zwrócił się do Martinssona.

- Przeszukałem jego mieszkanie przy Regementsgatan - oznajmił Martinsson. - Nigdy jeszcze nie miałem takiego uczucia niepewności, bo nie bardzo wiedziałem, czego szukać. Jedyne, co mogę stwierdzić z całą pewnością to to, że Sten Torstensson miał zamiłowanie do pierwszorzędných koniaków i że posiadał pewną ilość starych książek, które - jak przypuszczam - są bardzo cenne. Następnie próbowałem wydobyć od ekspertów technicznych informacje na temat kul z pistoletu. Prosił, żeby dać im jeszcze czas do jutra.

Bjórk westchnął i zwrócił się do Ann-Britt Hóglund.

- Usiłowałam dowiedzieć się czegoś o jego życiu osobistym -

powiedziała. - Rodzinie, przyjaciółach. Ale i tu nie znalazłam niczego, co pomogłoby nam ruszyć z miejsca. Miał niewielki krąg znajomych, wygląda na to, że żył głównie pracą w kancelarii. Niegdyś często latem żeglował. Ale porzucił to z niewiadomych powodów. Rodzinę ma nieliczną. Kilka ciotek, kilkoro kuzynów. Niemniej jednak sądzę, że był raczej typem samotnika.

Wallander obserwował ją ukradkiem, gdy mówiła. Pomyślał, że jest w niej jakaś rozwaga i prostolinijność, graniczące z brakiem fantazji. Postanowił jednak powstrzymać się od pochopnego sądu. Jeszcze jej nie znał, wiedział tylko, że ma opinię wyjątkowo obiecującej policjantki.

Nowe czasy, pomyślał. Od dawna się zastanawiam, jak będzie wyglądał policjant przyszłości - może to właśnie ona nim jest?

- Jednym słowem, kręcimy się w miejscu - niezbyt zręcznie podsumował Björk. - Wiemy, gdzie i kiedy został zastrzelony Sten Torstensson. Ale nie wiemy, dlaczego i przez kogo. Musimy się, niestety, pogodzić z tym, że śledztwo będzie trudne. Czasochłonne i uciążliwe.

Nikt nie oponował. Wallander widział przez okno, jak znowu zaczyna padać.

Wiedział, że nadeszła jego chwila.

- W sprawie Stena Torstenssona nie mogę nic dodać - zaczął. - Wiemy tyle, ile wiemy, to znaczy niewiele. Moim zdaniem, powinniśmy zacząć z zupełnie innej strony. Od tego, co się stało z jego ojcem.

Siedzący wokół stołu słuchali z napiętą uwagą.

- Gustaw Torstensson nie zginął w wypadku samochodowym - mówił dalej Wallander. - Został zamordowany, podobnie jak jego syn. Musimy połączyć oba te wydarzenia. Tylko to ma sens.

Spojrzał na zastygłych z wrażenia kolegów, którzy bacznie

mu się przyglądali.

W tej samej chwili odplłynęły od niego Wyspy Karaibskie i nieskończone wybrzeże mierzei w Skagen. Poczuł, że teraz naprawdę zerwał z siebie pancierz i wrócił do życia, które, jak od dawna sądził, porzucił na zawsze.

- Właściwie chcę w tej chwili powiedzieć tylko jedno - ciągnął w zadumie. - Potrafię udowodnić, że on został zamordowany.

Wokół stołu zapanowała cisza. Wreszcie przerwał ją Martinsson.

- Przez kogo?

- Przez kogoś, kto popełnił dziwną omyłkę. Wallander wstał. W chwilę później jechali trzema wozami w kierunku pustego odcinka szosy w pobliżu Wzgórz Brósarpskich. Kiedy tam dotarli, zapadał już zmierzch.

Pierwszego listopada, późnym popołudniem, skański rolnik, Olof Jónsson, przeżył szczególny moment. Przechadzał się właśnie po swoich włościach, układając w myślach plan wiosennych zasiewów, gdy nagle po drugiej stronie szosy ujrzał grupkę ludzi stojących półkolem na gliniastej ziemi. Jak gdyby pochylali się nad czymś grobem. Ponieważ podczas inspekcji swoich gruntów zawsze miał ze sobą lornetkę, gdyż lubił obserwować pojawiające się nieraz na skraju okalających pola zagajników płochliwe sarny - mógł się dokładniej przyjrzeć zebranym. Wydawało mu się, że rozpoznaje jednego z nich. Twarz była znajoma, ale nie potrafił sobie przypomnieć, do kogo należy. Przyszło mu na myśl, że czterej mężczyźni i kobieta znajdują się dokładnie w miejscu, gdzie kilka tygodni wcześniej pewien starszy pan zabił się w wypadku. Szybko opuścił lornetkę, by nie uchodzić za natręta. Przypuszczał, że to krewni zmarłego, którzy odwiedzając miejsce, gdzie poniósł śmierć, chcą w ten sposób wyrazić swój szacunek dla niego. Odszedł, nie oglądając się za siebie.

Kiedy dotarli do miejsca wypadku, Wallandera ogarnęło przez chwilę uczucie, że wszystko sobie wymyślił. Może to, co znalazł i wyrzucił, to wcale nie była noga od krzesła? Skierował się na pole, podczas gdy koledzy czekali przy drodze. Słyszał za plecami ich głosy, lecz nie mógł rozróżnić słów.

Brak rozeznania, pomyślał, szukając nogi od krzesła. Zastanawiają się, czy aby na pewno nadają się do służby.

W tej samej chwili przystanął, u jego stóp leżała noga od krzesła. Spojrzawszy na nią, zrozumiał, że się nie omylił. Odwrócił się i przywołał pozostałych. Po chwili zebrali się wokół ugrzęzłej w glinie nogi.

- Może się zgadzać - odezwał się niepewnie Martinsson. - Pamiętam połamane krzesło w bagażniku. To może być

kawałek tego krzesła.

- Niemniej wszystko to jest w najwyższym stopniu osobliwe
- powiedział Björk. - Chciałbym jeszcze raz usłyszeć twój tok rozumowania, Kurt.

- To bardzo proste - odparł Wallander. - Przeczytałem raport przygotowany przez Martinssona. Stwierdził w nim, że bagażnik był zamknięty. Nic nie wskazuje na to, że sam się otworzył, a potem znowu się zatrzasnął. Gdyby tylna część samochodu uderzyła o ziemię, musiałyby zostać jakieś ślady na karoserii. A niczego takiego nie ma.

- Pojechałeś obejrzeć samochód? - zdziwił się Martinsson.

- Próbuję was tylko dogonić - odparł Wallander, czując, że próbuje się usprawiedliwiać, tak jakby wizyta u Niklassona świadczyła o braku zaufania do sposobu, w jaki Martinsson przeprowadził proste dochodzenie w sprawie wypadku samochodowego. Prawdę mówiąc, okazało się to uzasadnione, niemniej w tej chwili nie miało znaczenia.

- Chcę tylko powiedzieć, że człowiek, który siedzi sam w samochodzie, który kilkakrotnie obrócił się wokół własnej osi, nie wysiada następnie z auta, by wyjąć z bagażnika kawałek połamanego krzesła, i nie zamyka bagażnika, by wsiąść powtórnie do samochodu, zapiąć pas, a potem nagle zginąć od silnego uderzenia w tył głowy.

Nikt się nie odezwał. Wallander już wiele razy przeżył podobne chwile. Nagle opadała zasłona, odsłaniając coś, czego nikt się nie spodziewał.

Svedberg wyjął z kieszeni foliową torebkę i ostrożnie włożył do niej nogę od krzesła.

- Znalazłem ją mniej więcej pięć metrów stąd - powiedział Wallander, wskazując ręką. - Podniosłem ją z ziemi, a potem rzuciłem daleko od siebie.

- Dziwny sposób traktowania materiału dowodowego - zauważył Björk.

- Nie wiedziałem przecież wtedy, że miała coś wspólnego ze

śmiercią Gustawa Torstenssona - bronił się Wallander.

- Nadal nie wiem, jaki dowód stanowi sama noga.

- Jeżeli cię dobrze zrozumiałem - powiedział Björk, pomijając komentarz Wallandera - musi to oznaczać, że był tu jeszcze ktoś prócz Gustawa Torstenssona w chwili, kiedy nastąpił wypadek. Ale to jeszcze nie oznacza, że Gustaw Torstensson został zamordowany. Może ktoś natknął się na rozbity samochód i chciał zobaczyć, czy nie dałoby się czegoś ukraść. Nic dziwnego, że taki osobnik nie zawiadomił policji lub że wyrzucił nogę od krzesła. Hieny cmentarne rzadko się ujawniają.

- Zupełnie słusznie - zgodził się Wallander.

- Niemniej jednak twierdziłeś, że masz dowody na to, że on został zamordowany.

- To było zbyt pochojne - przyznał Wallander. - Miałem na myśli, że to częściowo zmienia sytuację.

Ruszyli z powrotem w kierunku drogi, gdzie zaparkowali samochody.

- Musimy ponownie zbadać samochód - powiedział Martinsson. - Eksperci się zdziwią, jak im wyślemy połamane krzesło. Ale trudno.

Widać było wyraźnie, że Björk chce jak najszybciej przerwać zebranie na drodze. Zaczęło znów padać i coraz bardziej wiało.

- Jutro zadecydujemy, co robić dalej - zarządził. - Trzeba sprawdzić różne ślady, niestety, nie ma ich wiele. Dziś już nic więcej nie wymyślimy.

Szli do swoich samochodów, Ann-Britt Hóglund została z tyłu.

- Mogę się z tobą zabrać? - spytała Wallandera. - Mieszkam w Ystad. Martinsson ma wszędzie foteliki dla dzieci, a u Björka jest pełno sprzętu wędkarskiego.

Wallander skinął głową. Odjechali ostatni. Długo jechali w milczeniu. Wallander odzwyczaił się od tego, że ktoś siedzi

obok. Myślał o tym, że od pamiętnego letniego dnia sprzed dwóch lat, kiedy uciekł w długie milczenie, nie rozmawiał właściwie z nikim oprócz córki.

Wreszcie odezwała się pierwsza.

- Sądzę, że masz rację - powiedziała. - Musi naturalnie istnieć związek między śmiercią ojca i syna.

- W każdym razie należy to sprawdzić - odpowiedział Wallander.

Z lewej strony mignęło morze. Spienione fale gwałtownie nacierały na siebie.

- Dlaczego człowiek zostaje policjantem? - zapytał Wallander.

- Nie mogę mówić za innych - odparła. - Ale wiem, dlaczego sama to zrobiłam. Pamiętam, że w Wyższej Szkole Policji prawie każdy miał jakieś inne marzenie.

- Czy policjanci mają marzenia? - zapytał zdziwiony. Spojrzała na niego.

- Tak jak wszyscy ludzie - odparła. - Policjanci też. A ty nie masz?

Wallander nie wiedział, co odpowiedzieć. Przyznał, że jej pytanie było uzasadnione. Jakie są moje marzenia? - pomyślał. Za młodu ma się marzenia, które później się rozplywają albo przeradzają się w cel, który się realizuje. Co właściwie pozostało z wszystkiego, o czym kiedyś myślałem?

- Zostałam policjantką, zamiast zostać pastorem - rzuciła nagle. - Długo wierzyłam w Boga. Rodzice są członkami Kościoła zielonoświątkowego. Obudziłam się pewnego dnia i wszystko nagle zniknęło. Długo nie wiedziałam, co mam w życiu robić. Potem jednak zdarzyło się coś, co spowodowało, że niemal natychmiast postanowiłam wstąpić do policji.

Spojrzał w jej stronę.

- Opowiedz - poprosił. - Muszę wiedzieć, dlaczego ludzie jeszcze chcą być policjantami.

- Innym razem - wykręciła się. - Nie teraz.

Zbliżali się do Ystad. Wytłumaczyła mu, gdzie mieszka. W osiedlu nowych domów z jasnej cegły, z widokiem na morze, w zachodniej części miasta.

- Nawet nie wiem, czy masz rodzinę - przyznał Wallander, kiedy skręcili w jeszcze niedokończoną willową ulicę.

- Mam dwoje dzieci - powiedziała. - Mąż jest monterem pomp, pracuje w terenie. Instaluje i konserwuje pompy na całym świecie i prawie nigdy go nie ma. Ale zarobił na dom.

- To musi być interesujące zajęcie - zauważył Wallander.

- Zaproszę cię kiedyś, jak mąż będzie w domu - obiecała. - Sam ci opowie.

Przystanął przed domem.

- Myślę, że wszyscy są zadowoleni z twojego powrotu - powiedziała na pożegnanie.

Wallander od razu pomyślał, że to nieprawda, lecz tylko próba dodania mu otuchy, skinął jednak głową i wymamrotał słowa podziękowania.

Potem pojechał prosto do domu na Mariagatan, zrzucił z siebie przemoczoną kurtkę i padł na łóżko, nie zdejmując nawet zabłoconych butów. Zasnął i śniło mu się, że leży wśród wydm na półwyspie Skagen.

Kiedy obudził się godzinę później, z początku nie wiedział, gdzie się znajduje. Po chwili zdjął buty i poszedł do kuchni zrobić sobie kawę. Przez okno widać było uliczną latarnię, kołyszącą się w podmuchach wiatru.

Wkrótce znowu zima, pomyślał. Śnieg, chaos i zamiecie. A ja znowu jestem policjantem. Życie ciska nami we wszystkie strony. Czy mamy na cokolwiek jakiś wpływ?

Długo siedział, zapatrzony w filiżankę z kawą. Dopiero gdy zaczęła stygnąć, wstał, poszedł do kuchennej szafki i wyciągnął z szuflady notes i ołówek.

Teraz na nowo muszę być policjantem, snuł dalej swe rozważania. Płacą mi za to, żebym konstruktywnie myślał, prowadził dochodzenia i wykrywał sprawców przestępstw, a

nie żebym roztrząsał własne problemy.

Było już po północy, kiedy odłożył ołówek i wyprostował plecy.

Potem raz jeszcze się pochylił nad zapiskami w notesie. Na podłodze, obok krzesła, leżało mnóstwo zmiętych kartek.

Nie widzę żadnego związku, myślał. Nie ma żadnego namacalnego związku między wypadkiem, który nie był wypadkiem, a zabójstwem Stena Torstenssona w jego własnej kancelarii kilka tygodni później. Nie jest wcale powiedziane, że jego śmierć jest następstwem tego, co przydarzyło się ojcu. Może być odwrotnie.

Przypomniał sobie słowa Rydberga, które wypowiedział w ostatnim roku życia, kiedy utknęli w trudnym śledztwie w związku z kilkoma przypadkami podpaleń. „Skutek może nieraz nastąpić przed przyczyną”, powiedział wtedy Rydberg. „Policjant musi umieć myśleć odwrotnie”.

Wstał i poszedł do dużego pokoju, żeby położyć się na kanapie. Starszy pan siedzi martwy w samochodzie leżącym w polu pewnego październikowego ranka. Wracał do domu od jednego ze swoich klientów. Po rutynowym dochodzeniu sprawa zostaje umorzona. Uznano, że to był wypadek. Jednak syn zmarłego zdecydowanie podważa teorię wypadku. Dla niego decydujące są dwa fakty: pierwszy, że ojciec nigdy nie jechałby szybko we mgle, drugi, że w okresie poprzedzającym wypadek był niespokojny czy zdenerwowany, mimo że starał się to ukryć.

Nagle Wallander usiadł na kanapie. Intuicja podpowiadała mu, że chyba wpadł na trop jakiegoś związku, a raczej braku związku, związku pozornego, którego celem jest odwrócenie uwagi od właściwego zdarzenia.

Ciągnął dalej swoje rozumowanie. Sten Torstensson nie potrafił udowodnić, że to nie był zwykły wypadek. Nie wiedział o istnieniu nogi od krzesła w polu i nigdy się nie zastanawiał nad krzesłem w samochodzie ojca. I właśnie

dlatego, że nie mógł znaleźć wystarczających dowodów, zwrócił się do Wallandera. Zadał sobie trud, aby odnaleźć miejsce jego pobytu.

Równocześnie postanowił zmylić trop. To pocztówka z Finlandii. Pięć dni później zostaje zastrzelony w biurze. Nikt nie ma wątpliwości, że chodzi o morderstwo.

Wallander czuł, że traci wątek. Idąc za przeczuwanym związkiem, zasłaniającym inny, ważniejszy, zabłąkał się na ziemi niczyjej.

Był zmęczony. Tej nocy już się dalej nie posunie. Wiedział zresztą z doświadczenia, że jeśli przecucie ma jakieś podstawy, to jeszcze powróci.

Poszedł do kuchni, umył filiżankę po kawie i zebrał z podłogi porozrzucone papiery.

Muszę zacząć od początku, pomyślał. Ale kto jest właściwie na początku? Gustaw czy Sten Torstensson?

Położył się do łóżka, lecz mimo ogromnego zmęczenia nie mógł zasnąć. Chodziło mu po głowie, co takiego spowodowało, że Ann-Britt Hóglund postanowiła zostać policjantką.

Kiedy ostatni raz spojrział na zegar, było wpół do trzeciej.

Obudził się tuż po szóstej, niewyspany i zmęczony. Wstał jednak od razu z niejasnym uczuciem, że zasnął. Kilka minut przed wpół do ósmej wszedł do komendy i z radością stwierdził, że Ebba siedzi w recepcji na swoim stałym miejscu. Zobaczywszy go, wstała i wyszła mu na spotkanie. Widział, że była przejęta, natychmiast go to wzruszyło.

- Nie wierzyłam, że to prawda - powiedziała. - Rzeczywiście wróciłeś?

- Niestety, na to wygląda - odparł Wallander.

- Chyba się popłaczę.

- Nie rób tego - poradził. - Porozmawiamy później. Uwolnił się od niej jak najprędzej i szybko przemierzył korytarz. Jego pokój został dokładnie wysprzątnany. Na biurku leżała

kartka z prośbą, żeby zadzwonił do ojca. Sądząc po nieczytelnym charakterze pisma, telefon poprzedniego wieczoru odebrał Svedberg. Wallander siedział przez chwilę z ręką na słuchawce, lecz w końcu postanowił poczekać. Sięgnął po notatki z poprzedniej nocy i przeczytał to, co zapisał. Przeczucie, które mu mówiło, że między wydarzeniami zachodzi jakiś niejasny, lecz oczywisty związek, nie powracało. Odsunął papiery. Wracam po półtora roku życia w izolacji i mam mniej cierpliwości niż zwykle. Zirytowany sięgnął znów po notes i otworzył go na pustej stronie.

Wiedział, że musi zacząć od początku. Ponieważ jednak nikt nie zna początku, muszą prowadzić dochodzenie bezstronnie i w wielu kierunkach jednocześnie. Następne pół godziny zajęło mu naszkicowanie planu pracy. Cały czas myślał o tym, że śledztwem powinien kierować Martinsson. Co prawda, on sam wrócił już na służbę, ale nie chciał od razu brać na siebie całej odpowiedzialności.

Zadzwonił telefon. Po chwili wahania podniósł słuchawkę.

- Dotarła do mnie wspaniała wiadomość - powiedział Per Akeson. - Przyznaję, że bardzo się ucieszyłem.

Per Akeson był prokuratorem, z którym Wallander przez wszystkie lata miał najlepszy kontakt. Wiele razy spierali się gwałtownie na temat interpretacji materiałów dochodzeniowych. Wallander nieraz się denerwował, kiedy Per Akeson nie chciał uznać przedstawionych mu dowodów za wystarczającą podstawę do zatrzymania. Ale w gruncie rzeczy łączył ich podobny stosunek do pracy.

Obaj nie lubili niedbalstwa w prowadzeniu dochodzenia kryminalnego.

- Muszę przyznać, że się odzwyczailem - odpowiedział Wallander.

- Uparcie krążyły słuchy, że przechodzisz na rentę - poinformował Per Akeson. - Ktoś powinien powiedzieć

Björkowi, żeby ukrócił zwyczaj rozsiewania pogłosek w policji.

- To nie były pogłoski - zaprzeczył Wallander. - Miałem zamiar odejść.

- Mogę zapytać, dlaczego zmieniłeś zdanie?

- Coś się wydarzyło - odparł wymijająco Wallander. Słyszał, że Per Akeson czeka na dalszy ciąg. Ale Wallander nie powiedział nic więcej.

- Cieszę się, że wróciłeś - podjął Per Akeson po dłuższym milczeniu. - I jestem przekonany, że mówię również w imieniu pozostałych kolegów.

Wallander zaczął się źle czuć z powodu okazywanej mu na każdym kroku życzliwości, w którą z trudem potrafił uwierzyć.

Kwitnące łąki i bagno, pomyślał. Przez całe życie jedną nogą tu, a drugą tam.

- Przypuszczam, że przejmiesz dochodzenie w sprawie śmierci adwokata Torstenssona - powiedział Per Akeson.

- Powinniśmy się chyba spotkać w ciągu dnia i uzgodnić wspólny kierunek działania.

- Nie przejmę - odparł Wallander. - Będę brał w nim udział, tego zażądałem. Ale pod warunkiem że ktoś inny będzie nim kierował.

- To już nie moja sprawa - rzekł Per Akeson. - Ale cieszę się, że wróciłeś. Zdążyłeś się już zaznajomić ze sprawą?

- Nie bardzo.

- Z tego, co wiem, nie pojawiło się do tej pory nic ważnego.

- Björk uważa, że to będzie długie śledztwo.

- A ty co uważasz?

- Na razie nic - odparł dyplomatycznie Wallander. Umówili się na popołudnie w prokuraturze i zakończyli rozmowę. Wallander niechętnie wrócił do rozpoczętej pracy. Nie mógł się skoncentrować. Zirytowany odłożył ołówek i poszedł po kawę. Wracił szybko, żeby po drodze nikogo nie spotkać.

Było piętnaście po ósmej. Pił kawę, zastanawiając się, jak długo jeszcze będzie się bał ludzi. O wpół do dziewiątej wstał zza biurka, zabrał swoje notatki i udał się do pokoju zebrań. Po drodze dotarło do niego nagle, że jak na pięć czy sześć dni, które upłynęły od zamordowania Stena Torstenssona, wyjątkowo mało działośo. Każde nowe śledztwo było inne od poprzedniego. Ale w grupie dochodzeniowej zawsze istniał gorączkowy pośpiech.

Coś się zmieniło w czasie mojej nieobecności, pomyślał. Ale co?

Zbrali się wszyscy za dwadzieścia dziewiąta i Bjórk dał sygnał do rozpoczęcia pracy, uderzając dłońmi w stół. Zwrócił się bezpośrednio do Wallandera.

- Kurt - zaczął. - Ty, który wszedłeś w sam środek tej sprawy i masz niezmacone spojrzenie, mów: Co robimy dalej?

- Nie do mnie chyba należy decyzja - odparł Wallander. - Nie zdążyłem jeszcze zapoznać się z materiałami.

- Mimo to jedynie od ciebie usłyszeliśmy coś sensownego - wtrącił Martinsson. - Jak cię znam, to wczoraj wieczorem siedziałeś i układałeś plan dochodzenia. Czy tak?

Wallander przytaknął. W tym momencie pomyślał, że w gruncie rzeczy nie miałyby nic przeciwko temu, aby objąć prowadzenie.

- Usiłowałem napisać podsumowanie - zaczął. - Najpierw jednak chciałbym opowiedzieć o czymś, co zdarzyło się ponad tydzień temu, kiedy byłem w Danii. Powinienem był to zrobić wczoraj. Ale wczorajszy dzień był dla mnie, delikatnie mówiąc, chaotyczny.

Następnie zda! relację zdumionym kolegom z wizyty Stena Torstenssona w Skagen. Starał się nie pominąć żadnego szczegółu.

Kiedy skończył, zapanowało milczenie. Pierwszy odezwał się Bjórk, nie kryjąc irytacji.

- To nader dziwne - oświadczył. - Nie rozumiem, jakim

cudem ty zawsze łądujesz w sytuacjach, które wykraczają poza rutynowe procedury.

- Skierowałem go do was - bronił się Wallander, czując, że wzbiera w nim złość.

- Nie będziemy się teraz tym denerwować - ciągnął niewzruszony Bjórk. - Przyznasz jednak, że to dość dziwne. W gruncie rzeczy oznacza to, że musimy przerwać postępowanie w sprawie wypadku samochodowego Gustawa Torstenssona.

- Moim zdaniem, byłoby naturalne i pożądane pracować na dwa fronty - wyraził swoją opinię Wallander. - Sądzę, że mamy do czynienia z dwoma zabójstwami, nie tylko z jednym. Ponadto ofiarami są ojciec i syn. Musimy myśleć dwutorowo. Być może rozwiązanie kryje się w ich prywatnym życiu. Ale równie dobrze można go szukać w ich działalności zawodowej, jako adwokatów prowadzących wspólnie kancelarię. To, że Sten Torstensson mnie odszukał i opowiedział o wzburzeniu ojca, wydaje się przemawiać za tym, że klucz do sprawy znajduje się u Gustawa Torstenssona. Nie jest to jednak całkiem pewne, chociażby dlatego, że Sten wysłał do pani Duner pocztówkę z Finlandii, mimo że w tym samym czasie przebywał w Danii.

- To oznacza jeszcze coś - wtrąciła nagle Ann-Britt Hóglund. Wallander skinął potakująco głową.

- Że Sten Torstensson również czuł się zagrożony - powiedział. - To miałaś na myśli?

- Tak - przyznała Ann-Britt Hóglund. - Inaczej nie próbowałby chyba zmylić tropu?

Martinsson podniósł rękę na znak, że chce zabrać głos.

- Najprościej będzie się rozdzielić - zaproponował. - Jedni zajmą się ojcem, a drudzy synem. Potem zobaczymy, czy znaleźliśmy coś, co wskazuje jednocześnie w obie strony.

- Dokładnie tak samo myślałem - zgodził się Wallander.

- Nie mogę się jednak pozbyć uczucia, że w tym wszystkim

kryje się coś szczególnego. Coś, co powinniśmy zauważyć już na obecnym etapie.

- Wszystkie sprawy o morderstwo są szczególne - zauważył Martinsson.

- Nie chodzi o to - odparł Wallander. - Trudno mi to w tej chwili sformułować.

Björk przynaglał do zgłaszania wniosków.

- Zacząłem już rozgrzebywać sprawę wypadku Gustawa Torstenssona, więc mogę przy tym pozostać - odezwał się Wallander. - Jeżeli nikt nie ma zastrzeżeń.

- W takim razie my zajmiemy się Stenem Torstenssonem - zdecydował Martinsson. - Przypuszczam, że jak zwykle chcesz w początkowej fazie pracować na własną rękę?

- Niekoniecznie - odparł Wallander. - Jeśli jednak dobrze zrozumiałem, sprawy Stena Torstenssona są bardziej złożone. Ojciec miał mniej klientów. Jego życie wydaje się przejrzystsze.

- No, to zdecydowane - uznał Björk i z trzaskiem zamknął kalendarz. - Spotykamy się, jak zwykle, codziennie o czwartej. A dziś po południu ktoś z was jest potrzebny na konferencji prasowej.

- Nie ja - zastrzegł Wallander. - Nie dam rady.

- Miałem na myśli Ann-Britt - powiedział Björk. - Nie zaszkodzi, kiedy się dowiedzą, że tu z nami pracuje.

- Chętnie - zgodziła się Ann-Britt ku zdziwieniu pozostałych. - Powinnam się wprawiać.

Po zebraniu Wallander poprosił Martinssona, aby jeszcze chwilę został. Kiedy wszyscy wyszli, zamknął drzwi.

- Musimy porozmawiać - zaczął. - Czuję się, jakbym się wcisnął i przejął prowadzenie w chwili, gdy na dobrą sprawę miałem już składać wymówienie.

- Naturalnie jesteśmy zaskoczeni - przyznał Martinsson. - Musisz to zrozumieć. Nie tylko ty się niepewnie czujesz.

- Boję się komuś nadepnąć na odcisk - rzekł Wallander.

Martinsson wybuchnął śmiechem. Wylał nos.

- Szwedzka policja ma odciski nie tylko na palcach, ale i na piętach. Im bardziej funkcjonariusze zamieniają się w urzędników, tym silniej odzywa się w nich pęd do kariery. Wzrastająca z dnia na dzień biurokracja powoduje zarazem nieporozumienia i niejasności. Stąd te pięty. Czasami wydaje mi się, że rozumiem niepokój Bjórka w obliczu zmian. Gdzie podziała się zwykła, podstawowa rola policji?

- Policja zawsze była zwierciadłem swoich czasów - powiedział Wallander. - Rozumiem, co masz na myśli. Już Rydberg mówił to samo. A co powie Ann-Britt Hóglund?

- Jest pojętna - oświadczył Martinsson. - Zarówno Hansson, jak i Svedberg się jej boją. Boją się jej zdolności. Mam wrażenie, że w każdym razie Hansson obawia się pozostać w tyle. Dlatego większość czasu spędza obecnie na rozmaitych szkoleniach.

- Policjant na nowe czasy - podsumował, wstając, Wallander. - Oto ona.

Przystanął w drzwiach.

- Powiedziałeś wczoraj coś, co dotąd mnie męczy - dodał. - Na temat Stena Torstenssona. Miałem wrażenie, że to było coś ważnego.

- Czytałem z moich notatek - odparł Martinsson. - Mogę ci zrobić kopię.

- Istnieje ryzyko, że coś sobie wmawiam - powiedział Wallander.

Kiedy wszedł do pokoju i zamknął drzwi, zdał sobie sprawę, że doświadczył czegoś, o czego istnieniu już dawno zapomniał. Jak gdyby na nowo odkrył, że posiada wolę. Zatem nie wszystko jeszcze stracone.

Siedział za biurkiem i zdawało mu się, że widzi siebie samego w oddali: zataczającego się mężczyznę na karaibskiej wyspie, rozpaczliwą podróż do Tajlandii, niezliczone dni i noce, gdy ustało w nim wszystko prócz

fizjologii. Widział tamtego człowieka i nie rozpoznawał się w nim. To był ktoś obcy.

Wzdrygnął się na myśl o katastrofalnych skutkach, jakie mogło spowodować jego postępowanie. Długo myślał o swojej córce Lindzie. Otrząsnął się ze wspomnień dopiero, gdy do drzwi zastukał Martinsson, aby podrzucić mu kopię swoich notatek z poprzedniego dnia. Pomyślał, że w każdym człowieku istnieje tajemne pomieszczenie, w którym gromadzą się wspomnienia i obrazy przeszłości. Zaryglował prowadzące tam drzwi i założył mocną kłódkę. Potem udał się do toalety i wrzucił do muszli opakowanie tabletek antydepresyjnych, które trzymał w kieszeni spodni.

Wrócił do pokoju i zabrał się do pracy. Była dziesiąta. Przeczytał wnikliwie notatki Martinssona, nie znajdując nic, co zwróciłoby jego uwagę.

Jest za wcześnie, pomyślał znowu. Rydberg nakazałby mi cierpliwość. Teraz muszę sam o tym pamiętać.

Przez chwilę zastanawiał się, od czego zacząć. Potem odszukał w materiałach śledztwa adres Gustawa Torstenssona.

Timmermansgatan 12.

Ulica leżała w najstarszej i najbardziej zamożnej dzielnicy Ystad, za dawnym terenem koszar na wysokości Sandskogen. Wallander zadzwonił do kancelarii adwokackiej i dowiedział się od Sonji Lundin, że klucze do domu Gustawa Torstenssona leżą w biurze. Wyszedł z komendy, ciężkie, deszczowe chmury już odpłynęły. Powietrze było czyste, wciągnął do płuc pierwszy powiew z wolna nadchodzącej zimy. Kiedy zatrzymał się przed żółtym domem, z bramy wyszła Sonja Lundin i podała mu klucze.

Dwa razy źle pojechał, nim trafił pod właściwy adres. Duża drewniana willa w brązowym kolorze ukryta była głęboko w ogrodzie. Pchnął skrzypiącą furtkę i wszedł na żwirowy podjazd. Panowała tu cisza, miasto wydawało się odległe.

Świat w świetle, pomyślał, rozglądając się. Kancelaria Torstenssona musiała być bardzo dochodowym interesem. W Ystad trudno by znaleźć droższy dom. Ogród był bardzo zadbane, ale osobiście bez życia. Tu i ówdzie drzewa liściaste, przycięte starannie krzewy i zakomponowane bez fantazji kwietne rabatki. Wallander wytłumaczył sobie, że starszy adwokat odczuwał potrzebę prostych linii w tradycyjnie zaprojektowanym ogrodzie, bez improwizacji i niespodzianek. Wspomniał czyjeś słowa, że adwokat Gusliw Ibrstenson był człowiekiem, który wzniósł proces sądowy na wyżyny nudy, która doskonałością dorównywała Pleśni nad pleśniami. Jego złośliwi przeciwnicy twierdzili, że doprowadzał do uniewinnienia klienta, gdyż prokurator poddawał się z czystej desperacji, słuchając nudnego i rozwlekłego stylu oponenta. Postanowił porozmawiać z Perem Akesonem na temat Gustawa Torstenssona. Z pewnością niejedną raz zetknęli się w przeszłości.

Wszedł po schodach do drzwi wejściowych, odszukał właściwy klucz i otworzył je. Pierwszy raz zobaczył tak nowoczesny model siedmiopunktowego zamka. Znalazł się w obszernym holu, z którego szerokie schody prowadziły na piętro. Okna zasłaniały ciężkie kotary. Odsunął jedną z nich i spostrzegł, że za szybami są kraty. Samotny starszy pan i lęk jako nieodłączny element starości, pomyślał. A może, prócz siebie samego, chronił to, co jest w środku? Czy też strach był spowodowany czymś, co znajduje się poza tymi murami? Obszedł dom naokoło, najpierw parter - bibliotekę z rodzinnymi portretami na ścianach i przestronny salon połączony z jadalnią. Wszystko od tapet po meble utrzymane było w ciemnych barwach, panowała atmosfera ciszy i melancholii, nigdzie nie było nawet skrawka jasnej materii, lekkości, która wywołałaby uśmiech.

Wszedł po schodach na piętro. W pokoju gościnnym starannie zaścielone łóżka przypominały nieczynny zimną

hotel. Zaskoczyło go, że również drzwi od sypialni Gustawa Torstenssona chronione były od wewnątrz kratą. Zszedł na dół po schodach, dom źle na niego działał. Usiadł przy stole w kuchni i oparł brodę na rękach. Słysząc było tylko tykanie kuchennego zegara.

Gustaw Torstensson miał sześćdziesiąt dziewięć lat, kiedy zginął. Przez ostatnie piętnaście lat, od czasu, gdy zmarła mu żona, żył samotnie. Sten Torstensson był ich jedynym dzieckiem. Z kopii olejnego obrazu w bibliotece wynikało, że w poczet swoich przodków zaliczali dowódcę wojskowego Lennarta Torstenssona, który zdobył wątpliwą sławę podczas wojny trzydziestoletniej. Wallander mgliście pamiętał z czasów szkolnych, że odznaczył się on bezprzykładną brutalnością wobec ludności chłopskiej na terenach przemarszu podległych mu wojsk.

Wallander wstał i zszedł do piwnicy. Również i tu panował pedantyczny porządek. W głębi, za kotłownią, dostrzegł stalowe drzwi. Były zamknięte. Próbował kilku różnych kluczy, aż natrafił na właściwy. Za drzwiami znajdował się pokój bez okien, Wallander po omacku przesunął dłonią po ścianie i odszukał wyłącznik.

Pokój był niespodziewanie przestronny. Wzdłuż ścian stały szeregi półek, pełne wschodnioeuropejskich ikon. Nie dotykając niczego, Wallander przeszedł dookoła, przyglądając im się z bliska. Nie był znawcą, nigdy się szczególnie nie interesował antykami, lecz domyślał się, że ma przed sobą bardzo cenny zbiór. To by wyjaśniało kraty i zamek w drzwiach, ale nie kraty w sypialni. W Wallanderze narastało nieprzyjemne uczucie. Wyobrażał sobie wewnętrzny pejzaż starego, bogatego człowieka, opuszczonego przez życie, zamkniętego w domu strzeżonym zachłannie przez niezliczone wizerunki Madonny.

Wallander gwałtownie drgnął. Z góry doszedł odgłos kroków, następnie rozległo się szczekanie psa. Szybko

wyszedł z pokoju, wszedł po schodach na górę i dalej do kuchni.

Zaskoczony wlepił wzrok w umundurowanego kolegę, niejakiego Petersa, który dobywszy służbowej broni, skierował ją w jego stronę. Za nim stał mężczyzna z firmy ochroniarskiej z warczącym psem na smyczy.

Peters opuścił rękę z bronią. Wallander czuł, jak wali mu serce. Na widok broni w mgnieniu oka powróciło wspomnienie, które tak długo usiłował w sobie zagłuszyć.

Ogarnęła go wściekłość.

- Co jest, do cholery? - ryknął.

- W firmie ochroniarskiej włączył się alarm i zawiadomili policję - odparł zaniepokojony Peters. - Wyjechaliśmy na wezwanie. Skąd miałem wiedzieć, że tu jesteś?

W tej samej chwili do kuchni wszedł kolega Petersa, Noren. On również miał w ręku broń.

- Prowadzimy tu dochodzenie - wyjaśnił Wallander, czując, że gniew spłynął z niego równie szybko, jak się pojawił. - Mecenas Torstensson, który zginął w wypadku, mieszkał w tym domu.

- Wyjeżdżamy na alarm - powiedział stanowczo strażnik z firmy ochroniarskiej.

- Wyłączcie go - polecił Wallander. - Za kilka godzin możecie ponownie uruchomić urządzenie. Ale najpierw musimy tu wszystko zbadać. Przeszukamy dokładnie cały dom.

- To jest komisarz Wallander - wyjaśnił Peters. - Chyba go poznajesz?

Strażnik był bardzo młody. Skinął głową. Wallander widział, że go nie rozpoznał.

- Zabierzcie psa - powiedział. - Nie jesteście tu już potrzebni.

Strażnik wyszedł, prowadząc za sobą warczącego psa. Wallander podał na powitanie rękę Petersowi i Norenowi.

- Słyszałem, że wróciłeś - odezwał się Noren. - Witaj z powrotem.

- Dziękuję - odparł Wallander.

- Wszystko się tu zmieniło, jak poszedłeś na zwolnienie - wyznał Peters.

- Ale teraz już jestem - odparł Wallander, usiłując skierować rozmowę na toczące się śledztwo.

- Z informacją nie jest najlepiej - przyznał Noren. - Powiedziano nam, że przechodzisz na rentę. Nie mogliśmy się spodziewać, że cię tu zastaniemy.

- Życie jest pełne niespodzianek - zauważył Wallander.

- Witaj z powrotem - powiedział Peters.

Wallander po raz pierwszy doznał uczucia, że okazywane mu dowody życzliwości są szczerze. W Petersie nie było żadnej sztuczności, jego słowa brzmiały prosto i naturalnie.

- To był dla mnie ciężki czas - przyznał Wallander. - Ale mam go za sobą. W każdym razie tak uważam.

Wyszedł z domu i pokiwał na pożegnanie odjeżdżającemu Petersowi i Norenowi. Przechadzał się chwilę po ogrodzie, próbując uporządkować myśli. Jego własne uczucia spletały się z rozważaniami o tym, co przydarzyło się obu adwokatom. W końcu postanowił, że nie czekając, złoży kolejną wizytę pani Duner. Miał już przygotowanych parę pytań, na które chciałby znać odpowiedź.

Było tuż przed dwunastą, kiedy ponownie zastukał do jej drzwi i został wpuszczony do środka. Tym razem zgodził się na filiżankę herbaty.

- Przykro mi, że się zjawiam, by znowu panią niepokoić - zaczął. - Potrzebuję jednak pani pomocy, aby wyrobić sobie zdanie na temat ojca i syna. Pracowała pani przeszło trzydzieści lat ze starszym z nich.

- I dziewiętnaście ze Stenem Torstenssonem - wtrąciła.

- To długi okres - ciągnął Wallander. - Można poznać człowieka. Porozmawiajmy o Gustawie Torstenssonie. Czy

może go pani opisać?

Jej odpowiedź go zaskoczyła.

- Nie mogę.

- Dlaczego?

- Bo go nie znalazłam.

Odpowiedź brzmiała zupełnie szczerze. Wallander postanowił działać powoli, dać sobie czas, którego ze względu na targającą nim niecierpliwość wcale nie miał w nadmiarze.

- Mam nadzieję, że pani zrozumie, jeżeli uznam tę odpowiedź za dziwną - powiedział. - Nie zna pani człowieka, z którym przepracowała pani trzydzieści lat?

- Nie z nim - poprawiła go. - U niego. To duża różnica.

Wallander skinął głową.

- Nawet jeśli nie znała pani Gustawa Torstenssona, musiała pani sporo o nim wiedzieć - kontynuował. - I to chciałbym usłyszeć. W przeciwnym razie nigdy nie rozwiążemy zagadki śmierci jego syna.

Znowu go zaskoczyła.

- Pan komisarz nie jest ze mną szczery - oświadczyła. - Co się właściwie wydarzyło, kiedy Gustaw Torstensson zabił się w wypadku?

Wallander postanowił przedstawić jej, jak wygląda sytuacja.

- Jeszcze nie wiadomo - przyznał. - Przypuszczamy jednak, że na drodze zaszło coś, co ma związek z wypadkiem. Coś, co albo go spowodowało, albo nastąpiło później.

- Wiele razy tamtędy jeździł - powiedziała. - Znał drogę na pamięć. I nigdy nie jechał szybko.

- Jeżeli dobrze pamiętam, odwiedzał jednego ze swoich klientów - wtrącił Wallander.

- Mężczyznę z Farnholmu.

Wallander czekał na dalszy ciąg, który nie nastąpił.

- Mężczyznę z Farnholmu?

- Alfreda Harderberga - wyjaśniła. - Właściciela zamku w

Farnholmie.

Wallander wiedział, że zamek leży w ustronnym miejscu na południowej stronie wzniesienia Linderöd. Wiele razy przejeżdżał obok drogi prowadzącej do Farnholmu, ale nigdy tam nie był.

- Był najpoważniejszym klientem kancelarii - mówiła dalej pani Duner. - W ostatnich latach jedynym klientem Gustawa Torstenssona.

Wallander zapisał nazwisko na skrawku papieru, który znalazł w kieszeni.

- Nigdy nie słyszałem tego nazwiska - powiedział. - Czy to właściciel ziemski?

- Jest nim jako posiadacz zamku - odparła pani Duner - lecz przede wszystkim zajmuje się interesami. Prowadzi międzynarodowe interesy na wielką skalę.

- Naturalnie skontaktuję się z nim - zapewnił Wallander.

- Jest chyba ostatnim człowiekiem, który widział Gustawa Torstenssona przy życiu.

Przez otwór w drzwiach wpadło nagle kilka reklamowych folderów. Wallander zauważył, że pani Duner drgnęła. Trzy wystraszone osoby, pomyślał. Ale czego się boją?

- Gustaw Torstensson - powtórzył. - Spróbujmy jeszcze raz. Proszę mi go opisać.

- To najbardziej skryty człowiek, jakiego w życiu spotkałam - odparła i Wallander wyczuł w jej głosie zaczepny odcień. - Nie znosił poufałości. Był pedantem i nigdy nie zmieniał ustalonych nawyków. Są ludzie, według których można nastawiać zegarek. Gustaw Torstensson do nich należał. Bezkrwisty jak papierowa wycinanka. Ani miły, ani niemiły. Po prostu nudny.

- Według Stena Torstenssona, był pogodnym człowiekiem - sprzeciwił się Wallander.

- Nie zauważyłam tego - odparła niechętnie pani Duner.

- Jakie były ich wzajemne stosunki? Odpowiedziała bez

namysłu, szybko i stanowczo.

- Gustawa Torstenssona irytowało, że syn usiłuje zmodernizować kancelarię. A Sten Torstensson uważał oczywiście, że ojciec pod wieloma względami stanowi dla niego obciążenie. Ale ani jeden, ani drugi tego nie okazywał. Obaj unikali otwartych konfliktów.

- Sten Torstensson wyznał przed śmiercią, że w ciągu ostatnich miesięcy ojca coś gryzło i niepokoiło - powiedział Wallander. - Czy wie pani coś na ten temat?

Tym razem namyślała się, zanim odpowiedziała.

- Być może - odparła. - Teraz, gdy pan komisarz o tym wspomniał, wydaje mi się, że w ostatnich miesiącach życia był jakby nieobecny.

- Czy może to pani jakoś wytłumaczyć? - Nie.

- Nic szczególnego się nie wydarzyło?

- Nie, nic.

- Proszę się dobrze zastanowić. To może być bardzo ważne. Dołała sobie herbaty. Wallander czekał. Po chwili podniosła wzrok i spojrzała na niego.

- Nie mogę nic powiedzieć. Nie potrafię tego wytłumaczyć. W chwili kiedy padła jej odpowiedź, zrozumiał nagle, że pani Duner nie mówi prawdy. Postanowił jednak nie nalegać. Wszystko było wciąż niejasne i mało konkretne, nie nadszedł jeszcze właściwy czas.

Odsunął filiżankę i wstał.

- Nie będę dłużej przeszkadzał - powiedział z uśmiechem. - Dziękuję za rozmowę. Niestety, muszę już teraz panią ostrzec, że jeszcze wrócę.

- Naturalnie - zgodziła się pani Duner.

- Proszę o telefon, gdyby się pani przypomniało coś więcej - dodał Wallander już za drzwiami. - Proszę się nie wahać. Najmniejszy szczegół może mieć znaczenie.

- Będę o tym pamiętała - powiedziała kobieta, zamykając drzwi.

Wallander usiadł w samochodzie, nie włączając silnika. Ogarnęło go nieprzyjemne uczucie. Podejrzewał, że ze śmiercią adwokatów wiąże się coś groźnego i ponurego, sam nie wiedział czemu. Policjanci w dalszym ciągu poruszali się tylko po powierzchni.

Coś nas kieruje w złą stronę, myślał. Być może pocztówka wysłana z Finlandii nie jest wcale fałszywym tropem, lecz przeciwnie, prawdziwym. Ale dokąd on nas prowadzi?

Miał już zapuścić silnik i odjechać, kiedy zauważył, że ktoś go obserwuje z chodnika po przeciwnej stronie ulicy.

Była to młoda kobieta, zaledwie po dwudziestce, o azjatyckiej urodzie. Widząc, że Wallander ją dostrzegł, szybko odeszła. Zobaczył w lusterku, jak skręciła w prawo, w Hamngatan, nie oglądając się za siebie.

Był pewny, że nigdy jej wcześniej nie widział.

Co nie znaczyło, że ona go nie rozpoznała. W swojej policyjnej karierze często przy różnych okazjach stykał się z uchodźcami i azylantami.

Ruszył w stronę komendy. Wciąż wiał porywisty wiatr. Ze wschodu nadchodziła chmura. Właśnie skręcił w Kristianstadvagen, gdy nagle gwałtownie zahamował. Z tyłu gniewnie zatrąbiła ciężarówka.

Za wolno reaguję, przemknęło mu przez myśl. Nie dostrzegam nawet rzeczy oczywistych.

Zrobił niedozwolony manewr i wrócił tą samą drogą. Zaparkował samochód przed urzędem pocztowym przy Hamngatan i szybko ruszył w stronę przecznicy, która od północy dochodziła do Stickgatan. Stał tak, że z daleka widział różowy dom pani Duner.

Było chłodno, zaczął więc chodzić tam i z powrotem po chodniku, nie spuszczać oczu z domu.

Po godzinie chciał się już poddać. Był jednak pewny, że ma rację. W dalszym ciągu obserwował dom. Per Akesson już na niego czekał, tak jak się umówili. Będzie czekał na próżno.

Za cztery minuty wpół do czwartej drzwi od różowego domu nagle się otworzyły. Wallander szybko ukrył się za narożnikiem budynku.

Miał rację. Z domu Berty Duner wyszła kobieta o azjatyckich rysach. Zniknęła za rogiem ulicy.

W tej samej chwili zaczęło padać.

Zebranie grupy dochodzeniowej zaczęło się o czwartej i trwało równo siedem minut. Wallander przyszedł ostatni i opadł na swoje krzesło. Był zasapany i spocony na twarzy. Zebrani wokół stołu koledzy patrzyli na niego pytająco. Lecz nikt się nie odezwał.

Minęło kilka minut, zanim Björk się zorientował, że nikt nie ma nic ważnego do zaraportowania ani do przedyskutowania. W tej fazie dochodzenia zamieniali się, jak sami mówili, w robotników kopiących tunel. Każdy na własną rękę usiłował się przebić przez wierzchnie warstwy i dokopać do tego, co ewentualnie leży ukryte pod spodem. Była to regularnie powracająca faza każdego śledztwa, więc nie warto o tym mówić. Wallander jako jedyny zadał w końcu jakieś pytanie.

- Kto to jest Alfred Harderberg? - spytał, zerkając na kartkę, na której zanotował nazwisko.

- Myślałem, że każdy wie - odparł zdziwiony Björk. - To w tej chwili jeden z najbogatszych biznesmenów w kraju. Mieszka tutaj, w Skanii. Ma się rozumieć, w przerwach między podróżami prywatnym samolotem.

- Jest właścicielem zamku w Farnholmie - dodał Svedberg. - Podobno ma tam akwarium z prawdziwym złotym piaskiem na dnie.

- Był klientem Gustawa Torstenssona - wyjaśnił Wallander.

- Największym. I ostatnim. Torstensson był u niego tego samego wieczoru, kiedy zginął na drodze.

- Organizował zbiórki pieniędzy na pomoc dla ofiar w strefach dotkniętych wojną na Bałkanach - powiedział Martinsson. - To może nie takie trudne, jeśli się dysponuje nieograniczoną ilością pieniędzy.

- Alfred Harderberg jest człowiekiem zasługującym na szacunek - powiedział Björk.

Wallander wyczuł w jego głosie irytację.

- Tak jak każdy - odparł. - A jednak zamierzam się do niego wybrać.

- Najpierw zadzwoń - polecił, wstając, Björk. Zebranie było skończone. Wallander poszedł po kawę i udał się do swojego pokoju. Chciał w samotności przemyśleć znaczenie faktu, że pani Duner odwiedziła młoda Azjatka. Być może nie miało to żadnego znaczenia. Lecz instynkt Wallandera podpowiadał mu co innego. Położył nogi na stole i odchylił się do tyłu na krześle. Kubek z kawą podtrzymywał ręką na kolanie.

Odezwał się telefon. Kiedy Wallander sięgnął po słuchawkę, kubek wyslizgnął mu się z ręki. Kawa prysnęła na spodnie, a kubek potoczył się po podłodze.

- Cholera! - zaklął ze złością, trzymając słuchawkę w ręce.

- Nie musisz być impertynencki - usłyszał głos ojca.

- Chciałem się tylko dowiedzieć, dlaczego się w ogóle nie odżywasz.

Wallander natychmiast poczuł wyrzuty sumienia, co z kolei wprawilo go w złość. Zastanawiał się, czy w stosunkach z ojcem kiedykolwiek pozbędą się napięć, które dawały o sobie znać przy najmniejszej okazji.

- Upuściłem na podłogę kubek z kawą - próbował się tłumaczyć. - Oparzyłem się w nogę.

Ojciec jakby nie słyszał.

- Co robisz w biurze? - zapytał. - Przecież jesteś na zwolnieniu.

- Już nie. Wróciłem do pracy.

- Kiedy?

- Wczoraj.

- Wczoraj?

Wallander poczuł, że zapowiada się dłuższa rozmowa, chyba że natychmiast ją przerwie.

- Wiem, że winien ci jestem wyjaśnienie - powiedział.

- Ale w tej chwili nie zdążę. Odwiedzę cię jutro wieczorem i

opowiem, co się wydarzyło.

- Dawno cię nie widziałem - odparł ojciec i rozłączył się. Wallander siedział przez chwilę ze słuchawką w ręce. Ojciec, który w przyszłym roku miał skończyć siedemdziesiąt pięć lat, zawsze wywoływał w nim sprzeczne uczucia. Jak daleko sięgał pamięcią, ich stosunki były zawsze skomplikowane. Odczuł to szczególnie w dniu, kiedy oznajmił ojcu, że zamierza zostać policjantem. Od tamtego czasu przez dwadzieścia pięć lat ojciec nigdy nie przepuścił okazji, by wytknąć mu jego ówczesną decyzję. Z kolei Wallander nie mógł się pozbyć wyrzutów sumienia, że nie poświęca swojemu staremu ojcu tyle czasu, ile powinien. Rok wcześniej, gdy otrzymał zdumiewającą wiadomość, że ojciec postanowił ożenić się z kobietą o trzydzieści lat młodszą, która z ramienia gminy pomagała mu w domu trzy razy w tygodniu, myślał, że ojciec nie będzie już więcej narzekał na brak towarzystwa. Teraz, siedząc ze słuchawką telefoniczną w dłoni, zrozumiał, że w gruncie rzeczy niewiele się zmieniło.

Odłożył słuchawkę, podniósł z podłogi kubek i wytarł nogawkę kartką wyrwaną z notesu. Potem przypomniał sobie, że powinien się odezwać do Pera Akesona. Sekretarka prokuratora od razu go połączyła. Wallander wytłumaczył się z nieobecności, Per Akeson zaproponował spotkanie nazajutrz rano.

Wallander zakończył rozmowę i poszedł po kolejny kubek kawy. W korytarzu natknął się na Ann-Britt Hóglund, która dźwigała stos segregatorów.

- Jak idzie? - spytał.

- Powoli - odparła. - Nie mogę pozbyć się uczucia, że jest coś dziwnego w śmierci adwokatów.

- Czuję dokładnie to samo - przyznał zaskoczony Wallander.

- Dlaczego tak myślisz?

- Nie mam pojęcia - powiedziała.

- Pomówimy o tym jutro - zasugerował Wallander. - Wiem z doświadczenia, że nie trzeba lekceważyć tego, czego się nie da ubrać w słowa.

Wrócił do pokoju, wyłączył telefon i przysunął sobie notes. Powrócił w myślach do zmarzniętego wybrzeża w Skagen i Stena Torstenssona wyłaniającego się z mgły. Tam zaczęło się moje dochodzenie, pomyślał. Zaczęło się jeszcze za jego życia.

Powoli przechodził w myślach wszystko, co do tej pory wiedział o dwóch nieżyjących adwokatach. Był jak ostrożnie wycofujący się żołnierz, którego uwaga skierowana jest na pobocza drogi. Zebranie i przejrzenie faktów, którymi dysponował on i koledzy, zajęło mu ponad godzinę.

Co takiego widzę, nie widząc? - zastanawiał się, raz po raz wędrując przez materiały śledztwa. A kiedy wreszcie zirytowany cisnął ołówek, jedynym śladem na papierze był ozdobny znak zapytania.

Dwaj nieżyjący adwokaci, myślał. Jeden z nich ginie w osobliwym wypadku samochodowym, który - według wszelkiego prawdopodobieństwa - był z góry ukartowany. Ten, kto pozbawił życia Gustawa Torstenssona, jest wyrachowanym mordercą i starał się zatrzeć ślady zbrodni. Noga od krzesła utkwiała w glinie w wyniku osobliwej pomyłki. Pozostaje pytanie: kto i dlaczego.

Nagle uświadomił sobie, że stoi naprzeciwko głazu, który jednym pchnięciem mógłby przewrócić. Odszukał wśród notatek numer telefonu pani Duner. Momentalnie podniosła słuchawkę.

- Przykro mi, że przeszkadzam - zaczął. - Mówi komisarz Wallander. Mam ważne pytanie, na które chciałbym od razu usłyszeć odpowiedź.

- Naturalnie, jeżeli tylko potrafię na nie odpowiedzieć. Właściwie mam dwa pytania, przemknęło mu przez myśl. Ale to, które dotyczy kobiety o azjatyckim wyglądem,

zostawię na inny raz.

- Gustaw Torstensson, zanim zginął, złożył wieczorem wizytę na zamku w Farnholmie. Kto wiedział o tym, że on się wybiera do swojego klienta?

Pani Duner przez chwilę się namyślała. Wallander zastanawiał się, czy stara się sobie przypomnieć, czy zastanawia się, co odpowiedzieć.

- Oczywiście wiedziałam ja - odparła. - Być może wspomniałam o tym panie Lundin. Pozy tym nikt więcej.

- Sten Torstensson nie wiedział? - spytał Wallander.

- Nie sądzę - odparła. - Mieli oddzielne kalendarze spotkań.

- Jednym słowem, wiedziała o tym tylko pani? - Tak.

- Proszę wybaczyć, że przeszkodziłem - przeprosił Wallander i zakończył rozmowę.

Powrócił do swoich notatek. Gustaw Torstensson odwiedza klienta, a w powrotnej drodze staje się ofiarą zamachu, morderstwa pod pozorem wypadku.

Przypomniał sobie odpowiedź pani Duner. Ona jedna wiedziała o podróży starego adwokata.

Powiedziała prawdę, pomyślał. Ale mnie bardziej interesuje cień prawdy. Na dobrą sprawę przyznała, że oprócz niej tylko mężczyzna z zamku w Farnholmie wiedział, co będzie robił Gustaw Torstensson tego wieczoru.

Kontynuował swoją wędrówkę. Krajobraz dochodzenia nieustannie się zmieniał. Ponury dom i skomplikowany system zabezpieczeń. Zbiór ikon w piwnicy. Kiedy Wallander nie mógł się już dalej posunąć, przechodził do Stena Torstenssona. Krajobraz znowu się zmieniał, stawał się prawie nieprzenikniony. Nieoczekiwane przybycie Stena do strzeżonego przez Wallandera, chłostanego wiatrem terytorium, odgłosy samotnych okrętowych syren w tle i opuszczona kawiarnia w Muzeum Sztuki wydały mu się nagle dwuznacznym wątkiem operetkowej intrygi. W tej intrydze były jednak momenty pełne powagi, pomyślał.

Wallander nie wątpił, że Sten Torstensson rzeczywiście dostrzegał niepokój i zdenerwowanie ojca. Nie powątpiewał również w to, że napisana nieznaną ręką pocztówka z Finlandii, z całą pewnością na polecenie Stena Torstenssona, była wynikiem przekonania o realnym zagrożeniu i, co za tym idzie, chęcią zmylenia tropu. O ile fałszywy trop nie był prawdziwym.

Nic się nie składa, pomyślał Wallander. A jednak czegoś już się można chwycić. Najgorsze są te luźne końce, w rodzaju kobiety o azjatyckim wyglądzie, która nie chce, aby ktoś widział, że wchodzi do różowego domu Berty Duner. Albo sama pani Duner, która, co prawda, dobrze kłamie, ale nie na tyle dobrze, by komisarz kryminalny z ystadzkiej policji tego nie zauważył, a w każdym razie nie domyślił się, że coś jest nie tak, jak należy.

Wallander wstał, przeciągnął się i podszedł do okna. Była szósta, zapadł zmrok. Z korytarza dochodziły sporadyczne odgłosy, zbliżające i oddalające się kroki. Przypomniał sobie, co powiedział kiedyś stary Rydberg w ostatnich latach życia: „Komenda policji jest w gruncie rzeczy zbudowana jak więzienie. A policjanci i złodzieje są swoim lustrzanym odbiciem. Nigdy nie wiadomo na pewno, kto jest wewnątrz, a kto na zewnątrz murów”.

Wallandera w jednej chwili ogarnęło uczucie apatii i osamotnienia. Jak zwykle, gdy szukał pociechy, rozpoczynał wyimaginowaną rozmowę z Baibą Liepą z Rygi, zupełnie jak gdyby stała naprzeciwko niego w pokoju, który był czymś innym - mieszkaniem w Rydze z przyćmionym światłem lamp i wiecznie zaciągniętymi ciężkimi zasłonami, w szarym budynku o załamanej fasadzie. Lecz obraz zachodził mgłą, tracił na sile jak zapaśnik pokonany przez silniejszego przeciwnika. Zamiast tego ujrzał siebie w skańskiej mgle, gdy skradał się na zabłoconych kolanach, ze strzelbą w jednej ręce i pistoletem w drugiej, niby żałosna kopia

nieprawdopodobnego bohatera filmowego. Nagle taśma filmowa się zerwała, a w pęknięciu ukazała się rzeczywistość, w której śmierć i zabijanie nie były królikami wyskakującymi z kapelusza czarodzieja. Stał się świadkiem zabicia człowieka strzałem prosto w czoło, a potem widział, jak sam oddaje strzał i jednego jest pewien, że nie myśli wtedy o niczym innym, jak tylko o tym, żeby mężczyzna, w którego mierzy, zginął.

Jestem człowiekiem, który zbyt rzadko się śmieje, pomyślał. Nawet nie zauważyłem, kiedy wiek zagnał mnie w stronę wybrzeża najeżonego złowrogimi, podwodnymi szkieletami.

Wyszedł z biura bez żadnych dokumentów. W recepcji Ebba zajęta była rozmową przez telefon. Skinęła na niego, żeby chwilę zaczekał, ale machnął ręką na znak, że wciąż jeszcze jest niezwykle zajęty.

Potem pojechał do domu i przyrządził sobie kolację, której później nie potrafiłby opisać. Podlał pięć roślin doniczkowych w oknach, zapełnił pralkę porozrzucaną garderobą i kiedy zauważył, że nie ma żadnego proszku do prania, usiadł na kanapie i zaczął obcinać paznokcie u nóg. Od czasu do czasu rozglądał się po pokoju, jak gdyby miał nadzieję, że jednak nie jest sam. Wkrótce po dziesiątej położył się i niemal natychmiast zasnął. Na dworze deszcz pomału słabnął i przechodził w drobną mżawkę.

Kiedy obudził się w środę o świcie, było jeszcze ciemno. Spojrzał na zegar na nocnym stoliku, świecące wskazówki wskazywały zaledwie piątą. Odwrócił się na bok i próbował zasnąć. Ale nie mógł. Odczuwał niepokój. Długi czas spędzony w samotności i chłodzie głęboko go naznaczył. Nic już nigdy nie będzie tak samo. Niezależnie od tego, czy coś się zmieniło, czy nie, jego życie zawsze będzie się dzieliło na „przed” i „po”. Kurt Wallander zarówno jest, jak i go nie ma. Wstał o wpół do szóstej, pił kawę, czekając na gazetę. Na dworze było plus cztery stopnie. Gnany uczuciem

niepokoju, którego nie potrafił określić ani odpędzić, wyszedł z domu już o szóstej. Wsiadł do samochodu i zapuścił silnik. W tej samej chwili postanowił, że ruszy na północ, w kierunku zamku w Farnholmie, i złoży tam wizytę. Po drodze zrobi sobie przerwę na kawę i zawiadomi telefonicznie, że nadjeżdża. Skierował się na wschód, usiłując omijać wzrokiem poligon wojskowy, gdzie dwa lata wcześniej dawny Wallander stoczył swą ostatnią bitwę. Tam, we mgle, uświadomił sobie, że istnieją ludzie, którzy nie cofają się przed żadnym rodzajem przemocy, gotowi z zimną krwią dokonać egzekucji, jeśli to leży w ich interesie. Tam, klęcząc w błocie, rozpaczliwie walczył o życie i zdumiewająco celnym strzałem zabił człowieka. Z tamtego miejsca nie było już odwrotu, był to pogrzeb i narodziny jednocześnie.

Jadąc wzdłuż Kristianstadvagen, zwolnił obok miejsca, gdzie zginął Gustaw Torstensson. Zatrzymał się w Skane-Tranas i wszedł do kawiarni. Zerwał się wiatr, powinien był włożyć cieplejszą kurtkę. W ogóle powinien był pomyśleć o ubraniu, bo znoszone terylenowe spodnie i brudna wiatrówka nie były może najbardziej odpowiednim strojem na zamierzoną wizytę u pana na zamku. W drzwiach kawiarni przemknęło mu przez myśl, jak też Björk ubrałby się na wizytę tamże, nawet gdyby miała charakter służbowy. Zamówił kawę i kanapkę z szynką, w kawiarni poza nim nie było nikogo. Za kwadrans siódma kartkował rozlatujący się tygodnik, który leżał na półce. Znudziło mu się to po kilku minutach i zamiast tego usiłował się zastanowić, jak rozmawiać z Alfredem Harderbergiem albo z kimkolwiek innym, kto potrafi coś powiedzieć o ostatniej wizycie Gustawa Torstenssona u swojego klienta. Czekał do wpół do ósmej. Skorzystał z telefonu, który stał na ladzie koło staroświeckiej kasy, i na początek zadzwonił do komendy w Ystad. Zastał jedynie Martinssona, który wstawał

najwcześniej ze wszystkich. Wyjaśnił, gdzie się znajduje, i poinformował go, że wizyta zajmie mu zapewne kilka godzin.

- Wiesz, co było moją pierwszą myślą, kiedy obudziłem się dziś rano? - spytał Martinsson.

- Nie.

- Że to Sten Torstensson zabił ojca.

- Jak więc wytłumaczysz to, co się z nim stało?

- Nie wiem - odparł Martinsson. - Ale jestem coraz bardziej przekonany, że wytłumaczenie znajdziemy w ich sprawach zawodowych, a nie w prywatnym życiu.

- Albo w jednym i drugim - powiedział w zadumie Wallander.

- Co masz na myśli?

- Coś, co mi się śniło tej nocy - odparł wymijająco Wallander. - Nie wiem, kiedy wrócę.

Zakończył rozmowę i wybrał numer zamku w Farnholmie. Zaledwie wybrzmiał pierwszy sygnał, ktoś podniósł słuchawkę.

- Zamek w Farnholmie - odezwał się damski głos. Wallander dosłyszał, że mówi z lekkim akcentem.

- Tu komisarz Wallander z komendy w Ystad - przedstawił się. - Chciałbym mówić z panem Alfredem Harderbergiem.

- Jest w Genewie - odparła kobieta.

Wallander był zbity z tropu. Powinien naturalnie liczyć się z tym, że człowiek, który prowadzi interesy na całym świecie, może być w podróży.

- Kiedy będzie z powrotem?

- Nie zostawił żadnej wiadomości.

- Wraca jutro czy za tydzień?

- Nie udzielam informacji przez telefon. Jego podróże otoczone są ścisłą tajemnicą.

- Ja jestem z policji - oświadczył Wallander, czując, jak narasta w nim irytacja.

- Skąd mam to wiedzieć? - zapytała kobieta. - Może pan być kimkolwiek.

- Będę w zamku w Farnholmie za pół godziny. O kogo mam pytać?

- O tym zadecydują strażnicy przy bramie - odparła kobieta.

- Spodziewam się, że ma pan przy sobie odpowiednią legitymację.

- Co to znaczy odpowiednią? - zainteresował się Wallander.

- O tym my decydujemy - odpowiedziała.

Rozmowa została przerwana. Wallander cisnął z trzaskiem słuchawkę na widelki. Tęga kelnerka, układająca ciasteczka na tacy, rzuciła mu niechętnie spojrzenie. Położył pieniądze na ladzie i wyszedł bez słowa.

Po przejechaniu dalszych piętnastu kilometrów w kierunku północnym skręcił w lewo i wkrótce otoczył go gęsty las, porastający południową stronę Linderod. Zwolnił na rozjeździe, z którego droga prowadziła do zamku w Farnholmie. Granitowa tablica ze złożonymi literami upewniła go, że jedzie w dobrym kierunku. Tablica przypominała mu wystawny kamień nagrobny.

Droga do zamku była asfaltowa i dobrze utrzymana. Wysokie ogrodzenie wiło się dyskretnie pod osłoną drzew. Przyhamował i opuścił szybę, żeby lepiej widzieć. Dopiero wtedy zauważył, że ogrodzenie jest podwójne, z ponadmetrowym odstępem. Pokręcił głową na ten widok, podniósł szybę i jechał dalej. Po jakimś kilometrze droga gwałtownie skręcała. Zaraz za zakrętem znajdowała się brama wjazdowa. Obok niej stał szary dom z płaskim dachem, przypominający bunkier. Podjechał do przodu i czekał. Nic się nie działo. Nacisnął na klakson. Nadal żadnej reakcji. Wysiadł więc z samochodu, czując, że wzbiera w nim złość. Czuł się upokorzony z powodu wszystkich napotkanych ogrodzeń i bram. W tej samej chwili zza stalowych drzwi bunkra wyszedł mężczyzna. Ubrany był w

nieznany Wallanderowi uniform. Wallander wciąż nie mógł się przyzwyczać do tego, że w całym kraju coraz więcej nieznanych mu firm ochroniarskich oferowało swoje usługi. Mężczyzna w ciemnoczerwonym uniformie podszedł do niego. Byli w podobnym wieku.

Od razu rozpoznał Wallandera.

- Kurt Wallander - powiedział strażnik. - Kawał czasu minęło.

- Tak - odparł Wallander. - Ile to lat? Piętnaście?

- Dwadzieścia - poprawił go strażnik. - Może i więcej. Wallander odnalazł w pamięci jego nazwisko. Obaj mieli na imię Kurt. Strażnik nazywał się Stróm. Niegdyś pracowali razem w policji w Malmö. Wallander był wtedy młody i niedoświadczony, Stróm nieco starszy. Znali się tylko z pracy. Potem Wallander przeniósł się do Ystad i wiele lat później usłyszał przy jakiejś okazji, że Stróm odszedł z policji. Pamiętał, jak przez mgłę, że chodziły pogłoski, jakoby Stroma wyrzucono, zatuszowano jakąś sprawę, może brutalne potraktowanie zatrzymanego lub podejrzenie o udział w zniknięciu kradzionych przedmiotów z policyjnego magazynu. Dokładnie sobie nie przypominał.

- Zostałem powiadomiony o twoim przyjeździe - oznajmił Stróm.

- Na moje szczęście - odparł Wallander. - Kazano mi pokazać odpowiednią legitymację. Jaka ci odpowiada?

- W zamku w Farnholmie obowiązuje wysoki poziom ochrony - powiedział Stróm. - Dokładnie sprawdzamy wszystkich, których wpuszczamy.

- Jakież to bogactwa kryją się w środku?

- Żadne bogactwa. Ale mieszka tu człowiek, który prowadzi grube interesy.

- Alfred Harderberg?

- Właśnie. Posiada coś, czego wielu pożąda.

- Co takiego?

- Wiedzę. Więcej warta, niż gdyby miał drukarnię pieniędzy. Wallander skinął głową. Zrozumiał. Zdecydowanie mu się nie podobała uniżoność Stroma wobec wielkiego człowieka.

- Kiedyś byłeś policjantem - powiedział. - Ja jestem nim nadal. Domyślasz się może, dlaczego tu jestem?

- Czytam gazety - odparł Stróm. - Przypuszczam, że ma to związek z adwokatem.

- Dwaj adwokaci nie żyją - przypomniał Wallander. - Nie jeden. O ile jednak wiem, tylko jeden z nich miał do czynienia z Harderbergiem.

- Często tu bywał - odparł Stróm. - Miły człowiek. Bardzo dyskretny.

- Jedenastego października wieczorem był tu po raz ostatni - mówił dalej Wallander. - Miałeś wtedy służbę?

Stróm skinął głową.

- Przypuszczam, że prowadzicie rejestr odwiedzających osób i samochodów?

Stróm wybuchnął śmiechem.

- Już dawno tego nie robimy - powiedział. - Wprowadzamy dane do komputera.

- Chciałbym zobaczyć wydruk z jedenastego października wieczorem - oznajmił Wallander.

- Musisz poprosić w zamku - odparł Stróm. - Nie wolno mi tego udostępniać.

- A może ci wolno pamiętać? - spytał Wallander.

- Wiem, że tego wieczoru tu był - rzekł Stróm. - Ale nie pamiętam, kiedy przyjechał i kiedy odjechał.

- Czy był sam w samochodzie?

- Nie potrafię powiedzieć.

- Dlatego, że ci nie wolno? Stróm kiwnął głową.

- Nieraz myślałem, żeby się przenieść do prywatnej firmy ochroniarskiej - przyznał Wallander. - Ale sądzę, że trudno by mi było się przyzwyczaić do tego, że nie wolno odpowiadać na pytania.

- Wszystko ma swoją cenę - odparł Stróm. Wallander pomyślał, że w tej kwestii całkowicie się z nim zgadza. Chwilę spoglądał w milczeniu na Stroma.

- Alfred Harderberg - zagadnął. - Jaki to człowiek?

- Nie wiem - odparł Stróm ku jego zaskoczeniu.

- Musisz przecież mieć jakieś zadanie? A może i na to nie wolno ci odpowiedzieć?

- Nigdy go nie widziałem na oczy - odrzekł Stróm. Wallander czuł, że Stróm mówi prawdę.

- Jak długo już dla niego pracujesz?

- Niedługo będzie pięć lat.

- I nigdy go nie widziałeś?

- Nigdy.

- Nigdy nie przejeżdżał przez tę bramę?

- Jeździ samochodem z lustrzanymi szybami.

- Domyślam się, że to też jest częścią systemu zabezpieczeń? Stróm przytaknął.

- Jednym słowem, nigdy nie wiesz na pewno, czy on tu przebywa - powiedział Wallander po chwili namysłu. - Nie wiesz, czy siedzi w samochodzie, który wyjeżdża lub wjeżdża?

- Takie są wymogi bezpieczeństwa.

Wallander wrócił do samochodu. Stróm zniknął za stalowymi drzwiami. Zaraz potem brama bezszelestnie się rozsunęła. Zupełnie jakbym wjeżdżał do innego świata, pomyślał Wallander.

Po przejechaniu mniej więcej kilometra wyjechał z lasu. Zamek stał na wzniesieniu, otoczony rozległym i wypielegnowanym parkiem. Główny gmach i wolno stojące skrzydła zbudowano z czerwonej cegły. Zamek miał wieże i wieżyczki, balkony i balustrady. Jedyne, co nie pasowało do tego świata z innej epoki, to stojący na betonowej płycie helikopter. Wallander miał wrażenie, że patrzy na ogromnego insekta ze złożonymi skrzydłami, drzemiące

stworzenie, gotowe w każdej chwili się przebudzić.

Powoli podjeżdżał do głównego wejścia. Przed nim, na drodze, niespiesznie przechadzały się pawie. Zaparkował za czarnym bmw i wysiadł. Nie dochodziły żadne odgłosy. Ta sama cisza, którą zapamiętał z poprzedniego dnia, kiedy żwirową ścieżką zbliżał się do domu Gustawa Torstenssona. Może to właśnie cisza znamionuje otoczenie ludzi zamożnych, pomyślał. Nie orkiestry czy fanfary, ale właśnie cisza.

W tym momencie otworzyło się jedno skrzydło podwójnych drzwi, stanowiących główne wejście do zamku. Na schodach pojawiła się kobieta po trzydziestce w znakomicie skrojonym i, jak sądził Wallander, drogim kostiumie.

- Proszę wejść - zaprosiła, rzucając Wallanderowi przelotny uśmiech, który wydał mu się zimny i nieprzychylny, aczkolwiek poprawny.

- Nie wiem, czy moja legitymacja spełnia wasze wymagania - odezwał się. - Lecz strażnik Stróm mnie rozpoznał.

- Wiem - odparła kobieta.

To nie była osoba, z którą rozmawiał przez telefon, gdy dzwonił z kawiarni. Wszedł po schodach, wyciągnął rękę i przedstawił się. Nie podała swojej, rzuciła mu tylko ten sam nieobecny uśmiech. Wszedł za nią do środka. Szli przez obszerny hol ze schodami. Na kamiennych cokołach stały dyskretnie oświetlone modernistyczne rzeźby. W głębi, obok szerokich schodów prowadzących na piętro, spostrzegł cień dwóch mężczyzn. Właściwie raczej domyślił się ich obecności, twarze były niewidoczne. Cisza i cienie, pomyślał. To świat Alfreda Harderberga, który właśnie zobaczyłem. Przeszedł za kobietą przez drzwi po lewej stronie. Znaleźli się w dużym owalnym pokoju, również ozdobionym rzeźbami. Strzegło go kilka rycerskich zbroi, jak gdyby dla przypomnienia, że zamek stoi od wczesnego średniowiecza. Na środku pokoju, na lśniącym parkiecie,

stało biurko i jedno krzesło dla gościa.

Na biurku nie było żadnych papierów, tylko komputer i centralka telefoniczna, niewiele większa od zwykłego telefonu. Kobieta wskazała Wallanderowi krzesło i wystukała coś w komputerze. Z niewidocznej drukarki w biurku wyjęła wydruk i podała go Wallanderowi.

- Rozumiem, że chciał pan dostać zapis kontroli wjazdów z jedenastego października wieczorem. Może pan na nim zobaczyć, kiedy przyjechał i odjechał mecenas Torstensson. Wallander wziął z jej rąk wydruk i położył obok siebie na podłodze.

- Jestem tu nie tylko po to - poinformował. - Chcę również zadać kilka pytań.

- Proszę.

Kobieta usiadła za biurkiem. Wcisnęła kilka przycisków w centrali telefonicznej. Wallander domyślił się, że przekierowała ewentualne rozmowy do innej centrali, znajdującej się gdzieś w obszernym pałacowym budynku.

- Według moich informacji, Alfred Harderberg był klientem Gustawa Torstenssona - powiedział Wallander. - Rozumiem, że obecnie znajduje się za granicą.

- Jest w Dubaju - wyjaśniła kobieta. Wallander zmarszczył czoło.

- Godzinę temu był w Genewie - zauważył.

- Ma pan całkowitą rację - tłumaczyła niezmiészana.

- Ale dziś rano wyleciał do Dubaju.

Wallander wyjął notes i pióro z kieszeni kurtki.

- Mogę zapytać o pani nazwisko i zajęcie?

- Jestem jedną z sekretarek pana Harderberga - odparła.

- Nazywam się Anita Karlen.

- Czy Alfred Harderberg zatrudnia dużo sekretarek? spytał Wallander.

- To zależy, jak się liczy. Czy to ma jakieś znaczenie? Wallander poczuł kolejny przypływ irytacji z powodu

sposobu, w jaki go traktowano. Postanowił zmienić taktykę z obawy, że niepotrzebnie traci czas.

- To ja decyduję, czy to ma znaczenie, czy nie - odpowiedział. - Zamek w Farnholmie jest prywatną własnością i macie prawo otaczać go dowolną liczbą wysokich ogrodzeń. Tak długo, dopóki posiadacie pozwolenie na budowę i postępujecie zgodnie z przepisami. Ale, bądź co bądź, Farnholm leży w Szwecji. Macie również prawo wpuszczać tu, kogo wam się podoba, lub nie wpuszczać. Z jednym wyjątkiem - policji. Czy to jasne?

- Nie odmówiliśmy przecież wstępu panu komisarzowi - odparła w dalszym ciągu niespeszona.

- Będę mówił otwarcie - kontynuował Wallander, czując wzrastającą niepewność wobec niezmaconego spokoju kobiety i kto wie, czy nie również wobec jej uderzającej urody.

W tej samej chwili przerwał, słysząc dobiegający skądś odgłos otwieranych drzwi. Do pokoju weszła kobieta, niosąc tacę. Zdziwiony Wallander spostrzegł że czarnoskóra. Postawiła bez słowa tacę na biurku i wyszła równie bezszelestnie.

- Czy pan komisarz napije się kawy?

Powiedział, że chętnie. Nalała mu kawy i podała filiżankę. Przyglądał się porcelanie.

- Pozwolę sobie zadać pytanie bez znaczenia - powiedział. - Powiedzmy, że upuszczę tę filiżankę na podłogę. Ile będę winien?

Po raz pierwszy jej uśmiech wydał mu się szczery.

- Naturalnie wszystko jest ubezpieczone - zapewniła. - A serwis to prawdziwy Rórstrand.

Wallander ostrożnie postawił filiżankę na podłodze obok wydruku z komputera i powrócił do rozpoczętego zdania.

- Będę mówił otwarcie - powtórzył. - Wczoraj jedenastego października, zaledwie w godzinę po wizycie u

was, mecenas Torstensson zginął w wypadku samochodowym.

- Posłaliśmy kwiaty na pogrzeb - powiedziała. - Jeden z naszych kolegów był obecny przy złożeniu urny do grobu.

- Alfred Harderberg nie był oczywiście na pogrzebie?

- Mój pracodawca unika publicznych zgromadzeń, jeśli to tylko możliwe.

- Zauważyłem - przytaknął Wallander. - W tym przypadku mamy jednak powody podejrzewać, że nie był to zwyczajny wypadek samochodowy. Wiele przemawia za tym, że mecenas Torstensson został zamordowany. Co więcej, kilka tygodni później zginął jego syn, zastrzelony we własnej kancelarii. Wysłaliście może kwiaty również i na jego pogrzeb?

Patrzyła na niego, nie rozumiejąc.

- Mieliśmy do czynienia tylko z Gustawem Torstenssonem - odparła.

Wallander skinął głową i mówił dalej:

- Teraz może pani rozumie, dlaczego tu jestem. Nie odpowiedziała mi pani wciąż na pytanie, ile jest zatrudnionych sekretarek.

- Pan komisarz również nie zrozumiał, że to zależy, jak się liczy.

- Chętnie posłucham.

- Tu, na zamku w Farnholmie są trzy osoby - wyjaśniła. - Dodatkowe dwie osoby z nim podróżują. Poza tym doktor Harderberg ma sekretarki w różnych miejscach na świecie. Ich liczba się zmienia. Ale rzadko jest ich mniej niż sześć.

- Wyszło mi jedenaście - powiedział Wallander. Anita Karlen przytaknęła.

- Nazwała pani swego pracodawcę doktorem - zauważył Wallander.

- Ma wiele doktoratów honorowych - wyjaśniła. - Jeśli pan chce, mogę dostarczyć panu listę.

- Chętnie - zgodził się Wallander. - Potrzebny mi również opis działalności finansowego imperium Harderberga. Ale to może poczekać. Chcę wiedzieć, co się wydarzyło, kiedy Gustaw Torstensson był tutaj po raz ostatni. Która z licznych sekretarek może mi na to odpowiedzieć?

- Tamtego wieczoru ja pracowałam - odparła.

- To dlatego pani tu jest - odezwał się Wallander po chwili namysłu. - Dlatego pani mnie przyjmuje. A co by było, gdyby pani miała dzisiaj wolne? Nie mogła pani przecież wiedzieć, że właśnie dziś zjawi się policja.

- Naturalnie, że nie.

W tym samym momencie Wallander zrozumiał, że się myli. Zrozumiał również, w jaki sposób ludzie z zamku w Farnholmie mogli się dowiedzieć. To go zirytowało.

Zmusił się do koncentracji, żeby kontynuować rozmowę.

- Co się wydarzyło tamtego wieczoru? - zapytał.

- Mecenas Torstensson przyjechał tuż po siódmej wieczorem. Odbył godzinną rozmowę z doktorem Harderbergiem i kilkoma najbliższymi współpracownikami. Potem wypił filiżankę herbaty. Dokładnie czternaście minut po ósmej opuścił Farnholm.

- O czym rozmawiali tamtego wieczoru?

- Nie mogę na to odpowiedzieć.

- Ale to pani wtedy pracowała?

- To była rozmowa bez sekretarki. Nie robiono żadnych notatek.

- Co to byli za współpracownicy?

- Słucham?

- Powiedziała pani, że mecenas Torstensson rozmawiał z doktorem Harderbergiem i kilkoma najbliższymi współpracownikami.

- Nie mogę na to odpowiedzieć.

- Dlatego że pani nie wolno?

- Dlatego że nie wiem.

- Czego pani nie wie?

- Co to za współpracownicy. Nigdy ich przedtem nie widziałam. Przyjechali tego samego dnia i odjechali następnego ranka.

Wallander nie wiedział, o co dalej pytać. Jakby wszystkie odpowiedzi padały gdzieś obok. Postanowił podejść z innej strony.

- Mówiła pani, że doktor Harderberg ma jedenaście sekretarek. Czy mogę zapytać, ilu ma adwokatów?

- Prawdopodobnie tyłu samo.

- Nie może pani powiedzieć dokładnie?

- Nie wiem.

Wallander skinął głową. Zapędzał się w ślepy zaułek.

- Od jak dawna mecenas Torstensson pracował dla doktora Harderberga?

- Od czasu, kiedy pan Harderberg kupił zamek w Farnholmie i urządził w nim swoją kwaterę główną. Jakies pięć lat temu.

- Mecenas Torstensson przez całe życie pracował w Ystad - zauważył Wallander. - I nagle okazuje się, że ma dostateczne kwalifikacje, by zostać doradcą w sprawach dotyczących międzynarodowych transakcji finansowych? Czy to nie jest trochę dziwne?

- O to musi pan chyba zapytać doktora Harderberga.

Wallander zamknął notes.

- Ma pani zupełną rację - odparł. - Proszę go zawiadomić, niezależnie od tego, czy jest w Genewie, Dubaju, czy jeszcze gdzie indziej, że komisarz Wallander chce jak najszybciej się z nim spotkać. Jednym słowem, tego samego dnia, kiedy wróci.

Wstał i ostrożnie odstawił filiżankę na biurko.

- Policja w Ystad nie ma jedenastu sekretarek - powiedział. - Ale mamy dobre recepcjonistki. Proszę zostawić u nich wiadomość, kiedy Alfred Harderberg może się ze mną

spotkać.

Wyszedł za nią do holu ze schodami. Na marmurowym stoliku przy drzwiach wyjściowych leżał gruby segregator.

- To jest lista spółek doktora Harderberga, o którą pan prosił - poinformowała Anita Karlen.

Ktoś się przysłuchiwał, pomyślał Wallander. Ktoś słuchał całej rozmowy. Być może wydruk jest już w drodze do Harderberga, gdziekolwiek się on znajduje. Jeśli go to interesuje. W co wątpię.

- Proszę zaznaczyć, że to pilne - powiedział na pożegnanie Wallander.

Tym razem Anita Karlen podała mu rękę.

Wallander rzucił okiem w stronę szerokich schodów, gdzie panował półmrok. Lecz cieni już nie było.

Niebo się przejaśniło. Wsiadł do samochodu. Anita Karlen stała na schodach. Jej włosy poruszały się na wietrze. Jadąc, widział w lusterku, że stoi i patrzy za nim. Tym razem nie musiał przystawać przy wyjeździe. Brama rozsunęła się, kiedy podjechał. Kurt Ström się nie pokazał. Brama zasunęła się za Wallanderem. Jechał powoli w kierunku Ystad. Był przejrzysty jesienny dzień. Pomyślał, że minęły zaledwie dwie doby od czasu, gdy podjął nagłą decyzję powrotu do pracy. Mimo to wydawało mu się, że to było dawno. Jak gdyby on zmierzał w jakimś kierunku, a jego wspomnienia z zawrotną prędkością oddalały się w przeciwną stronę.

Tuż za skrzyżowaniem z główną drogą zobaczył na jezdni martwego zająca. Ominął go i pomyślał, że nie jest ani trochę bliżej wyjaśnienia śmierci Gustawa Torstenssona i jego syna. Wydawało mu się całkowicie nieprawdopodobne, by istniał jakikolwiek związek między nieżyjącymi adwokatami a ludźmi za podwójnym ogrodzeniem zamku w Farnholmie. Mimo to jeszcze tego samego dnia przejrzy skórzany segregator, żeby wyrobić sobie pogląd na

imperium Alfreda Harderberga.

Zabrzącał telefon w samochodzie. Podniósł słuchawkę i usłyszał głos Svedberga.

- Tu Svedberg. Gdzie jesteś?

- Czterdzieści minut od Ystad.

- Martinsson powiedział, że masz jechać do zamku w Farnholmie.

- Już tam byłem. Ale niewiele to dało.

Na chwilę przerwały im zakłócenia. Potem usłyszał Svedberga:

- Szuka cię Berta Duner. Bardzo jej zależało na pilnym kontakcie.

- Z jakiego powodu?

- Nie mówiła.

- Jak mi dasz numer, to do niej zadzwonię.

- Lepiej pojedź do niej do domu. Wygląda na to, że to bardzo pilne.

Wallander spojrział na zegar. Była już za kwadrans dziewiąta.

- Jak poszło poranne zebranie?

- Nic nowego.

- Zajrzę do niej, jak będę w Ystad - obiecał Wallander.

- Zrób to - odparł Svedberg.

Rozmowa została przerwana. Wallander był ciekaw, jaką to nagłą sprawę ma do niego pani Duner. Poczł nieokreślone napięcie w całym ciele i przyśpieszył.

Za pięć wpół do dziesiątej zaparkował niedbale tuż przed różowym domem, gdzie mieszkała pani Duner. Szybko przeszedł przez ulicę i zadzwonił do drzwi. Kiedy otworzyła, zobaczył, że coś jest nie w porządku. Robiła wrażenie wystraszonej.

- Szukała mnie pani - zagadnął.

Skinęła głową i wpuściła go do środka. Już miał zdjąć brudne buty, kiedy chwyciła go za ramię i pociągnęła za

sobą do salonu, którego oszklone drzwi wychodziły na ogródek. Wskazała ręką w tamtą stronę.

- Ktoś tam był dziś w nocy - powiedziała. Wyglądała na bardzo zaleknioną. Jej niepokój częściowo udzielił się Wallanderowi. Podszedł do przeszklonych drzwi i spojrział na trawnik, przekopane grządki i pnące rośliny na pobielonym murku, który oddzielał ogródek Berty Duner od ogródka sąsiadów.

- Nic nie widzę - powiedział.

Czekała, stojąc za nim, jak gdyby nie miała odwagi zbliżyć się do okna. Wallander podejrzewał, że uległa chwilowemu przywidzeniu na skutek ostatnich dramatycznych przeżyć.

Po chwili stanęła obok niego, wskazując na ogród.

- Tam - rzekła. - Tam. Ktoś tu w nocy kopał.

- Widziała pani kogoś? - spytał Wallander. - Nie.

- Coś pani słyszała?

- Nie. Ale wiem, że był tu ktoś w nocy.

Wallander spoglądał w kierunku, który wskazywała. Kawaleczek trawnika w tym miejscu wyglądał na zdeptany.

- To mógł być kot lub kret - zawyrokował. - A może nawet szczur.

Potrząsnęła głową.

- Ktoś był tu w nocy - powtórzyła.

Wallander otworzył przeszklone drzwi i wyszedł do ogrodu. Wszedł na trawnik. Z bliska wyglądało to, jak gdyby wykopano kępę trawy i potem na powrót ją ułożono. Przykucnął i przejechał dłonią po trawie. Palce natrafiły na coś twardego, kawałek plastiku lub metalu, wystający z ziemi. Ostrożnie odgarnął trawę. Tuż pod powierzchnią leżał szaro-brązowy przedmiot.

Wallander nagle zdrętwiał. Cofnął rękę i pomału wstał. Przemknęło mu przez głowę, że oszalał, bo skąd mu coś takiego przyszło na myśl? To zbyt niewiarygodne, zbyt niepojęte, żeby było możliwe.

Wracał powoli do przeszkłonych drzwi, stawiając stopy na własnych, niewyraźnych śladach. Kiedy doszedł do domu, odwrócił się. W dalszym ciągu nie mógł w to uwierzyć.

- Co się dzieje? - spytała.

- Proszę przynieść książkę telefoniczną - odparł Wallander zduszonym głosem.

Spojrzała na niego, nie pojmując.

- Po co panu książka telefoniczna?

- Proszę zrobić to, o co proszę.

Wyszła do przedsionka i wróciła z książką. Wallander zważył ją w rękę.

-: Proszę iść do kuchni i nie wychodzić stamtąd.

Usłuchała go.

Wallander był pewny, że coś sobie uroił. Lecz nawet gdyby istniało najmniejsze prawdopodobieństwo, że to, co niewiarygodne, w rzeczywistości ma miejsce, powinien był postąpić zupełnie inaczej. Wszedł do pokoju i stanął jak najdalej od okna. Następnie zamierzył się i rzucił książką w stronę wystającego z ziemi przedmiotu.

Huk wybuchu go ogłuszył.

Już później nie mógł się nadziwić, że nie poleciały szyby.

Rzucił okiem na wyrwę powstałą w trawniku. Potem pobiegł do kuchni, z której dobiegł go krzyk pani Duner. Stała jak porażona na środku kuchni, zatykając uszy. Ujął ją za ramiona i posadził na kuchennym krześle.

- Nic pani nie grozi - zapewnił. - Zaraz wrócę. Muszę tylko zatelefonować.

Wybrał numer do komendy. Ku jego zadowoleniu odebrała Ebba.

- Mówi Kurt - powiedział. - Muszę złapać Martinssona lub Svedberga. Albo kogoś innego.

Wiedział, że Ebba zna jego głos. Dlatego o nic nie pytając, spełniła polecenie. Słyszając go, zrozumiała, że sprawa jest poważna.

Telefon przyjął Martinsson.

- Mówi Kurt. Za chwilę policja zostanie wezwana do silnego wybuchu na tyłach hotelu Continental. Dopilnuj, żeby nie wysyłali niepotrzebnych ludzi. Nie chcę tu mieć straży pożarnej i pogotowia. Weź kogoś ze sobą i przyjedź. Jestem u pani Duner, sekretarki Torstenssona, na Stickgatan dwadzieścia sześć. Różowy dom.

- Co się stało? - zainteresował się Martinsson.

- Zobaczysz, kiedy przyjedziesz - odparł Wallander. - Jak ci powiem, to i tak mi nie uwierzysz.

- Spróbuj - zaproponował Martinsson. Wallander chwilę się wahał.

- Uwierzysz, jeśli ci powiem, że ktoś zakopał minę w ogródku pani Duner?

- Nie - odparł Martinsson.

- Wiedziałem.

Wallander odłożył słuchawkę i podszedł do przeszklonych drzwi.

W trawniku nadal ziała wyrwa. To nie było urojenie.

Wallander, wspominając później środę trzeciego listopada, nie był do końca przekonany, że wszystko wydarzyło się naprawdę. Nigdy by mu nie przyszło do głowy, że w ogródku w centrum Ystad mógłby się kiedykolwiek natknąć na minę.

Kiedy Martinsson zjawił się w domu pani Duner w towarzystwie Ann-Britt Hóglund, Wallanderowi wciąż trudno było uwierzyć, że eksplozję rzeczywiście spowodowała mina. Jednak Martinsson, który poważnie potraktował słowa Wallandera, jeszcze zanim wyjechał z komendy, zostawił wiadomość dla Svena Nyberga, eksperta technicznego. Nyberg przyjechał do różowego domu w parę minut po tym, jak Martinsson i Ann-Britt Hóglund wyszli do ogródka, by zobaczyć wyrwę po minie. Stali przytuleni do ściany domu, nie mając pewności, czy w trawie nie kryją się inne miny. Potem Ann-Britt Hóglund z własnej inicjatywy wróciła do kuchni, aby przesłuchać nieco już spokojniejszą panią Duner.

- Co tu się dzieje? - spytał przejęty Martinsson.

- Mnie się pytasz? - odparł Wallander. - Wiem tyle co ty. Zamilkli, wpatrując się w zadumie w dziurę w ziemi.

Wkrótce potem przybyli eksperci techniczni, na czele ze Svenem Nybergiem - znakomitym, lecz porywczym specjalistą. Na widok Wallandera Sven stanął jak wryty.

- A ty co tu robisz? - zapytał.

Wallander poczuł się tak, jakby wracając na służbę, dopuścił się czegoś w najwyższym stopniu niestosownego.

- Pracuję - powiedział, czując, że przyjmuje postawę obronną.

- Myślałem, że zamierzasz odejść.

- Ja też tak myślałem. Ale zorientowałem się, że beze mnie nie dacie sobie rady.

Sven Nyberg otworzył usta, żeby coś powiedzieć, lecz

Wallander powstrzymał go gestem.

- Ważniejsza ode mnie jest ta dziura w ziemi - oświadczył.

W tej samej chwili przypomniał sobie, że Nyberg kilkakrotnie odbywał służbę za granicą, w jednostkach ONZ.

- Ty byłeś przecież na Cyprze i na Bliskim Wschodzie, potrafisz chyba ustalić, czy wybuch spowodowała mina. Ale najpierw może powiesz, czy nie ma ich tu więcej.

- Nie jestem psem - odparł Sven Nyberg i przykucnął pod domem.

Wallander opowiedział mu o twardym przedmiocie, który wyczuł pod palcami, i o książce telefonicznej, która spowodowała wybuch. Sven Nyberg pokiwał głową.

- Istnieje bardzo niewiele środków lub mieszanek wybuchowych, które detonują pod wpływem nacisku - objaśnił.

- Należą do nich miny. Tak są skonstruowane. Ludzie i samochody wylatują w powietrze, kiedy na nie nastąpią lub najadą. Mina przeciwpiechotna wybucha już pod naciskiem kilku kilogramów. Wystarczy dziecięca noga lub książka telefoniczna. Mina przeciwpancerna pod naciskiem około stu kilogramów.

Staął na nogi i spojrzał pytająco na Wallandera i Martinssona.

- Kto zakopuje minę w ogrodzie? - spytał. - Musicie tego typu jak najszybciej schwytać.

- Jesteś pewny, że to mina? - dopytywał się Wallander.

- Nie jestem niczego pewny - zastrzegł się Nyberg. - Zażądam wykrywacza min z jednostki. Zanim go przyślą, niech nikt lepiej nie wchodzi do ogrodu.

Podczas gdy czekali na wykrywacz min, Martinsson odbył kilka rozmów telefonicznych. Wallander usiadł na kanapie, usiłując zrozumieć, co zaszło. Słyszał, jak Ann-Britt Hóglund wolno i cierpliwie przepytuje panią Duner, która jeszcze wolniej odpowiada.

Dwaj martwi adwokaci, myślał Wallander. Następnie w ogródku ich sekretarki ktoś podkłada minę, spodziewając się naturalnie, że ona na nią nadepnie i wybuch rozszarpie ją na kawałki. I chociaż wszystko jest nadal nieokreślone i płynne, nasuwa się jeden wniosek. Rozwiązania trzeba szukać w kancelarii adwokackiej. W tej chwili wydaje się mało prawdopodobne, żebyśmy je znaleźli w prywatnym życiu całej trójki.

Martinsson skończył rozmawiać przez telefon.

- Bjórk mnie zapytał, czy mam dobrze w głowie. - Skrzywił się. - Muszę przyznać, że z początku nie wiedziałem, co mu odpowiedzieć. Jego zdaniem, jest absolutnie niemożliwe, żeby to była mina. I domaga się, aby ktoś z nas jak najszybciej złożył raport.

- Jeśli tylko będziemy mieli coś do powiedzenia - odparł Wallander. - Gdzie się podział Nyberg?

- Pojechał do jednostki, żeby jak najprędzej zdobyć wykrywacz min - wyjaśnił Martinsson.

Wallander skinął głową i spojrzał na zegarek. Piętnaście po dziesiątej. Myślał o wizycie na zamku w Farnholmie. Ale nie bardzo wiedział, o czym myśli. Martinsson stanął w drzwiach do ogrodu i patrzył na dół w trawie.

- Przed dwudziestu laty w Söderhamn miało miejsce pewne zdarzenie - powiedział. - W gmachu sądu okręgowego. Pamiętasz?

- Jak przez mgłę - przyznał Wallander.

- Pewien stary rolnik, który przez wiele lat wytaczał równie niezliczone sprawy sądowe sąsiadom, krewnym, wszystkim razem i każdemu z osobna, popadł w końcu w psychozę, czego, niestety, nikt w porę nie zauważył. Uznał, że prześladowają go wszyscy rzekomi przeciwnicy, nie wyłączając sędziego i własnych adwokatów. Wreszcie coś w nim pękło. W czasie kolejnej rozprawy wyciągnął strzelbę, zabijając sędziego i swojego adwokata. Kiedy policja przybyła do jego

domu w lesie, okazało się, że w drzwiach i oknach umocował ładunki wybuchowe. Szczęście, że nikt nie zginął, kiedy zaczęły detonować.

Wallander pokiwał głową. Przypominał sobie.

- W Sztokholmie wylatuje w powietrze dom pewnego prokuratora - kontynuował Martinsson. - Adwokaci są narażeni na groźby i na przemoc fizyczną. Nie mówiąc o funkcjonariuszach policji.

Wallander przytaknął w milczeniu. Ann-Britt Hóglund wyszła z kuchni z notesem w ręku. Wallander zauważył nagle, że jest ona atrakcyjną kobietą; zdziwił się, że wcześniej o tym nie pomyślał. Usiadła na krześle naprzeciw niego.

- Nic - powiedziała. - Niczego w nocy nie słyszała. Ale jest pewna, że wczoraj o zmierzchu trawnik był nienaruszony. Wstała wcześniej i gdy tylko nadszedł świt, spostrzegła, że ktoś był i grzebał w ogrodzie. Naturalnie nie potrafi wyjaśnić, dlaczego ktoś miałby czyhać na jej życie. A w najlepszym wypadku urwać jej nogi.

- Mówi prawdę? - zapytał Martinsson.

- Trudno poznać, czy człowiek w stanie szoku kłamie, czy nie. Ale jestem raczej pewna, że sądzi, iż minę podłożono w ogrodzie nocą. I że nie rozumie dlaczego.

- A jednak coś mi tu nie pasuje - rzekł niezdecydowanie Wallander. - Nie wiem, czy potrafię sformułować, o co mi chodzi.

- Spróbuj - zachęcił go Martinsson.

- Dziś rano zorientowała się, że w nocy coś zaszło w ogrodzie - powiedział Wallander. - Stoi w oknie i widzi, że ktoś grzebał w trawie. I co robi?

- Czego nie robi? - zapytała Ann-Britt Hóglund. Wallander skinął głową.

- Właśnie - przytaknął. - Naturalny odruch to wyjść do ogrodu i sprawdzić. A co ona robi?

- Dzwoni na policję - odparł Martinsson.
 - Jak gdyby podejrzewała, że tam leży coś niebezpiecznego - dodała Ann-Britt Hóglund.
 - Albo wiedziała - sprecyzował Wallander.
 - Na przykład mina - wtrącił Martinsson. - Była wzburzona, kiedy dzwoniła do komendy.
 - I tak samo wzburzona, kiedy do niej przyjechałem - powiedział Wallander. - Za każdym razem, kiedy z nią rozmawiałem, sprawiała wrażenie wystraszonej i zdenerwowanej. Być może pod wpływem wydarzeń z ostatniego okresu. Ale nie jestem całkowicie przekonany.
- Drzwi wejściowe się otworzyły i do środka wkroczył Sven Nyberg, prowadząc za sobą dwóch mężczyzn w mundurach. Nieśli oni przedmiot, który przypominał Wallanderowi odkurzacz. Dwóm wojskowym kontrola ogródka za pomocą wykrywacza min zajęła dwadzieścia minut. Policjanci stali w oknie i z uwagą śledzili ostrożną, lecz wytrwałą operację. Wojskowi po zakończeniu kontroli uznali, że ogród jest bezpieczny, i skierowali się do wyjścia. Wallander wyszedł za nimi na ulicę, gdzie zaparkowali samochód.
- Co możecie powiedzieć o minie? - zapytał. - O wielkości, sile rażenia? Czy można sprawdzić, gdzie została wyprodukowana? Wszystko może mieć znaczenie.
- Starszy z dwóch mężczyzn miał przypiętą do kurtki plakietkę z napisem: Lundquist, kapitan. To on odpowiedział na pytania Wallandera.
- To niezbyt duża mina - poinformował. - Najwyżej kilkaset gramów ładunku. Ale wystarczy, by zabić człowieka. Powiedzmy, że to czwórka.
 - Co to znaczy? - spytał Wallander.
 - Jeden wchodzi na minę - objaśnił kapitan Lundquist.
 - A potem trzeba trzech, by wynieść go z pola walki. Czyli z oddziału wypadają cztery osoby.
- Wallander pokiwał głową na znak, że zrozumiał.

- Miny produkuje się inaczej niż pozostałą broń - ciągnął dalej Lundquist. - Robi je Bofors i inne duże fabryki broni. Ale każdy kraj, który coś znaczy, ma własną produkcję. Albo opartą na licencji, albo fabrykuje pirackie kopie. Terrorysty mają swoje własne miny. Żeby móc coś powiedzieć o danej minie, trzeba znaleźć ślady materiału wybuchowego, a najlepiej również kawałek obudowy. Może to być metal lub plastik. A nawet drewno.

- Poszukamy - zapewnił Wallander. - A potem się do was zgłosimy.

- Mina to nieprzyjemna broń - rzekł kapitan Lundquist.

- Mówi się, że to najtańszy i najwierniejszy żołnierz. Stoi tam, gdzie go postawią, nawet i sto lat. Nie potrzebuje ani wody, ani jedzenia, ani żołądka. Jest i czeka. Aż ktoś przyjdzie i na niego nadejdzie. Wtedy atakuje.

- Jak długo mina może być aktywna?

- Nikt tego nie wie. Wciąż jeszcze wybuchają ładunki rozmieszczone podczas pierwszej wojny światowej.

Wallander wszedł z powrotem do domu. W ogródku Sven Nyberg rozpoczął techniczne oględziny wyrwy w ziemi.

- Materiał wybuchowy i najlepiej kawałek obudowy - powiedział Wallander.

- A myślisz, że czego szukamy? - odgryzł się zirytowany Nyberg. - Zakopanych kości?

Wallander rozważał, czy nie dać pani Duner dodatkowych kilku godzin na uspokojenie, zanim przystąpią do rozmowy. Ale odczuwał zniecierpliwienie, zniecierpliwienie z powodu braku jakiegokolwiek punktu odniesienia dla dalszego postępowania i, co za tym idzie, braku perspektyw na przełom w śledztwie.

- Zawiadomcie Bjórka - zwrócił się do Martinssona i Ann-Britt Hóglund. - Po południu musimy dokładnie przeanalizować postępy w śledztwie.

- Są jakieś postępy? - zapytał Martinsson.

- Zawsze coś jest - odparł Wallander. - Tylko nie zawsze to dostrzegamy. Czy Svedberg zaczął już rozmawiać z adwokatami, którzy przeglądają archiwa kancelarii?

- Siedzi tam od rana - powiedział Martinsson. - Ale myślę, że chce się z tego wykrecić. Nie lubi czytać papierów.

- Pomóż mu - polecił Wallander. - Mam nieokreślone uczucie, że trzeba się śpieszyć.

Wallander wszedł do środka, odwiesił kurtkę i skorzystał z toalety. Stał jak wryty, kiedy zobaczył swoją twarz w lustrze. Był nieogolony, miał zaczerwienione oczy i potargane włosy - ciekawe, jakie wrażenie pozostawił po sobie na zamku w Farnholmie. Przemywając twarz zimną wodą, zastanawiał się, jak rozpocząć rozmowę z panią Duner, żeby zrozumiała, że on wie, iż ona z nieznanых mu powodów coś ukrywa. Muszę być miły, pomyślał. W przeciwnym razie ona zarygluje wszystkie drzwi, które prowadzą do jej wnętrza.

Wszedł do kuchni, gdzie wciąż siedziała skulona na krześle. W ogrodzie myszkowali technicy z policji. Od czasu do czasu słyhać było poirytowany głos Nyberga. Wallander miał wrażenie, że przeżywał kiedyś identyczne chwile, doznał gwałtownego uczucia, że zatoczył koło i powrócił do punktu wyjścia znajdującego się w dalekiej przeszłości. Zamknął oczy, wziął głęboki oddech i usiadł przy kuchennym stole, spoglądając na kobietę siedzącą naprzeciwko. Przez krótką chwilę miał wrażenie, że ma przed sobą swoją od wielu lat nieżyjącą matkę. Szare włosy, chude ciało o skórze jakby naciągniętej na niewidoczną ramę. Równocześnie uświadomił sobie, że nie pamięta twarzy matki - wyblakła i odpłynęła w dal.

- Rozumiem pani wzburzenie - zaczął. - Musimy jednak porozmawiać.

W milczeniu skinęła głową.

- Dziś rano zorientowała się pani, że w nocy ktoś był w

ogrodzie - kontynuował Wallander.

- Od razu to zauważyłam.

- I jak pani zareagowała? Spojrzała na niego zdziwiona.

- Już raz mówiłam - powiedziała. - Czy muszę jeszcze raz wszystko powtarzać?

- Nie wszystko - odparł cierpliwie Wallander. - Musi pani tylko odpowiadać na moje pytania.

- Było już jasno. Wstaję wcześniej. Wyrzłam do ogrodu. Ktoś był tam w nocy. Zadzwoiłam na policję.

- Dlaczego dzwoniła pani na policję? - zapytał Wallander, uważnie ją obserwując.

- A co miałam zrobić?

- Mogła pani na przykład wyjść do ogrodu i sprawdzić.

- Nie miałam odwagi.

- Dlaczego? Bo wiedziała pani, że to może być coś groźnego? Nie odpowiedziała. Wallander czekał. Rozdrażniony Nyberg gderał w ogrodzie.

- Wydaje mi się, że nie jest pani ze mną zupełnie szczerą - oznajmił Wallander. - Mam wrażenie, że są sprawy, o których powinna mi pani powiedzieć.

Przysłoniła oczy ręką, jak gdyby przeszkadzało jej światło w kuchni. Wallander nadal czekał. Wskazówki ściennego zegara zbliżały się do jedenastej.

- Boję się już tak długo - wyznała nagle, spoglądając na Wallandera, jakby to była jego wina.

Na próżno czekał na dalszy ciąg.

- Nikt się nie boi bez powodu - powiedział. - Jeżeli policja ma wyjaśnić okoliczności śmierci Gustawa i Stena Torstenssonów, musi nam pani pomóc.

- Nie mogę wam pomóc - odparła.

Wallander widział, że pani Duner jest na granicy załamania nerwowego. Mimo to mówił dalej:

- Może pani odpowiadać na moje pytania. Najpierw proszę powiedzieć, czego się pani obawia?

- Wie pan, co jest najgorsze? - odezwała się niespodziewanie. - Strach innych ludzi. Przez trzydzieści lat pracowałam u Gustawa Torstenssona. Nie znałam go. Ale nie mogłam nie zauważyć zmiany. Tak jakby zaczął wydzielać obcy zapach. Zapach strachu.

- Kiedy zauważyła to pani po raz pierwszy?

- Trzy lata temu.

- Czy zdarzyło się wtedy coś szczególnego?

- Wszystko było jak zwykle.

- Proszę spróbować sobie przypomnieć, to bardzo ważne.

- A jak pan myśli, co robiłam przez ten cały czas?

Wallander starał się być ostrożny, by nie popsuć nawiązanego kontaktu. Najważniejsze, że udało się ją skłonić do udzielania odpowiedzi.

- Nigdy pani nie rozmawiała o tym z Gustawem Torstenssonem?

- Nigdy.

- Ani z jego synem?

- Myślę, że on tego nie widział.

To chyba prawda, pomyślał Wallander. W końcu była przede wszystkim sekretarką Gustawa Torstenssona.

- Nie przychodzi pani do głowy żadne wytłumaczenie tego, co zaszło? Czy pani rozumie, że mogła pani zginąć, gdyby pani wyszła do ogrodu? Domyślała się pani tego i stąd ten telefon na policję. Czekala pani na to, że coś się stanie. I nie ma pani żadnego wytłumaczenia?

- Przychodzili w nocy do kancelarii - powiedziała. - I Gustaw, i ja to wiedzieliśmy. Poznawaliśmy po piórze, które zmieniło miejsce na stole, po krześle, na którym ktoś siedział i nie odstawił go na miejsce.

- Musiała go pani pytać - powiedział Wallander. - Jakoś to komentować.

- Nie pozwalał. Zabronił mi.

- Więc jednak wspominał coś o tych nocnych wizytach.

- Po człowieku widać, o czym nie chce rozmawiać. Rozmowę przerwało stukanie Nyberga w kuchenne okno.

- Zaraz wracam - powiedział, wstając, Wallander. Przed drzwiami prowadzącymi do ogrodu stał Nyberg z wyciągniętą ręką. Wallander dostrzegł czarny spalony przedmiot, nie dłuższy niż pół centymetra.

- Mina plastikowa - oświadczył Nyberg. - To moge powiedzieć na pewno.

Wallander skinął głową.

- Być może będziemy mogli ustalić, jaki to typ - ciągnął dalej Nyberg. - A może nawet gdzie została wyprodukowana. Ale to potrwa.

- Nad jednym się zastanawiam - rzekł Wallander. - Czy mógłbyś coś powiedzieć o człowieku, który umieścił tę minę?

- Może bym i mógł, gdybyś nie rzucił książką telefoniczną.

- Łatwo było minę dostrzec - zauważył Wallander.

- Ktoś, kto się zna na rzeczy, kładzie minę tak, że jej nie widać - wyjaśnił Nyberg. - Zarówno ty, jak i kobieta w kuchni zauważyliście, że ktoś kopał w trawniku. To robota amatorów.

A może chcą, żebyśmy tak uważali, pomyślał Wallander. Ale nie powiedział tego na głos i wrócił do kuchni. Właściwie zostało mu tylko jedno pytanie.

- Wczoraj wieczorem odwiedziła panią kobieta o azjatyckich rysach. Kto to był?

Spojrzała na niego zaskoczona.

- Skąd pan to wie? - spytała.

- To nie ma znaczenia. Proszę odpowiedzieć na pytanie.

- To sprzątaczką, która sprząta w kancelarii - powiedziała pani Duner.

Takie proste, pomyślał Wallander z uczuciem zawodu.

- Jak się nazywa?

- Kim Sung-Lee.

- Gdzie mieszka?
- Mam jej adres w biurze.
- W jakiej sprawie przyszła wczoraj?
- Zapytać, czy nadal będzie miała pracę. Wallander pokiwał głową.
- Chciałbym dostać jej adres - powiedział, wstając.
- Co teraz będzie? - spytała pani Duner.
- Nie musi się już pani więcej bać - odparł Wallander. - Dopilnuję, by w pobliżu był policjant. Tak długo, jak będzie trzeba.

Zawiadomił Nyberga, że wychodzi, i pojechał do komendy. Po drodze zatrzymał się przy kawiarni Fridolla i kupił kilka kanapek. Zamknął się w pokoju i zastanawiał, co powie Bjórkowi. Poszedł do niego do pokoju, ale go nie zastał. Rozmowa musi poczekać.

Była pierwsza, kiedy Wallander zapukał do drzwi Pera Akesona urzędującego w drugim końcu długiego i wąskiego gmachu komendy. Za każdym razem, gdy tam wchodził, zdumiewał go panujący w pokoju chaos. Biurko zalegały półmetrowe stosy papierów, na podłodze i krzesłach leżały porzucane segregatory. Przy ścianie leżała sztanga i niedbale zwinięty materac.

- Trenujesz? - zapytał Wallander.
- Nie tylko - odparł zadowolony Akeson. - W dodatku nabrałem pożytecznego zwyczaju ucinania sobie poobiedniej drzemki. Właśnie się obudziłem.
- Spisz na podłodze? - spytał zdziwiony Wallander.
- Trzydzieści minut - wyjaśnił Akeson. - Potem pracuję z nową energią.
- Może i ja powinienem spróbować - powiedział niepewnie Wallander.

Per Akeson zrobił mu miejsce na krześle, zrzucając po prostu stertę teczek na podłogę. Potem usiadł i wyciągnął nogi na biurku.

- Już niemal straciłem nadzieję - rzekł z uśmiechem.
- Ale w głębi duszy byłem pewny, że wrócisz.
- To był cholerny okres.

Per Akeson nagle spowaźniał.

- Nie potrafię sobie nawet uzmysłwić, co to znaczy - wyznał. - Zabić człowieka. Nawet w najbardziej uzasadnionej samoobronie. To chyba jedyny czyn, którego nie można cofnąć. Mogę sobie tylko wyobrazić, jakie przeżyłeś piekło.

Wallander skinął głową.

- Nigdy się tego nie pozbędę. Ale być może nauczę się z tym żyć.

Siedzieli w milczeniu. Z korytarza dochodziły czyjeś utyskiwania na zepsuty automat do kawy.

- Jesteśmy w tym samym wieku - powiedział Per Akeson. - Pół roku temu obudziłem się pewnego ranka i pomyślałem: Mój Boże! Więc to tak wygląda? Życie? Nie inaczej? Muszę przyznać, że ogarnęła mnie panika. Kiedy teraz na to patrzę, mogę powiedzieć, że dobrze się stało. Zrobiłem to, co powinienem był zrobić już dawno temu.

Spod stosu papierów wyciągnął kartkę i podał Wallanderowi. Było to ogłoszenie, w którym różne organy ONZ poszukiwały personelu z kwalifikacjami prawniczymi do pracy za granicą, między innymi do centrów uchodźców w Afryce i Azji.

- Wysłałem podanie - powiedział Per Akeson. - Potem o wszystkim zapomniałem. Przeszło miesiąc temu zostałem niespodziewanie wezwany na rozmowę kwalifikacyjną do Kopenhagi. Istnieje pewna szansa, że zaproponują mi dwuletni kontrakt w dużym ośrodku dla uchodźców z Ugandy. Trzeba im zorganizować powrót do kraju.

- Skorzystaj z tej możliwości - poradził Wallander. - Co na to twoja żona?

- Nic jeszcze nie wie - odparł Per Akeson. - Szczerze

mówiąc, nie wiem, jak zareaguje.

- Musisz jej powiedzieć.

Per Akeson zdjął nogi z biurka i przesunął część papierów, żeby zrobić trochę wolnego miejsca. Wallander opowiedział o wybuchu w ogrodzie pani Duner. Per Akeson pokręcił z niedowierzaniem głową.

- To niemożliwe - zaprotestował.

- Nyberg był dość pewny. Jak wiesz, najczęściej miewa rację - odparł Wallander.

- Jaka jest twoja opinia o całej tej sprawie? - spytał Per Akeson. - Rozmawiałem z Bjórkiem. I zgadzam się naturalnie, żeby unieważnił dochodzenie dotyczące wypadku samochodowego Gustawa Torstenssona. Ale czy rzeczywiście nie macie żadnego tropu?

Po chwili zastanowienia Wallander odpowiedział:

- Jedyne, czego możemy być pewni, to to, że śmierć obu adwokatów i mina w ogrodzie pani Duner nie są wynikiem osobliwych, zbiegających się w czasie przypadków. To zaplanowane zbrodnie, których początku ani końca nie znamy.

- Sądysz, że to, co się przytrafiło pani Duner, nie było tylko pustą pogrózką?

- Ten, kto umieścił minę w jej ogródku, chciał ją zabić - powiedział Wallander. - Uważam, że trzeba jej dać ochronę. Może powinna się nawet wyprowadzić.

- Załatwię to - zapewnił Per Akeson. - Porozmawiam z Bjórkiem.

- Ona się boi - dodał Wallander. - Lecz po kolejnej rozmowie doszedłem do wniosku, że nie wie dlaczego. Myślałem, że coś ukrywa. Teraz zrozumiałem, że niewiele wie, tak jak i wszyscy. Pomyślałem, że ty możesz coś powiedzieć o Gustawie i Stenie Torstenssonach. Musiałeś chyba mieć z nimi często do czynienia przez te wszystkie lata?

- Gustaw Torstensson był oryginałem - powiedział Per Akeson. - A syn znajdował się na dobrej drodze, by również nim zostać.

- Gustaw Torstensson - powtórzył Wallander. - Myślę, że wszystko od niego się zaczyna. Nie pytaj mnie dlaczego.

- Niewiele go znałem - przyznał Per Akeson. - Występował w sądzie jako obrońca publiczny, zanim zacząłem pracować. Zdaje się, że w ostatnich latach zajmował się przede wszystkim doradztwem ekonomicznym.

- Alfred Harderberg - wyjaśnił Wallander. - Człowiek z zamku w Farnholmie. To również wydaje mi się dziwne. Nieznany adwokat z Ystad. I właściciel międzynarodowego imperium finansowego.

- Z tego, co wiem, to jedna z największych umiejętności Harderberga - poinformował Per Akeson. - Dar wynajdywania odpowiednich ludzi, którymi się później otacza. Być może dostrzegł w Gustawie Torstenssonie coś, czego nikt inny nie zauważył.

- Czy znane ci są jakieś ciemne strony interesów Alfreda Harderberga? - zapytał Wallander.

- Nic o tym nie wiem - odparł Per Akeson. - Może się to wydawać dziwne. Mówi się, że za każdą fortuną kryje się przestępstwo. Wygląda jednak na to, że Alfred Harderberg jest obywatelem bez skazy. Na dodatek wykazuje zainteresowanie Szwecją.

- To znaczy?

- Nie inwestuje wyłącznie za granicą. Co więcej, zlikwidował niektóre firmy w innych krajach i przeniósł produkcję tutaj. To dziś należy do rzadkości.

- Jednym słowem, nie pada nawet cień podejrzenia na zamek w Farnholmie - podsumował Wallander. - A czy nie ma przypadkiem jakiejś plamy na wizerunku Gustawa Torstenssona?

- Absolutnie nie - odparł Per Akeson. - Uczciwy,

pedantyczny, nudny. Staroświecka rzetelność. Żaden geniusz, ale niegłupi. Dyskretny. Z pewnością nie zdarzyło mu się obudzić rano i pomyśleć, gdzie się podziało jego życie.

- A jednak został zamordowany - odparł Wallander.

- Musiała być jakaś skaza. Może nie u niego samego, lecz u kogoś innego.

- Nie jestem pewny, czy nadążam za twoim rozumowaniem

- rzekł z wahaniem Per Akeson.

- Adwokat jest jak lekarz - wyjaśnił Wallander. - Zna tajemnice wielu ludzi.

- Masz chyba rację - przyznał Per Akeson. - Rozwiązanie może się kryć w powierzonych mu sprawie. W czymś, co łączy wszystkich w kancelarii. I obejmuje również panią Duner.

- Szukamy - powiedział Wallander.

- Na temat Svena Torstenssona nie mam wiele więcej do powiedzenia - ciągnął Per Akeson. - Kawaler, również nieco staroświecki. Doszły mnie kiedyś pogłoski, że interesował się osobami tej samej płci. Ale to są pogłoski, które krążą o wszystkich kawalerach, gdy zaczynają się starzeć. Gdyby to było trzydzieści lat temu, podejrzewalibyśmy szantaż.

- To może warto zapamiętać - zauważył Wallander.

- Masz coś jeszcze?

- Właściwie nie. Czasami opowiadał jakiś dowcip. Nie należał do tych, których zaprasza się do domu. Podobno był dobrym żeglarzem.

Zadzwoił telefon. Per Akeson podniósł słuchawkę. Potem podał ją przez stół Wallanderowi.

- Do ciebie.

Wallander rozpoznał Martinssona. Od razu się domyślił, że wydarzyło się coś ważnego. Głos Martinssona brzmiał głośno i przenikliwie.

- Jestem w kancelarii - powiedział. - Znaleźliśmy coś, czego, być może, szukaliśmy.

- Co takiego?
- Listy z pogrózkami.
- Do kogo?
- Do całej trójki.
- Do pani Duner również?
- Tak.
- Już jadę.

Wallander wstał i podał słuchawkę Perowi Akesonowi.

- Martinsson znalazł listy z pogrózkami - wyjaśnił. - Wygląda na to, że miałem rację.
- Zadzwoń tu albo do mnie do domu, jak tylko będziesz coś wiedział - odparł Per Akeson.

Wallander ruszył prosto do samochodu, kurtka została w jego pokoju. W drodze do kancelarii nie zważał na ograniczenia szybkości. Kiedy wszedł do środka, Sonja Lundin siedziała wciąż na krześle.

- Gdzie oni są? - zapytał.

Wskazała na pokój zebrania. Wallander otworzył drzwi i w tym samym momencie dotarło do niego, że zapomniał o obecności urzędników z Izby Adwokackiej. Trzej poważni mężczyźni, wszyscy po sześćdziesiątce, przyglądali mu się z niechęcią. Przypomniawszy sobie swoją nieogoloną twarz, którą wcześniej tego samego dnia ujrzał w lustrze u pani Duner, i pomyślał, że fatalnie się prezentuje.

Martinsson i Svedberg siedzieli przy stole, czekając na niego.

- Komisarz Wallander - przedstawił go Svedberg.
- Policjant znany w całym kraju - powiedział jeden z urzędników Izby Adwokackiej, witając się sztywno.

Wallander uściśnął rękę dwóm pozostałym i zajął miejsce przy stole.

- No, mów - zwrócił się Wallander do Martinssona. Odpowiedział mu jeden z mężczyzn:
- Powinienem, być może, zacząć od wprowadzenia pana

komisarza w procedurę likwidacji kancelarii adwokackiej.

Wallander usłyszał, że mężczyzna nazywa się Wrede.

- Zajmiemy się tym później - przerwał mu Wallander. - Przejdźmy do sedna sprawy. Znaleźliście jakieś listy z pogrózkami?

Mężczyzna nazwiskiem Wrede spojrział niechętnie na Wallandera. Nic więcej nie powiedział. Martinsson przesunął w stronę Wallandera brązową kopertę, Svedberg podał mu plastikowe rękawiczki.

- Leżały głęboko w szufladzie szafy na dokumenty. Nie figurują ani w diariuszu, ani w dzienniku podawczym. Były schowane.

Wallander wciągnął rękawiczki i otworzył dużą brązową kopertę. W środku były dwie białe koperty. Usiłował bez powodzenia odczytać stemple pocztowe. Na jednej z kopert widniała czarna plama z tuszu, jak gdyby coś przekreślono. Wallander wyjął dwie kartki papieru listowego i położył przed sobą. Listy napisano odręcznie, tekst był krótki.

Krzywda nie została zapomniana, nikt z was nie będzie umierał w grzechu, umrzecie wszyscy, Pan, Gustawie Torstensson, Pański syn i Duner.

Drugi list był jeszcze krótszy. Charakter pisma był ten sam.

Wkrótce dosięgnie was kara za wyrządzoną krzywdę.

Pierwszy list nosił datę dziewiętnastego czerwca 1992 roku.

Drugi dwudziestego szóstego sierpnia tego samego roku.

Oba były podpisane nazwiskiem Lars Borman.

Wallander delikatnie odsunął listy i ściągnął rękawiczki.

- Szukaliśmy w rejestrze klientów - powiedział Martinsson - lecz ani Gustaw, ani Sten Torstensson nie mieli nikogo o nazwisku Lars Borman.

- Zgadza się - potwierdził Wrede.

- Ten człowiek wspomina doznaną krzywdę - mówił dalej Martinsson. - Musiała być ogromna, bo inaczej nie miałby powodu, żeby całej trójce grozić śmiercią.

- Masz z pewnością rację - odparł z roztargnieniem Wallander.

Znów ogarnęło go uczucie, że powinien coś zrozumieć, ale nie mógł sobie uświadomić co.

- Pokażcie, gdzie znaleźliście kopertę - powiedział, wstając. Svedberg zaprowadził go do dużej szafy na dokumenty, znajdującej się w pokoju, gdzie stało biurko pani Duner. Wskazał na najniższą szufladę. Wallander ją wyciągnął. Była wypełniona wiszącymi kartotekami.

- Zawołaj Sonję Lundin - polecił.

Kiedy Svedberg z nią przyszedł, Wallander widział, że jest bardzo zdenerwowana. Mimo to był całkowicie przekonany, że nie ma ona nic wspólnego z tajemniczymi wydarzeniami w kancelarii adwokackiej. Nie potrafił wytłumaczyć, dlaczego tak uważa.

- Kto miał klucz do tej szafy? - zapytał.

- Pani Duner - odparła ledwie słyszalnym głosem Sonja Lundin.

- Proszę mówić głośniej - powiedział Wallander.

- Pani Duner - powtórzyła.

- Tylko ona?

- Adwokaci mieli własne klucze.

- Czy szafa była zamykana?

- Pani Duner otwierała ją rano, po przyjściu, i zamykała, kiedy wychodziła.

Mężczyzna nazwiskiem Wrede wtrącił się do rozmowy.

- Wzięliśmy klucz od pani Duner - poinformował. - Klucz Stena Torstenssona. Dzisiaj my otwieraliśmy szafę.

Wallander skinął głową.

Wiedział, że powinien zapytać o coś jeszcze. Ale nic mu nie przychodziło na myśl. Odwrócił się do Wredego.

- Co sądzi pan o tych pogrózkach? - zapytał.

- Trzeba oczywiście natychmiast schwytać tego człowieka - odparł Wrede.

- Nie o to pytam - powiedział Wallander. - Chcę usłyszeć pańską opinię.

- Adwokaci są często narażeni na szykany.

- Przypuszczam, że każdy adwokat, wcześniej czy później, dostaje taki list.

- Być może Izba Adwokacka ma jakieś dane na ten temat.

Wallander długo mu się przyglądał, nim zadał ostatnie pytanie:

- Czy pan dostał kiedyś list z pogrózkami?

- Owszem.

- Dlaczego?

- Niestety, nie mogę tego zdradzić. Obowiązuje mnie tajemnica adwokacka.

Wallander pokiwał głową. Następnie z powrotem włożył listy do brązowej koperty.

- Zabieramy to ze sobą - oznajmił trzem mężczyznom z Izby Adwokackiej.

- To nie takie proste - odparł Wrede, który najwyraźniej mówił w imieniu pozostałych.

Podniósł się z krzesła i Wallander miał wrażenie, że znajduje się w sali sądowej, naprzeciwko sędziego.

- Całkiem możliwe, że w tej chwili nasze cele nie są zbieżne - przerwał mu Wallander, zły na siebie za sposób wyrażania się. - Wy zajmujecie się spuścizną po kancelarii adwokackiej, jeśli można to tak nazwać. A my zajmujemy się szukaniem jednego lub kilku sprawców mordu. Tę brązową kopertę zabieram ze sobą.

- Nie możemy się zgodzić, żeby zabierano stąd jakiegokolwiek dokumenty, zanim skontaktujemy się z prokuratorem, który prowadzi postępowanie przygotowawcze - odparł Wrede.

- Proszę zadzwonić do Pera Akesona - zaproponował Wallander. - I proszę go ode mnie pozdrowić.

Wziął kopertę i wyszedł z pokoju. Martinsson i Svedberg szybko ruszyli za nim.

- Teraz będzie awantura - powiedział Martinsson, kiedy wyszli z kancelarii. Wyglądało na to, że wcale się tym nie przejmują.

Wallander marzył. Wiatr był porywisty i przybierał na sile.

- Co robimy? - zapytał. - Gdzie się podziewa Ann-Britt Hóglund?

- Ma chore dziecko - poinformował Svedberg. - Hansson byłby zachwycony, gdyby to usłyszał. Zawsze twierdził, że kobieta nie nadaje się do ekipy śledczej.

- Hansson twierdzi różne rzeczy - rzekł Martinsson. - Policjanci, którzy jeżdżą z jednego szkolenia na drugie, też nie przynoszą większego pożytku.

- Listy są sprzed kilkunastu miesięcy - powiedział Wallander. - Mamy nazwisko mężczyzny, Lars Borman. Grozi śmiercią Gustawowi i Stenowi Torstenssonom. I pani Duner. Pisze jeden list, a w dwa miesiące później drugi. Pierwszy wysłał w kopercie firmowej. Sven Nyberg jest zdolny. Sądzę, że potrafi nam powiedzieć, co jest na niej napisane. Oba listy są oczywiście ostemplowane. Nie wiem właściwie, na co czekamy.

Wrócili do komendy. Podczas gdy Martinsson dzwonił do Svena Nyberga, który nadal kopał w ogrodzie pani Duner, Wallander usiłował odczytać stemple pocztowe.

Svedberg oddalił się, żeby sprawdzić nazwisko Borman w dostępnych policyjnych rejestrach. Kiedy piętnaście minut później Sven Nyberg wszedł do biura Wallandera, był siny z zimna, a na kombinezonie, w okolicy kolan, miał ciemne ślady trawy.

- Jak leci? - zapytał Wallander.

- Powoli - odparł Nyberg. - A co myślałeś? Mina rozpryskuje się na miliony odłamków.

Wallander wskazał na dwa listy i brązową kopertę, leżące na stole.

- To również trzeba dokładnie zbadać - powiedział. - Przede

wszystkim chcę wiedzieć, gdzie te listy zostały ostemplowane. I co jest napisane na jednej z kopert. Wszystko inne może zaczekać.

- Stemple odczytamy pod mikroskopem. Napis na kopercie został przekreślony tuszem. Muszę trochę poskrobać i chyba go odczytam bez wysyłania listów do Linkoping.

- To pilne - oświadczył Wallander.

- Wszystko jest zawsze pilne - odparł poirytowany Nyberg, zdejmując okulary. - Potrzebuję na to godziny. Czy to za dużo?

- Masz tyle czasu, ile potrzebujesz. Wiem, że pracujesz najszybciej, jak potrafisz.

Nyberg zabrał listy i wyszedł z pokoju. Po chwili zjawili się Martinsson i Svedberg.

- Nie ma w rejestrze żadnego Bormana - powiedział Svedberg. - Znalazłem czterech Bromanów i jednego Borrmana. Myślałem, że to błąd w pisowni. Ale okazało się, że niejaki Evert Borrman kręcił się w okolicach Óstersundu w końcu lat sześćdziesiątych i realizował fałszywe czeki. Jeżeli nadal żyje, musi mieć około osiemdziesięciu pięciu lat.

Wallander pokręcił głową.

- Musimy poczekać na Nyberga - rzekł. - Lepiej nie róbmy sobie zbyt wielkich nadziei. Pogróżka jest poważna, lecz nieokreślona. Zawołam was, jak Nyberg się odezwie.

Kiedy Wallander został sam, sięgnął po oprawiony w skórę segregator, który tego samego ranka dostał podczas wizyty na zamku w Farnholmie. Blisko godzinę był pochłonięty lekturą, zapoznając się z ogromem finansowego imperium Harderberga. Jeszcze nie skończył, kiedy usłyszał pukanie do drzwi i do pokoju wszedł Nyberg. Ku swojemu zdziwieniu Wallander stwierdził, że Nyberg wciąż ma na sobie brudny kombinezon.

- Teraz odpowiem na twoje pytania - oświadczył, ciężko

siadając na krześle. - Listy zostały ostemplowane w Helsingborgu. Na jednej z kopert odczytałem napis: „Hotel Linden”.

Wallander wziął notes i sporządził notatkę.

- Hotel Linden - powtórzył Nyberg. - Przy Gjutargatan dwanaście. Był nawet numer telefonu.

- Dokąd?

- Myślałem, że zrozumiałeś - powiedział Nyberg. - Listy są ostemplowane w Helsingborgu. Tam znajduje się hotel Linden.

- W porządku - odparł Wallander.

- Robię tylko to, o co mnie proszą. Ale poszło mi tak szybko, że zrobiłem jeszcze coś. Myślę, że będziesz miał problem.

Wallander spojrzał na niego pytająco.

- Wykręciłem ten numer w Helsingborgu. Abonent niedostępny. Poprosiłem Ebbę, żeby to sprawdziła. W ciągu dziesięciu minut dowiedziała się, że hotel Linden nie istnieje już od roku.

Nyberg wstał i przetarł dłonią siedzenie krzesła.

- Teraz idę na lunch - oświadczył.

- Idź - zgodził się Wallander. - Dziękuję za pomoc.

Po jego wyjściu Wallander zastanawiał się nad tym, co usłyszał. Potem zadzwonił po Svedberga i Martinssona. Kilka minut później przynieśli sobie kawę i zasiedli w pokoju Wallandera.

- Na pewno istnieje jakiś centralny rejestr hoteli - powiedział Wallander. - Hotel to przedsiębiorstwo. Ma właściciela. Nie można zamknąć hotelu, nigdzie tego nie rejestrując.

- Gdzie się podziewają stare księgi gości? - spytał Svedberg.

- Pali się je? Czy się zachowuje?

- Musimy się dowiedzieć - odparł Wallander. - I to niezwłocznie. Najważniejsze to odnaleźć właściciela hotelu Linden. Jeżeli się podzielimy, nie zajmie nam to więcej niż

godzinę. Spotkamy się później.

Wróciwszy do pokoju, Wallander zadzwonił do Ebby i poprosił, aby poszukała nazwiska Borman w spisie telefonów Skanii i Hallandu. Jak tylko odłożył słuchawkę, odezwał się telefon. Dzwonił ojciec.

- Pamiętasz, że masz przyjechać wieczorem? - przypomniał.

- Przyjadę - odparł Wallander. Pomyślał, że właściwie jest zbyt zmęczony, by jechać do Lóderup. Wiedział jednak, że nie może odmówić, nie może zmienić planów.

- Będę około siódmej - zapewnił.

- Zobaczymy.

- Co to ma znaczyć? - spytał Wallander, czując, jak wzbiera w nim złość.

- To ma znaczyć, że zobaczymy, czy będziesz, czy nie. Wallander z trudem powstrzymał się od dalszej dyskusji.

- Przyjadę - powiedział krótko i zakończył rozmowę. Powietrze w pokoju wydało mu się nagle duszne. Wyszedł na korytarz i skierował się do recepcji.

- Nie ma nigdzie Bormana - poinformowała go Ebba. - Czy mam szukać dalej?

- Na razie nie - odparł Wallander.

- Chcę cię zaprosić na kolację - powiedziała. - Musisz mi opowiedzieć, jak się właściwie miewasz.

Wallander kiwnął głową, lecz nic nie odpowiedział.

Wrócił do pokoju i otworzył okno. Wiało coraz bardziej, było mu zimno. Zamknął okno i usiadł za biurkiem. Segregator z Farnholmu był otwarty. Odsunął go na bok. Myślał o Baibie z Rygi.

Dwadzieścia minut później, gdy wciąż o niej myślał, rozległo się pukanie do drzwi i wszedł Svedberg.

- Wiem już wszystko o szwedzkich hotelach - oświadczył. - Zaraz przyjdzie Martinsson.

Kiedy zjawił się Martinsson, Svedberg przysiadł na rogu biurka i zaczął czytać z notesu.

- Hotel Linden prowadził właściciel, niejaki Berul Forsdahl - rozpoczął. - Poinformował mnie o tym Urząd Wojewódzki. Był to mały, rodzinny hotel, którego prowadzenie przestało się opłacać. Ponadto Bertil Forsdahl jest stary, ma siedemdziesiąt lat. Podano mi jego telefon. I mieszka w Helsingborgu.

Wallander wybierał numer, a Svedberg dyktował mu cyfry. Po wielu sygnałach ktoś podniósł słuchawkę. Była to kobieta.

- Chciałbym mówić z Bertilem Forsdahlem - poprosił Wallander.

- Nie ma go w domu - odpowiedziała kobieta. - Będzie dopiero wieczorem. Czy mogę wiedzieć, kto mówi?

Wallander przez chwilę się wahał.

- Moje nazwisko Kurt Wallander. Dzwonię z komendy w Ystad. Mam kilka pytań do męża w związku z hotelem, który prowadził jeszcze rok temu. Nic się nie stało, to tylko rutynowe pytania.

- Mój mąż jest uczciwym człowiekiem - oświadczyła kobieta.

- Nie wątpię w to - zapewnił Wallander. - To tylko kilka rutynowych pytań. Kiedy mogę go zastać w domu?

- Jest na wycieczce emerytów na wyspie Ven. Później mają jeść kolację w Landskronie. Na pewno będzie z powrotem około dziesiątej. Nie kładzie się nigdy przed północą. To przyzwyczajenie z czasów, gdy prowadził hotel.

- Proszę mu przekazać, że się odezwę - powiedział Wallander. - I niczym się nie przejmować.

- Nie przejmuję się. Mój mąż jest uczciwym człowiekiem.

Wallander zakończył rozmowę.

- Pojadę do niego dziś wieczór - postanowił Wallander.

- Możesz chyba poczekać do jutra - rzekł ze zdziwieniem Martinsson.

- Owszem, mogę. Ale i tak nie mam żadnych planów na wieczór.

Godzinę później siedzieli na zebraniu i omawiali stan śledztwa. Bjórk zawiadomił, że nie przyjdzie, gdyż został wezwany na pilne spotkanie do komendy wojewódzkiej. Niespodziewanie pojawiła się Ann-Britt Hóglund. Mąż wrócił do domu i zajął się chorym dzieckiem.

Wszyscy byli zdania, że trzeba się skoncentrować na listach z pogrózkami. Wallander czuł jednak, że nie wszystko jest w porządku. Nie opuszczała go dręcząca myśl, że ze śmiercią adwokatów wiąże się coś szczególnego, coś, czego on nie umie nazwać.

Przypomniawszy sobie, że Ann-Britt Hóglund miała to samo uczucie poprzedniego dnia.

Po zebraniu przystanęli w korytarzu.

- Jeżeli jedziesz wieczorem do Helsingborga, to chętnie się z tobą zabiorę - powiedziała. - Jeśli można.

- Nie musisz - odparł.

- Ale ja bym chciała.

Skinął głową. Umówili się na dziewiątą pod komendą.

Wallander wyruszył do domu ojca na krótko przed siódmą.

Po drodze zatrzymał się i kupił ciasto do kawy. Ojciec stał jak zwykle w pracowni i malował swój ulubiony motyw, jesienny krajobraz z głuszcem albo bez.

Mój ojciec jest, jak to się pogardliwie nazywa, malarzem odpustowym. A ja czuję się niekiedy odpustowym policjantem, pomyślał.

Zona ojca, dawna salowa, pojechała z wizytą do swoich rodziców. Wallander myślał, że ojciec będzie zirytowany, kiedy się dowie, że on nie może zostać dłużej niż godzinę. Ku jego zdziwieniu ojciec tylko kiwnął głową. Pograli trochę w karty, Wallander nie tłumaczył się, dlaczego wrócił do pracy. Zresztą ojciec nie przejawiał szczególnego zainteresowania. Tego wieczoru wyjątkowo się nie posprzecjali. W drodze powrotnej do Ystad Wallander zastanawiał się, kiedy ostatnio uniknęli sprzeczeki.

Była za pięć dziesiąta, kiedy Ann-Britt wsiadła do samochodu Wallandera i ruszyli w kierunku Malmö. Nadal wiało, chłodne powietrze wpadało do środka przez nieszczelną, gumową listwę na przedniej szybie. Wallander czuł słabą woń dyskretnych perfum Ann-Britt Hóglund. Przyśpieszył, gdy wyjechali na szosę E65.

- Wiesz, jak trafić w Helsingborgu? - spytała. - Nie.

- Możemy zadzwonić do kolegów z Helsingborga i zapytać - zaproponowała.

- Lepiej trzymać ich na razie z daleka.

- Dlaczego? - zdziwiła się.

- Policjanci, którzy kręcą się po cudzym terytorium, zawsze stwarzają problemy. Nie trzeba bez potrzeby ściągać sobie na głowę kłopotów.

Jechali dalej w milczeniu. Wallander myślał z przykrością o rozmowie, którą będzie musiał odbyć z Bjórkiem. Skręcił w boczną drogę na lotnisko Sturup. Po kilku kilometrach skręcił jeszcze raz w kierunku na Lund.

- Powiedz, dlaczego zostałeś policjantką - poprosił.

- Jeszcze nie teraz. Innym razem.

Ruch na szosie był niewielki. Wiatr nadal przybierał na sile. Minęli rondo za Staffanstorp i ujrzeni światła Lund. Było za pięć wpół do dziesiątej.

- To dziwne - odezwała się nagle.

Wallander natychmiast zauważył zmianę w głosie Ann-Britt. Rzucił wzrokiem na jej twarz, widoczną w świetle tablicy rozdzielczej. Spojrzenie miała utkwione w lusterku po swojej stronie. Spojrzał w lusterko. Widać było światła samochodu za nimi.

- Co jest dziwne?

- Nigdy jeszcze mi się to nie przydarzyło - odpowiedziała.

- Co?

- Żeby mnie ktoś ścigał. A w każdym razie śledził. Wallander zrozumiał, że ona nie żartuje. Popatrzył na światła w

lusterku.

- Skąd pewność, że ten samochód nas ściga?

- To bardzo proste - odparła. - Jedzie za nami od samego początku.

Wallander spojrział na nią z niedowierzaniem.

- Jestem całkowicie pewna. Jedzie za nami od chwili, gdy wyjechaliśmy z Ystad.

Strach był jak drapieżne zwierzę.

Już później Wallander przyrównywał go do zaciśniętych wokół szyi szponów; porównanie, które nawet jemu wydawało się dziecinne i nieprecyzyjne, a jednak w końcu zawsze się do niego uciekał. Komu opisywał swój strach? Córcie Lindzie, może i Baibie w jednym z listów, które regularnie wysyłał do Rygi. Chyba nikomu innemu. Nigdy nie rozmawiał z Ann-Britt Hóglund o tym, co czuł tamtego dnia w samochodzie, a ona nie pytała. Do końca nie wiedział, czy zauważyła jego strach, czy nie. Był do tego stopnia przerażony, że cały się trząsał. Bał się, że straci panowanie nad kierownicą i wjedzie z szaloną szybkością prosto do rowu, prosto w śmierć. Doskonale pamiętał, jak żałował, że nie jest sam. Wszystko byłoby wtedy łatwiejsze. Strach, który przygniatał go niczym ciężar drapieżnika, w dużej mierze spowodowany był lękiem, że coś się może stać kobiecie, która siedziała obok niego. Na zewnątrz grał rolę wytrawnego policjanta, który zorientowawszy się nagle, że ktoś go ściga między Staffanstorp a Lund, nic sobie z tego nie robi. Ale w rzeczywistości był śmiertelnie przerażony, dopóki nie dotarli do granicy miasta. Tuż po wjeździe do Lund, kiedy Ann-Britt Hóglund poinformowała go, że samochód wciąż depcze im po piętach, skręcił na dużą stację benzynową. Dostrzegli przejeżdżający wóz, ciemnoniebieskiego mercedesa, ale nie zdążyli zobaczyć numeru rejestracyjnego ani liczby osób w środku. Wallander podjechał do pompy i przystanął.

- Chyba ci się zdawało - powiedział. Pokręciła głową.
- Samochód jechał za nami - powtórzyła. - Odkąd wyjechaliśmy z Ystad. Nie mogę przysiąc, że stał i czekał pod komendą. Ale zauważyłam go wcześniej. Już na rondzie, z którego się wjeżdża na E65. Wtedy był to tylko samochód, jeden z wielu. Ale po tym, jak dwukrotnie skręciliśmy i

ciągle nas nie wyprzedzał, zaczęłam coś podejrzewać. Nigdy przedtem nie śledził mnie samochód.

Wallander wysiadł i odkręcił nakrętkę od baku. Ann-Britt stała z boku i patrzyła, jak tankuje. Nalał do pełna.

- Kto miałby nas śledzić? - zapytał, odwieszając pompę. Została przy samochodzie, kiedy poszedł zapłacić. Pomyślała, że musiała się pomylić. Strach powoli go opuszczał.

Przejeżdżali przez miasto. Ulice były opustoszałe, światła na skrzyżowaniach z najwyższym trudem zmieniały kolor. Kiedy zostawili za sobą miasto, Wallander przyśpieszył i wjechał na autostradę w kierunku północnym. Ponownie zaczęli obserwować jadące za nimi samochody. Mercedes zniknął i więcej się nie pojawił. Wallander skręcił na drogę prowadzącą do południowej części Helsingborga i zwolnił. Minęła go brudna ciężarówka, a zaraz po niej ciemnoczerwone volvo. Wallander zatrzymał się na skraju szosy, odpiął pas i wysiadł. Przeszedł do tyłu samochodu i przykucnął, jak gdyby sprawdzał tylne koło. Wiedział, że Ann-Britt Hóglund będzie obserwowała przejeżdżające samochody. Odczekał pięć minut i wyprostował się. Doliczył się w tym czasie czterech samochodów, w tym jednego autobusu, który - sądząc z dźwięku silnika - miał uszkodzony cylinder. Wsiadł do samochodu i spojrzął na nią.

- I co z mercedesem? - zapytał.

- Białe audi - odparła. - Dwaj mężczyźni z przodu, możliwe, że jeden na tylnym siedzeniu.

- Dlaczego akurat ten?

- To jedyni, którzy nie spojrzeli w naszym kierunku. I w dodatku przyśpieszyli.

Wallander wskazał na telefon.

- Zadzwoń do Martinssona - polecił. - Mam nadzieję, że zanotowałaś numery. Nie tylko audi, lecz także innych samochodów. Przekaż mu. Powiedz, że to pilne.

Podał jej domowy numer Martinssona, a sam rozglądał się za budką z telefonem, gdzie miał nadzieję znaleźć książkę telefoniczną z planem miasta, z którego się dowie, jak dalek jechać. Ann-Britt najpierw rozmawiała z dzieckiem Martinssona, prawdopodobnie z jego dwunastoletnią córką. Po chwili Martinsson podszedł do telefonu, podała mu numery rejestracyjne. Nagle oddała słuchawkę Wallanderowi.

- Chce z tobą mówić - powiedziała. Wallander przystanął i wziął słuchawkę.

- Co się dzieje? - zapytał Martinsson. - Czy te samochody nie mogą poczekać do jutra?

- Jeśli Ann-Britt mówi, że to pilne, to znaczy, że jest pilne - powiedział Wallander.

- Co to za samochody?

- Za długo by wyjaśniać. Powiem ci jutro. Zadzwoń do nas, jak się czegoś dowiesz.

Szybko zakończył rozmowę, żeby uniemożliwić Martinssonowi zadawanie dalszych pytań. Zauważył, że była urażona.

- Dlaczego on nie ma do mnie zaufania? Dlaczego musi wszystko sprawdzać u ciebie?

Głos miała piskliwy. Wallander starał się ją zrozumieć - nie chciała lub nie potrafiła ukryć rozgoryczenia.

- Nie ma się czym przejmować - pocieszył ją. - Trzeba czasu na oswojenie się z nową sytuacją. Jesteś najbardziej wstrząsającym wydarzeniem w historii ystadzkiej komendy w ciągu wielu ostatnich lat. Otaczają cię stare wygi, które nie mają najmniejszej ochoty zmieniać swoich nawyków.

- Ty też się do nich zaliczasz?

- Z pewnością - przytaknął Wallander.

Znalazł budkę telefoniczną, dopiero gdy dotarli do przystani promowej. Białe audi zniknęło. Zaparkował przed dworcem kolejowym. Na przybrudzonym ściennym planie miasta w

hali dworcowej odszukał ulicę Gjutargatan. Była na jego wschodnim krańcu. Zapamiętał, jak ma jechać, i wrócił do samochodu.

- Kto nas śledzi? - spytała, gdy skręcili w lewo i minęli biały budynek teatru.

- Nie wiem - odpowiedział. - W sprawie Gustawa i Stena Torstenssonów jest zbyt dużo przedziwnych rzeczy. Mam uczucie, że wciąż zmierzamy w złym kierunku.

- Według mnie, drepczemy w miejscu.

- Albo kręcimy się w kółko. I nie zauważamy, że idziemy po własnych śladach.

Audi nie pojawiło się. Wjechali w dzielnicę willową. Wokoło było bardzo cicho. Wallander zaparkował pod numerem dwunastym. Wicher szarpał drzwiami samochodu, kiedy wysiadali. Dom był z czerwonej cegły, jednopiętrowy, z dobudowanym garażem i małym ogródkiem. Przykryta plancką leżała, jak się domyślał Wallander, stara drewniana łódź. Drzwi otworzyły się, zanim jeszcze nacisnął dzwonek. Siwy mężczyzna w dresie przyglądał się im z lekkim uśmiechem.

Wallander wyjął legitymację.

- Moje nazwisko Wallander, jestem komisarzem policji - przedstawił się. - To moja koleżanka Ann-Britt Hóglund. Jesteśmy z policji w Ystad.

Mężczyzna wziął do ręki legitymację i przyglądał się jej oczami krótkowidza. W tym momencie weszła do przedsionka żona, by ich przywitać. Wallander miał wrażenie, że stoi w progu domu, w którym mieszka dwoje szczęśliwych ludzi. Zaprosili ich do salonu, gdzie na stole stały filizanki i talerz z ciastkami. Wallander już miał usiąść, gdy nagle jego wzrok zatrzymał się na wiszącym na ścianie obrazie. Z początku nie wierzył własnym oczom. Był to obraz jego ojca, wariant bez głuszca. Ann-Britt Hóglund zdziwiona podążyła za spojrzeniem Kurta. Kiwnął tylko

głową i usiadł na krześle. Po raz drugi w życiu znalazł się w domu obcych ludzi, gdzie wisiał obraz namalowany przez jego ojca. Za pierwszym razem, przed czterema laty, trafił na jeden z obrazów w mieszkaniu w Kristianstad. Pamiętał, że tamten miał na pierwszym planie głuszca.

- Proszę wybaczyć tę późną wizytę - przeprosił. - Mamy do państwa kilka niecierpiących zwłoki pytań.

- Mam nadzieję, że zdążycie się chociaż napić kawy. Podziękowali. Wallander przypuszczał, że Ann-Britt Hóglund towarzyszy mu tylko dlatego, że chce zobaczyć, jak on prowadzi przesłuchanie. Od razu stracił całą pewność siebie. Upłynął taki szmat czasu, pomyślał. To nie ja powinienem ją uczyć, sam muszę się uczyć od początku, przypomnieć sobie wszystko to, co jeszcze kilka dni temu uważałem za zamknięty rozdział w życiu.

Stańło mu przed oczami bezkresne wybrzeże koło Skagen. Jego samotny posterunek. Przez chwilę zatęsknił za powrotem. Ale tam nic już nie było.

- Jeszcze do zeszłego roku prowadził pan hotel Linden - zaczął.

- Przez czterdzieści lat - odparł Bertil Forsdahl. Wallander wyczuł dumę w jego głosie.

- To kawał czasu - przyznał.

- Kupiłem go w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym drugim - ciągnął Forsdahl. - Nazywał się w tamtym czasie Pelikan, był zapuszczony i miał fatalną opinię. Kupiłem go od niejakiego Markussona. Pił i nic więcej go nie obchodziło. W ostatnim roku pokoje najczęściej zajmowali jego podpici kumple. Muszę przyznać, że kupiłem go tanio. Markusson zmarł rok później. Wdał się w bójkę w Helsingborgu. Zmieniliśmy nazwę hotelu. Wtedy na ulicy, przy której stał hotel, rosła lipa*[* *Linden* (szwedz.) - lipa.]. Hotel stał obok starego teatru, którego też już nie ma. Bywało, że zatrzymywali się u nas aktorzy. Raz nawet nocowała Inga

Tidblad*[* Inga Tidblad - sławna aktorka teatralna.].
Prosiła o herbatę na śniadanie.

- Sądzę, że zachował pan księgę hotelową, do której się
wpisała - powiedział Wallander.

- Mam wszystkie, co do jednej - oznajmił Bertil Forsdahl.

- W piwnicy leży czterdzieści roczników.

- Zdarza nam się do nich zaglądać - wtrąciła się nagle żona.

- Kartkujemy je i wspominamy. Na widok nazwisk stają
nam przed oczami ludzie.

Wallander i Ann-Britt Hóglund ukradkiem wymienili
spojrzenia. Oto odpowiedź na jedno z ważniejszych pytań.

Na ulicy nagle zaczął ujadać pies.

- Pies sąsiada - powiedział przepraszająco Bertil Forsdahl.

- Pilnuje całej ulicy.

Wallander upił łyk kawy. Zauważył na filizance napis „Hotel
Linden”.

- Wyjaśnię państwu, dlaczego tu jesteśmy. Podobnie jak na
filizankach, na hotelowym papierze listowym i kopertach
widniały nazwa i adres hotelu. W czerwcu i w lipcu
ubiegłego roku w Helsingborgu nadano dwa listy. Jeden w
kopercie z hotelu. Musiało to być już pod koniec waszej
działalności.

- Zamknęliśmy piętnastego września - powiedział Bertil
Forsdahl. - Ostatnią noc goście spędzali u nas za darmo.

- Czy mogłabym wiedzieć, dlaczego zamknęliście hotel?

- spytała Ann-Britt Hóglund.

Wallandera irytowało, że wtrąca się do rozmowy. Miał
jednak nadzieję, że nie zauważy jego reakcji. Tym razem
odpowiedziała żona, jakby to było oczywiste, że kobiecie
powinna zadawać pytanie inna kobieta.

- Co mieliśmy robić? Budynek był skazany na zagładę,
przeznaczony do rozbiórki, hotel przestał się opłacać.
Mogliśmy ciągnąć to jeszcze przez parę lat, gdybyśmy
chcieli i gdybyśmy dostali zezwolenie. Ale nie było sensu.

- Tak długo jak się dało, staraliśmy się utrzymać najwyższy możliwy standard - dodał Bertil Forsdahl. - W końcu zrobiło się za drogo. Kolorowa telewizja w każdym pokoju. To zbyt kosztowne.

- Piętnasty września był smutnym dniem - znów podjęła wątek jego żona. - Zachowaliśmy wszystkie klucze. Mieliśmy siedemnaście pokoi. Tam gdzie był hotel, jest teraz parking. I nie ma lipy. Zgniła. Kto wie, czy drzewo nie może umrzeć ze zmartwienia.

Pies na ulicy nie przestawał szczekać. Wallander myślał o nieistniejącym już drzewie.

- Lars Borman - powiedział. - Czy to nazwisko coś wam mówi?

Odpowiedź, która nastąpiła, całkowicie go zaskoczyła.

- Biedny człowiek - oświadczył Bertil Forsdahl.

- To straszna historia - zawtórowała mu żona. - Dlaczego policja na nowo się nim zainteresowała?

- Więc wiecie, kto to jest - stwierdził Wallander. Widział, jak Ann-Britt Hóglund wyjmuje z torebki notatnik.

- Miły człowiek - odparł Bertil Forsdahl. - Cichy, spokojny. Zawsze uprzejmy i grzeczny. Takich ludzi już prawie nie ma.

- Chcielibyśmy się z nim skontaktować - rzekł Wallander.

Bertil Forsdahl i jego żona spojrzeli po sobie. Wallander zauważył nagle, że zrobiło im się przykro.

- Lars Borman nie żyje - wyjaśnił Bertil Forsdahl. - Myślałem, że o tym wiecie.

Po chwili milczenia Wallander podjął rozmowę.

- My nic nie wiemy o Larsie Bormanie - powiedział. - Jedyne, co wiemy, to to, że w ubiegłym roku napisał dwa listy, jeden z nich w firmowej kopercie waszego hotelu. Chcieliśmy go odnaleźć. Teraz wiemy, że to niemożliwe. Ale interesuje nas, co się z nim stało. I jaki on był?

- Był naszym regularnym gościem - odparł Bertil Forsdahl. - Przez wiele lat przyjeżdżał do nas, mniej więcej co cztery

miesiące. Na ogół zostawał przez dwa, trzy dni.

- Czym się zajmował? Skąd przyjeżdżał?

- Lars Borman pracował w Urzędzie Wojewódzkim. Zajmował się finansami. Był księgowym - uzupełnił Bertil Forsdahl. - Skrupulatnym i uczciwym urzędnikiem w Urzędzie Wojewódzkim w Malmö.

- Mieszkał w Klagshamn - powiedziała żona. - Miał żonę i dzieci. To była straszna tragedia.

- Co takiego się wydarzyło? - zapytał Wallander.

- Popęłnił samobójstwo - odparł Bertil Forsdahl. Widać było, że z trudem mu przychodzi o tym mówić. - Kogo jak kogo, ale jego nigdy byśmy nie podejrzewali, że odbierze sobie życie. Widocznie jednak ukrywał jakąś tajemnicę, o której nie mieliśmy pojęcia.

- Co takiego się wydarzyło? - powtórzył Wallander.

- Był tu, w Helsingborgu, na kilka tygodni przed zamknięciem hotelu. W dzień pracował, a wieczory spędzał w swoim pokoju. Dużo czytał. Ostatniego ranka zapłacił rachunek i pożegnał się z nami. Obiecał, że się do nas odezwie, mimo że hotel miał zostać zamknięty, i odjechał. Kilka tygodni później dowiedzieliśmy się, co zaszło. Powiesił się w zagajniku niedaleko Klagshamn, parę kilometrów od domu. Wsiadł na rower pewnej niedzieli, wczesnym rankiem. Nic nie pozostawił - żadnego wyjaśnienia, żadnego listu do żony czy dzieci. To był szok dla wszystkich.

Wallander z wolna pokiwał głową. Sam dorastał w Klagshamn. Ciekaw był, w którym zagajniku zakończył życie Lars Borman. Może tam, gdzie on bawił się jako dziecko?

- Ile miał lat? - zapytał.

- Trochę ponad pięćdziesiąt.

- Mieszkał w Klagshamn - zauważył Wallander - i pracował jako księgowy w Urzędzie Wojewódzkim. Dziwne, że zatrzymywał się w hotelu. Z Malmö do Helsingborga nie jest znów tak daleko.

- Nie lubił prowadzić samochodu - odparł Bertil Forsdahl. - Poza tym myślę, że chętnie tu przebywał. Wieczorem mógł zamknąć się w swoim pokoju i czytać książki. Nie przeszkadzaliśmy mu. Cenił to sobie.

- Jego adres musi być w księgach hotelowych - zauważył Wallander.

- Słyszeliśmy, że wdowa sprzedała dom i przeprowadziła się - odparła żona. - Po tym, co się stało, nie mogła tam dłużej mieszkać. A dzieci są już dorosłe.

- Wiecie, dokąd się przeniosła?

- Do Hiszpanii. Miasto nazywa się chyba Marbella. Wallander spojrział na Ann-Britt Hóglund - skrupulatnie wszystko notowała.

- Czy mógłbym ja teraz zadać pytanie? - odezwał się Bertil Forsdahl. - Dlaczego policja interesuje się zmarłym Larsem Bormanem?

- To rutynowa sprawa - odparł Wallander. - Niestety, nie mogę nic więcej powiedzieć. Ale on nie był ani nie jest podejrzany o żadne wykroczenie.

- To był porządny człowiek - oświadczył stanowczo Bertil Forsdahl. - Twierdził, że trzeba żyć skromnie i odpowiedzialnie. Dużo rozmawialiśmy w ciągu tych lat. Zawsze się denerwował, gdy rozmowa schodziła na szerzącą się wokół nieuczciwość.

- Czy nigdy nie wyjaśniono przyczyny jego samobójstwa? - zapytał Wallander.

Bertil Forsdahl i jego żona pokręcili przecząco głowami.

- To by było tyle - zakończył Wallander. - Jeżeli można, chcielibyśmy jeszcze zajrzeć do księgi hotelowej z ostatniego roku.

- Leżą w piwnicy - powiedział Bertil Forsdahl, wstając.

- Może dzwonić Martinsson - przypomniała Ann-Britt Hóglund. - Pójdę do samochodu po telefon.

Wallander dał jej kluczyki i żona odprowadziła ją do drzwi.

Słyszał, jak Ann-Britt zatrzasnęła drzwi od samochodu, pies sąsiadów nie zaszczekał. Kiedy wróciła, zeszli do piwnicy. Pomieszczenie było niezwykle przestronne. Na półkach wzdłuż jednej ściany stał długi rząd ksiąg hotelowych, stary szyld z nazwą hotelu i tablica, na której wisiało siedemnaście kluczy od pokoi. Muzeum, pomyślał rozczulony Wallander. Tu kryje się wspomnienie długiego, pracowitego życia. Wspomnienie małego hotelu, który w końcu przestał się opłacać.

Bertil Forsdahl zdjął ostatnią księgę w rzędzie i położył na stole. Przerzucał kartki, aż doszedł do dwudziestego szóstego sierpnia 1992 roku. Wskazał odpowiednią rubrykę. Wallander i Ann-Britt Hóglund pochylili się nad księgą. Wallander od razu rozpoznał charakter pisma. Wydawało mu się też, że list został napisany tym samym piórem, którym Lars Borman wpisał się do księgi. Urodził się dwunastego października 1939 roku i tytułował się wojewódzkim księgowym. Ann-Britt Hóglund zanotowała adres w Klagshamn: Mejramsvagen 23. Wallander nie przypominał sobie tej ulicy. To pewnie jedna z wielu willowych dzielnic, które powstały już po tym, jak się wyprowadził. Przerzucił kartki i cofnął się do czerwca. Znowu odnalazł nazwisko Larsa Bormana pod datą, która pokrywała się z datą wysłania pierwszego listu.

- Rozumiesz coś z tego? - spytała cicho Ann-Britt Hóglund.

- Niewiele - odparł Wallander.

W tej samej chwili zabrzączał telefon, który Ann-Britt Hóglund przyniosła ze sobą do piwnicy. Wallander dał znak, żeby rozmawiała. Usiadła na stołku i zaczęła notować słowa Martinssona. Wallander zamknął księgę i patrzył, jak Bertil Forsdahl odstawia ją na miejsce. Po skończonej rozmowie weszli z powrotem na parter. Na schodach Wallander zapytał Ann-Britt, co mówił Martinsson.

- Chodziło o audi. Porozmawiamy później.

Było piętnaście po jedenastej. Wallander i Ann-Britt Hóglund szykowali się do wyjścia.

- Przykro mi, że zrobiło się tak późno - przeprosił Wallander. - Bywa nieraz, że policja nie może czekać.

- Mam nadzieję, że na coś się przydadaliśmy - odparł Bertil Forsdahl. - Mimo że wspomnianie biednego Larsa Bormana jest dla nas bolesne.

- Rozumiem - powiedział Wallander. - Gdybyście sobie jeszcze coś przypomnieli, proszę dzwonić na policję w Ystad.

- Cóż by to miało być? - zdziwił się Bertil Forsdahl.

- Nie wiem - odparł Wallander i wyciągnął rękę na pożegnanie.

Wyszli z domu i usiedli w samochodzie. Wallander zapalił światło w środku. Ann-Britt Hóglund wyjęła swój notatnik.

- Miałam rację - powiedziała, spoglądając na Wallandera. - To było białe audi. Numer się nie zgadzał. Tablica rejestracyjna była skradziona. Należała właściwie do nissana, który nie jest jeszcze sprzedany. Stoi u dealera, w Malmö.

- A pozostałe samochody?

- Wszystko się zgadzało.

Wallander zapuścił silnik. Było wpół do dwunastej. Wicher nie ustawał. Wyjechali z miasta. Na szosie panował niewielki ruch. Za nimi nie było żadnych samochodów.

- Zmęczona? - spytał Wallander.

- Nie - odparła.

Na południe od Helsingborga znajdowała się stacja benzynowa z nocnym barem. Wallander podjechał do stacji i zatrzymał się.

- Jeżeli nie jesteś zmęczona, to zróbmy krótką przerwę - zaproponował. - Ty i ja możemy odbyć małe nocne zebranie i uporządkować to, co usłyszeliśmy dziś wieczorem. Popatrzmy na samochody, które tu będą podjeżdżały. W

każdym razie nie musimy się martwić o białe audi.

- Dlaczego? - zdziwiła się.

- Jeżeli wróca, to innym samochodem - odparł Wallander. - Kimkolwiek są, wiedzą, co robią. Nie przyjadą dwa razy tym samym wozem.

Weszli do baru. Wallander zamówił hamburgera, Ann-Britt Hóglund nie chciała jeść. Usiedli w taki sposób, żeby mieć oko na parking. Przy sąsiednim stoliku piło kawę dwóch duńskich kierowców tirów. Poza tym było pusto.

- Powiedz, co sądzisz - zaczął Wallander - o księgowym z Urzędu Wojewódzkiego, który pisze listy z pogrózkami do dwóch adwokatów, a potem wsiada na rower i jedzie się powiesić do lasu.

- Trudno mieć jakiegokolwiek zdanie - odparła.

- Spróbuj - nalegał Wallander.

Siedzieli w milczeniu, pogrążeni we własnych myślach. Do stacji podjechał wypożyczony z jakiejś firmy samochód ciężarowy. Wywołano zamówione danie Wallandera. Poszedł po talerz i wrócił do stołu.

- W liście Larsa Bormana jest mowa o wyrządzonej krzywdzie - odezwała się Ann-Britt. - Na czym ona polega, nie wiemy. Lars Borman nie był ich klientem. Nie wiemy, w jakich pozostawali stosunkach. Jednym słowem, nie wiemy nic.

Wallander odłożył widelec i wytarł usta serwetką.

- Pewnie słyszałaś o Rydbergu - powiedział. - Stary policjant, który zmarł parę lat temu. Był mądrym człowiekiem. Pewnego razu powiedział coś w tym rodzaju: „Policjanci mają uporczywą skłonność do twierdzenia, że nic nie wiedzą. W gruncie rzeczy zawsze wiemy więcej, niż nam się wydaje”.

- To brzmi jak te skrzydlate słowa, którymi nas karmiono w Wyższej Szkole Policji - odparła. - Notowaliśmy je i staraliśmy się jak najszybciej zapomnieć.

Wallander był poirytowany. Nie znosił, kiedy ktoś podważał autorytet Rydberga.

- Nie interesuje mnie, co notowaliście w Wyższej Szkole Policji - oświadczył. - Ale powinnaś słuchać tego, co ja mam do powiedzenia. I tego, co mówił Rydberg.

- Zły jesteś na mnie? - zdziwiła się.

- Nigdy nie jestem zły - odpowiedział. - Ale twoje podsumowanie na temat tego, co wiemy o Larsie Bormanie, było kiepskie.

- Potrafisz to zrobić lepiej? - zapytała. Znów miała piskliwy głos.

Łatwo się obraża, pomyślał. Sytuacja, gdy jest się jedyną kobietą w wydziale kryminalnym w Ystad, musi być o wiele trudniejsza, niż mi się wydaje.

- Właściwie nie chciałem powiedzieć, że było kiepskie - poprawił się. - Ale mam wrażenie, że zapominasz o kilku sprawach.

- Chętnie posłucham. Wiem, że w tym jestem dobra. Wallander odsunął talerz i przyniósł sobie filiżankę kawy.

Duńscy kierowcy już wyszli. Byli teraz sami. Z kuchni dochodzi! słaby dźwięk radia.

- Nie można, rzecz jasna, wyciągać jakichkolwiek wniosków - powiedział. - Spróbujmy jednak przyjąć pewne założenia i ułożmy wstępne puzzle. Przekonajmy się, co z tego wyjdzie,

czy nie uda się trafić przynajmniej na cień jakiegoś motywu.

- Jak na razie wszystko rozumiem - zapewniła.

- Wiemy, że Lars Borman był księgowym - ciągnął dalej Wallander. - Wiemy również, że najwyraźniej był człowiekiem bezwzględnie uczciwym. Jak wynika ze świadectwa Forsdahlów, uczciwość stanowiła główną cechę jego charakteru. Obok spokojnego usposobienia i zamiłowania do książek. Z doświadczenia wiem, że dość rzadko się zdarza, aby od tego zaczynać charakterystykę człowieka. Oznacza to, że uczciwość była jego prawdziwą

namiętnością.

- Uczciwy księgowy - powiedziała Ann-Britt.

- I nagle ten uczciwy człowiek pisze dwa listy z pogrózkami do kancelarii adwokackiej Torstenssona w Ystad. Podpisuje się własnym nazwiskiem, lecz zamazuje nazwę hotelu na kopercie. Tu nasuwa się kilka przypuszczeń.

- Nie chce być anonimowy - odgadła Ann-Britt Hóglund.

- Ale nie zamierza w to wszystko wciągać hotelu.

- Nie tylko nie chce być anonimowy - podjął Wallander.

- Uważam, że możemy przyjąć, że adwokaci wiedzieli, kim jest Lars Borman.

- Uczciwy człowiek, którym wstrząsnęła niesprawiedliwość - powiedziała. - Pytanie, na czym ta niesprawiedliwość polegała.

- Tu mogę przedstawić moją przedostatnią hipotezę. Sądzę, że brakuje pośredniego ogniwa. Lars Borman nie był klientem adwokatów. Być może istniał jeszcze ktoś, kto z jednej strony miał kontakt z Larsem Bormanem, a z drugiej z kancelarią adwokacką.

Pokiwała w zadumie głową, po czym powiedziała:

- Czym się zajmuje księgowy? Kontroluje przepływ pieniędzy. Sprawdza faktury, zaświadcza, że sprawozdania finansowe zostały sporządzone prawidłowo. To masz na myśli?

- Gustaw Torstensson zajmował się doradztwem ekonomicznym - poinformował Wallander. - Księgowy czuwa nad przestrzeganiem ustaw i przepisów. Inaczej mówiąc, adwokat i księgowy robią to samo. W każdym razie powinni.

- To była przedostatnia hipoteza - przypomniała. - To znaczy, że masz jeszcze jedną?

- Lars Borman pisze dwa listy z pogrózkami - powiedział Wallander. - Może napisał więcej. Tego nie wiemy. Wiemy tylko, że listy leżały schowane w kopercie.

- Ale adwokaci już nie żyją. A dziś rano ktoś usiłował pozbawić życia panią Duner.

- Z kolei Lars Borman popełnia samobójstwo - uzupełnił Wallander. - Sądzę, że od tego musimy zacząć. Od samobójstwa. Skontaktujemy się z kolegami z Malmö. Gdzieś musi być dokument wykluczający podejrzenie o zabójstwo. Opinia lekarza.

- Jego żona mieszka w Hiszpanii - przypomniała Ann-Britt.

- Dzieci chyba zostały w Szwecji. Z nimi też trzeba porozmawiać.

Wstali i opuścili bar.

- Powinniśmy to robić częściej - powiedział Wallander. - Miło się z tobą rozmawia.

- Mimo że nic nie rozumiem? I nie umiem dobrze formułować podsumowania?

- Za dużo gadam - przyznał.

Wsiadli do samochodu. Dochodziła pierwsza. Wallander z niechęcią myślał o czekającym na niego pustym mieszkaniu. Jak gdyby w jego życiu coś się skończyło już bardzo dawno, na długo przedtem, zanim klęczał we mgle na poligonie pod Ystad. Ale tego nie zauważył. Myślał o obrazie ojca na ścianie domu przy Gjutargatan. Dotychczas malarstwo ojca wydawało mu się czymś wstydliwym, pochlebstwem na targowisku złego smaku. Nagle przyszło mu do głowy, że może jest inaczej. Ze obrazy ojca dają ludziom poczucie równowagi, którego na próżno szukają gdzie indziej. Znaleźli je w nieruchomych pejzażach, które malował. Przypomniało mu się, jak niedawno nazwał się odpustowym policjantem. Może i jego pogarda wobec samego siebie jest z gruntu nieuzasadniona?

- O czym myślisz? - przerwała mu rozmyślenia Ann-Britt.

- Nie wiem - wykręcił się. - Jestem po prostu zmęczony.

Wallander jechał w kierunku Malmö. Była to trochę dłuższa droga, lecz wolał się trzymać głównych dróg, wracając do

Ystad. Ruch był niewielki, nigdzie nie widać było śledzącego ich samochodu. Porywisty wiatr rzucał wozem.

- Nie przypuszczałam, że to się tu zdarza - odezwała się nagle. - Że mogą kogoś ścigać obcy ludzie.

- Ileś lat temu jeszcze się nie zdarzało - odparł Wallander. - Potem nastąpiła zmiana. Mówi się, że Szwecja zmieniała się powoli i niepostrzeżenie. Ale, moim zdaniem, wszystko było widoczne jak na dłoni. Jeśli się tylko uważnie patrzyło.

- Powiedz mi, jak było kiedyś - poprosiła. - I co się od tej pory zmieniło.

- Nie wiem, czy potrafię - odparł po chwili milczenia. - To są moje prywatne opinie. Ale na co dzień, nawet w tak małym i prowincjonalnym mieście jak Ystad, dało się zauważyć różnicę. Przepęstw było więcej i innego typu - cięższe i bardziej skomplikowane. Zaczęliśmy wykrywać przestępców wśród ludzi, którzy przedtem mieli nieposzlakowaną opinię. Ale dlaczego tak się stało, nie umiem powiedzieć.

- To nie tłumaczy faktu, że mamy jedne z najgorszych wyników na świecie. Szwedzka policja wykrywa mniej przestępstw niż większość policji w innych krajach.

- Porozmawiaj na ten temat z Björkiem - odpowiedział Wallander. - Nie śpi przez to po nocach. Czasami odnoszę wrażenie, że jego ambicją jest, żebyśmy my w Ystad pracowali nad przywróceniem dobrego imienia całej krajowej policji.

- A jednak musi być jakieś wytłumaczenie - upierała się. - Nie tylko takie, że jest za mało policjantów, że brakuje tak zwanych środków zaradczych, o których tyle się mówi, lecz nikt właściwie nie potrafi określić, na czym rzecz polega.

- To tak, jakby spotykały się dwa światy - powiedział Wallander. - Wielu policjantów uważa, podobnie jak ja, że umiejętności i doświadczenie zdobywaliśmy w czasach, gdy wszystko inaczej wyglądało - istniała jednoznaczna definicja przestępstwa, w społeczeństwie obowiązywało wyższe

morale, a autorytet policji był niepodważalny. Dziś, abyśmy mogli być skuteczni, potrzebowalibyśmy umiejętności i doświadczeń, jakich nie posiadamy. Ci, którzy przychodzą po nas, tak jak ty, mają zbyt ograniczone możliwości oddziaływania na warunki pracy i ustalania priorytetów. Powstaje wrażenie, że przestępcy powiększają swą przewagę, nie napotykając żadnych przeszkód. A społeczeństwo odpowiada na to, manipulując statystyką. Zamiast stworzyć policji warunki do wykrywania wszystkich popełnianych przestępstw, część z nich się umarza. To, co dziesięć lat temu uchodziło za wykroczenie, dziś już nim nie jest. Codziennie następują przesunięcia. Za czyn, który jeszcze wczoraj pociągał za sobą karę, dziś się już nie ściga, postępowanie zostaje niezwłocznie umorzone. W najlepszym razie spisuje się raport, który później ginie w niewidocznej niszczarce dokumentów. Pozostaje jedynie coś, co właściwie nigdy nie miało miejsca.

- To nie może się dobrze skończyć - skomentowała po chwili.

Wallander rzucił na nią okiem.

- Kto mówi, że to się dobrze skończy? - zapytał. Minęli Landskrönę i zbliżali się do Malmö. Wyprzedziła ich z dużą prędkością karetka pogotowia, omiatając ich niebieskim światłem. Wallander był znużony. Nie wiadomo z jakiego powodu zrobiło mu się na chwilę żal siedzącej obok niego kobiety. W nadchodzących latach często się będzie zastanawiała nad sensem swojej pracy. Jeżeli nie jest osobą wyjątkową, doświadczy nieprzerwanego pasma rozczarowań i znajdzie niezwykle mało powodów do radości.

Był tego pewny.

Myślał również, że opinia, którą Ann-Britt się cieszy, jest uzasadniona. Pamiętał pierwszy rok Martinssona, kiedy przyszedł do Ystad po ukończeniu Wyższej Szkoły Policji.

Niewiele mieli z niego pożytku. Dzisiaj był jednym z najlepszych pracowników dochodzeniowo-śledczych.

- Jutro szczegółowo przeanalizujemy cały materiał - powiedział, usiłując dodać jej otuchy. - Gdzieś musi istnieć punkt, w którym będzie można wyłamać mur.

- Mam nadzieję, że się nie mylisz - odparła. - Pewnego dnia i u nas może dojść do tego, że niektóre zabójstwa będziemy uważać za czyny niewarte interwencji.

- Wtedy policja musi dokonać rewolucji - oświadczył Wallander.

- Na to komendant główny nigdy się nie zgodzi.

- Skorzystamy z tego, że jest za granicą i żywi się za pieniądze z funduszu reprezentacyjnego - rzekł Wallander.

- W takim razie z pewnością nie zabraknie nam okazji.

Rozmowa się urwała. Szosa przechodziła przez wschodnią część miasta. Wallander był całkowicie skoncentrowany na prowadzeniu i niewiele myślał o przeżytych długim dniu.

Dopiero gdy zostawili za sobą Malmö i wjechali na E65 prowadzącą do Ystad, Wallandera ogarnęło nagle przeczucie, że coś jest nie tak, jak być powinno. Ann-Britt Hóglund przymknęła oczy i przechyliła głowę na bok. W tylnym lusterku nie było widać żadnych świateł.

Jego zmysły natychmiast się wyostrzyły. Moje myśli poruszają się wciąż złymi ścieżkami, mówił do siebie. Zamiast stwierdzić, że nie ściga nas żaden samochód, powinienem sobie zadać pytanie dlaczego. Jeżeli Ann-Britt Hóglund miała rację, a ja nie widzę powodu, by wątpić, że ktoś rzeczywiście nas śledził od czasu, kiedy wyjechaliśmy z komendy, znaczy to po prostu, że śledzenie przestało być konieczne.

Pomyślał o minie w ogrodzie pani Duner.

Nie zastanawiając się, przyhamował, skręcił na pobocze i zapalił światła awaryjne. Ann-Britt Hóglund obudziła się, kiedy samochód się zatrzymał. Spojrzała na Kurta

zdziwiona, na wpół śpiąca.

- Wysiadaj z samochodu - polecił Wallander.

- Dlaczego?

- Rób, co mówię! - wrzasnął.

Odpięła pas i pierwsza wyskoczyła z wozu.

- Odejdź na bok - powiedział.

- Co się dzieje? - zapytała, gdy stali, patrząc na migocące światła awaryjne. Wiał ostry i porywisty wiatr, było zimno.

- Nie wiem - odparł Wallander. - Może nic. Zaniepokoiło mnie, że nikt już nas nie śledzi.

Nie musiał tłumaczyć, o co mu chodzi. Od razu zrozumiała. W tym momencie Wallander uznał, że Ann-Britt Hóglund już teraz jest dobrą policjantką. Inteligentną, umie się połapać w nieoczekiwanych skojarzeniach. Jednocześnie uświadomił sobie, że po raz pierwszy od dawna znalazł kogoś, z kim może dzielić swój własny lęk. Tu, na poboczu, tuż przed zjazdem na Svedalę, doznał uczucia, że niekończąca się wędrówka po wybrzeżu w Skagen wreszcie dobiegła końca.

Wallander zachował dość przytomności umysłu, by złapać telefon z samochodu. Zaczął wybierać numer do Martinssona.

- Pomyśli, że oszalałem - powiedział, czekając na zgłoszenie.

- Czego się obawiasz?

- Nie wiem. Ale ludzie, którzy zakopują miny w szwedzkich ogródkach, potrafią na pewno majstrować przy samochodzie.

- Jeżeli to ci sami ludzie.

- Tak - zgodził się Wallander. - Jeżeli to ci sami ludzie. Martinsson odebrał telefon. Wallander słyszał, że jest zaspany.

- Mówi Kurt - powiedział. - Stoję na E65, tuż pod Svedalą. Jest ze mną Ann-Britt. Zadzwoń do Nyberga i powiedz, żeby tu przyjechał.

- Co się stało?
- Chcę, żeby obejrzał mój samochód.
- Jeżeli to coś z silnikiem, to możesz przecież dzwonić do pomocy drogowej - podsunął zdziwiony Martinsson.
- Nie mam czasu tłumaczyć - odparł Wallander, czując, jak narasta w nim rozdrażnienie. - Zrób, co mówię. Niech Nyberg weźmie ze sobą sprzęt, żeby mógł sprawdzić, czy nie jeżdżę z bombą pod nogami.

- Bomba w samochodzie?
- Słyszałeś, co powiedziałem.

Wallander zakończył rozmowę i pokręcił głową.

- Ma naturalnie rację - przyznał. - Stać w środku nocy na E65 i podejrzewać, że się ma w samochodzie bombę, to czyste szaleństwo.

- Czy aby na pewno?

- Nie wiem - odparł Wallander. - Mam oczywiście nadzieję, że nie. Ale nie jestem pewny.

Minęła godzina, zanim Nyberg przyjechał na miejsce. Wallander i Ann-Britt Hóglund przemarzli do szpiku kości. Wallander liczył się z tym, że Nyberg będzie wściekły. Martinsson zmusił go do wyjazdu, podając mało wiarygodne uzasadnienie. Ku jego zdziwieniu Nyberg był nastawiony życzliwie, rozumiał, że wydarzyło się coś poważnego. Mimo protestów Ann-Britt Wallander odesłał ją do samochodu Nyberga, żeby się mogła ogrzać.

- Na przednim siedzeniu leży termos - oznajmił Nyberg. - Kawa powinna być jeszcze ciepła.

Następnie odwrócił się do Wallandera. Spod płaszcza wystawała mu piżama.

- Co z twoim samochodem?

- Mam nadzieję, że ty mi powiesz - odrzekł Wallander. - Może się okazać, że absolutnie nic.

- Czego mam szukać?

- Nie wiem. Wszystko jest w sferze domysłów. Na jakieś

trzydzieści minut spuściliśmy samochód z oczu. Był zamknięty.

- Masz alarm? - przerwał Nyberg.

- Nic nie mam - odparł Wallander. - Samochód jest stary i w złym stanie. Zawsze uważałem, że nikt nie będzie zainteresowany jego kradzieżą.

- Mów dalej - powiedział Nyberg.

- Trzydzieści minut - powtórzył Wallander. - Kiedy ruszyłem, wszystko było normalnie. Od Helsingborga zrobiliśmy do tej pory jakieś sto kilometrów. Po drodze zatrzymaliśmy się na kawę. Zatankowałem do pełna w drodze do Helsingborga. Musiało minąć ze trzy godziny od czasu, kiedy samochód stał niepilnowany.

- Właściwie nie powinienem go ruszać - powiedział Nyberg.

- Jeżeli podejrzewasz, że może wylecieć w powietrze.

- Myślałem, że to się dzieje przy uruchamianiu silnika.

- W naszych czasach istnieją wszelkie możliwe sposoby wywołania detonacji. Od wbudowanego mechanizmu opóźniającego aż do zapalników zdalnie sterowanych drogą radiową.

- Może lepiej go nie ruszać - zasugerował Wallander.

- Może i tak. Ale chciałbym na niego popatrzeć. Umówmy się, że robię to z własnej woli. Nie z twojego polecenia.

Nyberg wyjął ze swojego samochodu mocną latarkę. Ann-Britt Hóglund wysiadła i podała Wallanderowi kubek z kawą. Patrzyli, jak Nyberg położył się na boku i świecił latarką pod samochodem. Potem wstał i dwukrotnie okrążył wóz.

- Ja chyba śnię - wymamrotała Ann-Britt Hóglund, stojąc obok Wallandera.

Nyberg przystanął obok otwartych drzwi kierowcy. Zajrzał do środka i poświecił latarką. Przeładowany volkswagen, minibus z polską rejestracją, przejechał w kierunku przystani promowej w Ystad. Nyberg zgasił latarkę i

podszedł do nich.

- Czy dobrze słyszałem? - zapytał. - Nie mówiłeś przypadkiem, że w drodze do Helsingborga zatankowałeś do pełna?

- Zatankowałem w Lund - powiedział Wallander. - Nie mieściła się już nawet kropla benzyny.

- A potem pojechaliście do Helsingborga? I stamtąd tutaj? Wallander policzył kilometry.

- Zrobiliśmy najwyżej piętnaście mil. Słyszając to, Nyberg zmarszczył czoło.

- Co jest? - zapytał Wallander.

- Czy zdarzyło ci się kiedyś, że wskazówka paliwomierza nie działała? - spytał Nyberg.

- Nigdy. Pokazuje, ile zostało benzyny.

- Ile litrów mieści bak?

- Sześćdziesiąt.

- Jak w takim razie wytłumaczysz, że wskazówka pokazuje jedną czwartą baku?

Z początku Wallander nie zrozumiał. Zaraz potem dotarło do niego, co Nyberg ma na myśli.

- Ktoś musiał spuścić benzynę - powiedział. - Samochód pali poniżej jednego litra na milę.

- Odejdźmy jeszcze z dziesięć metrów - zaproponował Nyberg. - A ja przestawię mój wóz.

Patrzyli, jak Nyberg odjeżdża na bok. W samochodzie Wallandera nadal migają światła awaryjne. Gwałtowne podmuchy wiatru nie ustawały. Kolejny przeładowany samochód z polskimi znakami przejechał w kierunku na wschód. Nyberg podszedł do nich. Razem obserwowali samochód Wallandera.

- Jeżeli ktoś spuszcza benzynę z baku, to po to, by zrobić miejsce na coś innego - odezwał się Nyberg. - Mógł umieścić ładunek wybuchowy z mechanizmem opóźniającym, który powoli reaguje na żrące substancje w benzynie. W końcu

następuje eksplozja. Czy wskazówka paliwomierza opada, kiedy silnik pracuje na wolnym biegu?

- Nie.

- Wobec tego zostawmy tu ten samochód do jutra rana - zaproponował Nyberg. - Na dobrą sprawę powinniśmy zablokować całą E65.

- Na to Bjórk nigdy się nie zgodzi - powiedział Wallander. - Poza tym nie wiadomo, czy ktoś coś umieścił w baku z benzyną.

- W każdym razie powinniśmy ściągnąć ludzi i zablokować drogę - oświadczył Nyberg. - Tu już jest rejon Malmö?

- Niestety - odparł Wallander. - Ale zawiadomię ich.

- Moja torebka została w samochodzie - powiedziała Ann-Britt. - Mogę po nią pójść?

- Nie - odparł Nyberg. - Niech tam leży. I niech silnik dalej pracuje.

Ann-Britt Hóglund znowu usiadła w samochodzie Nyberga. Wallander wybrał numer do policji w Malmö. Nyberg stanął na skraju szosy, żeby się wysikać. Wallander spoglądał w rozgwieżdżone niebo i czekał na połączenie.

Połączył się z Malmö i równocześnie zobaczył, jak Nyberg zapina suwak rozporka.

Noc eksplodowała ostrym, białym blaskiem.

Wallanderowi wyszarpnęło telefon z rąk.

Było cztery minuty po trzeciej.

Dręcząca cisza.

Już później Wallander będzie wspominał eksplozję jako rozległą przestrzeń, z której nagle wypompowano powietrze, pozostawiając tam, na szosie E65, w środku listopadowej nocy, osobliwą próżnię, czarną dziurę; zamilkł w niej na chwilę nawet porywisty wiatr. Wszystko stało się bardzo szybko, lecz pamięć potrafi być rozciągliwa, więc pozostało mu wrażenie, że detonacja była serią szybkich, ale wyodrębnionych, wyraźnie dających się rozróżnić wydarzeń.

Najbardziej zdziwiło go to, że telefon leżał na wilgotnym asfalcie, wiele metrów dalej. W całej tej sytuacji to właśnie wydało mu się niepojęte, nie to, że jego samochód ogarnęły buchające płomienie i zdawał się topnieć w oczach.

Pierwszy zareagował Nyberg. Szarpnął Wallandera, odciągając go na bok. Być może obawiał się kolejnej eksplozji w płonącym samochodzie. Ann-Britt Hóglund wyskoczyła z auta Nyberga i przebiegła na drugą stronę drogi. Może nawet krzyknęła. Wallander nie był pewny, czy to nie krzyknął on sam albo Nyberg, może zresztą żaden z nich, i było to tylko urojenie.

W każdym razie uważał, że powinien był to uczynić. Powinien był krzyczeć, wrzeszczeć i przeklinać fakt, że wrócił na służbę, że Sten Torstensson odwiedził go w Skagen i wciągnął go w śledztwo w sprawie zabójstwa, którym w ogóle nie powinien się zajmować. Nie trzeba było wcale wracać, tylko podpisać dokumenty przygotowane przez Bjórka, wziąć udział w konferencji prasowej, udzielić wywiadu na rozkładówkę pisma „Svensk Polis” albo, co bardziej prawdopodobne, na ostatnią stronę, i zapomnieć o wszystkim.

Jednak w trakcie całego zamieszania, spowodowanego detonacją, nastąpił moment dręczącej ciszy, kiedy

Wallander, patrząc na telefon na asfalcie i swojego starego peugeota, płonącego na skraju szosy, myślał zupełnie trzeźwo. Myśli płynęły jedna za drugą, wyraźne i jednoznaczne, prowadząc do po raz pierwszy sformułowanej konkluzji, że podwójne zabójstwo adwokatów, mina zakopana w ogrodzie pani Duner i wreszcie próba zabójstwa, dokonana na nim, faktycznie zdradzają pewien wzór, choć jeszcze nieokreślony i z wieloma niewiadomymi.

Nasuwał się jednak jeden wniosek - nieunikniony i porażający. Ktoś podejrzewa, że Wallander wie coś, czego nie powinien wiedzieć. Kurt był całkowicie przekonany, że ten, kto umieścił ładunek wybuchowy w baku, nie zamierzał pozbawić życia Ann-Britt Hóglund. Dawało to dodatkowe wyobrażenie o ludziach, którzy czaili się w ciemności. Życie ludzkie nie miało dla nich znaczenia.

Ogarnęło go uczucie bezsilności i lęku, gdyż zrozumiał, że ludzie kryjący się w białych samochodach popełnili pomyłkę! Z ręką na sercu mógł publicznie przysiąc, że zaszła pomyłka, że on nie ma pojęcia, co się kryje za zabójstwem dwóch adwokatów, miną w ogrodzie pani Duner, a może nawet za samobójstwem księgowego Larsa Bormana, jeśli to w ogóle było samobójstwo.

Nic nie wie. Lecz podczas gdy samochód się dopalał, a Nyberg i Ann-Britt Hóglund, kierując ruchem nocnych ciekawskich, wzywali jednocześnie straż pożarną i policję, Wallander nadal stał na środku drogi i kończył rozpoczętą myśl. Stwierdził, że istnieje tylko jeden punkt zahaczenia, leżący u podstaw upiornej pomyłki - przypuszczenie, że on coś wie. Jest nim wizyta Stena Torstenssona w Skagen. Sama pocztówka z Finlandii nie byłaby dostateczną wskazówką. Pojechali za nim na Jutlandię, byli tam we mgle, pośród wydmy. Znajdowali się również w pobliżu Muzeum Sztuki, gdzie Wallander i Sten Torstensson pili

kawę, ale nie na tyle blisko, by móc ich słyszeć, gdyż wtedy zorientowaliby się, że Wallander nic nie wie, jako że sam Sten Torstensson nic nie wiedział, wszystko to były tylko domysły. Ale oni nie mogli ryzykować. Dlatego jego stary peugeot płonął w tej chwili na skraju szosy, dlatego pies sąsiadów szczekał, kiedy siedzieli w domu u państwa Forsdahlów.

Dręcząca cisza, myślał. W niej się znajduję i dochodzę do jeszcze jednego wniosku, być może najważniejszego. Ponieważ oznacza on, że wreszcie nastąpił przełom w tym koszmarnym śledztwie, że pojawił się punkt, wokół którego możemy się zebrać i powiedzieć: Z tego miejsca rozpoczynamy grę. Może nie kryje się tam kamień mądrości, ale na pewno coś, co musimy odnaleźć.

Chronologia się zgadza, pomyślał. Wszystko rozpoczyna się na gliniastym polu, gdzie blisko miesiąc temu zginął Gustaw Torstensson. To, co nastąpiło później, włącznie z egzekucją syna, jest pochodną tamtego wieczoru, kiedy Gustaw Torstensson wracał do domu z zamku w Farnholmie. Mając tę wiedzę, możemy postanowić, jaki obrać kurs.

Pochylił się i podniósł telefon. Na ekranie świecił się numer policyjnej centrali alarmowej w Malmö. Wyłączył telefon i stwierdził, że uderzenie o asfalt go nie uszkodziło.

Przyjechała straż pożarna. Przyglądał się, jak gasi płonący samochód, otulając go białą pianą. Nyberg zjawił się nagle u jego boku. Pocił się i był wystraszony.

- Niewiele brakowało - powiedział.

- Zgadza się - odparł Wallander. - Ale ciągle zbyt wiele. Nyberg spojrzał na niego zdziwiony.

W tej samej chwili podszedł do Wallandera komendant policji z Malmö. Wallander znał go z widzenia, lecz nie mógł sobie przypomnieć nazwiska.

- Dowiedziałem się, że samochód, który się spalił, należał do ciebie - powiedział policjant z Malmö. - Chodziły pogłoski,

że odszedłeś ze służby. Tymczasem jesteś z powrotem i pali się twój wóz.

Z początku Wallander zastanawiał się, czy mężczyzna z Malmö sobie z niego nie drwi. Uznał jednak, że nie - była to naturalna reakcja. Zresztą wolał uniknąć niepotrzebnego zamieszania.

- Wracaliśmy z koleżanką do Ystad - wyjaśnił.

- Ann-Britt Hóglund - przytaknął mężczyzna z Malmö.

- Już się z nią witałem. Posłała mnie do ciebie.

Słusznie, pomyślał Wallander. Im mniej osób się wypowiada, tym łatwiej podać jedną wersję. Jest pojętna.

- Miałem wrażenie, że coś jest nie tak, jak powinno być - wyjaśnił. - Zatrzymaliśmy się i wysiedliśmy. Zadzwoiłem do Nyberga. Potem samochód wyleciał w powietrze.

Komendant z Malmö przyglądał mu się z niedowierzaniem.

- Zakładam, że to twoja oficjalna wersja - powiedział.

- Samochód trzeba naturalnie zbadać - dodał Wallander.

- Ale nikt nie jest ranny. Tymczasem zapisz to, co ode mnie usłyszałeś. Później zwrócę się do Bjórka, szefa w Ystad, żeby się z wami skontaktował. Przykro mi, ale, niestety, nie pamiętam, jak się nazywałeś.

- Roslund - przedstawił się mężczyzna z Malmö. Wallander skinął głową. Przypomniał sobie.

- Zabezpieczymy teren - powiedział Roslund. - Samochód zostanie tutaj.

Wallander spojrział na zegarek. Było piętnaście po czwartej.

- W takim razie my jedziemy do domu spać - zakomunikował.

Odjechali wozem Nyberga. Nikt się nie odzywał. Odwieźli Ann-Britt Hóglund do samego domu. Potem Nyberg zawiózł Wallandera na Mariagatan.

- Za parę godzin musimy przystąpić do działania - uprzedził Wallander, zanim wysiadł z samochodu. - Nie możemy z tym czekać.

- Będę w komendzie o siódmej - odparł Nyberg.
- Wystarczy o ósmej - powiedział Wallander. - Dzięki za pomoc.

W domu wziął szybki prysznic i wyciągnął się w pościeli. O szóstej nadal jeszcze nie spał.

Tuż przed siódmą wstał z łóżka. Wiedział, że zanosi się na długi dzień. Zastanawiał się, czy go przetrzyma.

Czwartek czwartego listopada rozpoczął się od sensacji.

Björk zjawił się w pracy nieogolony. Nigdy się to do tej pory nie zdarzyło. I kiedy drzwi do pokoju zebrań zamknęły się pięć po ósmej, wszyscy mogli zobaczyć, że Björk ma znacznie mocniejszy zarost, niż ktokolwiek się spodziewał. Wallander zrozumiał, że i tym razem nie będzie miał okazji porozmawiać z Björkiem o tym, co zaszło przed jego wizytą na zamku w Farnholmie. Ale odłoży to na później, teraz mieli na głowie ważniejsze sprawy.

Björk uderzył z trzaskiem dłońmi w stół i rozejrzał się po pokoju.

- Co się tu dzieje? - zapytał. - O wpół do szóstej dzwoni do mnie komendant z Malmö z pytaniem, czy mają wysłać swoich techników i zbadać spalony samochód Wallandera, znajdujący się pod Svedalą przy E65. Czy też my wyślemy Nyberga i jego ludzi? Stoję w kuchni o wpół do szóstej rano ze słuchawką w ręku i nie wiem, co odpowiedzieć, bo nie mam pojęcia, co się wydarzyło. Czy coś w ogóle się wydarzyło? Czy Kurt Wallander jest ranny, czy może zginął w wypadku samochodowym, który zakończył się pożarem? Nie mam o niczym pojęcia. Na szczęście Roslund z Malmö jest rozumnym człowiekiem i potrafi udzielić informacji. Teraz już mniej więcej wiem, co zaszło. Lecz tak naprawdę nie mam pełnej wiedzy o tym, co się tu działo wczorajszego wieczoru.

- Mamy wyjaśnić podwójne morderstwo - odparł Wallander. - I do tego zamach na panią Duner. Jeszcze do

wczoraj nie mieliśmy na czym się oprzeć. Dochodzenie dreptało w miejscu, z tym się chyba wszyscy zgodzą. I nagle odnajdują się listy z pogrózkami. Mamy nazwisko i ślad prowadzący do hotelu w Helsingborgu. Jedziemy tam z Ann-Brit. Przyznaję, że mogliśmy poczekać do dzisiaj. Odwiedzamy parę, która znała Larsa Bormana. Uzyskujemy od nich cenną informację. W drodze do Helsingborga Ann-Britt spostrzega, że ktoś nas śledzi. Zatrzymujemy się w Helsingborgu i udaje się nam spisać kilka numerów pojazdów jadących za nami. Martinsson musi szybko zidentyfikować ich posiadaczy. W czasie naszej wizyty u państwa Forsdahlów, byłych właścicieli nieistniejącego już hotelu Linden, ktoś umieszcza ładunek wybuchowy w baku z benzyną. Z jakiegoś powodu zaczynam się niepokoić w drodze powrotnej. Dzwonię do Nyberga. A potem w samochodzie następuje wybuch. Nikt nie jest ranny. Dochodzi do tego pod Svedalą, w rejonie podlegającym policji w Malmö. Oto co się dzieje.

Wallander skończył mówić, zapadło milczenie. Pomyślał, że równie dobrze mógłby mówić dalej. Przedstawić pełny obraz sytuacji. Wszystko, o czym myślał w nocy na szosie, mając przed oczami płonący samochód.

Raz jeszcze przywołał w myślach szczególne uczucie, jakiego wtedy doświadczył, jak gdyby znajdował się w próżni, w której nieoczekiwanie zamarły porywy wiatru.

Chwila dręczącej ciszy.

Ale również chwila klarownych myśli.

Zdał dokładną relację ze swoich przemyśleń i natychmiast wyczuł, że jego wnioski spotkały się ze zrozumieniem kolegów. Wiedział, że są fachowcami na wysokim poziomie. Potrafią odróżnić wydumane teorie od mało prawdopodobnego, lecz całkowicie możliwego przebiegu zdarzeń.

- Widzę trzy punkty natarcia - zakończył Wallander.

- Koncentracja na Gustawie Torstenssonie i jego klientach. Musimy szybko i dogłębnie przekopać się przez ostatnie pięć lat jego działalności, kiedy to zaczął zajmować się wyłącznie doradztwem finansowym i tego rodzaju sprawami. Żeby jednak zaoszczędzić na czasie, na początek weźmiemy ostatnie trzy lata, kiedy to - według pani Duner - zaczął się zmieniać. Chcę również, żeby ktoś pogadał z kobietą o azjatyckim wyglądzie, która sprząta w kancelarii. Pani Duner ma jej adres. Może sprzątaczką coś słyszała albo widziała.

- Czy ona mówi po szwedzku? - zapytał Svedberg.

- Jeżeli nie mówi, będziemy musieli znaleźć tłumacza - odparł Wallander.

- Porozmawiam z nią - powiedziała Ann-Britt Hóglund.

Wallander łyknął kawy i mówił dalej.

- Drugą linię frontu skierujemy na Larsa Bormana. Przypuszczam, że jego osoba może nam dużo wyjaśnić, mimo że Borman nie żyje.

- Do tego potrzebujemy pomocy kolegów z Malmö - wtrącił Bjórk. - Klagshamn leży na ich terenie.

- Wolalbyśmy nie - powiedział Wallander. - Szybciej chyba będzie, jak sami się tym zajmujemy. Sam nieraz twierdziłeś, że kiedy policja z różnych rejonów ma ze sobą współpracować, często powstają administracyjne tarcia.

Podczas gdy Bjórk zastanawiał się nad odpowiedzią, Wallander kończył swoją wypowiedź.

- Trzeci trop to konieczność ustalenia, kto nas śledzi. Powinienem może zapytać, czy za któryś z was nie jechały jakieś samochody?

Martinsson i Svedberg pokręcili głowami.

- Trzeba mieć oczy otwarte - ostrzegł Wallander. - Mogę się mylić, sądząc, że obawiają się tylko mnie.

- Pani Duner dostała ochronę. Jeśli dobrze zrozumiałem, przydałaby się również tobie.

- Nie - powiedział Wallander. - Nie trzeba.
- Nie mogę się na to zgodzić - odparł stanowczo Bjórk.
- Po pierwsze, nie możesz działać w pojedynkę. Po drugie, musisz mieć broń.
- Nigdy w życiu - odparł Wallander.
- Będzie tak, jak mówię - oznajmił Bjórk.

Wallander nie zamierzał wdawać się w dyskusję. Wiedział, że i tak zrobi swoje.

Podzielili się zadaniami. Martinsson i Ann-Britt Hóglund mieli się udać do kancelarii adwokackiej, aby przejrzeć wszystkie sprawy Gustawa Torstenssona z ostatnich kilku lat. Zadaniem Svedberga było dokładnie sprawdzić samochód lub samochody, które jechały za nimi poprzedniego wieczoru na trasie do Helsingborga.

Wallander miał się zająć nieżyjącym Larsem Bormanem.

- Od wielu dni mam uczucie, że jest coś pilnego do załatwienia - wyznał Wallander. - Nie wiem dlaczego. Ale na wszelki wypadek musimy się pośpieszyć.

Zakończyli zebranie i rozeszli się w różne strony. Wallander czuł, że wszyscy wokół niego mają jasno wyznaczony cel, dostrzegł również, że Ann-Britt Hóglund udało się przewyciężyć zmęczenie.

Przyniósł sobie kawę i poszedł do pokoju, by zastanowić się, co dalej. Nyberg wetknął głowę przez niedomknięte drzwi, żeby poinformować, że udaje się do wraku samochodu pod Svedalę.

- Przypuszczam, że chciałbyś, abym sprawdził ewentualne podobieństwo do tego, co wybuchło w ogrodzie pani Duner - powiedział.

- Tak - przyznał Wallander.

- Wątpię, czy mi się uda. Ale spróbuję.

Nyberg zniknął, Wallander połączył się z Ebbą w recepcji.

- Od razu widać, że jesteś z powrotem - powitała go.
- Dzieją się jakieś okropieństwa.

- Wszystko się dobrze skończyło - odparł Wallander.

- To najważniejsze.

Szybko przystąpił do rzeczy.

- Chciałbym, żebyś mi załatwiła samochód. Za chwilę muszę jechać do Malmö. Czy mogłabyś też zadzwonić do zamku w Farnholmie i poprosić o przysłanie wykazu firm wchodzących w skład imperium Harderberga? W samochodzie miałem segregator, ale się spalił.

- Tego oczywiście nie powiem - odparła Ebba.

- Raczej nie - zgodził się Wallander. - Muszę to mieć jak najprędzej - dodał i zakończył rozmowę.

Nagle przyszła mu do głowy pewna myśl. Wyszedł na korytarz i zastukał do Svedberga. Kiedy otworzył drzwi, Svedberg przeglądał właśnie notatki Martinssona o samochodach z ostatniej nocy.

- Kurt Ström - zaczął Wallander. - Mówi ci coś to nazwisko?

Svedberg się zastanowił.

- Policjant z Malmö - odpowiedział po chwili niepewnie.

- Czy się nie mylę?

- Zgadza się - przytaknął Wallander. - Chcę, żebyś coś dla mnie zrobił, jak skończysz z samochodami. Kurt Ström odszedł z policji wiele lat temu. Chodziły słuchy, że zmuszony był zwolnić się ze służby, w przeciwnym razie dostałby wymówienie. Chcę, żebyś się dowiedział, co wtedy zaszło. Z zachowaniem pełnej dyskrecji.

Svedberg zanotował nazwisko.

- Mogę wiedzieć dlaczego? - zapytał. - Czy to ma coś wspólnego z adwokatami? Samochodem, który wyleciał w powietrze? Miną w ogrodzie?

- Wszystko ma coś wspólnego - odpowiedział Wallander.

- Kurt Ström pracuje jako ochroniarz na zamku w Farnholmie. Tam gdzie Gustaw Torstensson był z wizytą tego samego wieczoru, kiedy zginął.

- Dowiem się, o co tam poszło - obiecał Svedberg.

Wallander wrócił do pokoju i usiadł przy stole. Był bardzo zmęczony. Nie miał nawet siły myśleć o tym, jak niewiele brakowało, żeby zginęli z Ann-Britt ubiegłej nocy.

Później, postanowił. Nie teraz. Nieżyjący Lars Borman jest w tej chwili ważniejszy niż żywy Kurt Wallander.

Odszukał w książce telefonicznej numer wojewódzkiego samorządu terytorialnego Malmöhus. Wiedział, że mają siedzibę w Lund. Wybrał numer, dodzwonił się błyskawicznie. Poprosił o połączenie z kierownikiem działu ekonomicznego.

- Nikogo tu dziś nie ma - poinformowała telefonistka w centrali.

- Ktoś musi być.

- Są na całodziennym konferencji budżetowej - odparła.

- Gdzie?

- W ośrodku szkoleniowym w Hóór - powiedziała. - Ale nie ma co tam dzwonić.

- Jak się nazywa szef komisji rewizyjnej w samorządzie? Czy on też tam jest?

- Thomas Rundstedt. Też jest w Hóór. Może pan zadzwoni jutro?

- Bardzo dziękuję - powiedział Wallander i odłożył słuchawkę.

Nie miał najmniejszego zamiaru czekać do następnego dnia. Przyniósł sobie kolejny kubek kawy i przebiegł w myślach wszystko, co wiedział o Larsie Bormanie. Przerwał mu telefon od Ebby, która zawiadomiła go, że przed komendą czeka na niego samochód.

Było kwadrans po dziewiątej.

Wiatr ucichł nad ranem, nadszedł bezchmurny jesienny dzień z niebieskim niebem. Wallander poczuł nieoczekiwaną radość na myśl o czekającej go przejażdżce.

Przyjechał do ośrodka szkoleniowego koło Hóór tuż po dziesiątej. Zaparkował i udał się do recepcji. Na tablicy

informacyjnej widniał napis, że obrady nad budżetem samorządu wojewódzkiego odbywają się w dużej sali konferencyjnej. Rudowłosy mężczyzna w recepcji uśmiechnął się przyjaźnie na jego widok.

- Szukam kogoś z konferencji budżetowej - powiedział Wallander.

- Właśnie przed chwilą była przerwa na kawę - poinformował recepcjonista. - Następna będzie na lunch. O wpół do pierwszej. Przedtem, niestety, nie można im przeszkadzać.

Wallander pokazał legitymację policyjną.

- Czasami jest to konieczne. Proszę zanieść tę kartkę do sali zebrań.

Przysunął sobie bloczek z podręcznymi karteczkami i zaczął pisać.

- Stało się coś? - zapytał niespokojnie recepcjonista.

- Nic groźnego, ale nie mogę z tym czekać - odparł Wallander, podając mu karteczkę. - To dla Thomasa Rundstedta, szefa komisji rewizyjnej - wyjaśnił. - Usiądę tu i zaczekam.

Recepcjonista odszedł. Wallander ziewnął. Poczul głód. Przez wpółotwarte drzwi widział jadalnię. Wstał i wszedł do środka. Na stole stał koszyk z kanapkami z serem.

Wziął jedną i zjadł. Potem drugą. Następnie wrócił na kanapę.

Po pięciu minutach recepcjonista wrócił w towarzystwie mężczyzny, szefa, jak się domyślał Wallander, komisji rewizyjnej.

Mężczyzna był rośli i barczysty. Wallander zawsze wyobrażał sobie księgowych jako ludzi niskich i szczupłych. Mężczyzna stojący naprzeciwko niego mógłby być bokserem. Poza tym był całkiem łysy i miał nieufne spojrzenie.

- Kurt Wallander z policji kryminalnej w Ystad - przedstawił

się, wyciągając rękę. - Domyślam się, że mam przyjemność z Thomasem Rundstedtem, szefem komisji rewizyjnej samorządu terytorialnego Malmöhus.

Mężczyzna skinął potakująco głową.

- O co chodzi? - zapytał. - Było wyraźnie powiedziane, że nie należy nam przeszkadzać. Finanse samorządu to nie żarty - nie w naszych czasach.

- Zgadza się - odparł Wallander. - Nie będę pana długo zatrzymywał. Co panu mówi nazwisko Lars Borman?

Thomas Rundstedt zdziwiony uniósł brwi.

- To było, zanim zacząłem tu pracować - odparł. - Lars Borman pracował jako księgowy w samorządzie wojewódzkim. Już nie żyje. Ja jestem zatrudniony w samorządzie zaledwie od sześciu miesięcy.

Do diabła, pomyślał Wallander. Niepotrzebnie jechałem do Hóór.

- Ma pan jeszcze jakieś pytanie? - zwrócił się do niego Rundstedt.

- Na czyje miejsce pan przyszedł? - spytał Wallander.

- Martina Oscarssona - odparł Rundstedt. - Przeszedł na emeryturę.

- To on był szefem Bormana? - Tak.

- Jak go odnaleźć?

- Mieszka w Limhamn. W pięknym domu nad Sundem. Przy Móllevagen. Nie pamiętam numeru. Przypuszczam, że jest w książce telefonicznej.

- W takim razie to byłoby wszystko. Przykro mi, że przeszkodziłem. Czy wie pan może, jak umarł Borman?

- Podobno popełnił samobójstwo - odparł Thomas Rundstedt.

- Życzę powodzenia w sprawie budżetu - powiedział Wallander. - Czy wzrośnie podatek?

- Gdybym to ja wiedział! - odparł Thomas Rundstedt i odszedł do swoich zajęć.

Wallander skinął głową na pożegnanie recepcjoniście i poszedł do samochodu. Zadzwoił do biura numerów i otrzymał adres Martina Oscarssona. Móllevagen 32.

Dotarł tam tuż przed dwunastą.

Dom był murowany, z przełomu wieku. Nad okazałymi drzwiami wejściowymi umieszczono datę: 1912. Wszedł przez furtkę i zadzwonił do drzwi. Otworzył starszy mężczyzna w sportowym dresie. Wallander przedstawił się, okazał legitymację i został zaproszony do środka. Przestronne, otwarte wnętrze, z jasnymi meblami i pastelowymi zasłonami, stanowiło kontrast w stosunku do ponurej fasady. Z głębi mieszkania dochodziły dźwięki gramofonu. Wallanderowi wydawało się, że rozpoznaje głos Ernsta Rolfa, artysty z variete. Martin Oscarsson zaprosił go do salonu i spytał, czy zechce napić się kawy. Wallander odmówił.

- Przyjechałem, żeby z panem porozmawiać o Larsie Bormanie - powiedział. - Dostałem pana nazwisko od Thomasa Rundstedta. Borman zmarł rok temu, tuż przed pana przejściem na emeryturę. Oficjalnie uznano, że popełnił samobójstwo.

- Dlaczego chce pan o nim rozmawiać? - zapytał niechętnie Martin Oscarsson.

- Jego nazwisko pojawiło się w toku prowadzonego śledztwa - wyjaśnił Wallander.

- Jakiego śledztwa?

Wallander uznał, że najlepiej będzie powiedzieć, jak jest naprawdę.

- Czytał pan może w prasie, że parę dni temu w Ystad brutalnie zamordowano pewnego adwokata? W związku z dochodzeniem w tej sprawie muszę zadać panu kilka pytań na temat Larsa Bormana.

Martin Oscarsson przyglądał mu się przez dłuższą chwilę, zanim odpowiedział.

- Mimo że jestem starym i zmęczonym człowiekiem, muszę przyznać, że wzbudził pan we mnie ciekawość. Odpowiem na pańskie pytania, jeśli tylko potrafię.

- Lars Borman był księgowym w samorządzie terytorialnym - zaczął Wallander. - Jakie były jego obowiązki? I jak długo pracował w samorządzie?

- Księgowy to księgowy - odparł Martin Oscarsson. - Samo słowo mówi, czym się taki ktoś zajmuje. Kontroluje księgowość, w tym przypadku samorządu. Sprawdza, czy wszystko jest zgodne z zasadami rachunkowości, czy wydatki zaplanowane przez zarząd nie zostały przekroczone. Sprawdza nawet, czy ludzie dostają odpowiednie uposażenie. Trzeba pamiętać, że samorząd terytorialny można porównać do dużego koncernu czy raczej do imperium przemysłowego, składającego się z pomniejszych cesarstw. Głównym zadaniem samorządu jest organizacja opieki zdrowotnej. Ale prócz tego jest jeszcze wiele innych sfer działalności. Oświata, kultura i różne inne sprawy. Lars Borman nie był, rzecz jasna, naszym jedynym księgowym. Przyszedł do samorządu ze Zrzeszenia Gmin z początkiem lat osiemdziesiątych.

- Czy był dobrym księgowym?

- Był najlepszy ze wszystkich, jakich kiedykolwiek znałem - zapewnił Martin Oscarsson bardzo stanowczym tonem.

- Dlaczego?

- Był szybki i zarazem dokładny. Swój zawód traktował z ogromnym zaangażowaniem, stale proponował różne rozwiązania, przynoszące oszczędności samorządowi.

- Słyszałem od kogoś, że był wyjątkowo uczciwym człowiekiem - powiedział Wallander.

- Naturalnie. Ale to nic wyjątkowego. Księgowi są zwykle uczciwymi ludźmi. Chociaż istnieją wyjątki. Ale tacy ludzie nigdy by się nie utrzymali w organizacji, jaką stanowi samorząd wojewódzki.

Wallander przez chwilę się zastanawiał, po czym ciągnął dalej:

- I nagle popełnia samobójstwo. Czy to było niespodziewane?

- Naturalnie, że niespodziewane - odparł Martin Oscarsson.

- Tak jak wszystkie samobójstwa, nieprawdaż?

Później Wallander nie potrafił sobie udzielić zadowolającej odpowiedzi na pytanie, co właściwie się stało. W głosie Martina Oscarssona zaszła jakaś zmiana, w odpowiedziach wyczuwało się swego rodzaju niepewność, może nawet niechęć. Dla Wallandera oznaczało to zmianę natury przesłuchania, rutynę zastąpiła wyostrożona czujność.

- Współpracował pan bardzo blisko z Larsem Bormanem - powiedział. - Na pewno dobrze go pan znał. Jaki on był?

- Nigdy się nie spotykaliśmy prywatnie. Życie wypełniała mu praca i rodzina. Wszyscy wiedzieli, że nie lubi poufałości. Zamykał się wtedy w sobie.

- Może był nieuleczalnie chory?

- Nie wiem.

- Musiał pan często myśleć o jego samobójstwie.

- To był bardzo przykry okres. Położył się cieniem na moje ostatnie miesiące przed emeryturą.

- Jak wyglądał jego ostatni dzień pracy?

- Ponieważ zmarł w niedzielę, ostatni raz widziałem go w piątek po południu. Na posiedzeniu kierowników działów ekonomicznych. Było to, niestety, dość burzliwe zebranie.

- Dlaczego?

- Mieliśmy różne zdania na temat rozwiązania pewnego problemu.

- Jaki to był problem?

Martin Oscarsson spojrział z namysłem.

- Nie jestem pewny, czy powinienem odpowiadać na to pytanie.

- Dlaczego?

- Po pierwsze, jestem na emeryturze. Po drugie, przepisy prawa administracyjnego mówią o tym, jakie sprawy można utajniać.

- W tym kraju panuje zasada jawności - przypomniał Wallander.

- Nie dotyczy ona jednak spraw, które ze względu na ich szczególny charakter nie podlegają zasadzie jawności.

Po chwili namysłu Wallander ciągnął dalej:

- Ostatniego dnia Lars Borman brał udział w posiedzeniu kierowników działów ekonomicznych samorządu wojewódzkiego. Czy dobrze zrozumiałem?

Martin Oscarsson skinął potakująco głową.

- Na tym posiedzeniu dyskutowano, chwilami burzliwie, nad pewnym problemem, który, jak później uznano, nie podlega zasadzie jawności. Innymi słowy, oznacza to, że protokół z posiedzenia jest tajny?

- Niezupełnie - odparł Martin Oscarsson. - Nie było żadnego protokołu.

- Wobec tego nie było to również regularne posiedzenie zarządu - zauważył Wallander. - Inaczej trzeba by sporządzić protokół i potem go zatwierdzić.

- To były poufne obrady - wyjaśnił Martin Oscarsson. - Zresztą to wszystko dawne dzieje. Nie będę chyba odpowiadał na więcej pytań. Jestem starym człowiekiem. Nie pamiętam już tamtych wydarzeń.

Jest dokładnie odwrotnie, pomyślał Wallander. Mam przed sobą człowieka, który niczego nie zapomniał. Jakież to zagadnienie omawiano w tamten piątek?

- Nie mogę naturalnie zmusić pana do odpowiedzi - rzekł Wallander. - Mogę jednak zwrócić się do prokuratora albo do wojewódzkiego wydziału administracji. Mogę zresztą niejedno zrobić, aby się w końcu dowiedzieć, jakie to było zagadnienie.

- Nie będę odpowiadał na więcej pytań - powtórzył Martin

Oscarsson, wstając z krzesła.

Wallander wciąż siedział.

- Proszę usiąść - powiedział stanowczo. - Mam pewną propozycję.

Po chwili wahania Martin Oscarsson usiadł.

- Postąpmy tak samo, jak w tamten piątek po południu - zaczął Wallander. - Nie będę robił żadnych notatek. Nazwijmy to poufną rozmową. Nie ma żadnych świadków, że nasza rozmowa kiedykolwiek się odbyła. Dam panu słowo, że nigdy się na pana nie powołam, bez względu na to, co pan powie. Jeżeli zajdzie konieczność, zdobędę informacje z innych źródeł.

Martin Oscarsson zastanawiał się nad propozycją Wallandera.

- Thomas Rundstedt wie, że się pan do mnie wybierał - przypomniał.

- Ale nie wie, w jakiej sprawie - zaproponował Wallander.

- Zgadzam się na propozycję pana komisarza - powiedział wreszcie Oscarsson. - Ale nie obiecuję, że będę umiał odpowiedzieć na wszystkie pytania.

- Że będzie pan umiał czy że pan zechce?

- To już moja sprawa - odparł Martin Oscarsson. Wallander skinął głową na znak, że się zgadza.

- Ten problem - zagadnął. - Co to było?

- Wojewódzki samorząd terytorialny Malmöhus padł ofiarą oszustwa na wielką skalę. Wtedy nie wiedzieliśmy jeszcze, o jakie pieniądze chodzi. Teraz już wiemy.

- Ile?

- Cztery miliony koron. Z pieniędzy podatników.

- Co się stało?

- Żeby pan komisarz mógł zrozumieć, muszę wyjaśnić, jak działa wojewódzki samorząd terytorialny - powiedział Oscarsson. - Nasz roczny budżet wynosi wiele miliardów koron. Finansujemy niezliczone formy działalności w

różnych oddziałach. Zarządzanie budżetem odbywa się oczywiście centralnie i jest całkowicie skomputeryzowane. Na różnych poziomach wbudowane są rozmaite systemy zabezpieczające, aby uniemożliwić malwersacje lub inne nieprawidłowości. Są takie systemy, które kontrolują nawet najwyżej postawionych szefów, co zresztą w tym przypadku nie ma znaczenia. Trzeba natomiast wiedzieć, że istnieje bieżąca kontrola wszystkich wypłat. Ktoś, kto zamierza uprawiać przestępczą działalność w samorządzie, musi dokładnie znać mechanizm przepływu środków pieniężnych między kontami. Oto jak wygląda sytuacja.

- Chyba rozumiem, o co chodzi - wtrącił Wallander, czekając na dalszy ciąg.

- To, co się wydarzyło, pokazało, że przepisy zabezpieczające są niedoskonałe - mówił dalej Martin Oscarsson. - Ale od tamtej pory zostały całkowicie zmienione. Dzisiaj ten rodzaj oszustwa nie byłby możliwy.

- Proszę się nie śpieszyć - powiedział Wallander. - Chciałbym, żeby pan możliwie najdokładniej opisał, co się stało.

- Przebieg wydarzeń w dalszym ciągu nie jest zupełnie jasny - odparł Martin Oscarsson. - Oto co wiadomo: Jak pan komisarz może wie, w całej administracji państwowej dokonano w ostatnich latach daleko idącej reformy. Do pewnego stopnia można by ją przyrównać do operacji przeprowadzonej bez odpowiedniego znieczulenia. Nam, reprezentującym dawną tradycję administracji państwowej, było się szczególnie trudno przyzwyczać do tak gwałtownych zmian. Reforma nie jest jeszcze w pełni zakończona, potrzeba więcej czasu, aby ocenić wszystkie jej skutki. Jedną ze zmian polegała na tym, że administracja na rozmaitych szczeblach została podporządkowana prawom rynku i konkurencji, na równi z prywatnymi firmami. Niektóre wydziały przeobraziły się w spółki, inne oddano w

ajencję, od wszystkich żądano zwiększonej efektywności. Dla naszego samorządu wojewódzkiego oznaczało to, między innymi, powstanie specjalnej spółki, zajmującej się corocznymi przetargami. Najlepsze, co może przytrafić się jakiejś firmie, to zdobycie takiego klienta jak samorząd, czy jest to firma produkująca proszki do prania, czy kosiarki do trawy. W związku z przekształceniem się w spółkę zatrudniliśmy firmę konsultingową, której jednym z zadań była ocena podań o pracę na nowo powstających stanowiskach kierowniczych. Wtedy właśnie padliśmy ofiarą oszustwa.

- Jak się nazywała ta firma konsultingowa?

- STRUFAB. Nie pamiętam w tej chwili, co oznaczał skrót.

- Do kogo należała?

- Był to oddział spółki inwestycyjnej Smeden. To spółka notowana na giełdzie, może pan komisarz o niej słyszał.

- Bardzo niewiele - odparł Wallander. - Kto jest głównym właścicielem?

- O ile wiem, duże pakiety akcji miały wtedy Volvo i Skanska. Od tego czasu mogło się to jednak zmienić.

- Jeszcze do tego wrócimy - przyrzekł Wallander. - Pomówmy teraz o oszustwie. Jak do tego doszło?

- Pod koniec lata i na początku jesieni mieliśmy kilka zebrań w związku z tworzeniem się spółki - odparł Martin Oscarsson. - Firma konsultingowa pracowała sprawnie i zarówno nasi prawnicy, jak i kierownicy działów ekonomicznych w samorządzie byli z niej bardzo zadowoleni. Zaproponowaliśmy nawet wojewódzkiemu wydziałowi do spraw administracji, żeby zatrudnić STRUFAB w samorządzie terytorialnym na długoterminowy kontrakt.

- Jak się nazywali konsultanci?

- Egil Holmberg i Stefan Fjallsjö. Czasami był z nimi jeszcze ktoś. Niestety, nie pamiętam nazwiska.

- I oni właśnie okazali się oszustami? Zaskoczyła go odpowiedź Oscarssona.

- Nie wiem - odparł. - Bo oszustwa dokonano w taki sposób, że w końcu nikogo nie skazano. Nie było winnych. Ale pieniądze przepadły.

- To brzmi bardzo dziwnie - przyznał Wallander. - Co się stało?

- Musimy się cofnąć do piątkowego popołudnia, czternastego sierpnia tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego drugiego roku - powiedział Martin Oscarsson. - Do dnia, kiedy w bardzo krótkim czasie dokonano skoku. Później zrozumieliśmy, że wszystko było niezwykle starannie zaplanowane. Spotkanie z konsultantami odbywało się w sali posiedzeń działu ekonomicznego. Rozpoczęło się o pierwszej i miało trwać do piątej. Na samym początku Egil Holmberg oświadczył, że musi wyjść o czwartej. Nie miało to zresztą wpłynąć na przebieg posiedzenia. Mniej więcej za pięć drugą weszła do pokoju sekretarka kierownika ekonomicznego, informując, że do Stefana Fjallsjő jest ważny telefon. O ile dobrze pamiętam, miał dzwonić ktoś z Ministerstwa Przemysłu. Stefan Fjallsjő przeprosił zebranych i poszedł z sekretarką do jej pokoju. Kiedy zaczął rozmowę, ona postanowiła zostawić go samego, żeby mu nie przeszkadzać. Powiedział wtedy, że rozmowa potrwa najmniej dziesięć minut. Wtedy wyszła z pokoju. Nikt nie jest w stanie dokładnie odtworzyć tego, co nastąpiło później. Ale znamy z grubsza przebieg wydarzeń. Stefan Fjallsjő odłożył słuchawkę, nie dowiedzieliśmy się, kto do niego dzwonił, tyle tylko, że na pewno nie był to nikt z Ministerstwa Przemysłu. Potem przeszedł z sekretariatu do pokoju kierownika ekonomicznego i dokonał internetowego przelewu w wysokości czterech milionów koron na firmowe konto w Banku Handlowym w Sztokholmie jako wynagrodzenie za wykonane usługi konsultingowe.

Ponieważ do zatwierdzania poleceń przelewu uprawniony był wyłącznie dyrektor ekonomiczny, wszystko poszło gładko. Numer konta należał do fikcyjnej firmy konsultingowej - nazywała się bodajże SISYFOS. Stefan Fjallsjó wypisał na odpowiednim druczku poświadczenie polecenia przelewu, fałszując podpis dyrektora ekonomicznego. Następnie wprowadził do komputera zatwierdzone polecenie przelewu, a druk z poświadczeniem włożył do teczki z dokumentami wewnętrznymi. Potem przeszedł do sekretariatu i podjął rozmowę telefoniczną ze swoim kompanem, którą prowadził aż do powrotu sekretarki. W ten sposób zakończył się pierwszy etap oszustwa. Stefan Fjallsjó wrócił do sali zebrań. Upłynęło niecałe piętnaście minut.

Wallander słuchał uważnie. Obawiał się, że bez notatek nie zapamięta wszystkich szczegółów.

- Tuż przed trzecią Egil Holmberg opuścił posiedzenie. Dowiedzieliśmy się później, że nie wyszedł z gmachu samorządu, lecz zszedł piętro niżej do pokoju głównego księgowego. Dodam, że pokój był pusty, gdyż księgowy był na naszym posiedzeniu. Zwykle nie brał w nich udziału. Tym razem przyszedł na żądanie konsultantów. Jednym słowem, wszystko było dobrze przygotowane. Egil Holmberg otworzył komputer głównego księgowego, wprowadził fikcyjny kontrakt, opiewający na cztery miliony koron, i polecenie wypłaty z datą o tydzień wcześniejszą. Potem zadzwonił do Banku Handlowego, powiadomił o wypłacie i spokojnie czekał. Dziesięć minut później odezwał się kontrolny telefon z banku. Holmberg odebrał i potwierdził transakcję. Pozostało jeszcze jedno do zrobienia. Potwierdzić wykonanie transakcji w banku należącym do samorządu terytorialnego, następnie wyjść z pokoju i opuścić budynek. W poniedziałek rano jakiś mężczyzna podjął pieniądze w Banku Handlowym w

Sztokholmie. Był przedstawicielem firmy SISYFOS i nazywał się Rikard Eden. Mamy powody przypuszczać, że był to Stefan Fjallsjón, lecz pod zmienionym nazwiskiem. Zanim wszystko się wydało, minął blisko tydzień. Zawiadomiono policję. Sposób, w jaki dokonano oszustwa, był dość oczywisty. Naturalnie nie było żadnych dowodów. Stefan Fjallsjón i Egil Holmberg z oburzeniem wszystkiemu zaprzeczali. Zerwaliśmy kontrakt z firmą konsultingową, ale nic więcej nie mogliśmy zrobić. W końcu prokurator umorzył postępowanie. Udało nam się sprawę zatuszować. Wszyscy byli co do tego zgodni, prócz jednej osoby.

- Larsa Bormana.

Martin Oscarsson powoli skinął głową.

- Był wstrząśnięty. Tak jak my wszyscy. Ale on przeżywał to silniej. Jakby to, że niewystarczająco naciskaliśmy na prokuraturę i policję w tej sprawie, odczuwał jako osobistą zniewagę. Bardzo się tym przejął. Zawiódł się na nas.

- Do tego stopnia, żeby popełnić samobójstwo?

- Tak mi się wydaje.

Krok do przodu, pomyślał Wallander. Ale to wszystkiego nie wyjaśnia. Co ma do tego kancelaria adwokacka z Ystad? Niemniej tam właśnie Lars Borman wysyłał listy z pogrózkami.

- Wie pan, co się dzieje z Egilem Holmbergiem i Stefanem Fjallsjónem?

- Ich firma konsultingowa zmieniła nazwę. Więcej nie wiem. Naturalnie ostrzeżliśmy poufnie wszystkie krajowe samorządy terytorialne.

Wallander przez chwilę się zastanawiał.

- Powiedział pan, że ich firma stanowiła część koncernu, spółki inwestycyjnej. Nie potrafił pan wskazać głównego właściciela spółki. Wie pan, kto jest prezesem zarządu?

- Z tego, czego się dowiedziałem z prasy, Smeden w ostatnim roku całkowicie zmieniło charakter. Podzieliło się,

niektóre branże sprzedano, inne zakupiono. Można śmiało powiedzieć, że miało fatalną opinię. Volvo sprzedało swoje udziały. Nie pamiętam, kto je kupił. Ale z pewnością będzie to wiedział urzędnik giełdowy.

- Bardzo mi pan pomógł - powiedział, wstając, Wallander.

- Nie zapomni pan o naszej umowie?

- Niczego nie zapomnę - zapewnił Wallander. Przypomniało mu się jeszcze jedno pytanie.

- Nie przyszło panu nigdy do głowy, że Lars Borman został zamordowany?

Martin Oscarsson spojrzał na niego zaskoczony.

- Nie - odpowiedział. - Nigdy. Dlaczego miałbym tak myśleć?

- Tak tylko pytam - wyjaśnił Wallander. - Dziękuję za pomoc. Być może jeszcze się odezwę.

Kiedy Wallander wychodził, Martin Oscarsson stał na schodach murowanego domu i odprowadzał go wzrokiem. Wallander był tak zmęczony, że najchętniej usiadłby za kierownicą samochodu i zasnął. Z trudem zmuszał się do dalszego rozumowania. Najlepiej byłoby wrócić do Hóór, raz jeszcze wywołać Thomasa Rundstedta z konferencji budżetowej i zadać mu całkiem inne pytania.

W drodze powrotnej do Malmö zaczęła w nim dojrzywać decyzja. Przystanął na poboczu, połączył się z numerem policji w Malmö i poprosił do telefonu Roslunda. Przedstawił się i powiedział, że sprawa jest pilna. Centrala odszukała Roslunda w niespełną minutę.

- Mówi Wallander z Ystad. Spotkaliśmy się dziś w nocy.

- Nie zapomniałem - odparł Roslund. - Powiedziano mi, że sprawa jest pilna.

- Jestem w Malmö - oznajmił Wallander. - Chciałbym cię prosić o przysługę.

- Już notuję - powiedział Roslund.

- Mniej więcej rok temu, w pierwszą lub drugą niedzielę

września, mężczyzna nazwiskiem Lars Borman powiesił się w zagajniku w Klagshamn. Z pewnością jest gdzieś policyjny raport z tego zdarzenia, jak również protokół obdukcji oraz dowód umorzenia postępowania z powodu braku znamion przestępstwa. Chciałbym, żebyś to dla mnie odszukał. Bardzo mi też zależy na kontakcie z którymś z obecnych wtedy policjantów. Możesz to dla mnie zrobić?

- Podaj mi jeszcze raz nazwisko - poprosił Roslund. Wallander przeliterował nazwisko.

- Nie wiem, ile mamy rocznie samobójstw - powiedział Roslund. - O tym przypadku nigdy nawet nie słyszałem. Poszukam dokumentów i dowiem się, czy jest na miejscu ktoś, kto wtedy wyjechał z patrolem.

Wallander podał mu numer telefonu samochodowego.

- Przejadę się teraz do Klagshamn - powiedział. Minęło wpół do drugiej. Na próżno odganiał zmęczenie.

Węszcie się poddał i skręcił w boczną drogę, prowadzącą do jednej z licznych w tym rejonie nieczynnych kopalni wapna. Zgasił silnik i szczelnie otulił się kurtką. Po paru minutach już spał.

Obudził się nagle. Kiedy otworzył oczy, był zmarznięty i z początku nie wiedział, gdzie jest. Śniło mu się coś, czego nie pamiętał, i to coś wyciągnęło go na powierzchnię. Ogarnęło go uczucie przygnębienia na widok szarego pejzażu wokół. Było dwadzieścia po drugiej. Spał pół godziny, lecz czuł się tak, jakby został wyrwany z długotrwałego omdlenia.

To chyba najbardziej dotkliwa ze wszystkich samotności, pomyślał. Być samemu na świecie. Ostatni człowiek, o którym na nieszczęście zapomniano albo go po prostu zgubiono.

Rozmyślenia przerwał telefon. Dzwonił Roslund.

- Coś taki zaspany? Spałeś w samochodzie?

- Ależ skąd. Jestem trochę przeziębiony.

- Znalazłem to, o co prosiłeś - powiedział Roslund. -

Dokumenty leżą na moim biurku. Poza tym stoi obok mnie niejaki Magnus Staffansson. Był w samochodzie, to on wyjechał po otrzymaniu wiadomości od kilku biegaczy na orientację, którzy wpadli prosto na ciało mężczyzny, wiszące na brzozie. Może ci wytłumaczy, dlaczego komuś przychodzi do głowy, żeby wybrać w tym celu brzozę. Gdzie się spotkacie?

Wallander poczuł, jak spływa z niego zmęczenie.

- Przy wjeździe do Klagshamn - zaproponował.

- Będzie tam za kwadrans - zapewnił Roslund. - Rozmawiałem przed chwilą z Nybergiem. Nic nie znalazł w twoim samochodzie.

- Wcale mnie to nie dziwi - odparł Wallander.

- Nie zobaczysz już wraku, jak będziesz wracał. Za chwilę go odholujemy.

- Dzięki za pomoc - powiedział Wallander.

Ruszył prosto do Klagshamn i zatrzymał się w umówionym miejscu. Po kilku minutach pojawił się policyjny radiowóz i przystanął obok. Wallander wysiadł z samochodu i czekał. Magnus Staffansson był w mundurze i zasalutował na powitanie. Wallander odpowiedział nieporadnym gestem. Usiedli w samochodzie Wallandera. Magnus Staffansson podał mu foliową teczkę z kopiami dokumentów.

- Przejrzę to, a ty przez ten czas postaraj się sobie przypomnieć tamten dzień sprzed roku.

- Samobójstwo lepiej zapomnieć - odparł Magnus Staffansson rozwlekłym dialektem z Malmö.

Wallander uśmiechnął się na wspomnienie tego, jak sam kiedyś mówił, zanim lata w Ystad zmieniły jego dialekt.

Przeczytał szybko zwięzły raport, protokół obdukcji i decyzję o zaniechaniu postępowania. Nie było podejrzenia popełnienia przestępstwa.

Ciekawe, czy rzeczywiście, pomyślał Wallander. Położył foliową teczkę na tablicy rozdzielczej i zwrócił się do

Magnusa Staffanssona.

- Najlepiej będzie pojechać na miejsce - powiedział. - Pamiętaj, gdzie to jest?

- Tak - odparł Staffansson. - Parę kilometrów za miasteczkiem.

Wyjechali z Klagshamn drogą na południe, wzdłuż wybrzeża. Cieśniną Sund płynął kontenerowiec. Nad Kopenhagą zgromadziły się zwały chmur. Dzielnice willowe się przerzedzały i wkrótce otoczyły ich pola. Przez jedno z nich powoli jechał traktor.

Po lewej stronie drogi ujrzeli liściasty zagajnik. Byli na miejscu. Wallander zatrzymał się za radiowozem i wysiadł.

■li;

Droga była mokra i zastanawiał się, czy nie włożyć kaloszy. Ruszył do bagażnika i wtedy sobie przypomniał, że spaliły się poprzedniej nocy.

Magnus Staffansson wskazał na brzozę, bardziej okazałą niż pozostałe.

- Tam wisiał - poinformował.

- Powiedz, jak to było - poprosił Wallander.

- Właściwie wszystko jest w raporcie - odparł Magnus.

- Zawsze lepiej, jak ktoś opowie własnymi słowami.

- Była niedziela rano - zaczął Magnus Staffansson. - Tuż przed ósmą. Nasz patrol właśnie uspokoił rozwścieczonego pasażera, który przyplłynął promem z Dragor. Twierdził, że podczas przeprawy zatrul się śniadaniem na promie. W tym momencie dostaliśmy wezwanie. Jakiś człowiek wisi na drzewie. Pojechaliśmy tam. Znalazło go dwóch biegaczy na orientację. Byli naturalnie w szoku. Jeden z nich pobiegł do tego domu na górce i stamtąd zadzwonił na policję. Zgodnie z instrukcją, zdjęliśmy mężczyznę z drzewa, na wypadek gdyby się okazało, że nadal żyje. Potem przyjechała karetka, sprawę przejęła policja kryminalna, stwierdzono samobójstwo. Nic więcej sobie nie przypominam.

Zapomniałem jeszcze powiedzieć, że przyjechał na rowerze. Rower leżał porzucony w tych krzakach.

Wallander słuchał Staffanssona, spoglądając jednocześnie na drzewo.

- Jaki to był sznur? - zapytał.

- Wyglądał jak lina okrętowa. Grubości mojego kciuka.

- Pamiętasz węzeł?

- Zwyczajna pętla zaciskowa.

- Jak ją zawiązał?

Magnus Staffansson patrzył na Wallandera, nie rozumiejąc, o co chodzi.

- Powiesić się nie jest tak łatwo - wyjaśnił Wallander. - Czy na czymś stanął? Czy wdrapał się na drzewo?

Magnus Staffansson wskazał na pień drzewa.

- Postawił nogi w miejscu, gdzie pień ma wybrzuszenie - powiedział. - Tak uważaliśmy. Nie było nic, na czym mógłby stanąć.

Wallander skinął potakująco głową. Z protokołu obdukcji wynikało jasno, że Lars Borman umarł na skutek uduszenia. Kręgosłup szyjny nie został złamany. Policja przybyła na miejsce najdalej godzinę po jego śmierci.

- Niczego więcej nie pamiętasz? - zapytał.

- Na przykład czego?

- Tylko ty możesz wiedzieć.

- Robię to, co do mnie należy - odpowiedział Magnus Staffansson. - Piszę raport i potem staram się jak najszybciej o wszystkim zapomnieć.

Wallander znał to uczucie. Samobójstwo wywoływało szczególnego rodzaju przygnębienie. Myślał o tych wszystkich przypadkach, kiedy zetknął się z ludźmi, którzy zginęli samobójczą śmiercią.

Zastanawiał się nad tym, co usłyszał od Magnusa Staffanssona. To było jak filtr nałożony na to, co wcześniej przeczytał w raporcie.

A jednak natychmiast wyczuł, że coś się nie zgadza. Przypomniał sobie charakterystykę postaci Larsa Bormana. Nawet jeśli nie była ona pełna i w życiu księgowego istniały jakieś ciemne strony, wydawał się on raczej człowiekiem opanowanym. Tymczasem gdy postanowił ze sobą skończyć, wyjechał rowerem do lasu i wybrał tam drzewo, które zupełnie się nie nadawało do realizacji powziętego zamiaru. Już to wzbudziło podejrzenie Wallandera, że coś jest nie tak ze śmiercią Larsa Bormana.

Ale niepokoilo go jeszcze coś. Z początku nie wiedział co. Po chwili, nie ruszając się z miejsca, utkwil wzrok w ziemi, kilka metrów od drzewa.

Rower, przypomniał sobie. Rower opowiada całkiem inną historię.

Magnus Staffansson zapalił papierosa i stał, przestępując z nogi na nogę dla rozgrzewki.

- Rower - powiedział Wallander. - W raporcie niewiele o nim napisano.

- To był ładny rower - wyjaśnił Magnus Staffansson. - Dziesięć przerzutek, dobrze utrzymany. Pamiętam, że miał ciemnoniebieski kolor.

- Pokaż mi dokładnie, gdzie leżał.

Magnus Staffansson bez wahania wskazał miejsce.

- Jak leżał? - spytał Wallander.

- Jak mam to opisać? - spytał Magnus Staffansson niepewnie. - Zwyczajnie, na ziemi.

- Nie przewrócił się?

- Podpórka była schowana.

- Jesteś pewny?

- Tak. Jestem pewny - odparł po chwili zastanowienia.

- Sądzisz, że Borman po prostu rzucił rower na ziemię? Tak jak to robi dziecko w pośpiechu?

Magnus Staffansson przytaknął.

- Właśnie tak - odparł. - Rower leżał porzucony na ziemi.

Jak gdyby Lars Borman chciał jak najszybciej rozstać się z tym światem.

Wallander pokiwał w zamyśleniu głową.

- Jeszcze tylko jedno - dodał. - Zapytaj swojego kolegę, czy może potwierdzić, że podpórka była podniesiona.

- Czy to takie ważne? - zapytał zdziwiony Magnus Staffansson.

- Tak - potwierdził Wallander. - Ważniejsze, niż przypuszczasz. Daj mi znać, gdyby on uważał inaczej.

- Podpórka nie była opuszczona - zapewnił Magnus Staffansson. - Daję głowę.

- Zadzwoń tak czy inaczej - poprosił Wallander. - Teraz już jedźmy. Dziękuję za pomoc.

I ruszył w kierunku Ystad.

Rozmyślał o Larsie Bormanie, księgowym w samorządzie terytorialnym. Człowieku, który nigdy nie rzuciłby na ziemię roweru, nawet w skrajnie niebezpiecznej sytuacji.

Jeszcze jeden krok, pomyślał Wallander. Zbliżam się do jakiejś niewiadomej. Gdzieś między Larsem Bormanem i kancelarią adwokacką w Ystad jest luka. Muszę ją odnaleźć.

Zauważył, że minął już miejsce, gdzie spalił się jego samochód. W Rydsgardzie zjechał z drogi i zjadł spóźniony lunch w zajeździe. Nikogo prócz niego nie było. Postanowił, że wieczorem, nawet jeśli będzie bardzo zmęczony, zadzwoni do Lindy. A potem napisze list do Baiby.

Tuż przed piątą przyjechał do komendy w Ystad. Dowiedział się od Ebby, że popołudniowe zebranie zostało odwołane. Wszyscy byli zajęci, nikt nie chciał tracić czasu na spotkanie, na którym nie było nic ważnego do zakomunikowania. Mieli się zebrać następnego dnia rano o ósmej.

- Okropnie wyglądasz - powiedziała Ebba.

- Tej nocy będę spał - przyrzekł.

Poszedł do pokoju i zamknął za sobą drzwi. Na biurku leżało

kilka kartek. Nic tak ważnego, żeby nie mogło poczekać do jutra.

Zdjął kurtkę i następne pół godziny poświęcił na pisanie sprawozdania z wydarzeń dnia. Potem cisnął pióro i odchylił się w fotelu.

Teraz musi nastąpić przełom, pomyślał. Musimy znaleźć lukę w dochodzeniu.

Włożył kurtkę i już miał wyjść, kiedy usłyszał pukanie do drzwi. Do pokoju wszedł Svedberg. Wallander od razu spostrzegł, że coś się wydarzyło. Svedberg był podniecony.

- Masz chwilę czasu? - zapytał.

- Coś się stało?

Svedberg wiercił się niespokojnie. Wallander stwierdził, że zupełnie brak mu cierpliwości.

- Przyszedłeś tu chyba, żeby mi coś powiedzieć - zaczął. - Właśnie miałem iść do domu.

- Musisz chyba pojechać do Simrishamn - powiedział Svedberg.

- Dlaczego?

!:

- Dzwonili stamtąd.

- Kto dzwonił?

- Nasi koledzy.

- Policja z Simrishamn? Czego chcieli? Svedberg wyglądał, jakby brał rozpęd.

- Musieli zatrzymać twojego ojca - poinformował. Wallander wpatrywał się w niego z niedowierzaniem.

- Policja w Simrishamn zatrzymała mojego ojca? Z jakiego powodu?

- Był zamieszany w gwałtowną bójkę - oznajmił Svedberg.

Wallander długo patrzył na niego bez słowa. Potem usiadł za biurkiem.

- Jeszcze raz - poprosił. - Powoli.

- Dzwonili godzinę temu - wyjaśniał Svedberg. - Ponieważ

ciebie nie było, rozmawiali ze mną. Zatrzymali twojego ojca przed paroma godzinami. Zaczął się bić w Systembolaget*[* Państwowy sklep monopolowy.] w Simrishamn. Ponoć ostro się tłukli. Potem się okazało, że to twój ojciec. Wtedy zadzwonili.

Wallander kiwał głową bez słowa. Wstał ciężko z krzesła.

- Jadę tam - oświadczył.
- Chcesz, żebym z tobą pojechał?
- Nie, dziękuję.

Wallander wyszedł z komendy. Był całkowicie oszołomiony. W niespełną godzinę później przekroczył próg komendy policji w Simrishamn.

W drodze do Simrishamn Wallander myślał o Jedwabnych Rycerzach.

Miał ich przed oczami i uświadomił sobie, że już od bardzo dawna nie wspominał czasów, kiedy rzeczywiście istnieli.

Poprzednim razem, gdy ojca złapała policja, Wallander miał jedenaście lat. Pamiętał to dokładnie, mieszkali jeszcze wtedy w Malmö, i zareagował na zatrzymanie ojca mieszaniną wstydu i dumy.

Tamtym razem ojciec nie wdał się jednak w bójkę w sklepie sieci Systembolaget. Wtedy miało to miejsce w parku w centrum miasta, wczesnym latem 1956 roku. Ojciec wybrał się tam w sobotę wieczorem z paroma kolegami i zabrał ze sobą Kurta.

Koledzy ojca, którzy odwiedzali ich dom nieregularnie i zawsze bez zapowiedzi, byli w okresie dzieciństwa Wallandera mężczyznami wielkiej przygody. Sunęli w lśniących amerykańskich samochodach, zawsze w jedwabnych garniturach, często w kapeluszach z szerokim rondem i z ciężkimi, złotymi pierścieniami na palcach. Przyjeżdżali do małej pracowni, pachnącej terpentyną i farbą olejną, żeby obejrzeć lub kupić obrazy malowane przez ojca. Kurt nieraz zdobywał się na odwagę i zakradał się aż do pracowni. Schowany w kącie za stosem rupieci i starych, nadgryzionych przez szczury płócien, wsłuchiwał się z trwogą, jak dobijają targu, co zawsze przypieczętowywali pociąganiem koniaku prosto z butelki. Rozumiał, że to dzięki mężczyznom wielkiej przygody, Jedwabnym Rycerzom, jak ich nazywał w swoich potajemnie pisanych pamiętnikach, oni mają co włożyć do garnka. Prawdziwym świętem była chwila, kiedy zakup stawał się faktem i obcy mężczyźni upierścienionymi palcami przeliczali ogromne paczki banknotów, odłączając małe, cienkie pliki, które ojciec, kłaniając się, wkładał do

kieszeni.

Do tej pory pamiętał rozmowy, krótkie, jakby urywane zdania, po których często następowały słabe protesty ojca i rechot przyjezdnych.

„Siedem pejzaży bez głuszca i trzy z głuszcem”, słyszał głos któregoś z nich. Ojciec szperał w stosach namalowanych płócien, a kiedy obrazy zostały zaakceptowane, na stole tańczyły pieniądze. Miał jedenaście lat i stojąc w ciemności, czasami niemal odurzony oparami terpentyny, myślał, że właśnie jest świadkiem dorosłego życia, które czeka i jego za graniczną rzeką, ustanowioną przez siódmą klasę szkoły powszechnej, a może to już wtedy była dziewiąta klasa - ku własnemu zdziwieniu nie potrafił sobie przypomnieć. Potem czujnie wynurzał się z cienia w chwili, kiedy należało przenieść płótna do lśniącego samochodu i ułożyć je w bagażniku, a czasem na tylnym siedzeniu. Był to niezwykle ważny moment, gdyż zdarzało się, iż Jeździec, dostrzegłszy chłopca noszącego obrazy, w roztargnieniu wtykał mu całego piąta. Potem stali z ojcem przed furką, odprowadzając wzrokiem odpływający samochód, a kiedy ten zniknął z pola widzenia, ojciec zupełnie się zmieniał. Natychmiast porzucał uniżoną uprzejmość i spluwał za mężczyznę, który przed chwilą odjechał, konstatając z pogardą, że po raz kolejny został oszukany.

To była jedna z wielkich zagadek dzieciństwa Wallandera. Dlaczego ojciec czuł się oszukany, mimo że za każdym razem dostawał całą paczkę banknotów w zamian za nudne obrazy, przedstawiające wiecznie te same pejzaże z nigdy niezachodzącym słońcem?

Tylko jeden raz stał się świadkiem innego zakończenia wizyty przyjezdnych mężczyzn. Było ich wtedy dwóch, nigdy ich wcześniej nie widział, i z rozmowy, którą podsłuchiwał ukryty za szczątkami starego magła, zrozumiał, że to nowi nabywcy. Zapamiętał to jako ważny moment, wcale nie było

oczywiste, czy spodobają im się obrazy ojca. Później usłuźnie wynosił płótna, tym razem do samochodu marki Dodge, nauczył się otwierać bagażniki w samochodach różnych marek. Dwaj mężczyźni zaproponowali wspólną kolację, pamiętał, że jeden z nich nazywał się Anton, drugi nosił nieszwedzkie imię, był chyba Polakiem. Ojca i jego upchnęli na tylnym siedzeniu, pomiędzy płótnami; ci niezwykle mężczyźni mieli nawet patefon w samochodzie i w drodze do parku ludowego słuchali Johnny'ego Bode'a. Ojciec usiadł z mężczyznami w restauracji, jego wysłali na karuzelę z jednokoronówkami w rękę. Był ciepły dzień, początek lata, od Sundu wiał łagodny wiatr, a on dokładnie zaplanował, jak rozporządzi pieniędzmi. Zrozumiał, że nie wypada mu ich zatrzymać, dostał je po to, aby wydać tego samego dnia. Przejechał się na karuzeli, później dwa razy na diabelskim młynie, tak wysoko, że z góry miał widok na Kopenhagę. Od czasu do czasu sprawdzał, czy ojciec, Polak i mężczyzna imieniem Anton siedzą na swoich miejscach. Z daleka widział pojawiające się na stole szklanki i butelki, talerze z jedzeniem i białe serwetki, które zakładało się wokół szyi. Również i tym razem pomyślał, że po przekroczeniu granicznej rzeki, czy to po siódmej, czy po dziewiątej klasie, będzie podobnie jak ci mężczyźni sunąć samochodem i uszczęśliwiać malarzy obrazów, kładąc na stole w zapuszczonej pracowni odliczone banknoty.

Zapadł wieczór, zanosilo się na deszcz. Postanowił jeszcze raz przejechać się na diabelskim młynie. Ale nigdy do tego doszło, bo nagle zaszło coś, co spowodowało, że młyn, karuzele i loteria fantowa w okamgnieniu straciły siłę przyciągania i ludzie zwrócili się w kierunku restauracji. Ruszył za nimi, przycisnął się do przodu i to, co zobaczył, na zawsze pozostanie mu w pamięci. Ten moment również był linią graniczną - nie domyślał się nawet jego istnienia - i nauczył go, że życie składa się z wielu różnych linii

granicznych, które dostrzegamy, dopiero stojąc tuż obok. Coś się stało i było tak, jakby eksplodował cały wszechświat. Bo kiedy rozpychając się łokciami, dopchał się na tyle blisko, że mógł coś zobaczyć, ujrzał własnego ojca, zamieszanego w gwałtowną bójkę z jednym z Jedwabnych Rycerzy, strażnikami, kelnerami i jakimiś całkiem nieznanymi ludźmi. Stół był przewrócony, szklanki i butelki roztrzaskane, z ramienia ojca zwiślał kapiący sosem befsztyk i przysmażone, brązowe krążki cebuli, z nosa kapłała krew, a ojciec bił się z niepowstrzymaną furią. Wszystko stało się bardzo szybko, Wallander pchał się i przeciskał, może nawet wołał ojca w panice i przerażeniu. Nagle wszystko się skończyło, wkroczyli wzbudzający respekt strażnicy o czerwonych twarzach, nie wiadomo skąd pojawiło się kilku policjantów i odciągnęli ojca razem z Antonem i Polakiem. Został tylko rozdeptany kapelusz z szerokim rondem. Wallander usiłował ich gonić, ucześcić się ojca, ale odpędzili go, a potem znalazł się przy parkowej bramie. Widział, jak ojca zabiera policyjny radiowóz, i wtedy zaczął płakać. Szedł później piechotą do samego domu, po drodze złapał go deszcz. Wokół panował chaos, świat się zawalił, gdyby mógł, to wyciąłby wszystko, co się zdarzyło. Ale rzeczywistości nie dało się wyciąć, szedł szybko w deszczu, zastanawiając się, czy ojciec kiedyś wróci. Czekał potem na niego całą noc w pracowni, odurzony zapachem terpentyny, i za każdym razem, gdy drogą przejeżdżał samochód, wybiegał do furtki. W końcu zasnął, deszcz wciąż padał, a on zwinął się w kłębek na podłodze i naciągnął na siebie niezamalowane płótno. Obudził się i zobaczył nad sobą pochylonego ojca. Z jednej dziurki w nosie wystawał mu kawałek waty, lewe oko miał zapuchnięte i podsiniaczone. Zalatywało od niego alkoholem, przypominało to woń stęchłego oleju, usiadł na podłodze i objął ojca ramionami.

- Nie słuchali mnie - odezwał się ojciec. - Nie słuchali. Mówiłem, że mam ze sobą mojego chłopaka. Ale nie słuchali. Jak doszedłeś do domu?

Powiedział, jak było. Że szedł przez całą drogę, w deszczu.

- Przykro mi, że tak się stało - wyznał ojciec. - Ale krew mnie zalała. Mówili coś, co nie było prawdą.

Ojciec się wyprostował, sięgnął po jeden z obrazów i przyglądał mu się niezapuchniętym okiem. Było to płótno z głuszcem na pierwszym planie.

- Krew mnie zalała - powtórzył. - Ci parszywcy twierdzili, że to jest cietrzew. Mówili, że tak źle namalowałem ptaka, że nie wiadomo, czy to głuszc, czy cietrzew. Jasne, że człowieka zalewa wtedy krew. Mam swoją godność.

- Pewnie, że głuszc - przytaknął Kurt. - Każdy widzi, że to nie cietrzew.

Ojciec spojrział na niego z uśmiechem. Wybili mu dwa przednie zęby. Ma zepsuty uśmiech, pomyślał Kurt. Uśmiech mojego ojca jest zepsuty.

Potem pili kawę. Deszcz wciąż padał, a gniew ojca z powodu obelgi powoli stygł.

„Żeby nie potrafić odróżnić cietrzewia od głuszca”, powtarzał jak zaklęcie lub modlitwę. „Twierdzić, że nie umiem namalować ptaka tak, jak wygląda”.

Wszystko to przypomniało się Wallanderowi, kiedy jechał w kierunku Simrishamn. Pamiętał również, że obaj mężczyźni, ten, który miał na imię Anton, i drugi, być może Polak, przyjeżdżali w następnych latach kupować obrazy ojca. Bójka, gwałtownie rozpalony gniew, nadmierna ilość koniaku, wszystko to stało się zabawnym epizodem, który wspominali ze śmiechem. Mężczyzna imieniem Anton zapłacił nawet za dwa zęby w górnej szczęce, które wstawiono ojcu. Przyjaźń, myślał Wallander. Istniało coś ważniejszego niż bójka. Przyjaźń pomiędzy domokrażnymi handlarzami obrazów a człowiekiem malującym swój

wieczny motyw, po to, by tamci mieli co sprzedawać. Myślał o obrazie wiszącym na ścianie w domu w Helsingborgu. Myślał o wszystkich ścianach, których nigdy nie widział, gdzie głuszec tkwił na tle zastygłego krajobrazu, a słońce nigdy nie zachodziło.

Po raz pierwszy wydawało mu się, że rozumie coś, czego do tej pory nie dostrzegał. Ojciec przez całe życie nie pozwalał zejść słońcu. To było jego zaklęcie i tym zarabiał na życie. Ten, kto wieszał na ścianie namalowane przez niego obrazy, widział na własne oczy, że słońce można zatrzymać.

Dojechał do Simrishamn, zatrzymał się przed komendą i wszedł do środka. Za biurkiem siedział Torsten Lundström. Był to policjant starej daty, na kilka lat przed emeryturą.

Wallander wiedział, że jest przyjaznym z natury człowiekiem i wszystkim dobrze życzy. Torsten Lundström skinął głową w kierunku Wallandera i odłożył gazetę. Wallander usiadł na krześle i spojrział na niego.

- Co się stało? - zapytał. - Wiem, że ojciec wdał się w bójkę w Systemet*[* Skrót od Systembolaget.]. Nic więcej.

- Mogę ci dokładnie powiedzieć - odparł uprzejmie Torsten Lundström. - Twój ojciec przyjechał taksówką do Systemet tuż przed czwartą. Wszedł do środka, wziął numerek i usiadł, czekając na swoją kolej. Najwyraźniej nie zauważył, kiedy nadeszła. Podeszedł zatem do lady i zażądał, aby go obsłużono, mimo że jego kolejka minęła. Sprzedawca zachował się bardzo niewłaściwie. Powiedział ojcu, że ma wziąć nowy numerek. Ojciec odmawia, inny klient, którego numerek wywołano, przepycha się do lady i mówi ojcu, żeby się posunął. Ku zdumieniu obecnych ojciec tak się unosi, że wszczyna z nim bójkę. Sprzedawca interweniuje, więc ojciec rzuca się również na niego - reszty możesz się domyślić sam. Mogę cię pocieszyć, że nikt nie jest ranny. Chyba że ojca boli prawa pięść. Mimo że jest stary, wydaje się bardzo silny.

- Gdzie on jest?

Torsten Lundström wskazał na drzwi w głębi.

- I co dalej? - zapytał Wallander.

- Możesz go zabrać do domu. Niestety, zostanie oskarżony o lekkie pobicie. Chyba że uda ci się załatwić to polubownie ze sprzedawcą i klientem. Ja porozmawiam z prokuratorem, który podejmuje decyzję.

Podsunał Wallanderowi kartkę, na której były zapisane dwa nazwiska.

- Ze sprzedawcą nie powinno być problemu - powiedział. - Znam go. Gorzej z tym drugim. Jest właścicielem firmy przewozowej, nazywa się Sten Wickberg. Mieszka w Kiviku. Zdaje się, że postanowił dać twojemu ojcu nauczkę. Spróbuj może do niego zadzwonić. Zapisałem ci numer telefonu. Poza tym ojciec jest winien dwieście trzydzieści koron Taxi Simrishamn. Z powodu ogólnego zamieszania nie zapłacił za kurs. Kierowca nazywa się Waldemar Kage. Rozmawiałem z nim. Wie, że dostanie należność.

Wallander wziął kartkę i włożył ją do kieszeni. Potem zrobił gest w kierunku drzwi z tyłu.

- Jak on się czuje?

- Chyba się uspokoił. Ale uważa, że miał pełne prawo się bronić.

- Bronić się? - zdziwił się Wallander. - Przecież to on wszczął bójkę?

- Twierdzi, że miał prawo bronić swojego miejsca w kolejce w Systemet - odparł Torsten Lundström.

- Na litość boską! Torsten Lundström wstał.

- Możecie jechać do domu - powiedział. - A co z twoim samochodem? Czy to prawda, że się spalił?

- Mogła nawalić instalacja elektryczna - rzucił Wallander wymijająco. - To był stary wóz.

- Wyjdę na chwilę - rzekł Torsten Lundström. - Drzwi się same zatrzasną.

- Dziękuję za pomoc - powiedział Wallander.
- Za co dziękujesz? - spytał Torsten Lundström i wyszedł, wkładając czapkę.
- Wallander zapukał do drzwi i wszedł. Ojciec siedział na ławce w pustym pomieszczeniu i czyścił gwoździem paznokcie. Na widok Wallandera wstał poirytowany.
- Nie mogłeś naturalnie przyjechać wcześniej - odezwał się z wyrzutem. - Uważasz, że jak długo mam tu siedzieć i czekać?
- Przyjechałem najszybciej, jak mogłem - odpowiedział Wallander. - Jedziemy do domu.
- Najpierw zapłacę za taksówkę - oświadczył ojciec. - Jestem taksówkarzowi winien pieniądze.
- Załatwimy to później - uspokoił go Wallander.
- Opuścili budynek komendy i w milczeniu odjechali z Simrishamn. Wallander odniósł wrażenie, że ojciec już o wszystkim zapomniał.
- Dopiero gdy zbliżali się do drogi prowadzącej do Glimmingehus, Wallander przerwał milczenie.
- Gdzie się podziali Anton i Polak? - zapytał.
- Pamiętasz ich? - zdziwił się ojciec.
- Wtedy też była bójka - odparł ponuro Wallander.
- Myślałem, że zapomniałeś - powiedział ojciec. - Nie wiem, co się dzieje z Polakiem. Ostatnie wiadomości o nim miałem dwadzieścia lat temu. Przerzucił się wtedy na bardziej intratne zajęcie. Sprośne pisma. Nie wiem, co z tego wyszło. A Anton nie żyje. Zapił się na śmierć. Minęło już dwadzieścia pięć lat.
- Co robiłeś w Systemet? - zapytał Wallander.
- To, co się tam robi - odparł ojciec. - Chciałem kupić koniak.
- Przecież nie lubisz koniaku?
- Moja żona chętnie pije kieliszek wieczorem.
- Gertruda pije koniak?

- A co w tym złego? Niech ci się nie wydaje, że zaczniesz ją kontrolować, tak jak to próbowałeś robić z moim życiem.

Wallander nie wierzył własnym uszom.

- Nigdy nie próbowałem cię kontrolować - powiedział ze złością. - Jeżeli ktoś próbował kogoś kontrolować, to ty mnie. Ty usiłowałeś się wtrącać do mojego życia.

- Gdybyś mnie słuchał, nigdy nie zostałbyś policjantem - odparł spokojnie ojciec. - Biorąc pod uwagę wydarzenia ostatnich lat, sądzę, że wyszłoby ci to na dobre.

Wallander doszedł do wniosku, że najlepiej będzie zmienić temat.

- Dobrze, że ci się nic nie stało - zauważył.

- Należy bronić swojej godności - oświadczył ojciec.

- Swojej godności i miejsca w kolejce. Bo inaczej koniec.

- Mam nadzieję, że zdajesz sobie sprawę, że możesz wylądować w sądzie - powiedział Wallander.

- Będę zaprzeczał - odparł ojciec.

- Zaprzeczał czemu? Wszyscy wiedzą, że to ty zacząłeś. Nie możesz zaprzeczyć.

- Ja tylko broniłem swojej godności - powtórzył ojciec.

- Czy dzisiaj za to się idzie do więzienia?

- Nie pójdziesz do więzienia - uspokoił go Wallander.

- Może będziesz musiał zapłacić odszkodowanie.

- Nie mam zamiaru - obruszył się ojciec.

- Ja zapłacę - oznajmił Wallander. - Walnąłeś w nos właściciela firmy przewozowej. Za to jest kara.

- Należy bronić swojej godności - znów powtórzył ojciec.

Wallander nic nie odpowiedział. Po chwili skręcili na zwirowy podjazd przed domem ojca pod Lóderup.

- Nie mów nic Gertrudzie - poprosił ojciec, kiedy wysiedli z samochodu.

Wallandera zaskoczył błagalny ton jego głosu.

Rok wcześniej ojciec ożenił się z kobietą, którą przydzieliła mu opieka społeczna z powodu wyraźnych oznak jego

postępującej starości. Jej wizyty trzy razy w tygodniu przerwały dotychczasową izolację, w jakiej żył ojciec, i tak dobrze na niego wpłynęły, że wszelkie objawy starzenia się ustąpiły. To, że Gertruda była od niego trzydzieści lat młodsza, nie miało znaczenia. Wallander zupełnie nie pojmował małżeńskich planów ojca, lecz z biegiem czasu przekonał się, że Gertruda szczerze pragnie za niego wyjść. Wallander niewiele o niej wiedział, tyle tylko, że pochodziła z tych samych okolic, miała dwoje dorosłych dzieci i była od wielu lat rozwiedziona. Miał wrażenie, że jest im razem dobrze, i nieraz łapał się na uczuciu niejasnej zazdrości. W jego własnym życiu, które uważał za coraz bardziej jałowe, przydałaby się taka opiekunka.

Kiedy weszli do środka, Gertruda właśnie przyrządzała kolację. Była przyjemnie zaskoczona jego wizytą. Nie zgodził się zostać na kolacji, wykręcając się pracą. Poszedł z ojcem do pracowni, gdzie wypili po filiżance kawy, którą zaparzyli na zabrudzonej płytce kuchennej.

- Widziałem twój obraz kilka dni temu w pewnym domu w Helsingborgu - powiedział Wallander.

- Nazbierało się tego przez lata - odparł ojciec. Wallander się zainteresował.

- Ile ich właściwie namalowałeś?

- Gdybym chciał, mógłbym obliczyć. Ale nie chcę.

- Musiało ich być tysiące.

- Nawet nie chcę o tym myśleć. To tak jak zaprosić śmierć w progi domu.

Wallandera zaskoczyły te słowa. Nigdy nie słyszał, żeby ojciec wspominał o swoim wieku, a tym bardziej o śmierci. Uświadomił sobie, że nic nie wie na temat ewentualnego lęku ojca przed śmiercią. Po tych wszystkich latach nic nie wiem o swoim ojcu, pomyślał. A on zapewne też niewiele o mnie wie.

Ojciec, siedząc, przyglądał mu się krótkowzrocznym

spojrzeniem.

- Więc już się dobrze czujesz - skonstatował. - Wróciłeś do pracy. Kiedy byłeś tu ostatnio, zanim pojechałeś do pensjonatu w Danii, twierdziłeś, że prawdopodobnie odejdziesz z policji. Zmieniłeś zdanie.

- Coś się wydarzyło - odparł Wallander. Wolał uniknąć dyskusji na temat swojego zawodu. Kończyło się to zawsze kłótnią.

- Dowiedziałem się, że jesteś dobrym policjantem.

- Kto ci powiedział? - spytał zdumiony Wallander.

- Gertruda. Pisali o tobie w gazetach. Nie czytałem. Ale, według niej, pisali, że jesteś dobrym policjantem.

- Gazety niejedno piszą.

- Przekazuję tylko to, co mi mówiła.

- A ty sam co powiesz?

- Że próbowałem ci odradzać. I w dalszym ciągu uważam, że powinieneś zmienić zawód.

- Pewnie nigdy tego nie zrobię - powiedział Wallander. - Niedługo stuknie mi pięćdziesiątka. Dopóki będę żył, pozostanę policjantem.

Słyszeli, jak Gertruda wyszła na schody i zawołała, że kolacja jest gotowa.

- Nie przypuszczałem, że pamiętasz Antona i Polaka - powiedział ojciec, kiedy szli przez żwirowy podjazd.

- To jedno z najbardziej żywych wspomnień mojego dzieciństwa - przyznał Wallander. - Wiesz, jak nazywałem tych wszystkich dziwnych osobników, którzy przyjeżdżali kupować twoje obrazy?

- To byli domokrażni handlarze obrazów - wyjaśnił ojciec.

- Wiem. Ale dla mnie byli to rycerze w jedwabnych strojach. Nazywałem ich Jedwabnymi Rycerzami.

Ojciec przystanął i spojrział na niego. Potem wybuchnął śmiechem.

- To ci się udało - powiedział. - Pasuje do nich jak ulał.

Rycerze w jedwabnych strojach.

Pożegnali się przy schodach.

- Jesteś pewny, że nie chcesz zostać? - spytała Gertruda.

- Jedzenia jest dosyć.

- Muszę wracać do pracy - odparł Wallander.

Jechał z powrotem do Ystad przez ciemny, jesienny krajobraz. Zastanawiał się, co w sposobie bycia ojca przypomina mu jego samego.

Ale do niczego nie doszedł. W każdym razie tak uważał.

Kiedy w piątek rano, piątego listopada, Wallander przybył do komendy, czuł się wypoczęty i pełen zapału do pracy. Przyniósł sobie kawę i przez następną godzinę przygotowywał się do spotkania z grupą dochodzeniową, które miało się rozpocząć o ósmej. Zrobił chronologiczne zestawienie wszystkich znanych faktów i zastanawiał się nad dalszym działaniem. Jednocześnie liczył się z tym, że obraz śledztwa może się zmienić, gdyby się okazało, że wczorajszy dzień pracy kolegów przyniesie widoczne rezultaty.

Nie opuszczało go uczucie, że trzeba się śpieszyć. Zza postaci dwóch adwokatów wylaniały się coraz większe i groźniejsze cienie. Miał silne przeczucie, że nadal w policji zeskrobują tylko wierzchnią warstwę wydarzeń.

Odłożył pióro, odchylił się do tyłu na krześle i przymknął oczy.

Natychmiast znalazł się z powrotem w Skagen. Rozciągało się przed nim spowite mgłą wybrzeże. Był tam również Sten Torstensson. Wallander usiłował dostrzec tych, którzy ukradkiem śledzili Stena, kiedy szedł na spotkanie z policjantem na zwolnieniu lekarskim. Musieli być całkiem blisko, niewidoczni czuwali gdzieś pośród wydm.

Przypomniał sobie kobietę, która wyprowadzała psa na spacer. A jeśli to ona? Lub dziewczyna, która podawała kawę w Muzeum Sztuki? Nie, tam we mgle, znajdował się

ktos, kogo zaden z nich nie dostrzegł.

Spojrzał na zegarek. Za chwilę rozpocznie się zebranie grupy dochodzeniowej. Pozbierał papiery, wstał i wyszedł z pokoju.

Tego przedpołudnia, po zakończeniu trwającego ponad cztery godziny zebrania, Wallander uprzytomnił sobie, że przebili się przez ścianę i ukazało się im wreszcie coś na kształt wzoru, mimo że wszystko było w dalszym ciągu bardzo niejasne i nie wiedzieli, w którą stronę skierować swoje podejrzenia. Mimo to zgodzili się ostatecznie między sobą, że to, co zaszło, nie było seria przypadkowych zdarzeń, że istniały między nimi powiązania, chociaż w dalszym ciągu nie wiedzieli jakie. Kiedy wreszcie Wallander podjął próbę podsumowania, byli już zmęczeni, w pokoju brakowało świeżego powietrza, a Svedberg zaczął narzekać na ból głowy. Udało mu się sformułować to, co wszyscy przeczuwali.

- Teraz trzeba będzie dłubać i ryc - powiedział. - Jest możliwe i całkiem prawdopodobne, że dochodzenie będzie długotrwałe. Ale prędzej czy później dopasujemy do siebie wszystkie fragmenty. I wtedy to rozwiążemy. Najważniejsze, żeby teraz nie zawalić roboty. Natrafiliśmy już na zakopaną minę. Może jest ich więcej, ujmując rzecz symbolicznie.

Przez cztery godziny wertowali materiały, dyskutowali, oceniali i posuwali się naprzód. Roztrząsali rozmaite szczegóły, przymierzali się do różnych interpretacji i w końcu porozumieli się co do możliwej opcji. Nastąpiła decydująca faza dochodzenia, jeden z najważniejszych momentów, gdyż każdy fałszywy krok może przynieść porażkę. Wszystkie sprzeczne wątki uznawano za konstruktywne punkty wyjścia, aby nie ulegać pokusie uproszczeń i nieprzemyślanych sądów. To okres próbnych modeli, myślał Wallander. Składamy w całość mnóstwo modeli i trzeba bardzo uważać, żeby za szybko ich nie

rozłożyć.

Wszystkie próbne modele mają wspólne podłoże. Blisko miesiąc temu Gustaw Torstensson zginął późnym wieczorem na grzędawisku w pobliżu Wzgórz Brórsarpskich. Dziesięć dni temu Sten Torstensson był w Skagen, a kilka dni później został zamordowany w swoim biurze. To był punkt wyjścia, do którego stale powracali.

Tego ranka pierwszy składał raport Martinsson, pomagał mu Nyberg.

- Otrzymaliśmy wyniki ekspertów w sprawie broni i amunicji, od których zginął Sten Torstensson - oznajmił Martinsson, wymachując raportem. - Jest tu przynajmniej jedna rzecz zasługująca na uwagę.

Nyberg zabrał głos.

- Stena Torstenssona dosięgły trzy dziewięćmilimetrowe naboje. To standardowa amunicja. Interesujące jest natomiast, że eksperci balistyki sądzą, że użyto włoskiego pistoletu marki Bernardelli Practical. Nie chcę się wdawać w tłumaczenie, dlaczego tak uważają - to szczegóły techniczne. Mógł to być również smith & wesson, model 3914 lub 5904. Ale najprawdopodobniej to bernardelli. Jest to broń stosunkowo rzadko spotykana w Szwecji. Istnieje zaledwie około pięćdziesięciu zarejestrowanych sztuk. Nikt oczywiście nie wie, ile jest w obiegu z nielegalnego importu. Przepuszczamy, że około trzydziestki.

- Co to oznacza? - zapytał Wallander. - Kto może się posługiwać włoskim pistoletem?

- Ktoś z dużą znajomością broni - odparł Nyberg. - Ktoś, kto świadomie wybrał ten model.

- Czy mam rozumieć, że podejrzewasz zawodowego mordercę z zagranicy?

- Kto wie? - odparł Nyberg. - Nie jest to całkiem wykluczone.

- Sprawdzimy rejestr użytkowników marki Bernardelli -

poinformował Martinsson. - O ile wiemy, nikt dotychczas nie złożył doniesienia o kradzieży broni.

Obradowali dalej.

- Tablica rejestracyjna samochodu, który jechał za wami, była rzeczywiście skradziona - powiedział Svedberg. - Została zdjęta z nissana w Malmö. Pomaga nam policja z regionu Malmö. Znaleźli trochę odcisków palców. Nie ma co sobie robić zbyt wielkich nadziei.

Wallander skinął głową. Svedberg popatrzył na niego pytająco.

- Masz jeszcze coś? - zapytał Wallander.

- Prosiłeś, żebym sprawdził Kurta Stroma - odparł Svedberg.

Wallander zwięźle zreferował wizytę na zamku w Farnholmie i spotkanie przed bramą z byłym policjantem.

- Kurt Ström raczej nie był chlubą policji - oświadczył Svedberg. - Dowodów na jego związki z różnymi paserami było aż nadto. Brakowało jednak dowodów na to, że był sprawcą przecieków na temat przygotowywanych przez policję akcji, chociaż było to niemal pewne. Został wywalony i sprawę zatuszowano.

Po raz pierwszy tego ranka głos zabrał Björk.

- Za każdym razem jest to równie przykre - powiedział.

- Policja nie może sobie pozwolić na zatrudnianie osób pokroju Kurta Stroma. Najbardziej niepokojące jest to, że osobnicy tego rodzaju bez trudu znajdują pracę w rozmaitych firmach ochroniarskich. Kontrola zatrudnianych pracowników jest stanowczo niewystarczająca.

Wallander nie skomentował dygresji Björka. Wiedział, że istnieje ryzyko dyskusji na tematy niemające bezpośredniego związku z aktualnym śledztwem.

- Nie potrafię powiedzieć, co spowodowało, że twój samochód wyleciał w powietrze - przyznał Nyberg. -

Możemy jednak przyjąć, że umieszczono coś w baku z benzyną.

- Bomby samochodowe mają różną postać - zauważyła Ann-Britt Hóglund.

- Metoda posługiwania się żrącymi właściwościami benzyny jako mechanizmem opóźniającym jest, o ile mi wiadomo, częsta w Azji - poinformował Nyberg.

- Włoski pistolet - powiedział Wallander - i azjatycka bomba samochodowa. Dokąd to prowadzi?

- W najgorszym razie do fałszywego wniosku - odparł stanowczo Bjórk. - Za tym, co się wydarzyło, nie muszą się kryć ludzie z innych krajów. Dzisiaj w Szwecji krzyżują się i spotykają drogi, na których wszystko jest możliwe.

Wallander wiedział, że Bjórk ma słuszość.

- Idźmy dalej - zachęcił. - Co znaleźliście w kancelarii adwokackiej?

- Dotychczas nic, co można określić jako znaczące - odparła Ann-Britt Hóglund. - Zanim przejrzymy i ocenimy cały materiał, upłynie dużo czasu. Jedyne, co jasno z niego wynika, to to, że z biegiem lat klientela Gustawa Torstenssona uległa drastycznemu zmniejszeniu. A jego działalność obracała się wyłącznie wokół spraw związanych z tworzeniem firm, doradztwem finansowym i spisywaniem kontraktów. Zastanawiam się, czy nie powinniśmy zwrócić się do kogoś z wydziału kryminalnego w Głównym Zarządzie Policji, kto specjalizuje się w przestępstwach ekonomicznych. Nawet jeśli nie popełniono żadnego wykroczenia, bardzo trudno zrozumieć, o co w tych sprawach chodzi.

- Wykorzystajcie Pera Akesona - poradził Bjórk. - Ma dużą wiedzę o wszystkim, co się wiąże z przestępczością ekonomiczną. Sam oceni, czy jest wystarczająca. Jeśli nie, poprosimy o posiłki.

Wallander skinął potakująco głową i powrócił do swoich

notatek.

- A sprzątaczką? - zapytał.

- Mamy się spotkać. Rozmawiałam z nią telefonicznie. Mówi na tyle dobrze po szwedzku, że obejdzie się bez tłumacza.

Nadeszła kolej Wallandera. Zdał szczegółowe sprawozdanie z wizyty u Martina Oscarssona i wyprawy do Klagshamn i brzoźowego zagajnika, gdzie podobno powiesił się Lars Borman. Miał wrażenie, jak zresztą wiele razy wcześniej, że referując przysłuchującym się kolegom minione wydarzenia, dostrzega w nich nowe zależności. Wyostrzało to jego uwagę.

Atmosfera w pokoju zebrania wyraźnie się zagęściła. Nadchodzi przełom, pomyślał Wallander. Jest już bardzo blisko.

Zagał dyskusję, zaczynając od zwięzłego przedstawienia swoich wniosków.

- Musimy odnaleźć powiązania - powiedział. - Co łączy Larsa Bormana z kancelarią Torstenssona? Co tak wstrząsnęło Bormanem, że wysłał list z pogrózkami do adwokatów i w dodatku wymienia w nim panią Duner? Oskarża ich o wyrządzenie jakiejś wielkiej krzywdy. Nie mamy pewności, czy to ma związek ze skokiem na samorząd terytorialny. Mimo to uważam, że przez kilka następnych dni możemy założyć, że ma. W tym miejscu jest w dochodzeniu czarna dziura, w którą z całą energią musimy się zagłębić.

Z początku dyskusja kuląła. Wszyscy potrzebowali czasu, żeby zastanowić się nad tym, co usłyszeli od Wallandera.

- Co się tyczy listów z pogrózkami - powiedział Martinsson.

- Nie mogę się oprzeć wrażeniu, że są naiwne. Jakby dziecinne, niemal niewinne. Nie mogę rozgryźć tego Larsa Bormana.

- Musimy mieć więcej informacji - rzekł Wallander. - Przede wszystkim trzeba odnaleźć jego dzieci i z nimi porozmawiać.

Do wdowy w Marbelli można przecież zatelefonować.

- Chętnie się tym zajmę - zaofiarował się Martinsson. - Lars Borman mnie interesuje.

- Trzeba dokładnie przyjrzeć się aferze ze spółką inwestycyjną Smeden - powiedział Björk. - Proponuję skontaktować się z wydziałem do spraw przestępczości gospodarczej w Sztokholmie. Albo, jeszcze lepiej, niech zrobi to sam Akeson. Tam siedzą ludzie, którzy znają ten świat tak samo dobrze, jak najbardziej wtajemniczeni analitycy giełdowi.

- Mogę to zrobić - zgłosił się Wallander. - Porozmawiam z Perem.

Przez całe przedpołudnie wędrowali tam i z powrotem przez materiał dochodzeniowy. W końcu nadeszła chwila, kiedy zmęczeni i bladzi nie mieli nic więcej do powiedzenia. Björk już wyszedł na jedno z niezliczonych posiedzeń, jakie odbywał z szefem wojewódzkiej policji. Wallander postanowił, że czas zakończyć zebranie.

- Mamy dwóch zamordowanych adwokatów - podsumował.

- I samobójstwo Bormana, jeżeli to rzeczywiście było samobójstwo. Dalej jest mina w ogrodzie pani Duner. I mój samochód. To oczywiste, że mamy do czynienia z niebezpiecznymi ludźmi. W dodatku z ludźmi, którzy nas obserwują. Dlatego musimy być czujni i ostrożni.

Zgarnęli ze stołu papiery i rozeszli się. Wallander pojechał do restauracji w Ystad, gdzie zjadł lunch. Chciał być sam. Krótko po pierwszej był z powrotem w komendzie. Resztę dnia spędził na rozmowach z krajowym wydziałem kryminalnym i urzędującymi tam ekspertami do spraw przestępczości gospodarczej. Tuż przed czwartą udał się do sekcji prokuratorów w komendzie i odbył długą rozmowę z Perem Akesonem. Później wrócił do biura i wyszedł dopiero przed dziesiątą.

Czuł potrzebę świeżego powietrza, brakowało mu długich

spacerów w Skagen, zostawił więc samochód i poszedł piechotą na Mariagatan. Wieczór był ciepły, od czasu do czasu przystawał przed jakąś wystawą i przyglądał się wyłożonym towarom. Tuż przed jedenastą dotarł do domu.

O wpół do dwunastej niespodziewanie zadzwonił telefon. Wallander właśnie nalał sobie do szklanki whisky i usiadł, żeby obejrzeć film w telewizji. Wyszedł do holu i odebrał telefon. Dzwoniła Ann-Britt Hóglund.

- Przeszkadzam? - zapytała.

- Ależ skąd.

- Jestem w komendzie - powiedziała. - Zdaje się, że na coś wpadłam.

Wallander uprzytomnił sobie nagle, że nigdy by nie zadzwoniła, gdyby nie było to coś bardzo ważnego. Nawet się nie zastanawiał.

- Jadę - rzucił. - Będę za dziesięć minut.

Pojechał do komendy i poszedł prosto do jej pokoju. Stała w korytarzu, czekając na niego przed drzwiami.

- Muszę się napić kawy - powiedziała. - Kafeteria jest teraz pusta. Peters i Noren przed chwilą zniknęli. Podobno zdarzył się wypadek na skrzyżowaniu z drogą do Bjaresjö.

Usiedli przy końcu stołu z kubkami kawy.

- Miałam kolegę w Wyższej Szkole Policji, który zarabiał w czasie studiów, grając na giełdzie - zaczęła.

Wallander popatrzył na nią zdziwiony.

- Zadzwoniłam do niego - ciągnęła dalej, jakby się tłumaczyła. - Często łatwiej się czegoś dowiedzieć, korzystając z własnych kontaktów, jeśli się takowe posiada. Opowiedziałam mu o spółkach STRUFAB, SISYFOS i Smeden. Podałam mu nazwiska Fjallsjö i Holmberga. Oddzwonił godzinę temu. Natychmiast tu przyjechałam.

Wallander w napięciu czekał na dalszy ciąg.

- Zanotowałam wszystko, co powiedział. W spółce inwestycyjnej Smeden nastąpiły w ostatnich latach liczne

zmiany. Zarządy przychodziły i odchodziły, wiele razy zawieszano obrót akcjami spółki w związku z podejrzeniami o wykorzystanie poufnych informacji i innymi wykroczeniami przeciwko obowiązującym przepisom. Większościowe pakiety akcji krążyły w szalonym tempie i trudno je było zlokalizować. Spółka inwestycyjna Smeden reprezentowała to wszystko, co zwykliśmy kojarzyć z brakiem poczucia odpowiedzialności w świecie finansów. Tak było jeszcze kilka lat temu. Później niektóre biura maklerskie, między innymi w Anglii, Belgii i Hiszpanii, zaczęły dyskretnie kupować duże pakiety akcji. Z początku nic nie wskazywało na to, że za różnymi biurami maklerskimi kryje się ten sam zleceniodawca. Wszystko odbywało się bardzo powoli, jak gdyby biurom maklerskim zależało na tym, żeby zakupy nie wzbudzały zainteresowania. Zresztą wtedy wszyscy mieli już tak dość tej spółki, że nikt jej nie traktował poważnie, a już najmniej media. Za każdym razem, gdy prezes giełdy spotykał się przy jakiejś okazji z dziennikarzami, zaczynał od prośby, by nie zadawać mu pytań na temat spółki Smeden, gdyż miał serdecznie dosyć wszystkiego, co się z nią wiązało. Jednak pewnego dnia trzy wymienione biura maklerskie zakupiły tak duże pakiety akcji, że trudno się było nie zdziwić, że komuś aż tak zależy na spółce z nadszarpniętą reputacją. Okazało się, że spółka Smeden dostała się w ręce pewnego, nie całkiem nieznanego Anglika nazwiskiem Robert Maxwell.

- Nic mi to nazwisko nie mówi - powiedział Wallander. - Kto to taki?

- Człowiek, który już nie żyje - odparła. - Kilka lat temu wypadł przez burtę swojego luksusowego jachtu w pobliżu hiszpańskiego wybrzeża. Chodziły słuchy, że być może został zamordowany. Mówiono coś o Mossadzie, wywiadzie izraelskim, i niejasnych, zakrojonych na szeroką skalę

interesach w handlu bronią. Oficjalnie posiadał pisma i wydawnictwa, wszystkim kierował z Lichtensteinu. Kiedy zmarł, jego imperium zawało się jak zamek z piasku, kiedy się na niego nadeptnie. Zostały tylko długi, długi i zdefraudowane fundusze emerytalne. Bankructwo było błyskawiczne i całkowite. Ale podobno jego synowie dalej poszli drogą przetartą przez ojca.

- Anglik - zdziwił się Wallander. - Co to oznacza?

- Że na tym się nie skończyło. Udziały miały przejść w inne ręce.

- W czyje ręce?

- Coś się za tym kryło - powiedziała. - Robert Maxwell kupował na zlecenie kogoś, kto nie chciał się ujawnić. Ten człowiek jest Szwedem. Osobliwe koło się zamknęło.

Spojrzała na niego uważnie.

- Czy domyślasz się, kim jest ten człowiek? - spytała. - Nie.

- Uważam, że powinieneś zgadywać.

W tej samej chwili Wallander uświadomił sobie, że zna odpowiedź.

- Alfred Harderberg. Skinęła głową.

- Mężczyzna z zamku w Farnholmie - powiedział powoli Wallander.

Chwilę siedzieli w milczeniu.

- Za pośrednictwem firmy Smeden kierował również spółką STRUFAB - odezwała się po chwili.

Wallander spoglądał na nią w zadumie.

- Dobrze - pochwalił. - Bardzo dobrze.

- Podziękuj mojemu koledze z roku - odparła. - Jest policjantem w Eskilstunie. Ale jest jeszcze coś.

- Co takiego?

- Nie wiem, czy to ważne - powiedziała. - Ale przyszło mi to do głowy, kiedy na ciebie czekałam. Gustaw Torstensson zginął po drodze z Farnholmu. Lars Borman się powiesił. Być może obaj, każdy na swój sposób, odkryli to samo.

Cokolwiek to było.

Wallander powoli pokiwał głową.

- Kto wie, czy nie masz racji - rzekł. - Myślę, że możemy poważnie się na jeszcze jeden wniosek, wniosek, który się sam narzuca, mimo że nie mamy dowodu. Mianowicie że Lars Borman nie popełnił samobójstwa. Tak samo jak Gustaw Torstensson nie zginął w wypadku samochodowym. Znowu siedzieli w milczeniu.

- Alfred Harderberg - przerwała ciszę. - Czy to możliwe, że on się za tym wszystkim kryje?

Wallander wbił wzrok w kubek z kawą. Ta myśl była mu zupełnie obca i całkowicie go zaskoczyła. A jednak ją przeczuwał, teraz to sobie uprzytomnił.

Spojrzał na nią.

- Naturalnie, że to może być Alfred Harderberg. Naturalnie, że to może być on.

Wallander zawsze później wspominał tydzień, który nastąpił, jako okres wznoszenia niewidocznej barykady wokół wolno posuwającego się śledztwa. Tak jakby w krótkim czasie i pod wielką presją przygotowywali skomplikowaną kampanię wojskową. Porównanie nie było naciągane, gdyż wrogiem okrzyknęli Alfreda Harderberga, człowieka, który nie tylko uchodził za żyjący pomnik, ale zakresem władzy przypominał udzielnego księcia, i to nie mając jeszcze pięćdziesiątki.

Wszystko zaczęło się w piątek wieczór, kiedy Ann-Britt Hóglund ujawniła wątek angielski - Roberta Maxwella w charakterze figuranta - i kiedy się okazało, że właścicielem spółki Smeden jest mężczyzna z zamku w Farnholmie, który w związku z tym całkiem znikąd wkroczył nagle w samo centrum śledztwa w sprawie zabójstwa. Wallander z niejakim wstydem myślał później, że powinien był dużo wcześniej zacząć podejrzewać Alfreda Harderberga. Nie potrafił wyjaśnić, dlaczego tak się nie stało. Cokolwiek sobie wmawiał, stanowiło to w gruncie rzeczy usprawiedliwienie faktu, że w początkowej fazie dochodzenia przez opieszałość i niedbalstwo przyznał Alfredowi Harderbergowi niezасłużony immunitet, jak gdyby zamek w Farnholmie był obcym terytorium, gdzie obowiązują umowy dyplomatyczne.

Wszystko to się zmieniło w następnym tygodniu. Musieli posuwać się ostrożnie, nie tylko dlatego, że żądał tego Bjórk, częściowo przy poparciu Pera Akesona, lecz przede wszystkim dlatego, że fakty, którymi dysponowali, były dalece niewystarczające. Już przedtem wiedzieli, że Gustaw Torstensson pełnił funkcję doradcy ekonomicznego mężczyzny na zamku w Farnholmie, nie wiedzieli jednak, co robił i jakie miał zadania. Nie znaleźli również nic, co wskazywałoby na to, że przemysłowe imperium

Harderberga działa w sposób niezgodny z prawem. Odkryli jednak kolejne powiązanie. Chodziło o Larsa Bormana i malwersację w wojewódzkim samorządzie terytorialnym Malmöhus, zatuszowaną przed rokiem i pośpiesznie pogrzebaną w tajemnicy przed opinią publiczną. W tamten piątek wieczorem, piątego listopada, Wallander i Ann-Britt Hóglund siedzieli w komendzie aż do rana i zajmowali się głównie spekulacjami. Ale już wtedy zaczęli budować model śledztwa i Wallander od samego początku był świadom, że powinni działać dyskretnie i ostrożnie. Bo jeśli rzeczywiście w sprawę jest zamieszany Harderberg - Wallander przez cały następny tydzień powtarzał to jeśli - to mają do czynienia z człowiekiem, który posiada uszy i oczy nie tylko z tyłu głowy, ale i naokoło niej, otwarte na nich przez całą dobę, niezależnie od tego, gdzie są i co robią. Musieli się liczyć z tym, że związek pomiędzy Larsem Bormanem, Harderbergiem i jednym z nieżyjących adwokatów nie oznacza koniecznie, że trzymają w ręku klucz do rozwiązania.

Wallander miał wątpliwości również z innych powodów. Dotychczas, głębiej się nie zastanawiając, żył z poczuciem pełnego zaufania do tradycji, która głosiła, że szwedzka gospodarka, tak jak małżonka cesarza, jest poza wszelkimi podejrzeniami. Szwedzcy mężczyźni i kobiety, reprezentujący wielkie koncerny, byli fundamentem, na którym wznosił się cud dobrobytu. Trudno było przecenić znaczenie eksportu jako podstawy krajowego dostatku. Szczególnie w czasie, kiedy cały gmach dobrobytu się chwia, a w jego podłożu zaległy się wygłodniałe mrówki. Fundamentów trzeba bronić przed nieodpowiedzialnymi atakami bez względu na to, skąd przychodzą. Mimo tych wątpliwości Wallander miał jednocześnie świadomość, że być może wpadli na trop ostatecznego rozwiązania, nawet jeżeli z zewnątrz wydawało się to absurdalne.

- Nie wiemy, co się kryje głębiej - mówił do Ann-Britt Hóglund w piątek w nocy. - Mamy zahaczenie, powiązanie. Musimy to sprawdzić. Skierujemy na to całą energię. Ale nie możemy wychodzić z założenia, że to nas automatycznie zaprowadzi do naszego sprawcy.

Zamknęli się w pokoju Wallandera, każde z kubkiem kawy. Zaskoczyło go, że nie chciała wracać do domu, było późno i w przeciwieństwie do niego na nią czekała rodzina. Zresztą tej nocy i tak nic nie mogli zdziałać, lepiej było wypocząć przed kolejnym dniem pracy. Lecz ona chciała dalej prowadzić rozmowę i Wallander przypomniał sobie, jak sam reagował w jej wieku; nawet w beznadziejnej zazwyczaj pracy policjanta istnieją chwile podniecenia i napięcia, niemal dziecinnej chęci zabawy w potencjalne warianty.

- Wiem, że to nic nie znaczy - powiedziała. - Ale taki kryminalista jak Al Capone wpadł przez księgowego.

- To porównanie nie ma sensu - odparł Wallander. - Mówisz o gangsterze, który, jak wszyscy wiedzieli, zbił majątek na kradzieży, przemyśle, szantażu, łapówkach i zabójstwach. W naszym przypadku wiemy tylko, że szwedzki przedsiębiorca, któremu się powiodło, jest właścicielem większości udziałów w podupadłej, jak głosi fama, spółce inwestycyjnej, wśród wielu innych projektów zarządzającej firmą konsultingową, a kilku jej pracowników zrobiło skok na samorząd terytorialny. Nic więcej nie wiemy.

- Dawniej się mówiło, że za każdą dużą fortuną kryje się przestępstwo - przypomniała. - Dlaczego dawniej? Jakąkolwiek gazetę weźmiesz do ręki, znajdziesz przykłady, że dzisiaj jest to raczej reguła niż wyjątek.

- Życie jest pełne cytatów - odparł Wallander. - Zawsze się znajdzie coś, co pasuje. Japończycy mówią, że duch przedsiębiorczości wywołuje wojnę. Lecz to nie usprawiedliwia zabijania ludzi w Szwecji po to, by manipulować cyframi w księgach rachunkowych. Jeśli to

miałby być powód.

- W naszym kraju jest mnóstwo świętych krów - powiedziała. - Uważa się na przykład, że nie ma potrzeby zajmować się przestępczością wśród ludzi o arystokratycznych nazwiskach ze starych, dobrych skańskich rodów. Nie lubimy ciągać ich po sądach, kiedy kradną drobniaki.

- Nigdy tak nie myślałem - zaprotestował Wallander i uświadomił sobie, że mówi nieprawdę. Później się zastanawiał, czego właściwie bronił. I czy w ogóle chciał czegoś bronić? Czy też po prostu nie mógł pozwolić, żeby Ann-Britt Hóglund, kobieta, i to w dodatku młodsza od niego, miała rację, w każdym razie pozwolić nie ot tak, po prostu.

- Sądzę, że wszyscy tak myślą - upierała się. - Policjanci reagują tak samo jak inni. Prokuratorzy również. Niechaj święte krowy pasą się w spokoju.

Krążyli tam i z powrotem wśród podwodnych skał i nie mogli wypłynąć na szeroką wodę. Wallander był zdania, że dzieląca ich różnica poglądów świadczy o tym, o czym już dawno myślał: że w policji rysuje się coraz ostrzejszy podział pokoleniowy. Chodziło nie tyle o to, że Ann-Britt Hóglund jest kobietą, ile o to, że ma zupełnie inne doświadczenia. Nie poruszamy się w tym samym świecie, myślał Wallander. Rzeczywistość wokół nas jest może ta sama, ale odbieramy ją w różny sposób.

Tej nocy rozmyślał jeszcze o czymś innym i nie było to przyjemne. Uprzytomnił sobie nagle, że to, co mówił Ann-Britt Hóglund, równie dobrze mógłby powiedzieć Martinsson. Albo Svedberg, a nawet nieustannie szkolący się Hansson. Wallander siedział z nią w piątkową noc i mówił nie tylko swoim głosem, ale również głosem innych. Kiedy otwierał usta, płynęły z nich słowa, które reprezentowały całą generację. Drażniło go to i w myślach

zrzucał winę na Ann-Britt - zbyt pewną siebie i o zbyt zdeklarowanych przekonaniach. Nie lubił, żeby mu wypominano pasywność i zdecydowanie nieokreślone poglądy na świat i czasy, w których żyje.

Miał wrażenie, że Ann-Britt Hóglund opisuje kraj, którego on nie zna. Szwecję, której, niestety, sobie nie wymyśliła, lecz która znajduje się za murami komendy policji, z całkowicie rzeczywistymi ludźmi.

Wallander tak długo zalewał wodą płomień dyskusji, aż ten wreszcie począł przygasać. Poszli po kolejną kawę, w kafeterii poczęstował ich kanapkami wyczerpany lub może śmiertelnie znudzony policjant z drogówki, z utkwionym przed siebie pustym wzrokiem.

Następnie wrócili do pokoju Wallandera, który chcąc uniknąć burzliwej dyskusji na temat świętych krów, przejął inicjatywę i zaproponował chwilę konstruktywnego myślenia.

- Miałem w samochodzie elegancki skórzany segregator, który się spalił - powiedział. - Zawierał materiały, które dostałem w czasie wizyty na zamku w Farnholmie. Materiały dotyczące imperium Harderberga. Jego liczne doktoraty honorowe. Wszystkie jego dokonania. Harderberg mecenas sztuki. Harderberg humanista. Harderberg przyjaciel młodzieży. Harderberg entuzjasta sportu. Harderberg opiekun zabytków, popierający renowację starych łodzi rybackich z wyspy Óland. Harderberg honorowy doktor archeologii, który hojnie wspiera wykopaliska osad z epoki żelaza w prowincji Medelpad. Harderberg miłośnik muzyki, wypłacający pensję dwóm skrzypkom i fagociście z orkiestry symfonicznej w Góteborgu. Fundator Nagrody Harderberga dla najzdolniejszego młodego śpiewaka operowego w kraju. Szczodry sponsor badań nad pokojem w krajach nordyckich. I mnóstwo innych rzeczy, zapomniałem jakich.

Prezentacja godna Akademii Szwedzkiej w jednej osobie. Ani kropli krwi na rękach. Prosiłem już Ebbę o ściągnięcie następnego segregatora. Trzeba go przejrzeć i wziąć pod lupę. Musimy z zachowaniem jak największej dyskrecji zdobyć dostęp do niezliczonych raportów rocznych i ksiąg rachunkowych ze wszystkich spółek Harderberga. Musimy się przekonać, ile ich jest, gdzie są i czym się zajmują. Co sprzedają i co kupują. Musimy się dowiedzieć o jego sytuację podatkową.

W tym wypadku przyznaję ci rację co do Ala Capone. Musimy sprawdzić, do czego dopuszczono Gustawa Torstenssona. Musimy postawić sobie pytanie, dlaczego właśnie on? Musimy zajrzeć do wszystkich tajnych pokoi, które istnieją. Wkręcić się do mózgu Harderberga, nie tylko do jego portfela. Musimy przesłuchać jedenaście sekretarek, tak żeby nie zauważył. Bo jeśli zauważy, zatrzęsie się całe jego imperium. Przy wstrząsie zatrzasną się równocześnie wszystkie drzwi. Nie możemy zapomnieć, że niezależnie od tego, ile rezerw zmobilizujemy, on zawsze wystawi do bitwy więcej wojska. A zamknąć drzwi jest łatwiej, niż potem je otworzyć. Łatwiej jest się przyglądać pomysłowemu kłamstwu, niż dotrzeć do mglistej prawdy.

Miał wrażenie, że słucha jego wywodów z prawdziwym zainteresowaniem. Mówił po to, żeby ująć w słowa własne przemyślenia. Nie mógł jednak zaprzeczyć, że równocześnie chciał jej dać nauczkę. Prawdziwym policjantem jest on, a ona powinna zrozumieć, że wciąż jest smarkulą, choć bez wątplenia utalentowaną.

- Wszystko to musimy przeprowadzić - ciągnął dalej. - Mimo że na końcu może się okazać, że nagrodą za to będzie wielkie nic. Ale w tej chwili najważniejsze i najtrudniejsze jest znalezienie takiej metody działania, żeby nikt niczego nie zauważył. Jeżeli tak, jak przypuszczamy, znajdujemy się pod obserwacją i usiłują wysadzić nas w powietrze na

zlecenie Harderberga, a jego przedłużone ramię zakopuje minę w ogrodzie pani Duner, powinniśmy stale pamiętać, że ma oczy i uszy otwarte. Nasze oddziały muszą się przemieszczać w sposób niedostrzegalny. Jak gdyby nad wszystkimi naszymi działaniami rozpościerała się gęsta mgła. W tej mgle będziemy musieli poruszać się we właściwym kierunku, a on będzie musiał błędzić. Jak zaplanować takie dochodzenie? To pytanie trzeba sobie postawić. I potem znaleźć na nie naprawdę dobrą odpowiedź.

- Musimy więc działać na opak - powiedziała.

- Zgadza się - odparł Wallander. - Musimy wywiesić flagę sygnalizacyjną jako znak, że Alfred Harderberg nas absolutnie nie interesuje.

- A jeśli to będzie zbyt wyraźne? - zaproponowała.

- Do tego nie możemy dopuścić - odparł Wallander. - A zatem wywiesimy jeszcze jedną flagę. Musimy ogłosić światu, że oczywiście bierzemy pod uwagę osobę Alfreda Harderberga w naszym rutynowym postępowaniu. Istnieją nawet pewne przesłanki, aby się nim bliżej zainteresować.

- Skąd zdobędziemy pewność, że rzeczywiście nam uwierzy?

- Nie zdobędziemy. Ale możemy wywiesić trzecią flagę, która zasygnalizuje, że wpadliśmy na obiecujący trop. Który prowadzi w określonym kierunku i może się okazać wiarygodny. Na tyle wiarygodny, że uda się przekonać Harderberga, że rzeczywiście podążamy fałszywym tropem.

- Nawet wtedy będzie się asekurował, wprawiając w ruch system zabezpieczeń.

Wallander skinął głową.

- Musimy się ciągle uczyć, jak je rozpoznawać - powiedział. - Ale nie przyznawać się, że coś wiemy. Nie udawać durniów; głuchych, którzy prowadzą ślepych na bezdroża. Musimy umieć rozpoznać jego zabezpieczenia. Inteligentnie je interpretować. Ale interpretować błędnie. Ustawimy lustro i

naszą strategię odczytamy z lustrzanego odbicia.

Patrzyła na niego w zadumie.

- Czy rzeczywiście damy radę? Czy Björk się zgodzi? A co na to Per Akeson?

- To będzie nasz najpoważniejszy problem - odpowiedział Wallander. - Przekonać samych siebie, że rozumujemy prawidłowo. Nasz szef ma jedną mocną stronę, która w dużym stopniu równoważy jego mniej udane cechy. Potrafi dostrzec, kiedy sami nie wierzymy w to, co mówimy lub proponujemy jako punkt wyjścia do śledztwa. Od razu interweniuje. I całe szczęście.

- A jak już siebie przekonamy? Co dalej?

- Chodzi o to, żeby jak najmniej się nie udało z tego, co sobie założyliśmy. Musimy tak zręcznie poruszać się we mgle, żeby Harderberg nam uwierzył. Musimy się poruszać równocześnie w dobrą i złą stronę.

Wstała i poszła do swojego biura po notes. Wallander siedział i słuchał dochodzącego skądś szczekania policyjnego psa. Kiedy wróciła, pomyślał raz jeszcze, że jest atrakcyjną kobietą mimo bardzo bladej, zanieczyszczonej cery i podkrążonych oczu.

Raz jeszcze zagłębili się w rozważaniach. Komentarze Ann-Britt Hóglund zawsze były trafne, wyłapywała luki w rozumowaniu Wallandera, natychmiast reagowała na nielogiczności. Zdał sobie sprawę, aczkolwiek niechętnie, że pobudza go do myślenia i sama rozumuje bardzo klarownie. Uprzytomnił sobie nagle, a było to o drugiej w nocy, że od czasu śmierci Rydberga kilka lat wcześniej z nikim w ten sposób nie rozmawiał. Wyobraził sobie, że Rydberg powrócił jako zjawa i za pośrednictwem tej bladej kobiety przekazuje mu swoje ogromne doświadczenie.

Tuż po drugiej wyszli razem na dziedziniec komendy. Niebo było rozgwieżdżone, powietrze zimne. Pod stopami chrzęściła zmrożona ziemia.

- Jutro czeka nas bardzo długie zebranie - zapowiedział Wallander. - Usłyszymy mnóstwo zastrzeżeń. Ale przedtem pomówię z Björkiem i z Perem Akesonem. Poproszę Pera, żeby był na zebraniu. Jeżeli nie staną po naszej stronie, stracimy masę czasu na zdobywanie nowych faktów, tylko po to, żeby ich przekonać.

Była szczerze zaskoczona.

- Powinni chyba zrozumieć, że mamy rację?

- To nie takie pewne.

- Czasami mam wrażenie, że szwedzka policja jest bardzo niemrawą organizacją.

- Nie trzeba być świeżym absolwentem Wyższej Szkoły Policji, żeby tak uważać - powiedział Wallander. - Björk obliczył, że przy takim tempie wzrostu liczby zatrudnionych w administracji i w innych sektorach, niezwiązanych bezpośrednio z pracą w terenie - wywiadowców, pracowników monitorujących ruch drogowy i tym podobnych - tradycyjna działalność policji przestanie istnieć około dwa tysiące dziesiątego roku. Wtedy wszyscy policjanci będą siedzieć za biurkami i wysyłać do siebie papierki. Roześmiała się.

- Może wybraliśmy zły zawód - powiedziała.

- Nie zawód. Ale może wybraliśmy złe czasy.

Pożegnali się i rozjechali do domów. Wracał przez miasto do siebie na Mariagatan, obserwując drogę w tylnym lusterku. Nie zauważył, by ktoś za nim jechał. Był bardzo zmęczony, lecz równocześnie przepelniony uczuciem zadowolenia. Zupełnie nieoczekiwanie udało im się przekroczyć próg dotychczas zamkniętych drzwi. W najbliższym czasie czekało ich dużo roboty.

W sobotę, szóstego listopada, Wallander zadzwonił do Björka tuż po siódmej rano. Telefon odebrała żona i poprosiła, żeby zadzwonił za parę minut, gdyż mąż właśnie jest w wannie. Wallander wykorzystał ten czas na telefon do

Pera Akesona. Wiedział, że wstaje on wcześniej rano, zazwyczaj około piątej. Akeson natychmiast podniósł słuchawkę. Wallander w skrócie zrelacjonował nowo odkryte powiązania, z których powodu zupełnie innymi oczami spojrzeli na Harderberga i jego znaczenie dla śledztwa. Per Akeson wysłuchał go w milczeniu, wstrzymując się od jakichkolwiek komentarzy. Kiedy Wallander skończył mówić, zadał mu tylko jedno pytanie:

- Czy naprawdę sądzisz, że twoja teoria da się obronić? Wallander odpowiedział od razu, bez zastanowienia.

- Tak. Sądzę, że uzyskamy odpowiedzi na wiele pytań.

- Wobec tego nie mam nic przeciwko temu, aby rozszerzyć postępowanie. Trzeba zachować dyskrecję. Nie wypowiadaj się dla mediów bez mojej wiedzy. Żeby się przypadkiem w Ystad nie powtórzyła historia z zabójstwem Palmego.

Wallander doskonale wiedział, co Akeson ma na myśli. Zagadkowe, dotychczas niewyjaśnione zabójstwo szwedzkiego premiera sprzed dziesięciu lat pozostawiło po sobie uraz nie tylko w szeregach policji, ale w dużej części szwedzkiego społeczeństwa. Zbyt wielu ludzi, zarówno w policji, jak i poza nią wiedziało, że zabójstwa prawdopodobnie nie wyjaśniono dlatego, że śledztwo zostało skandalicznie spartaczone już we wczesnym stadium przez samozwańczego i niekompetentnego wojewódzkiego komendanta policji. We wszystkich komendach policji stały temat rozmów, raz pełnych oburzenia, innym razem pogardy, stanowił niezrozumiały fakt, że można było po prostu całą sprawę wypuścić z rąk: zabójstwo, zabójcę i motyw. Jednym z najstraszliwszych błędów tego katastrofalnego śledztwa okazał się wymuszony przez kierownictwo policji kierunek poszukiwań, mimo że nie było ku niemu dostatecznych przesłanek. Wallander zgadzał się z Akesonem. Na dobrą sprawę śledztwo powinno być na ukończeniu, zanim wyłoży się wszystkie karty na stół.

- Chciałbym cię prosić, żebyś dziś rano przyszedł na zebranie - powiedział Wallander. - Musimy mieć całkowitą jasność co do wyznaczonego celu. Nie chcę dzielić ekipy śledczej, bo prychnie szansa na szybkie opanowanie nowej sytuacji.

- Przyjdę - obiecał Per Akeson. - Co prawda, miałem dzisiaj grać w golfa. Ale przy takiej pogodzie chętnie zrezygnuję.

- W Ugandzie jest chyba ciepło - zauważył Wallander. - Czy to był może Sudan?

- Nawet jeszcze nie mówiłem o tym z żoną - odparł Per Akeson, ściszej głoś.

Po skończonej rozmowie Wallander wypił kolejną filiżankę kawy i znów zadzwonił do Bjórka. Tym razem on odebrał telefon. Wallander postanowił nie wspominać o tym, co poprzedziło jego pierwszą wizytę na zamku w Farnholmie. Nie chciał poruszać tej sprawy przez telefon, musiał mieć Bjórka przed sobą. Dlatego teraz mówił lakonicznie.

- Musimy się spotkać i przedyskutować powstałą sytuację.

- Stało się coś?

- Wolałbym nie mówić o tym przez telefon - odparł Wallander.

- Nie sądzisz chyba, że nasze linie są na podsłuchu?

- zdziwił się Bjórk. - To czyste fantazje.

- Nie o to chodzi - powiedział Wallander i w tej samej chwili uświadomił sobie, że nie wziął tego pod uwagę. Teraz już było za późno, by temu zaradzić. Przedstawił całą przysług strategię w rozmowie telefonicznej z Perem Akesonem.

- Muszę się z tobą na chwilę spotkać, zanim się zbierze ekipa śledcza.

- Może być za pół godziny - zgodził się Bjórk. - Nie rozumiem tylko, dlaczego jesteś taki tajemniczy.

- Nie jestem tajemniczy - zapewnił Wallander. - Ale czasem lepiej porozmawiać osobiście.

- Wygląda to bardzo dramatycznie - powiedział Bjórk.

- Może powinniśmy zawiadomić również Akesona.
- Już go zawiadomiłem - odparł Wallander. - Do zobaczenia za pół godziny w biurze.

Zanim Wallander przekroczył próg biura Bjorka, siedział chwilę w samochodzie, zbierając myśli. Przez chwilę się wahał, czy nie machnąć ręką na całą sprawę, były przecież inne, ważniejsze. Uważał jednak, że musi się postawić Bjórkowi, żeby to, co zaszło, więcej się nie powtórzyło. W przeciwnym razie dojdzie bez wątpienia do kryzysu zaufania, którego jedynym rozwiązaniem będzie odejście Wallandera ze służby.

Siedząc w samochodzie, rozmyślał nad tym, jak wszystko szybko się potoczyło. Za ledwie trochę ponad tydzień temu przechadzał się wśród wydm w Skagen i zegnał się z zawodem policjanta. Teraz mocno czuł, że powinien bronić swojej pracy i swojej niezależności. Musi jak najszybciej opisać to wszystko w liście do Baiby.

Czy potrafi zrozumieć, dlaczego wszystko tak się zmieniło?
Czy on sam to rozumiał?

Usiadł u Bjorka na sofie dla odwiedzających.

- Co się znów dzieje? - zapytał Bjórk.

- Zanim przejdę do śledztwa, muszę poruszyć inną kwestię - powiedział Wallander. Zauważył, że ma niepewny głos.

- Nie chcesz chyba znowu odchodzić? - zapytał Bjórk ze zmartwioną miną.

- Nie - odparł Wallander. - Chcę wiedzieć, dlaczego zatelefonowałeś do zamku w Farnholmie i uprzedziłeś ich, że zjawi się policja z Ystad w związku ze śledztwem w sprawie zabójstwa. Chcę wiedzieć, dlaczego ani ja, ani pozostali nie zostaliśmy poinformowani o tym telefonie.

Widać było, że Bjórk jest zakłopotany i równocześnie poirytowany.

- Alfred Harderberg to osobistość licząca się w społeczeństwie - powiedział Bjórk. - Nie jest podejrzany o

żadne przestępstwo. Była to z mojej strony czysta uprzejmość. Mogę zapytać, skąd wiesz o tym telefonie?

- Byli zbyt dobrze przygotowani na mój przyjazd - odparł Wallander.

- Nie widzę w tym nic złego - bronił się Bjórk. - W obecnej sytuacji.

- A jednak to było niewłaściwe. Z wielu względów. Między innymi dlatego, że takie rzeczy psują atmosferę wśród członków ekipy śledczej. Otwartość jest tam najważniejsza.

- Muszę przyznać, że trudno mi słuchać, kiedy ty mówisz o otwartości - odparł Bjórk, nie ukrywając rozdrażnienia.

- Moje wady nie usprawiedliwiają poczynań innych - odciął się Wallander. - W każdym razie nie mojego szefa.

Zdenerwowany Bjórk poderwał się z krzesła.

- Nie życzę sobie, żeby mówić do mnie w ten sposób - oświadczył. - To była czysta uprzejmość, nic innego. W takich okolicznościach, przy okazji rutynowego przesłuchania, nie mogło to niczemu zaszkodzić.

- Okoliczności już nie są te same - oznajmił Wallander, widząc, że dalej nie zajdzie. Teraz najważniejsze było, żeby jak najszybciej wprowadzić Bjorka w nową sytuację.

Bjórk spoglądał na niego, wciąż stojąc.

- Wyrażaj się ściślej. Nie rozumiem, co masz na myśli.

- Pojawiły się informacje, które wskazują na to, że Alfred Harderberg może mieć związek z tym, co zaszło - wyjaśnił Wallander. - W tym przypadku każdy by uznał, że nastąpiła radykalna zmiana sytuacji.

Bjork usiadł na krześle z wyrazem niedowierzania na twarzy.

- Co chcesz przez to powiedzieć? - zapytał.

- Chcę powiedzieć, że istnieją przesłanki, aby przypuszczać, że Alfred Harderberg jest bezpośrednio lub pośrednio zamieszany w zabójstwo obu adwokatów. Oraz próbę zabójstwa pani Duner. I wybuch w moim samochodzie.

Bjork nadal patrzył na niego z niedowierzaniem.

- Czy mam to traktować poważnie?

- Tak. Per Akesson jest tego zdania.

Wallander pokrótce przedstawił Bjórkowi ostatnie wydarzenia bez zagłębiania się w szczegóły. Kiedy zamilkł, Bjórk długo nie odpowiadał, przypatrując się swoim dłoniom.

- Jeżeli okaże się, że to prawda, to sytuacja robi się nader nieprzyjemna - odezwał się wreszcie.

- Zabójstwo i zamach bombowy nie należą do rzeczy przyjemnych - przypomniał Wallander.

- Musimy być niezwykle ostrożni - ciągnął dalej Bjórk, ignorując komentarz Wallandera. - Nie możemy sobie pozwolić na ewentualną interwencję, nie dysponując niezbitymi dowodami.

- Nie mamy takiego zwyczaju - powiedział Wallander. - Dlaczego mielibyśmy tym razem tak postąpić?

- Jestem przekonany, że to wszystko do niczego nie prowadzi - oświadczył Bjórk, wstając na znak, że rozmowa dobiegła końca.

- Może i tak - zgodził się Wallander. - A może nie.

Dziesięć po ósmej opuścił biuro Bjórka. Poszedł po kawę i zajrzał do Ann-Britt Hóglund. Jeszcze jej nie było. Ze swojego pokoju zadzwonił na telefon samochodowy do taksówkarza, Waldemara Kagego z Simrishamn, i wyjaśnił, o co chodzi. Po rozmowie zapisał numer konta pocztowego Kagego i zanotował na samoprzylepnej karteczce, że ma na nie przekazać dwieście trzydzieści koron. Przez moment zastanawiał się, czy nie zadzwonić również do właściciela firmy przewozowej, którego ojciec pobił w Systembolaget, i spróbować go przekonać, żeby nie ciągnął ojca do sądu. Ale na razie dał spokój. Zebranie miało się zacząć o wpół do dziewiątej. Potrzebował chwili czasu, żeby się skupić.

Podszedł do okna i wyjrzał na zewnątrz. Szaro, wilgotno i

zimno. Już późna jesień, a wkrótce zima. Jestem tutaj, pomyślał. Ciekawe, gdzie w tej chwili przebywa Alfred Harderberg. Na zamku w Farnholmie? Czy dziesięć tysięcy metrów nad powierzchnią ziemi, w swoim odrzutowcu, w drodze od jednej do drugiej zawikłanej transakcji? Na co mogli wpaść Gustaw Torstensson i Lars Borman? Co się właściwie wydarzyło? A jeżeli Ann-Britt i ja mamy rację i dwoje policjantów pomimo różnicy pokoleń, każde z własnym obrazem świata, doszło do wspólnego, jednomyślnego wniosku? Który doprowadzi nas do prawdy. O wpół do dziewiątej Wallander przekroczył próg pokoju zebrań. Bjórk już zajął miejsce przy końcu stołu, Per Akeson stał, wyglądając przez okno, a Martinsson i Svedberg pogrążeni byli, jak mu się wydało, w rozmowie na temat zarobków. Ann-Britt Hóglund siedziała na swoim zwykłym miejscu naprzeciwko Bjórka, przy drugim końcu stołu. Ani Martinsson, ani Svedberg nie zareagowali na obecność Pera Akesona. Wallander skinął głową w kierunku Ann-Britt Hóglund.

- Sądzisz, że się uda? - zapytał cicho.

- Kiedy się rano obudziłam, zdawało mi się, że to był sen - przyznała. - Rozmawiałaś z Bjórkiem i Akesonem?

- Akeson wie już prawie wszystko - odparł. - Bjórka zdążyłem tylko pokrótce poinformować.

- Co na to Akeson?

- Będzie popierał naszą koncepcję.

Bjórk postukał długopisem w blat stołu i ci, którzy jeszcze nie usiedli, zajęli swoje miejsca.

- Nie mam nic do powiedzenia poza tym, że oddaję głos Kurtowi. Jeżeli dobrze zrozumiałem, w śledztwie nastąpił, być może, zasadniczy przełom.

Wallander pokiwał głową, zastanawiając się równocześnie, jak ruszyć z miejsca. Poczul w głowie nagłą pustkę. Po chwili odnalazł wątek i zaczął mówić. Zreferował

szczegółowo informacje, które przekazał im kolega Ann-Britt Hóglund, opisał nocne dyskusje o tym, jak postąpić, żeby nie wystraszyć niedźwiedzia i nie wyrwać go ze snu. Zajął mu to wszystko ponad dwadzieścia pięć minut, a kiedy skończył, zwrócił się do Ann-Britt Hóglund z pytaniem, czy nie chciałaby czegoś dodać. Pokręciła przecząco głową; powiedział wszystko, co trzeba.

- Tak to wygląda - zakończył Wallander. - W tej sytuacji w dochodzeniu muszą nastąpić pewne zmiany priorytetów i dlatego mamy tu dzisiaj Pera. Powstaje też pytanie, czy nie potrzebujemy już teraz wsparcia z zewnątrz. Próba wtargnięcia do świata Alfreda Harderberga to zadanie forsowne i żmudne, tym bardziej że nie chcemy, aby cokolwiek zauważył.

Wallander wciąż nie był pewny, czy udało mu się przekazać to, co zamierzał. Ann-Britt Hóglund uśmiechnęła się i skinęła głową w jego stronę, on jednak, patrząc na wyczekujące twarze naokoło stołu, nie był o tym do końca przekonany.

- Nie ulega wątpliwości, że mamy twarde orzech do zgryzienia - zaczął Per Akesson, przerywając przeciągające się milczenie. - Musimy zdawać sobie sprawę, że w świecie gospodarki Alfred Harderberg uchodzi za wzór godny naśladowania. Podważając tę opinię, narazimy się wyłącznie na protesty. Nie mogę jednak zaprzeczyć, że istnieją dostateczne powody, żeby się nim poważnie zainteresować. Trudno mi, co prawda, uwierzyć, że Alfred Harderberg jest osobiście zamieszany w zabójstwa i pozostałe wydarzenia. Ale gdzieś w jego otoczeniu mogą, oczywiście, dziać się rzeczy, nad którymi nie ma kontroli.

- Zawsze marzyłem o tym, żeby kiedyś wsadzić jednego z tych facetów - wtrącił niespodziewanie Svedberg.

- Postawa godna ubolewania, jeśli jest się policjantem - odparł Björk, nie kryjąc niezadowolenia. - Nie muszę chyba

przypominać, że pełnimy funkcję politycznie neutralnych urzędników państwowych.

- Trzymajmy się tematu - przerwał Per Akeson. - Pamiętajmy również, że nam, stojącym na straży sprawiedliwości, płacą za to, żebyśmy byli podejrzliwi w sytuacjach, które normalnie tego nie wymagają.

- Jednym słowem, mamy zielone światło i możemy się zająć osobą Alfreda Harderberga? - upewnił się Wallander.

- Pod pewnymi warunkami - zastrzegł Björk. - Zgadzam się z Perem nie tylko co do ostrożności i wyczucia w postępowaniu. Chcę dodać od siebie, że jeśli nastąpi jakikolwiek przeciek poza ściany tego gmachu w związku z naszymi działaniami, uznam to za służbowe przewinienie. W żadnym razie nie wolno wypowiadać się dla prasy bez mojej uprzedniej zgody.

- To już zrozumieliśmy - odezwał się milczący dotychczas Martinsson. - Bardziej mnie interesuje, jak mamy przeczesać całe imperium Harderberga, kiedy jest nas tak mało? Jak skoordynować nasze dochodzenie z wydziałem do spraw zwalczania przestępczości gospodarczej? Jak ma wyglądać współpraca z urzędem skarbowym? Zastanawiam się, czy nie powinniśmy obrać zupełnie innej drogi.

- Na przykład jakiej? - zapytał Wallander.

- Oddać całą sprawę centralnemu wydziałowi kryminalnemu - powiedział Martinsson. - Niech oni ustalają wszystko z odpowiednimi władzami i urzędami. Moim zdaniem, musimy sobie powiedzieć, że jesteśmy na to zbyt mali.

- Też mi to przyszło do głowy - przyznał Per Akeson. - Obawiam się jednak, że w tak wczesnym stadium, bez gruntownego zbadania sprawy z naszej strony, wydział do walki z przestępczością gospodarczą w Sztokholmie lub Malmö odprawi nas z kwitkiem. Nie wiem, czy zdajecie sobie sprawę, że oni są jeszcze bardziej przeciążeni pracą

niż my, o ile to w ogóle możliwe. Jeżeli nas jest mało, to oni mają takie braki personalne, że to zakrawa na katastrofę. Na razie musimy sami zająć się tą sprawą. Tak jak potrafimy. Ze swojej strony postaram się naturalnie wpłynąć na wydziały do walki z przestępczością gospodarczą, żeby ludzie stamtąd już teraz nam pomogli. Kto wie, może się uda.

Dla Wallandera zawsze później było jasne, że to właśnie słowa Pera Akesona o beznadziejnej sytuacji w centralnym wydziale kryminalnym ostatecznie określiły kierunek dalszego postępowania. Ich zadaniem było skoncentrować się na Alfredzie Harderbergu i jego ujawnionych powiązaniach z Larsem Bormanem i niezręcznymi adwokatami.

Jednym słowem, mieli zacząć szukać odpowiedzi na pytanie, czego właściwie szukają.

Kiedy Wallander kilka wieczorów później z pomocą słownika pisał po angielsku list do Baiiby Liepy w Rydze, przedstawił w nim tajemną nagonkę, jak zaczął nazywać dochodzenie, jako rzecz zupełnie oczywistą. Czuł, że on sam i koledzy są w stanie sprostać zadaniu. *W każdym policjancie czai się myśliwy* - napisał. *W czasie polowania dźwięk trąbek rozlega się rzadko lub nigdy. Mimo to udaje nam się niekiedy schwycić lisa, którego szukamy. Bez nas szwedzki kurnik już dawno by opustoszał i zniknął z powierzchni ziemi; zostałby jedynie pęk krwawych piór, wirujących w jesiennym wietrze.*

Toteż zabrali się z entuzjazmem do roboty. Bjórk uchylił wieko skrzyni, gdzie trzymał zamknięte nadgodziny. Zachęcał ich do wysiłku pod warunkiem, że nie będzie przecieku. Per Akeson zdjął marynarkę, rozluźnił swój zawsze idealnie zawiązany krawat i dołączył do nich jako jeden z grupy, chociaż ani na chwilę nie wypadł z roli kierującego operacją, która właśnie się rozpoczynała.

W rzeczywistości decydował jednak Wallander i nieraz czuł z tego powodu przyjemny dreszcz. Niespodziewany zbieg okoliczności i sympatia kolegów, na którą ledwie zasłużył, dały mu możliwość częściowego zmazania winy ciężącej na nim od czasu, kiedy w Skagen zawiódł zaufanie Stena Torstenssona, gdy tamten prosił go o pomoc. Teraz, kierując poszukiwaniami zabójcy obu adwokatów, szukał równocześnie ukojenia. Był wtedy tak zapatrzony w swoje prywatne nieszczęście, że nie dosłyszał Stena Torstenssona wzywającego pomocy, nie dopuścił, by jego wołanie przeniknęło przez zaporę, za którą on pławił się w swojej melancholii.

W tym okresie napisał do Baiby Liepy list, którego nigdy nie wysłał. Próbował uświadomić jej, a przy okazji i sobie, co dla niego znaczy fakt, że rok wcześniej pozbawił życia człowieka, teraz zaś ciąży mu poczucie winy z powodu śmierci Stena Torstenssona i nieudzielenia mu pomocy. Doszedł do wniosku, z którym jednak w głębi duszy się nie zgadzał, że śmierć Stena Torstenssona zaczęła nagle doskwierać mu dotkliwiej niż wydarzenia sprzed roku na pokrytym kurzem poligonie, w otoczeniu niewidocznych owiec.

Na zewnątrz nie widać było jego zmagania. W kafeterii koledzy, komentujący powrót i ozdrowienie Wallandera, uznali to za równie zdumiewające, jak gdyby Wallander sparaliżowany nagle powstał z noszy na wezwanie ekipy śledczej. Martinsson, który nie zawsze potrafił się powstrzymać od cynicznych komentarzy, oświadczył:

- To, czego Kurt potrzebował, to porządne morderstwo. Nie jakieś tam niechlujne zabójstwo w afekcie. Dwóch martwych adwokatów, mina przeciwpiechotna w ogrodzie i azjatycka mieszanka środków wybuchowych w baku na benzynę okazały się najlepszą receptą na uzdrowienie.

Nikt nie wątpił, że w tym, co powiedział Martinsson, jest

trochę prawdy.

Trwało tydzień, nim uporali się z podstawową analizą sytuacji. W ciągu tego tygodnia ani Wallander, ani jego koledzy nie spali dłużej niż średnio pięć godzin na dobę. Później wspominali ten tydzień jak dowód, że w razie potrzeby nawet mysz może głośno zaryczeć. Również Per Akesson, któremu doprawdy trudno było zaimponować, musiał uchylić niewidzialnego kapelusza w dowód uznania dla ich osiągnięć.

- To wszystko pod żadnym pozorem nie może wydostać się na zewnątrz - rzekł kiedyś późnym wieczorem, gdy wyszli z gmachu komendy, by odetchnąć chłodnym jesiennym powietrzem i odpędzić zmęczenie.

Z początku Wallander nie zrozumiał, o co mu chodzi.

- Jak to się przedostanie na zewnątrz, to Główny Zarząd Policji i Ministerstwo Sprawiedliwości powołają komisję, która w stosownym czasie zaprezentuje społeczeństwu coś, co nazwą modelem ystadzkiem, czyli jak osiągać wspaniałe wyniki, dysponując minimalnymi zasobami ludzkimi. Zaczną dowodzić, że szwedzka policja wcale nie cierpi na brak personelu. Biorąc nas za przykład, będą przekonywać, że tak naprawdę policjantów jest zbyt wielu. Tak wielu, że wchodzi sobie w drogę, co powoduje marnotrawienie pieniędzy i nieustannie pogarszającą się statystykę wykrywalności przestępstw.

- Jak na razie nie osiągnęliśmy żadnych wyników - odparł zdziwiony Wallander.

- Mówię o Głównym Zarządzie Policji. O zagadkowym świecie polityki. Gdzie za zasłoną niekończącego się potoku słów jedyne, co się robi, to połyka wielbłądy i precedza komary. Gdzie każdego wieczoru zmagawia się przed snem modlitwą, żeby nadchodzący dzień umożliwił zamianę wody w wino. Nie mówię o tym, że jeszcze nie odkryliśmy, kto zamordował obu adwokatów. Mówię, że teraz już wiemy, że

Alfred Harderberg nie jest obywatelem poza wszelkimi podejrzeniami, jak dotychczas sądziliśmy.

Była to całkowita prawda. Podczas owego gorączkowego tygodnia dokonali analizy imperium Alfreda Harderberga, która - choć połowiczna - wskazywała na puste miejsca i czarne dziury, wyraźnie świadczące o tym, że nie powinni spuszczać z oczu mężczyzny z zamku w Farnholmie.

Kiedy Akesson i Wallander stali wieczorem czternastego listopada przed gmachem policji, wiedzieli już na tyle dużo, że mogli zacząć formułować pewne wnioski. Pierwsza faza była zakończona, polowanie się rozpoczęło, nie nastąpiły żadne przecieki i wyłaniał się zdumiewający obraz finansowego imperium, gdzie Lars Borman, a tym bardziej Gustaw Torstensson zapewne odkryli coś, czego nie powinni byli dostrzec.

Pytanie tylko co.

Praca przebiegała nerwowo. Lecz Wallander dobrze zorganizował swój oddział i bez wahania brał na siebie najbardziej niewdzięczne i, jak się okazywało, najmniej interesujące zadania. Poznali całą historię życia Alfreda Harderberga od dnia, kiedy się urodził w Vimmerby jako Alfred Hansson, syn zapijaczanego handlarza drewnem, do chwili obecnej, kiedy dzierżył w ręku gigantyczny pęk kluczy do imperium finansowego, obracającego miliardami w kraju i poza jego granicami. Któregoś razu, podczas żmudnego zagłębiania się w księgi rachunkowe, końcowe bilanse, zeznania podatkowe i prospekty emisyjne, Svedberg wyrwał się z uwagą:

- To po prostu niemożliwe, żeby człowiek, który tak dużo posiada, mógł być uczciwy.

Tym, który w końcu miał im dostarczyć upragnioną informację, okazał się Sven Nyberg - mrukliwy i przewrażliwiony technik kryminalny. Jak to często bywa, natknął się zupełnym przypadkiem na małe pęknięcie w

gładkim tynku ściany otaczającej Alfreda Harderberga, ledwie widoczną nierówność, której tak uporczywie szukali. I gdyby Wallander z powodu zmęczenia puścił mimo uszu słowa, które wypowiedział Nyberg, kiedy pewnego wieczoru wychodził z jego gabinetu, traf ten wyslizgnąłby się im z rąk i może by nigdy nie powrócił.

Dochodziła północ, Wallander ślezczał nad kolejnym zestawieniem doczesnego majątku Alfreda Harderberga, sporządzonym przez Ann-Britt Hóglund, kiedy Nyberg zaczął się dobijać do drzwi. Nigdy nie był człowiekiem dyskretnym, człapał głośno w korytarzach komendy i kiedy chciał porozmawiać z kolegami, łomotał w drzwi, jakby przynosił nakaz aresztowania. Tego wieczoru otrzymał wstępny wynik ekspertyzy z laboratorium kryminalistyki, dotyczący miny w ogrodzie pani Duner i wysadzonego w powietrze samochodu Wallandera.

- Domyślam się, że chcesz natychmiast poznać wyniki badań - powiedział, opadając na sfatygowane krzesło dla interesantów.

- Coś nowego? - zapytał Wallander, spoglądając na niego zacerwienionymi oczami.

- Nic - odparł Nyberg. - Nic?

- Słyszałeś, co powiedziałem - rzucił rozdrażniony Nyberg. - To też jest wynik. Nie da się ustalić, skąd pochodzi mina. Przypuszczamy, że została wyprodukowana w Belgii, przez firmę Poudres Reunies de Belgique, jakkolwiek się to wymawia. Wskazuje na to ładunek wybuchowy. Poza tym nie znaleźliśmy żadnych odłamków. Wybuch skierował się prosto w górę. To by wskazywało na minę belgijską. Ale być może jest to całkiem inny wyrób. Co do twojego samochodu, nie dało się ustalić, czy coś było w baku z benzyną. Jednym słowem, nic nie wiemy na pewno. Czyli wynik jest zerowy.

- Wierzę ci - zapewnił Wallander, przerzucając jednocześnie stosy papierów w poszukiwaniu kartki, na której zanotował

pytania do Nyberga.

- Jeżeli chodzi o włoski pistolet marki Bernardelli, nie dowiedzieliśmy się dużo więcej - ciągnął dalej Nyberg, podczas gdy Wallander notował jego słowa. - Nie ma żadnego doniesienia o kradzieży. Wszyscy zarejestrowani właściciele okazali posiadaną broń. Do Pera Akesona i do ciebie należy decyzja, czy mamy zarządzić próbne strzelanie.

- Uważasz, że to ma sens? - zapytał Wallander.

- Tak i nie - odparł Nyberg. - Osobiście jestem zdania, że zanim się do tego weźmiemy, powinniśmy skontrolować skradzione sztuki Smith & Wesson. To zajmie kilka kolejnych dni.

- Zrobimy tak, jak uważasz - zgodził się Wallander i nagryzmołił kilka słów dla pamięci.

Następnie przeszli do kolejnych punktów.

- W kancelarii adwokackiej nie znaleźliśmy żadnych odcisków palców - powiedział Nyberg. - Ten, kto zastrzelił Stena Torstenssona, nie zostawił odcisku kciuka na szybie. Badanie listów z pogrózkami, pisanych ręką Larsa Bormana, również nie dało rezultatu. Stwierdzono tylko, że to jego charakter pisma. Svedberg przesłuchał oboje jego dzieci.

- Co powiedziały o użytych sformułowaniach? - zainteresował się Wallander. - Zapomniałem zapytać Svedberga.

- Jakich sformułowaniach?

- On jakoś dziwnie pisał.

- Wydaje mi się, że Svedberg mówił na jakimś zebraniu, że Lars Borman miał dysleksję.

Wallander zmarszczył czoło.

- Nie pamiętam, żebym to słyszał.

- Może akurat poszedłeś po kawę?

- Możliwe. Pogadam ze Svedbergiem. Masz coś jeszcze?

- Pojechałem przeszukać samochód Gustawa Torstenssona - poinformował Nyberg. - Tam również nie było odcisków palców. Przyjrzałem się zamkom od stacyjki i od bagażnika. I rozmawiałem z patologiem z Malmö. Zgadza się co do tego, że śmiertelny uraz karku nie jest wynikiem uderzenia o dach samochodu. Powierzchnia rany nie ma odpowiednika w karoserii. Cios został raczej zadany ręką człowieka. Gustaw Torstensson nie znajdował się wtedy w samochodzie. Chyba że ktoś siedział na tylnym siedzeniu.

- Myślałem o tym - przyznał Wallander. - Prawdopodobnie zatrzymał samochód i wysiadł. Ktoś nadszedł z tyłu i zadał cios. Potem upozorowano wypadek. Ale dlaczego przystanął we mgle? Dlaczego wysiadł?

- Na to nie potrafię odpowiedzieć - rzekł Nyberg.

Wallander odłożył pióro i przechylił się do tyłu na krzesło. Bolał go kręgosłup, i pomyślał, że powinien pójść do domu się wyspać.

- Jedyne szczególna rzecz, którą znaleźliśmy w samochodzie, to plastikowy pojemnik, wyprodukowany we Francji - dodał Nyberg.

- Co w nim było? - Nic.

- To co w tym szczególnego?

Nyberg wzruszył ramionami i wstał z krzesła.

- Widziałem kiedyś coś podobnego. Cztery lata temu. Byłem wtedy z wizytą studyjną w szpitalu w Lund.

- W szpitalu?

- Mam dobrą pamięć. Wyglądał tak samo.

- Do czego służy?

Nyberg stał już przy drzwiach z ręką na klamce.

- Skąd mam wiedzieć? - zapytał. - Ale plastikowy pojemnik z samochodu Torstenssona okazał się sterylnie czysty. Tak czysty, jak tylko może być pojemnik, w którym nic nigdy nie było.

Nyberg wyszedł. Wallander słyszał odgłos człapiących

kroków, który powoli zanikał.

Potem odsunął stertę papierów i wstał, by udać się do domu. Kiedy tak stał, trzymając kurtkę, coś go nagle tknęło.

Coś, co powiedział Nyberg, zanim wyszedł z pokoju.

Coś w związku z plastikowym pojemnikiem.

Po chwili uświadomił sobie, co to takiego, i usiadł na krześle z kurtką w ręce.

Coś się nie zgadza, pomyślał. Dlaczego w samochodzie Torstenssona miałby leżeć nieużywany plastikowy pojemnik? Pusty, najwyraźniej bardzo specjalny pojemnik. Była tylko jedna sensowna odpowiedź.

Kiedy Gustaw Torstensson opuszczał zamek w Farnholmie, pojemnik nie był pusty. Coś zawierał.

Zatem musiał to być całkiem inny pojemnik. Który został podmieniony. Na drodze, we mgle. Wtedy, kiedy Gustaw Torstensson przystanął i wysiadł z samochodu. I został zamordowany.

Wallander spojrział na zegarek. Właśnie minęła północ. Odczekał kwadrans, a potem zadzwonił do Nyberga do domu.

- Co znowu, do diabła? - warknął Nyberg, rozpoznawszy głos Wallandera.

- Wracaj tu - powiedział Wallander. - Natychmiast. Spodziewał się wybuchu wściekłości ze strony kolegi. Ale ten nic nie powiedział, tylko odłożył słuchawkę.

Za dwadzieścia pierwsza Nyberg ponownie wszedł do gabinetu Wallandera.

Nocna rozmowa z Nybergiem okazała się dla Wallandera niezwykle istotna. Po raz kolejny utwierdził się w przekonaniu, że w zawiłych dochodzeniach, dotyczących zabójstw, przełom często następuje w niespodziewanym momencie. Dla wielu jego kolegów był to dowód, że nawet policjanci potrzebują odrobiny szczęścia, aby wydostać się ze ślepego zaułka. Co do Wallandera, to przyznawał po cichu rację Rydbergowi, który twierdził, że dobry policjant musi słuchać swojej intuicji, nie tracąc przy tym, rzecz jasna, własnego krytycznego osądu. Wiedział, nie wiadomo skąd, że plastikowy pojemnik w rozbitym samochodzie Gustawa Torstenssona jest czymś ważnym. I chociaż był zmęczony, czuł, że nie powinien czekać do następnego dnia na potwierdzenie swoich podejrzeń. Dlatego zadzwonił do Svena Nyberga, który właśnie stanął w progu pokoju. Spodziewany atak wściekłości chimerycznego kolegi nie nastąpił. Nyberg usiadł tylko na krześle dla interesantów, a Wallander ku swemu zdziwieniu stwierdził, że tamten pod płaszczem ma piżamę, a na nogach kalosze.

- Musiałeś się szybko położyć - rzekł Wallander. - Gdybym wiedział, tobym nie dzwonił.

- Chcesz powiedzieć, że ściągnąłeś mnie tu na darmo? Wallander potrząsnął głową.

- Chodzi o ten plastikowy pojemnik - wyjaśnił. - Chciałbym, żebyś powiedział o nim coś więcej.

- Powiedziałem już wszystko, co miałem do powiedzenia - odparł zdziwiony Nyberg.

Wallander usiadł za biurkiem i spojrzał na Nyberga. Wiedział, że jest on nie tylko zdolnym technikiem kryminalnym. Miał również wyobraźnię i wyjątkowo dobrą pamięć.

- Mówiłeś, że widziałeś już wcześniej podobny pojemnik - rzekł Wallander.

- Nie podobny - sprostował Nyberg. - Dokładnie taki sam.
- To znaczy, że jest charakterystyczny - zauważył Wallander.
- Możesz mi go opisać?
- Nie lepiej, jak go przyniosę? - spytał Nyberg.
- Popatrzmy na niego razem - zdecydował Wallander i wstał zza biurka.

Szli korytarzem przez opustoszały gmach. Skądś dochodził dźwięk radia. Nyberg otworzył drzwi do pokoju, w którym policja przechowywała przedmioty stanowiące dowody rzeczowe w bieżącym śledztwie.

Pojemnik stał na półce. Nyberg zdjął go i podał Wallanderowi. Prostokątnym kształtem naczynie przypominało komisarzowi torbę-lodówkę. Postawił pojemnik na stole i usiłował otworzyć zamek.

- Został dokręcony śrubami - wyjaśnił Nyberg. - Widać także, że jest absolutnie szczelny. Tu, z boku, ma okienko. Nie wiem, do czego ono służy. Ale przypuszczam, że w środku jest miejsce na termometr.

- Widziałeś taki sam w szpitalu w Lund - powiedział Wallander, przyglądając się pojemnikowi. - Może pamiętasz gdzie? Na jakim oddziale?

- Był przenośny - odparł Nyberg. Wallander spojrzał na niego pytająco.

- Stałem w korytarzu prowadzącym do sal operacyjnych - mówił dalej Nyberg. - Niosła go przechodząca pielęgniarka. Pamiętam, że się śpieszyła.

- Nic więcej nie pamiętasz? - Nic.

Poszli z powrotem do pokoju Wallandera.

- Przypomina mi torbę-lodówkę - powiedział Wallander.

- Sądzę, że to coś w tym rodzaju - zgodził się Nyberg.

- Może na krew.

- Chciałbym, żebyś się dowiedział - poprosił Wallander.

- Chcę wiedzieć, co robił ten pojemnik w samochodzie Gustawa Torstenssona w wieczór jego śmierci.

Weszli do pokoju i Wallanderowi przypomniało się coś, co Nyberg mówił wcześniej.

- Powiedziałeś, że to francuski produkt?

- Na uchwycie napisane jest *Madę in France*.

- Nie zauważyłem.

- Na tym z Lund napis był wyraźniejszy. Jesteś usprawiedliwiony.

Wallander usiadł na krześle, Nyberg wciąż stał przy drzwiach.

- Być może nie mam racji. Ale dziwi mnie obecność pojemnika w samochodzie Gustawa Torstenssona. Skąd się tam wziął?

- Kiedy odkręciłem zamek, zobaczyłem, że pojemnik nie był otwierany od czasu, kiedy opuścił fabrykę, w której go wyprodukowano. Chcesz, żebym ci wytłumaczył, jak to zauważyłem?

- Wystarczy mi, że jesteś tego pewny - odparł Wallander.

- I tak bym nic nie zrozumiał.

- Widzę, że traktujesz ten pojemnik jako coś ważnego - rzekł Nyberg. - Mnie nieraz zdarza się trafić na różne dziwne przedmioty w samochodach po wypadku. Nie ma w tym nic niezwykłego.

- W tym przypadku nie możemy pominąć najdrobniejszego szczegółu - podkreślił Wallander.

- Tak samo jak we wszystkich innych - odparł zdziwiony Nyberg.

Wallander wstał z krzesła.

- Dziękuję, że przyszedłeś - powiedział. - Chciałbym już jutro wiedzieć, do czego służy taki pojemnik.

Rozstali się przed komendą. Wallander zjadł w kuchni kilka kanapek, zanim poszedł spać. Długo się wiercił, nie mogąc zasnąć, w końcu wstał i wrócił do kuchni. Usiadł przy stole, nie zapalając lampy. W świetle ulicznej latarni kuchnia zamieniła się w osobliwy świat cieni. Wallander był

niespokojny i zniecierpliwiony. Dochodzenie miało zbyt dużo luźnych końców. Mimo że już wyznaczyli sobie kierunek działania, miał wątpliwości, czy dokonali słusznego wyboru. Czy aby czegoś nie przeoczyli? Przywołał w pamięci dzień na jutlandzkim wybrzeżu, kiedy Sten Torstensson szedł w jego stronę. W dalszym ciągu pamiętał niemal dosłownie ich rozmowę. Mimo to zastanawiał się, czy na pewno zrozumiał prawdziwe przesłanie Stena Torstenssona, czy też kryło się za jego słowami jeszcze coś. Kiedy w końcu zdecydował się położyć, było już po czwartej. Na dworze zerwał się wiatr, temperatura spadła. Trząsł się, wchodząc pod kołdrę. Nie posunął się do przodu. Nie potrafił przekonać siebie samego, że musi być cierpliwy. Po raz kolejny nie udało mu się sprostać wymaganiom, które stawiał swoim kolegom.

Kiedy Wallander tuż przed ósmą przyszedł do komendy, na dworze zerwała się wichura. Dowiedział się w recepcji, że przed południem może nadejść huragan. W drodze do pokoju zastanawiał się, czy dach domu ojca w Lóderup wytrzyma napór wiatru. Od dawna miał wyrzuty sumienia, że nie znajduje czasu, aby go przełożyć. Istniało ryzyko, że silniejsza wichura go zerwie. Usiadł na krześle i postanowił niezależnie od wszystkiego zatelefonować do ojca. Nie rozmawiał z nim od czasu bójki w Systembolaget. Właśnie miał podnieść słuchawkę, kiedy telefon zadzwonił.

- Masz rozmowę - oznajmiła Ebba. - Zauważyłeś, jak wieje?
- Mogę cię pocieszyć, że będzie jeszcze gorzej - odparł Wallander. - Kto dzwoni?
- Zamek w Farnholmie. Wallander wyprostował się na krześle.
- Połącz mnie - powiedział.
- To kobieta o zaskakującym nazwisku - skomentowała Ebba. - Przedstawiła się jako Jenny Lind.
- Dla mnie to brzmi jak zwyczajne nazwisko.

- Nie powiedziałam, że jest dziwne. Powiedziałam, że jest zaskakujące. Słyszałeś chyba o słynnej śpiewaczce Jenny Lind?

- Połącz ją - powtórzył Wallander.

Głos, który usłyszał, należał do młodej kobiety. Jeszcze jedna z licznych sekretarek, pomyślał.

- Komisarz Wallander?

- Zgadza się.

- W czasie pańskiej wizyty prosił pan o spotkanie z doktorem Harderbergiem.

- Nie prosiłem o audiencję - odpowiedział Wallander, czując, jak wzbiera w nim złość. - Muszę z nim rozmawiać w związku ze śledztwem w sprawie morderstwa.

- Rozumiem. Dziś rano przyszedł teleks, w którym doktor Harderberg zawiadamia, że przyjeżdża po południu i może przyjąć pana jutro.

- Skąd przyszedł ten teleks? - zainteresował się Wallander.

- Czy to ma znaczenie?

- Inaczej bym nie pytał - skłamał.

- Doktor Harderberg przebywa w tej chwili w Barcelonie.

- Nie chcę czekać do jutra - nalegał Wallander. - Muszę z nim porozmawiać jak najszybciej. Jeżeli wraca do Szwecji po południu, powinien przyjąć mnie wieczorem.

- Wieczorem nie ma umówionych spotkań - powiedziała Jenny Lind. - Muszę jednak porozumieć się z Barceloną, zanim dam panu odpowiedź.

- Zrobi pani tak, jak pani zechce. Proszę mu przekazać, że wieczorem o siódmej zjawi się u niego policja z Ystad.

- Nie mogę się na to zgodzić. Doktor Harderberg zawsze sam ustala pory spotkań.

- Nie w tym przypadku - odparł Wallander. - Będziemy o siódmej.

- Czy pan komisarz będzie jeszcze z kimś? - Tak.

- Czy mogę prosić o nazwisko tej osoby?

- Może pani prosić. Ale go nie podam. Będzie to również policjant z sekcji kryminalnej komendy w Ystad.

- Zawiadomię doktora Harderberga - powtórzyła Jenny Lind. - Powinniście wiedzieć, że on czasami zmienia plany w ostatniej chwili. Czasami zmuszony jest jechać gdzie indziej, zanim wróci do domu.

- Nie mogę się na to zgodzić - odparł Wallander i pomyślał, że w tym momencie przekroczył wszelkie swoje uprawnienia.

- Przyznaję, że pan mnie zadziwia - rzekła Jenny Lind.

- Czy policjant rzeczywiście ma prawo decydować o tym, co ma robić doktor Harderberg?

Wallander w dalszym ciągu przekraczał swoje uprawnienia.

- Jeśli zwrócę się do prokuratora, może wydać nakaz. W tej samej chwili spostrzegł swój błąd. Ustalili, że będą działać ostrożnie. Alfred Harderberg ma odpowiadać na pytania, lecz równie ważne jest przekonanie go, że się nim interesują wyłącznie ze względów rutynowych. Usiłował natychmiast załagodzić to, co powiedział.

- Doktor Harderberg nie jest naturalnie o nic podejrzany - zapewnił. - Ale dla dobra śledztwa musimy jak najszybciej z nim porozmawiać. Jestem przekonany, że człowiek jego pokroju chętnie pomoże policji w wyjaśnieniu poważnego przestępstwa.

- Zawiadomię go - powtórzyła Jenny Lind.

- Dziękuję za telefon - powiedział Wallander i zakończył rozmowę.

Uderzyła go pewna myśl. Z pomocą Ebby złapał Martinssona i poprosił go, żeby przyszedł.

- Alfred Harderberg się odezwał - oznajmił. - Jest w Barcelonie i wybiera się do domu. Wezmę ze sobą Ann-Britt i pojedą tam wieczorem.

- Ann-Britt ma zwolnienie na chore dziecko - powiedział Martinsson. - Przed chwilą dzwoniła.

- W takim razie pojedziesz ty.
- Z przyjemnością. Chętnie zobaczę to akwarium ze złotym piaskiem na dnie.
- Jeszcze jedno - ciągnął dalej Wallander. - Czy znasz się na samolotach?
- Niewiele.
- Przyszło mi coś do głowy. Alfred Harderberg ma prywatny samolot, odrzutowiec. Gulfstream. Maszyna musi być gdzieś zarejestrowana. Z pewnością istnieją zapisy tras przelotu, z których wynika, kiedy i dokąd leciał samolot.
- W każdym razie ma na pewno kilku pilotów - wtrącił Martinsson. - Zajmę się tym.
- Podrzucić to komuś innemu - polecił Wallander. - Masz ważniejsze sprawy na głowie.
- Ann-Britt może załatwiać telefony, siedząc w domu - powiedział Martinsson. - Myślę, że się ucieszy, jak się na coś przyda.
- Będzie z niej chyba dobra policjantka.
- Miejmy nadzieję - odparł Martinsson. - Szczerze mówiąc, na razie trudno cokolwiek powiedzieć. Wiemy tylko, że się wyróżniała w Wyższej Szkole Policji.
- Masz słuszność - zgodził się Wallander. - W szkole nie da się odtworzyć prawdziwego życia.

Po wyjściu Martinssona Wallander zaczął się przygotowywać do wyznaczonego na dziewiątą zebrania ekipy śledczej. Rano, kiedy się obudził, wciąż miał w głowie nocne myśli o luźnych końcach w dochodzeniu. Postanowił w miarę możliwości jak najszybciej pozbyć się wszystkiego, co - według ich oceny - nie ma bezpośredniego wpływu na toczące się postępowanie. A jeśli się później okaże, że wybrany przez nich trop jest fałszywy, luźne końce nie znikną, oni zaś dopiero wtedy się nimi zajmą.

Wallander odsunął leżącą przed nim stertę papierów i wyjął czysty arkusz. Wiele lat temu Rydberg nauczył go, jak

spojrzeć świeżym wzrokiem na bieżące dochodzenie. „Należy stale przenosić się do innych wież obserwacyjnych”, mówił Rydberg. „W przeciwnym razie nasze spostrzeżenia będą bezużyteczne. Bez względu na stopień zawłości danego śledztwa powinniśmy umieć je objaśnić nawet dziecku. Musimy po prostu zwyczajnie patrzeć, a jednocześnie nie upraszczać”.

Wallander pisał: *Był sobie kiedyś pewien stary człowiek, który pojechał odwiedzić bogacza na zamku. W drodze powrotnej ktoś pozbawił go życia, usiłując nam wmówić, że zdarzył się wypadek samochodowy. Wkrótce potem jego syn został zastrzelony w swoim biurze, tuż po tym, jak zaczął podejrzewać, że to nie był wypadek, i odszukał mnie, prosząc o pomoc. Udał się w tajemnicy do Danii, chociaż powiedział sekretarce, że jedzie do Finlandii, i stamtąd wysłał jej pocztówkę. Kilka dni później ktoś zakopał minę w ogrodzie sekretarki, która pracowała u obu adwokatów. Spostrzegawcza policjantka z Ystad zauważyła, że w drodze do Helsingborga śledził nas samochód. Kancelaria adwokacka otrzymała listy z pogrózkami od księgowego z samorządu terytorialnego, człowieka, który następnie popełnił samobójstwo, wieszając się na drzewie w okolicach Malmö. Przypuszczalnie on również został zamordowany, a samobójstwo zostało upozorowane, podobnie jak wypadek samochodowy. Wszystkie te wydarzenia są ze sobą powiązane. Ale nie wiadomo dokładnie, w jaki sposób. Nic nie zginęło, nie natrafiliśmy na ślad wielkich namiętności, jak nienawiść czy zazdrość. Jedyne, co mamy w rękę, to tajemniczy plastikowy pojemnik. I znów wszystko zaczyna się od początku. Był sobie kiedyś pewien stary człowiek, który pojechał odwiedzić bogacza na zamku.*

Wallander odłożył pióro.

Alfred Harderberg, pomyślał. Jedwabny Rycerz nowych

czasów. Trzyma się z tyłu. W tle. Lata po całym świecie i prowadzi nieprzejrzyste interesy, przypominające rytuał, który znają tylko wtajemniczeni.

Przeczytał to, co napisał. Mimo że treść była klarowna, nie wносиła nic nowego do śledztwa. A już na pewno nic, co wskazywałoby, że Alfred Harderberg rzeczywiście jest w coś zamieszany.

To musi być jakaś wielka rzecz, pomyślał Wallander. Jeżeli słusznie podejrzewam, że on za tym stoi, to Gustaw Torstensson i Lars Borman musieli wpaść na coś, co zagrażało jego całemu imperium. Sten Torstensson prawdopodobnie nie zdawał sobie z tego sprawy. Ale odszukał mnie, gdyż podejrzewał, że go obserwują, i okazało się, że miał rację. Nie mogli ryzykować, że Sten się z kimś podzieli swoją wiedzą. I obawiali się, że Berta Duner również coś wie.

To musi być coś niesłychanie ważnego, pomyślał znowu. Coś niesłychanie ważnego, co mieści się w plastikowym pojemniku, przypominającym torbę-lodówkę.

Wallander poszedł po kawę. Kiedy wrócił do pokoju, zadzwonił do ojca.

- Szaleje wichura - powiedział. - Obawiam się, że zerwie ci dach.

- Mam nadzieję - odparł ojciec.

- Jaką nadzieję?

- Że kiedyś zobaczę, jak mój dach przeleci nad polem, trzepocąc niby skrzydło. Nigdy jeszcze nie przeżyłem takiego widoku.

- Już dawno powinienem go naprawić - przyznał Wallander.

- Ale zrobię to przed zimą.

- Mam na ten temat własne zdanie - powiedział ojciec. - Znaczyłoby to przecież, że musiałbyś tu przyjechać.

- Znajdę czas - zapewnił Wallander. - Czy przemyślałeś już zdarzenie w Simrishamn?

- Nad czym miałem myśleć? Zrobiłem to, co było słuszne.
- Nie można tak po prostu rzucać się i bić.
- Nie zamierzam płacić grzywny - rzekł ojciec. - Prędzej pójdę do więzienia.
- O tym nie ma mowy - odparł Wallander. - Zadzwoń wieczorem dowiedzieć się, co z dachem. Niewykluczone, że będzie huragan.
- Może wdrapię się na komin - rzekł ojciec.
- Na litość boską, po co?
- Żeby sobie pofruwać.
- Chcesz się zabić? Czy Gertrudy nie ma w domu?
- Wezmę ją ze sobą - rzucił ojciec i zakończył rozmowę. Wallander siedział ze słuchawką w ręku. W tym momencie do pokoju wszedł Bjórk.
- Jeżeli chcesz dzwonić, to zaczekam - powiedział. Wallander odłożył słuchawkę.
- Słyszałem od Martinssona, że doktor Harderberg dał znak życia - zaczął Bjórk.

Wallander czekał na dalszy ciąg, który nie nastąpił.

- Czy to było pytanie? - rzekł. - W takim razie mogę powiedzieć, że Martinsson miał rację. Tylko że Harderberg nie dzwonił osobiście. Jest w tej chwili w Barcelonie i ma wrócić do domu w ciągu dnia. Zażądałem spotkania dziś wieczorem.

Wallander spostrzegł, że Bjórk jest zakłopotany.

- Martinsson powiedział, że ma z tobą jechać - powiedział. - Nie wiem, czy to jest właściwe.
- A to dlaczego? - zdumiał się Wallander.
- Nie chodzi o to, że Martinsson się nie nadaje - odparł Bjórk. - Ale myślę, że może ja z tobą pojedę.
- Dlaczego?
- W końcu doktor Harderberg to nie byle kto.
- Nie jesteś wprowadzony w dochodzenie tak dobrze jak Martinsson i ja. Nie jedziemy do zamku w Farnholmie z

towarzyską wizytą.

- Być może moja obecność podziałałaby uspokajająco. Tak jak mówiliśmy, doktora Harderberga nie należy niepokoić.

Wallander zastanawia! się chwilę, zanim odpowiedział. Stwierdził z irytacją, że Björk chce z nim jechać i pilnować, czy on, Wallander, przypadkiem nie zachowuje się w sposób, który w mniemaniu szefa nie przystoi policjantowi i może zaszkodzić opinii całej policji. Przyznawał jednak rację Björkowi, że Harderberg nie powinien się domyślać prawdziwego powodu ich zainteresowania.

- Wiem, o czym myślisz - odparł. - Ale to może zadziałać odwrotnie. Obecność szefa policji przy rutynowym przesłuchaniu wzbudzi podejrzenia.

- Myślałem, że to dobry pomysł - tłumaczył się Björk.

- Wystarczy, jak pojedzie Martinsson - zakończył rozmowę Wallander i wstał. - Chyba zaczyna się nasze zebranie.

Po drodze do pokoju zebrań Wallander myślał, że musi się wreszcie kiedyś nauczyć mówić to, co myśli. Powinien był powiedzieć Björkowi prawdę, że nie chce go ze sobą zabrać, bo nie może znieść jego unizoności wobec Alfreda Harderberga. W zachowaniu Björka wyczuwał funkcjonowanie mechanizmu władzy, coś, nad czym się nigdy wcześniej nie zastanawiał. Mimo to zdawał sobie sprawę, że ten mechanizm przenika wszelkie zachowania społeczne. Zawsze znajdzie się ktoś wyżej, kto wprost lub pośrednio dyktuje warunki temu, kto jest niżej. Z dzieciństwa pamiętał robotników, jak stali z czapką w rękę, kiedy przechodził ktoś, od kogo zależało ich życie. Myślał o ojcu płaszczącym się przed Jedwabnymi Rycerzami. Uświadomił sobie, że czapka w rękę nadal istnieje, tyle że niewidoczna.

Ja też mam czapkę w rękę, myślał Wallander. Czasami nie zauważam, że ją trzymam.

Zasiedli wokół stołu w pokoju zebrań. Svedberg

demonstrował z ponurą miną propozycję nowego munduru, przesłaną do wszystkich okręgów.

- Chcesz popatrzeć, jak będziemy w przyszłości wyglądać? - zapytał Svedberg.

- I tak nigdy nie nosimy mundurów - odparł Wallander i usiadł za stołem.

- Ann-Britt nie jest tak negatywnie nastawiona, jak my - powiedział Svedberg. - Uważa, że nowy mundur może być ładny.

Björk zajął swoje miejsce i uderzył dłońmi w stół na znak, że zebranie się rozpoczyna.

- Dziś rano Per nie przyjdzie - powiedział. - Stara się skazać tych bliźniaków, którzy w zeszłym roku napadli na bank.

- Jakich bliźniaków? - zdziwił się Wallander.

- Czy można było przeoczyć, że Bank Handlowy został obrabowany przez dwóch mężczyzn, którzy okazali się bliźniakami?

- Nie było mnie w zeszłym roku - odparł Wallander.

- Zupełnie mi to umknęło.

- Złapaliśmy ich po fakcie - wyjaśnił Martinsson. - Zdobyli podstawy wiedzy ekonomicznej w pewnej znakomitej szkole wyższej. Potrzebny im był kapitał wyjściowy do realizacji własnych pomysłów. Chcieli zbudować objazdowe letnie wesołe miasteczko, które przemieszczałoby się wzdłuż wybrzeża.

- Pomysł nie jest głupi - ocenił rzeczowo Svedberg, drapiąc się w łysinę.

Wallander rozejrzał się naokoło.

- Dzwonił Alfred Harderberg - oznajmił. - Jadę wieczorem do zamku w Farnholmie i biorę ze sobą Martinssona. Istnieje niewielkie ryzyko, że Harderberg zmieni plan podróży. Ale poinformowałem go, że nasza cierpliwość ma pewne granice.

- Czy to nie wzbudzi jego podejrzeń? - zapytał Svedberg.

- Stale podkreślam, że chodzi o rutynowe przesłuchanie - powiedział Wallander. - Pamiętajmy, że Gustaw Torstensson właśnie jego odwiedził w wieczór swojej śmierci.

- Najwyższa pora - orzekł Martinsson. - Należy jednak dokładnie przemyśleć, o czym się będzie z nim rozmawiało.

- Mamy na to cały dzień - rzekł Wallander. - Z zamku nadejdzie potwierdzenie, jeśli on rzeczywiście przyjedzie.

- Gdzie jest tym razem?

- W Barcelonie - odparł Wallander.

- Ma wiele nieruchomości w Barcelonie - przypomniał sobie Svedberg. - Ponadto udziały w miasteczkach turystycznych, budowanych pod Marbellą. Wszystko należy do tej samej firmy - nazywa się Casaco. Natrafiłem gdzieś na prospekt emisyjny. O ile dobrze pamiętam, zajmował się tym pewien bank w Macao. Gdziekolwiek to leży.

- Nie wiem - powiedział Wallander. - Ale w tej chwili to bez znaczenia.

- Macao leży na południe od Hongkongu - wtrącił Martinsson. - Ile mieliście z geografii?

Wallander nalał sobie szklankę wody i zebranie potoczyło się jak zwykle. Jeden po drugim składali raport z tego, co się wydarzyło od ich ostatniego spotkania, każdy ze swojego konkretnego odcinka. Martinsson przekazał kilka informacji od Ann-Britt Hóglund. Najważniejsze było, że nazajutrz miała się spotkać z dziećmi Larsa Bormana i wdową, która akurat przebywała w Szwecji. Kiedy doszło do Wallandera, zaczął mówić o plastikowym pojemniku. Dość szybko zdał sobie sprawę, że koledzy nie bardzo rozumieją, dlaczego przywiązuje do niego taką wagę. Może to i dobrze, pomyślał. Nie należy się spodziewać zbyt wiele.

Po niecałej półgodzinie nastąpiła ogólna dyskusja. Wszyscy się zgodzili, że porzucą na razie luźne końce, które nie mają bezpośredniego związku z zamkiem w Farnholmie.

- Wciąż czekamy na wiadomość z wydziału do spraw przestępstw gospodarczych w Sztokholmie i w Malmö - poinformował Wallander, kiedy zebranie dobiegało końca. - W tej chwili jedno jest pewne: ani Gustaw, ani Sten Torstensson nie zginęli z powodów tak oczywistych, jak rabunek czy zemsta. Powinniśmy, rzecz jasna, nadal przeglądać ich klientelę, może się bowiem okazać, że trop Farnholmu jest mylny. Ale w tej chwili będziemy się koncentrować na Harderbergu i Larsie Bormanie. Miejmy nadzieję, że Ann-Britt dowie się czegoś istotnego z rozmowy z wdową i dziećmi.

- Czy aby sobie poradzi? - zapytał Svedberg.

- Dlaczego miałyby sobie nie poradzić? - zdziwił się Wallander.

- Jest dosyć niedoświadczona - wytłumaczył Svedberg.

- Tak tylko pytam.

- Sądzę, że da sobie świetnie radę - zapewnił Wallander.

- Jeżeli nie ma nic więcej, to na tym byśmy skończyli.

Wallander wrócił do siebie. Stał przez chwilę przy oknie, nie myśląc o niczym. Potem zasiadł przy biurku i zaczął na nowo przeglądać cały dostępny materiał na temat Alfreda Harderberga i jego finansowego imperium. Większość z tego czytał już wcześniej. Dużej części nie był w stanie zrozumieć. Najbardziej zaawansowane operacje tego rodzaju, że jedna firma niepostrzeżenie przekształca się w inną, czy zawiła gra akcjami i emisjami wywoływały w nim uczucie, że wkracza w świat, którego reguły są mu obce. Od czasu do czasu przerywał pracę, próbując bezskutecznie złapać Svena Nyberga. Nie zdążył zjeść lunchu, dopiero o wpół do czwartej wyszedł z gmachu komendy. Nyberg nadal nie dawał znaku życia. Wallander przypuszczał, że nie zdąży się dowiedzieć, do czego służy plastikowy pojemnik, zanim pojedzie do Farnholmu. Nie zważając na wichurę, poszedł do baru z kebabami przy Stortorget i zjadł posiłek. Przez

cały czas myślał o Alfredzie Harderbergu.

Kiedy Wallander wrócił do komendy, zastał na biurku wiadomość z zamku w Farnholmie, że doktor Harderberg jest gotów go przyjąć o wpół do ósmej wieczorem. Wyszedł na korytarz w poszukiwaniu Martinssona. Musieli się przygotować, zastanowić, jakie pytania zadawać, a jakie na razie zachować dla siebie. Zderzył się w korytarzu z wychodzącym Svedbergiem.

- Martinsson prosił o telefon do domu - poinformował go Svedberg. - Przed chwilą pojechał. Nie wiem, o co chodzi.

Wallander wrócił do pokoju i podniósł słuchawkę. Telefon odebrał Martinsson.

- Muszę odwołać wyjazd - powiedział. - Żona zachorowała. Nie mam nikogo do dziecka. Nie możesz wziąć ze sobą Svedberga?

- Właśnie wyszedł - odparł Wallander. - Nie wiem dokąd.

- Bardzo mi przykro - kajał się Martinsson.

- Trudno, musisz zostać w domu - rzekł Wallander. - Jakoś sobie poradzę.

- Mógłbyś wziąć ze sobą Bjórka - zaproponował ironicznie Martinsson.

- Masz rację - odparł poważnie Wallander. - Zastanowię się nad tym.

W chwili kiedy odkładał słuchawkę, postanowił, że uda się do zamku w Farnholmie sam. Uprzytomnił sobie również, że w głębi duszy tego właśnie pragnie.

Moja największa wada, pomyślał. To, że najchętniej pracuję sam. Jednak w miarę upływu czasu słabło w nim przekonanie, że jest to istotnie wada.

Potrzebny mu był całkowity spokój, żeby się skupić. Wyszedł natychmiast z komendy, wsiadł do samochodu i wyjechał z Ystad. Wiał ostry wicher, w porywach miał siłę huraganu. Samochodem trzęsło i rzucało. Po niebie pędziły poszarpane chmury. Wallander zastanawiał się, jak

wytrzymuje dach ojca w Lóderup. Przez chwilę zateśknął do muzyki operowej. Zjechał na pobocze i zapalił światło w samochodzie. Na próżno szukał. Nie mógł znaleźć żadnej ze swoich starych kaset. Wtedy sobie uświadomił, że to nie jego samochód, lecz pożyczony. Pojechał dalej w stronę Kristianstad. W myślach próbował sobie ułożyć, o czym będzie rozmawiał z Alfredem Harderbergiem. Najbardziej jednak zależało mu na samym spotkaniu. W niezliczonych raportach, które przewertował, nie znalazł ani jednego zdjęcia mężczyzny z Farnholmu, a od Ann-Britt usłyszał, że unika on jak ognia fotografowania. Podczas rzadkich publicznych wystąpień jego pracownicy zawsze pilnują, żeby nie było w pobliżu fotografów. Kiedy policja zwróciła się do Telewizji Szwedzkiej, okazało się, że nie ma w archiwum ani jednej migawki filmowej, na której byłoby go widać.

Wallander wracał myślami do pierwszej wizyty na zamku w Farnholmie. Uświadomił sobie wtedy, że cisza i odosobnienie stanowią życiową przestrzeń ludzi o wielkich fortunach. Teraz dodał w myśli, że są oni niewidoczni. Ludzie bez twarzy w pięknym otoczeniu.

Tuż przed Tomelillą potracił zająca, który zawirował w światłach reflektorów. Zatrzymał się i wysiadł, wicher o mało go nie przewrócił. Zając leżał na drodze i przebierał tylnymi łapkami. Wallander poszedł poszukać kamienia na poboczu. Kiedy wrócił, zając już nie żył. Zepchnął go nogą z szosy i z nieprzyjemnym uczuciem ruszył do samochodu. Porywy wiatru były tak silne, że niemal wyszarpywały mu drzwiczki z ręki. Dojechał do Tomelilli i przystanął przed kawiarnią, gdzie zamówił kawę i kanapkę. Była za piętnaście szósta. Sięgnął po notatnik i zanotował kilka pytań w punktach. Czuł się spięty przed spotkaniem. Równocześnie uświadomił sobie absurd sytuacji - jechał przecież z nadzieją, że spotka mordercę.

Spędził w kawiarni blisko godzinę, dolewając sobie kawy i medytując. Nagle dotarło do niego, że myśli o Rydbergu. Przez chwilę nie mógł sobie przypomnieć jego twarzy. Przestraszył się. Jeżeli stracę Rydberga, pomyślał, stracę jedyne prawdziwego przyjaciela. Nawet jeśli jest martwy. Zapłacił i wyszedł. Na zewnątrz leżał zerwany przez wichurę szyld. Przejżdżały samochody, ale nie widać było w nich ludzi. Prawdziwa listopadowa zawierucha, pomyślał. Zima otwiera sobie drzwi wiatrem.

Za pięć wpół do ósmej przystanął przed zamkową bramą. Sądził, że przywita go Kurt Stróm. Ale nikt się nie pokazał. Ciemny bunkier wyglądał na opuszczony. Brama rozwarła się bezszelestnie. Ruszył w stronę zamku. Silne reflektory oświetlały fasadę i park. Przypominało to dekorację teatralną. Imitacja rzeczywistości, a nie właściwa rzeczywistość.

Zatrzymał się przy zamkowych schodach i wyłączył silnik. Kiedy wysiadł, otworzyły się drzwi. Zachwiał się w podmuchu wiatru, wchodząc po schodach, i upuścił notatnik, który zniknął mu z oczu w zawierusze. Potrząsnął głową i szedł dalej do wejścia. Na górze czekała kobieta lat około dwudziestu pięciu, z krótkimi włosami, obciętymi niemal na zapałkę.

- Czy to coś ważnego? - spytała. Wallander rozpoznał jej głos.

- To tylko notes - odparł.

- Wyślemy naturalnie kogoś, żeby go odnalazł - zapewniła Jenny Lind.

Wallander patrzył na jej ciężkie kolczyki i niebieskie pasemka w czarnych włosach.

- Nic tam nie ma - powiedział.

Wpuściła go do środka, za nim bezszelestnie zamknęły się drzwi.

- Mówił pan, że zabierze pan kogoś ze sobą.

- Zmieniło się.

W tej samej chwili Wallander zauważył dwie męskie postacie, stojące nieruchomo w cieniu szerokich schodów, prowadzących na wyższe piętra. Przypomniały mu się cienie z pierwszej wizyty w Farnholmie. Nie potrafił rozróżnić ich twarzy. Przez moment nie był pewien, czy naprawdę są żywi, czy to tylko dwie stare broje.

- Doktor Harderberg za chwilę przyjdzie - zapowiedziała Jenny Lind. - Może pan zaczekać w bibliotece.

Poprowadziła go w kierunku drzwi znajdujących się po lewej stronie holu. Wallander słyszał echo swoich kroków na kamiennej posadzce. Zastanawiał się właśnie, w jaki sposób kobieta idąca przed nim może poruszać się zupełnie bezgłośnie, gdy ze zdziwieniem spostrzegł, że jest bosy.

- Nie za zimno? - spytał, spoglądając na jej stopy.

- Mamy ogrzewanie podłogowe - wyjaśniła spokojnie i wpuściła go do biblioteki. - Poszukamy papierów, które porwał wiatr - powiedziała, zanim wyszła i zamknęła drzwi.

Wallander znalazł się w przestronnym, owalnym pokoju z półkami wzdłuż ścian. Na środku stało parę skórzanych foteli i stolik do kawy. Światło było przyćmione i - inaczej niż w holu - na podłodze leżały orientalne dywany.

Wallander stał bez ruchu i nasłuchiwał. Dziwił się, że nie słyhać szalejącej na zewnątrz wichury. Uprzytomnił sobie, że pokój jest dźwiękoszczelny. Tutaj Gustaw Torstensson spędził ostatni wieczór w życiu. Tu spotkał się ze swoim pracodawcą i paroma innymi, nieznanymi osobami. Stąd poszedł do samochodu i nigdy nie dotarł do Ystad.

Wallander rozejrzał się po pokoju. Za kolumną zauważył akwarium, gdzie wolno poruszały się egzotyczne ryby. Pochylił się tuż przy szklanej ściance, żeby zobaczyć, czy na dnie leży złoty piasek. Piasek się mienił. Kurt nie potrafił ocenić, czy jest złoty. Z pewnością mnie obserwują, pomyślał. Nie widać kamer. Ale ukryte są wśród książek i o

tak czulej optyce, że przyćmione światło w pokoju jest bardziej niż wystarczające. Są tu również, rzecz jasna, niewidoczne urządzenia nagrywające. Spodziewali się, że z kimś przyjadę. Zostawiliby nas samych, żeby ewentualnie posłuchać, o czym ze sobą rozmawiamy. Może powinienem liczyć się z tym, że potrafią czytać w moich myślach.

Nie słyszał, kiedy wszedł Harderberg. Jednak nagle poczuł, że nie jest już sam w pokoju. Kiedy się odwrócił, ujrzał mężczyznę stojącego przy głębokim skórzanym fotelu.

- Komisarz Wallander - rzekł mężczyzna z uśmiechem. Później Wallander będzie miał wrażenie, że uśmiech ani na chwilę nie zniknął z jego opalonej twarzy. Nigdy go nie zapomniał.

- Alfred Harderberg - zrewanżował się Wallander. - Jestem bardzo wdzięczny, że zgodził się pan mnie przyjąć.

- Należy pomóc, kiedy policja wzywa - odparł Alfred Harderberg.

Ma bardzo przyjemny głos, myślał Wallander. Uściśnił sobie ręce. Harderberg miał dobrze skrojone i z pewnością drogie ubranie w nikły biały prążek. Pierwszym wrażeniem Wallandera było, że wszystko w nim jest doskonale - ubranie, sposób poruszania się, sposób mówienia. I cały czas ten uśmiech, który nie schodził z jego twarzy.

Usiedli.

- Poprosiłem o herbatę - oznajmił uprzejmie Harderberg.

- Mam nadzieję, że pan komisarz pije herbatę?

- Chętnie - podziękował Wallander. - Szczególnie w taką pogodę. Tutejsze mury są zapewne bardzo grube.

- Zauważył pan, że nie słychać wiatru - odparł Harderberg. - Ma pan całkowitą rację. Mury są bardzo grube. Zbudowano je tak, aby stawały opór. Zarówno wrogim wojskom, jak i nieposkromionym wichrom.

- Zapewne trudno było lądować - rzekł Wallander.

- Przyleciał pan na Everód czy na Sturup?

- Korzystam z lotniska Sturup - wyjaśnił Harderberg.
- Stamtąd jest bezpośrednio wyjście na międzynarodowe trasy. A lądowanie przebiegło bez problemu. Moi piloci są dobierani niezwykle starannie.

Z półmroku wyłoniła się czarna kobieta, którą Wallander widział na zamku za pierwszym razem. Milczeli, podczas gdy ona nalewała herbatę.

- To bardzo specjalna herbata - objął Alfred Harderberg.

Wallander przypomniał sobie, co czytał po południu.

- Przypuszczam, że pochodzi z którejś z pana własnych plantacji - powiedział.

Nieustający uśmiech na twarzy Harderberga sprawiał, że trudno było poznać, czy to, że Wallander wiedział o istnieniu plantacji herbaty w jego finansowym imperium, zrobiło na nim jakiegokolwiek wrażenie.

- Słyszę, że pan komisarz jest dobrze poinformowany - rzekł. - Posiadamy udziały w plantacjach Lohnros w Mozambiku.

- Istotnie bardzo smaczna - przyznał Wallander. - Trudno mi sobie wyobrazić, jak to jest, kiedy ma się interesy na całym świecie. Życie policjanta to zupełnie co innego. Dla pana musiała to być także długa droga. Z Vimmerby do plantacji herbaty w Afryce.

- Bardzo długa - odparł Harderberg.

Wallander zrozumiał, że tamten zakończył wstępną rozmowę, stawiając niewidoczną kropkę. Odstawił filiżankę do herbaty. Poczł się niepewnie. Z mężczyzny naprzeciwko była kontrolowana, lecz bezgraniczna pewność siebie.

- Postaram się mówić krótko - podjął Wallander po chwili milczenia, w czasie której na próżno usiłował dosłyszeć odgłosy wichury. - Mecenaz Torstensson, który zginął w wypadku samochodowym, wracając z wizyty w zamku, został zamordowany. Wypadek upozorowano, aby zatrzeć ślady przestępstwa. Pan był ostatnią osobą, która widziała

go przy życiu, z wyjątkiem tego lub tych, którzy go zabili.

- Muszę przyznać, że to dla mnie niepojęte - powiedział Harderberg. - Komu mogło zależeć na pozbawieniu życia starego Torstenssona?

- My także zadajemy sobie to pytanie - odparł Wallander. - I kto na dodatek starał się z zimną krwią upozorować wypadek samochodowy?

- Macie chyba jakiś pomysł?

- Tak - przyznał Wallander. - Ale nie mogę w tej chwili o tym mówić.

- Rozumiem - rzekł Harderberg. - Domyśla się pan naturalnie, że całe to zdarzenie bardzo nas dotknęło. Stary Torstensson był zaufanym pracownikiem.

- Sprawa skomplikowała się jeszcze bardziej, kiedy zamordowano również jego syna. Czy znał go pan?

- Nigdy go nie poznałem. Ale oczywiście wiem, co zaszło.

Wallander miał uczucie nasilającej się niepewności. Harderberg był zupełnie nieporuszony. Normalnie Wallander dosyć szybko potrafił rozpoznać, czy człowiek mówi prawdę, czy kłamie. Ale siedzący naprzeciwko uśmiechnięty mężczyzna był inny.

- Robi pan interesy na całym świecie - zauważył Wallander.

- Kieruje pan imperium, które obraca miliardami. O ile rozumiem, niewiele brakuje, abyście się znaleźli na liście największych koncernów na świecie.

- W przyszłym roku prześcigniemy Kankaku Securities i Pechiney International - wyjaśnił Harderberg. - Jeżeli to się powiedzie, znajdziemy się wśród tysiąca największych firm.

- Nigdy nie słyszałem tych nazw - przyznał Wallander.

- Kankaku jest japońskie, a Pechiney francuskie - wyjaśnił Harderberg. - Czasami spotykam się z prezesami ich zarządów. Zabawiamy się w prognozowanie, kiedy zajmiemy miejsce wśród tysiąca światowych firm o największych obrotach.

- To zupełnie nieznan mi świat - oświadczył Wallander. - Zapewne pozostawał równie nieznan dla Gustawa Torstenssona. Przez całe życie był prowincjonalnym adwokatem. Mimo to zatrudnił go pan w swojej firmie.

- Przyznaję, że mnie samego to dziwiło - odparł Harderberg.

- Ale gdy postanowiliśmy stworzyć szwedzką bazę na zamku w Farnholmie, potrzebny mi był adwokat ze znajomością lokalnych stosunków. Polecono mi Gustawa Torstenssona.

- Kto go polecił?

- Już nie pamiętam.

Mam go, pomyślał Wallander. Doskonale pamięta. Ale nie chce odpowiedzieć. Nie uszło jego uwagi ledwie zauważalne drgnienie na niewzruszonej twarzy Harderberga.

- Słyszałem, że zajmował się wyłącznie doradztwem ekonomicznym - zagadnął Wallander.

- Pilnował, żeby transakcje zagraniczne odbywały się zgodnie ze szwedzkim ustawodawstwem - wyjaśnił Harderberg. - Był niezwykle skrupulatny. Miałem do niego duże zaufanie.

- Domyślałem się, że ostatniego wieczoru byliście w tym właśnie pokoju - powiedział Wallander. - O czym wtedy rozmawialiście?

- Złożyliśmy ofertę na zakup kilku nieruchomości w Niemczech, należących do kanadyjskiej spółki Horshalm Holdings. Kilka dni później byłem umówiony z Peterem Munkiem w celu ewentualnego sfinalizowania transakcji. Omawialiśmy sprawę potencjalnych przeszkód natury formalnej. Proponowaliśmy, że koszty zakupu pokryjemy w części akcjami.

- Peter Munk - kto to jest? - spytał Wallander.

- Największy udziałowiec w Horshalm Holdings - wyjaśnił Harderberg. - To on finalizuje transakcje.

- Tamtego wieczoru odbywało się zatem zwykle zebranie?

- Nic szczególnego się nie wydarzyło.

- Z moich informacji wynika, że obecne były jeszcze dwie osoby - dodał Wallander.
- Było dwóch dyrektorów z Banca Commerciale Italiana - odparł Harderberg. - Zamierzaliśmy pokryć koszt zakupu niemieckich nieruchomości częścią udziałów w Montedison. W transakcji miał pośredniczyć włoski bank.
- Chciałbym dostać nazwiska tych osób - poprosił Wallander. - Na wypadek gdyby trzeba było się do nich zwrócić.
- Naturalnie - rzekł Harderberg.
- Po zebraniu mecenas Gustaw Torstensson odjechał z zamku w Farnholmie - ciągnął Wallander. - Nie zauważył pan nic niezwykłego w jego zachowaniu tego wieczoru?
- Nic.
- Nie ma pan żadnych podejrzeń w związku z tym zabójstwem?
- To dla mnie absolutnie nie do pojęcia. Stary, samotny człowiek. Kto mógł pragnąć jego śmierci?
- Otóż to - zgodził się Wallander. - Kto tego pragnął? I kto na dodatek kilka dni później zastrzelił jego syna?

- Jeśli dobrze zrozumiałem, policja ma jakiś trop?
- Mamy trop - przyznał Wallander. - Ale nie mamy motywu.
- Żałuję, że nie mogę wam pomóc - rzekł Harderberg. - Chciałbym przynajmniej, żeby policja informowała mnie o postępach w śledztwie.
- Całkiem możliwe, że będę miał do pana dodatkowe pytania - zapowiedział Wallander, wstając.
- Odpowiem najlepiej, jak potrafię - zapewnił Harderberg. Podali sobie dłonie. Wallander usiłował przebić się przez uśmiech, przez lodowatoniebieskie spojrzenie. Ale natrafiał na niewidoczną ścianę.
- Zakupił pan domy?
- Jakie domy?

- Te w Niemczech.

Uśmiech stał się jeszcze szerszy.

- Naturalnie - odparł Harderberg. - To był znakomity zakup.

Dla nas.

Pożegnali się przy drzwiach. Bosa Jenny Lind czekała na Wallandera, żeby go wyprowadzić.

- Odnaleźliśmy notes - rzekła, gdy szli przez przestronny hol.

Wallander zauważył, że zniknęli skrywający się w cieniu mężczyźni.

Jenny Lind podała mu kopertę.

- Domyślam się, że znajdę w niej nazwiska obu dyrektorów banku - powiedział Wallander.

Uśmiechnęła się.

Wszyscy się uśmiechają, pomyślał. Czy przyczajeni w cieniu mężczyźni również?

Wicher uderzył w niego, kiedy wychodził z zamku w Farnholmie. Jenny Lind zamknęła za nim drzwi. Brama wyjazdowa się rozsunęła i poczuł ulgę, gdy znalazł się na zewnątrz.

Tędy jechał Gustaw Torstensson, pomyślał. Mniej więcej o tej samej porze.

Nagle opadł go strach. Spojrzał przez ramię, czy nie ma kogoś na tylnym siedzeniu.

Był sam.

Wicher szarpał samochodem. Z okna ciągnęło zimno.

Myślał o Alfredzie Harderbergu. Uśmiechniętym mężczyźnie.

Jasne, że to on, pomyślał. Jasne, że to on wie, co się wydarzyło.

Muszę zetrzeć uśmiech z jego twarzy.

Huragan, który przeszedł nad Skanią, powoli słabł.

O świcie, po kolejnej nieprzespanej przez Wallandera nocy, wicher ostatecznie ucichł. Nocne godziny spędził przy oknie w kuchni, wyglądając na zewnątrz. Wisząca latarnia uliczna szarpała się w porywach wiatru jak pojmane zwierzę.

Wallander wrócił z osobliwego świata dekoracji, jakim był zamek w Farnholmie, z niejasnym uczuciem, że został pokonany. W zetknięciu z uśmiechem Alfreda Harderberga odgrywał tę samą rolę pokornego sługi, jaką w okresie jego dzieciństwa zmuszony był odgrywać jego ojciec wobec Jedwabnych Jeźdźców. Stał przy oknie zapatrzony w wicher i dumiał nad tym, że zamek w Farnholmie jest tylko inną odmianą lśniących amerykańskich samochodów, które kołyszac się, przystawały przed domem w pobliżu Malmö, gdzie niegdyś dorastał. Hałaśliwy Polak w jedwabnym garniturze był dalekim krewnym mężczyzny z zamku o dźwiękoszczelnych ścianach. Wallander siedział w skórzanym fotelu Alfreda Harderberga z niewidzialną czapką w rękę i wyszedł z zamku z poczuciem klęski.

Była to naturalnie przesada. Zrobił to, co było jego powinnością, zadał przygotowane pytania, spotkał się z mężczyzną, który miał ogromną władzę, którego na dobrą sprawę nikt wcześniej nie widział, i - tego był pewien - potrafił go uspokoić. Alfred Harderberg nie miał powodu wątpić w to, że nadal pozostaje obywatelem poza wszelkimi podejrzeniami.

Poza tym Wallander upewnił się, że są na właściwym tropie. Odwalili kamień, pod którym mieli znaleźć przyczynę zabójstwa dwóch adwokatów, i pod kamieniem ujrzeli ślad Alfreda Harderberga.

On, Wallander, nie tylko musi zetrzeć zastygły uśmiech tamtego. Musi również pokonać olbrzyma.

W czasie bezsennej, wietrznej nocy raz po raz odtwarzał w

myślach rozmowę z Alfredem Harderbergiem. Miał przed sobą jego twarz i usiłował odczytać słabe drgnienia niemego uśmiechu, jak gdyby rozszyfrowywał jakiś kod. W pewnym momencie wyczuł otchłań - był tego pewien. Wówczas, kiedy zapytał Harderberga, kto mu polecił Gustawa Torstenssona. W uśmiechu pojawiło się na sekundę pęknięcie, nie miał wątpliwości. Istniały zatem chwile, gdy nawet Alfred Harderberg był ludzki, bezbronny, nagi. Ale to jeszcze nic nie znaczyło. Mogło to być nagle i przemożne zmęczenie zapracowanego, podróżującego po całym świecie człowieka, ledwie dostrzegalna słabość, nagła niemożność kontynuowania uprzejmej gry z mało ważnym policjantem z Ystad.

Niemniej jednak Wallander uświadomił sobie, że musi zadać pierwszy cios, jeżeli zamierza osiągnąć olbrzyma, zniszczyć jego uśmiech i dotrzeć do prawdy o dwóch adwokatów. Nie wątpił, że doświadczeni i wytrwali policjanci z wydziału gospodarczego zbiorą informacje, które popchną śledztwo do przodu. Ostatniej nocy umocniło się w nim również przekonanie, że na właściwy trop naprowadzi ich sam Alfred Harderberg. Gdzieś, kiedyś uśmiechnięty mężczyzna pozostawi po sobie ślad, który oni odnajdą i obróćą przeciwko niemu.

Wallander doskonale wiedział, że Alfred Harderberg nie zabił adwokatów osobiście. Tak samo jak nie podłożył miny w ogrodzie pani Duner i nie siedział w samochodzie, który jechał za nim i Ann-Britt Hóglund do Helsingborga. To nie on umieścił materiał wybuchowy w baku z benzyną. Przez cały czas mówił my i nas. Jak księżę lub król. Lecz również jak człowiek, który wie, jaką wartość stanowią lojalni współpracownicy, nigdy niekwestionujący otrzymanych poleceń.

Dlatego Wallander rozumiał teraz, czemu Harderberg, choć mogło się to wydawać dziwne, dopuścił do siebie Gustawa

Torstenssona. Mógł z jego strony liczyć na całkowite oddanie. Torstensson wiedział, że jego miejsce jest zawsze na krańcu stołu. Alfredowi Harderbergowi zawdzięczał szansę, o jakiej nigdy mu się nie śniło.

Kto wie, czy to nie jest zupełnie proste, rozmyślał Wallander, spoglądając na kołyszącą się latarnię. Kto wie, czy Gustaw Torstensson nie wpadł na trop czegoś, z czym nie chciał lub nie mógł się pogodzić? Czyżby on też zauważył pęknięcie w uśmiechu? Pęknięcie, w którym ujrzał swoją twarz i uświadomił sobie, w jakiej odrażającej grze bierze udział?

Od czasu do czasu Wallander odchodził od okna i siadał przy kuchennym stole. Zapisywał swoje myśli w notesie, usiłował złożyć je w jakąś całość.

O piątej zrobił sobie kawę. Potem położył się i drzemał do wpół do siódmej. Wstał, wziął prysznic i wypił jeszcze jedną filiżankę kawy. Około wpół do ósmej udał się do komendy. Wichura ucichła i niebo się rozchmurzyło. Było coraz chłodniej. Mimo że w nocy prawie nie zmrużył oka, przekraczał próg biura pełen energii. Drugi oddech, pomyślał w drodze do komendy. Jesteśmy teraz w trakcie dochodzenia, a nie na samym początku. Rzucił kurtkę na krzesło, przyniósł sobie kawę i zadzwonił do Ebby do recepcji, żeby przysłała do niego Nyberga. Czekając na kolegę, skreślił na papierze przebieg spotkania z Alfredem Harderbergiem. Svedberg wetknął głowę w drzwi i zapytał, jak poszło.

- Dowiesz się potem - powiedział Wallander. - Nadal uważam, że zabójstwa i pozostałe wydarzenia biorą swój początek na zamku w Farnholmie.

- Dzwoniła Ann-Britt Hóglund, że jedzie prosto do Angelholmu - poinformował Svedberg. - Ma się tam spotkać z wdową po Larsie Bormanie i z jego dziećmi.

- A co z samolotem Harderberga? - zainteresował się

Wallander.

- Nic nie wspominała. Sądzę, że zajmie jej to trochę czasu.
- Nie mam za grosz cierpliwości. Nie rozumiem dlaczego.
- Nigdy nie miałeś - odparł Svedberg. - Nawet sam o tym nie wiesz.

Gdy tylko Svedberg wyszedł, odezwał się telefon. Ebba zawiadamiała, że Nyberg jest w drodze. Kiedy wszedł do pokoju, Wallander natychmiast spostrzegł, że coś się stało. Dał mu znak, żeby zamknął za sobą drzwi.

- Miałeś rację - rzucił Nyberg. - Plastikowy pojemnik, który oglądaliśmy tamtego wieczoru, w żaden sposób nie powinien się znaleźć w samochodzie starego adwokata.

Wallander czekał w napięciu na ciąg dalszy.

- Miałeś też rację co do tego, że to jest torba-lodówka - dodał Nyberg. - Ale nie na leki ani na krew, lecz na organy przeznaczone do transplantacji. Na przykład nerkę.

Wallander patrzył na niego z namysłem.

- Jesteś tego pewny? - zapytał po chwili.
- Zawsze wyraźnie zaznaczam, kiedy nie jestem pewny.
- Wiem - złagodził swoją wypowiedź Wallander. Zauważył, że Nyberg zaczyna być poirytowany.

- Tego rodzaju pojemniki to wytwór niezwykle zaawansowanej technologii - mówił dalej Nyberg. - Nie ma ich tak wiele. Dlatego nie wykluczam, że uda się ustalić, skąd pochodzi. Jeżeli to, czego dotychczas się dowiedziałem, to prawda, wyłączność na import lodówek transplantacyjnych ma firma Avanca z siedzibą w Sodertalje. Zaraz się tym zajmę.

Wallander wolno pokiwał głową.

- Jeszcze jedno - dodał. - Nie zapomnij się wywieźć, do kogo należy firma.

Nyberg zrozumiał.

- Przypuszczam, że interesuje cię, czy Avanca nie wchodzi przypadkiem w skład imperium Alfreda Harderberga?

- Na przykład - odparł Wallander.

Nyberg wstał, skierował się do wyjścia i na chwilę przystanął w drzwiach.

- Co wiesz o transplantacjach? - zapytał.

- Niewiele - przyznał Wallander. - Wiem, że się je robi, że są coraz powszechniejsze i obejmują coraz więcej organów. Spodziewam się jednak, że sam tego nie doświadczę. To musi być dziwne uczucie mieć w swoim ciele serce innego człowieka.

- Rozmawiałem z pewnym lekarzem w Lund, niejakim Strömbergiem - powiedział Nyberg. - Dużo rzeczy mi wyjaśnił. Między innymi, że technika transplantacji ma swoje, delikatnie mówiąc, ciemne strony. Chodzi nie tylko o to, że zdesperowani mieszkańcy Trzeciego Świata sprzedają swoje organy, aby móc przeżyć. To ponury proceder, w dodatku wątpliwy moralnie. Lecz on napomknął o czymś znacznie gorszym.

Nyberg nagle przerwał i spojrzał pytająco na Wallandera.

- Mam czas - zachęcił go Wallander. - Mów dalej.

- Ja w żaden sposób nie mogę tego pojąć. Ale Strömberg mnie przekonał, że ludzka żądza zdobywania pieniędzy nie zna żadnych granic.

- To chyba dla ciebie nie nowość? - zdziwił się Wallander.

- Granice stale się przesuwają - rzekł Nyberg. - Chociaż wydaje się, że dalej już nic nie ma. - Usiadł na krześle dla odwiedzających. - Tak jak to często bywa, nie ma żadnych dowodów. Lecz Strömberg twierdzi, że w Ameryce Południowej i w Azji istnieją szajki, które przyjmują zamówienia na rozmaite organy, a następnie mordują ludzi, aby je zdobyć.

Wallander się nie odzywał.

- Wybrana osoba zostaje napadnięta i uśpiona. Następnie wiezie się ją do prywatnej kliniki, gdzie zabiera się potrzebny organ. Później znajduje się trupa w jakimś rowie.

Według Strömberga, ofiarami są często dzieci.

Wallander pokręcił głową i przymknął oczy.

- Strömberg sądzi, że ten proceder jest dużo bardziej rozpowszechniony, niż nam się wydaje - ciągnął dalej Nyberg. - Chodzą słuchy, że istnieje również we wschodniej Europie i w USA. Nerka nie posiada twarzy, nie ma własnej osobowości. Zabijają się dziecko w Ameryce Południowej i przedłuża życie komuś w świecie zachodnim, kogo na to stać i kto nie chce czekać w kolejce do transplantacji. Mordercy zarabiają duże pieniądze.

- Usunięcie organu z ludzkiego ciała nie jest chyba takie proste - zauważył Wallander. - To znaczy, że zaangażowanych jest w to wielu lekarzy.

- A kto powiedział, że poziom moralności wśród lekarzy jest wyższy niż wśród pozostałych ludzi? - spytał Nyberg.

- Trudno mi uwierzyć, że to prawda - powiedział Wallander.

- Tak jak i wszystkim - rzekł Nyberg. - I dlatego tamci mogą bez przeszkód nadal prowadzić swoją działalność.

Wyjął z kieszeni notatnik i przerzucał kartki.

- Lekarz podał mi nazwisko dziennikarki, która zbiera informacje na ten temat - poinformował. - Nazywa się Lisbeth Norin. Mieszka w Göteborgu i pisuje do różnych pism popularnonaukowych.

Wallander zanotował nazwisko.

- Przyjmijmy taką niedorzeczną hipotezę - powiedział, spoglądając z powagą na Nyberga. - Załóżmy, że Alfred Harderberg macza palce w mordowaniu ludzi i dostarczaniu nerek lub innych organów na czarny rynek, który jakoby istnieje. Załóżmy dalej, że Gustaw Torstensson na to wpadł. I wziął ze sobą lodówkę jako dowód. Przyjmijmy tę niedorzeczną hipotezę.

Nyberg spojrział pytająco na Wallandera.

- Mówisz poważnie? - zapytał.

- Naturalnie, że nie. To tylko niedorzeczna hipoteza.

Nyberg wstał z krzesła.

- Zobaczę, czy da się ustalić pochodzenie pojemnika - powiedział. - Zacznę od tego.

Kiedy Wallander został sam, podszedł do okna i rozmyślał nad tym, czego się dowiedział od Nyberga.

Doszedł do wniosku, że hipoteza jest naprawdę niedorzeczna. Alfred Harderberg finansuje badania naukowe. Między innymi nad groźnymi chorobami dziecięcymi. Wallander przypominał sobie również, że wspomaga on służbę zdrowia w wielu afrykańskich i południowoamerykańskich krajach.

Lodówka w samochodzie Gustawa Torstenssona musi znaczyć coś innego, pomyślał. Albo w ogóle nic.

Mimo to nie mógł się powstrzymać i zadzwonił do informacji po numer telefonu Lisbeth Norin. Kiedy go wybrał, odpowiedziała automatyczna sekretarka. Podał swoje nazwisko i telefon.

Resztę dnia spędził z uczuciem dręczącego, pełnego niepokoju wyczekiwania. Nie mógł się do niczego zabrać, bo raport Svena Nyberga i Ann-Britt Hóglund, na który czekał, był dla niego ważniejszy. Kiedy po telefonicznej rozmowie z ojcem upewnił się, że dach przetrzymał wczorajszy huragan, zajął się dalszym przeglądaniem materiałów na temat Alfreda Harderberga - raz z większym, raz z mniejszym skupieniem. Trudno było nie podziwiać niezwyklej kariery, która miała swój skromny początek w Vimmerby. Wallander uświadomił sobie, że talent Harderberga do robienia interesów objawił się bardzo wcześnie. W wieku lat dziewięciu Harderberg sprzedawał pisemka bożonarodzeniowe. Jednocześnie za własne, zaoszczędzone pieniądze zakupił w magazynie ich wcześniejsze roczniki. Dostał je prawie za darmo, gdyż wydawnictwo uznało, że wartość rynkową ma tylko najnowsze wydanie. Niemniej Alfred Harderberg sprzedawał stare pisma razem z nowymi,

zręcznie różnicując ceny w zależności od potrzeb klientów. Wallander uprzytomnił sobie, że Alfred Harderberg to urodzony handlowiec. Kupował i sprzedawał to, co inni wyprodukowali. Nie wytwarzał żadnych produktów, ale potrafił tanio kupić, drogo sprzedać i dostrzec zysk tam, gdzie inni go nie widzieli. Już w wieku czternastu lat zorientował się, że istnieje rynek na stare samochody. Zjeździł na rowerze okolice Vimmerby, kupując odnalezione na polach i w szopach porzucone, na wpół porośnięte trawą pojazdy z nadzieją, że je komuś odsprzeda. W wielu wypadkach po prostu mu je oddawano, nie chcąc naciągać młodego, niewinnego chłopca, który krążąc rowerem po wsiach, przejawiał maniackie zainteresowanie starymi wrakami. Przez cały czas odkładał pieniądze, których nie inwestował w coraz szybciej obracającą się karuzelę interesów. Kiedy miał siedemnaście lat, wsiadł do pociągu i pojechał do Sztokholmu w towarzystwie o kilka lat starszego kolegi z wioski nieopodal Vimmerby, niezwykle utalentowanego brzechomówcy. Alfred Harderberg zafundował mu podróż i mianował się jego menedżerem. Dość wcześnie chyba, jeszcze jako młodzieniec, doprowadził do perfekcji swą wyszukaną, uśmiechniętą uprzejmość. Wallander wielokrotnie czytał reportaży o Alfredzie Harderbergu i brzechomówcy. Ukazał się w „Bildjournalen”, magazynie, który Wallander niejasno sobie przypominał. Autorzy reportażu często podkreślali, jak dobrze ubrany, dobrze wychowany i uprzejmie uśmiechnięty jest młody menedżer. Już wtedy nie chciał się fotografować. Na zdjęciach był brzechomówca, ale nie jego menedżer. Z materiałów wynikało również, że natychmiast po przybyciu do Sztokholmu Alfred Harderberg postanowił się pozbyć regionalnego dialektu ze Smalandii, zamieniając go na język, z którym się zetknął w stolicy. Zainwestował w regularne lekcje z logopedą. Po pewnym czasie odesłał

brzuchomówcę do Vimmerby, w zapomnienie, a sam rzucił się na nowe projekty. Już pod koniec lat sześćdziesiątych płacił podatki od milionowych zysków. Ale największy przełom nastąpił w połowie lat siedemdziesiątych. Dzięki serii udanych transakcji na rynku nieruchomości i rynku kapitałowym w Szwecji i za granicą jego majątek niesłychanie wzrósł. Wallander stwierdził, że Harderberg zaczął jeździć po świecie już na początku lat siedemdziesiątych. Spędził jakiś czas w Zimbabwie, a raczej w Rodezji, jak się ten kraj wtedy nazywał, gdzie wspólnie z niejakim Tinym Rowlandem przeprowadził kilka udanych transakcji w kopalniach miedzi i złota. Wallander przypuszczał, że w tym samym czasie w jego życiu pojawiły się plantacje herbaty.

Na początku lat osiemdziesiątych Alfred Harderberg był żonaty z Brazylijką, Carmen Dulce da Silva. Rozstali się, nie mając dzieci. Alfred Harderberg konsekwentnie bronił prawa do ukrywania się za swoją działalnością, chciał pozostać jak najbardziej niewidoczny. Nigdy się nie pokazywał na uroczystościach z okazji kolejnego daru dla jakiegoś szpitala i nie delegował żadnego przedstawiciela. Pisał natomiast listy i faksy, w których pokornie dziękował za okazane mu wyrazy sympatii. Nigdy osobiście nie odebrał żadnego z nadanych mu doktoratów honorowych czy dyplomów.

Całe jego życie jest przewlekłą nieobecnością, pomyślał Wallander. Dopóki nie wróci do domu i nie znajdzie się za grubymi murami zamku w Farnholmie, nikt nie wie, gdzie przebywa. Nieustannie zmienia miejsca pobytu, jeździ samochodami, w których go nie widać, a od początku lat osiemdziesiątych posiada własny samolot -

Istniało jednak kilka wyjątków. Jeden z nich wydawał się bardziej zaskakujący niż pozostałe. Według informacji, które Ann-Britt Hóglund uzyskała od pani Duner, pierwsze

spotkanie Alfreda Harderberga z Gustawem Torstenssonem nastąpiło w hotelu Continental w Ystad. Gustaw Torstensson mówił później, że Harderberg był niezwykle sympatyczny, opalony i znakomicie ubrany.

Dlaczego wybrał restaurację na miejsce spotkania z Torstenssonem? Podczas gdy znani dziennikarze, zajmujący się międzynarodowym biznesem, latami czekali, żeby znaleźć się choćby w jego pobliżu? Czy to coś znaczy? Czy od czasu do czasu zmienia taktykę, żeby wprowadzić zamieszanie?

Niepewność może być kryjówką, pomyślał Wallander. Wiadomo, że gdzieś jest, nie wiadomo gdzie.

Około dwunastej Wallander poszedł do domu przyrzadzić sobie lunch. O wpół do drugiej był już z powrotem w biurze. Właśnie pochylał się nad aktami, kiedy rozległo się pukanie i weszła Ann-Britt Hóglund.

- Już? - zdziwił się Wallander. - Myślałem, że jesteś w Angelholmie.

- Rozmowa z rodziną Larsa Bormana była krótka - odparła.

- Niestety.

Wallander wyczuł, że jest niezadowolona, i natychmiast mu się to udzieliło. Znowu nic, pomyślał ponuro. Nic, co by umożliwiło przebicie murów zamku w Farnholmie.

Usiadła na krześle i zaczęła przerzucać notatki.

- Jak się czuje twoje dziecko? - zapytał.

- Dzieci rzadko długo chorują - odparła. - No i mam trochę informacji na temat samolotu Harderberga. Cieszę się, że Svedberg zadzwonił i dał mi coś do roboty. Kobiety zawsze mają nieczyste sumienie, kiedy nie mogą pracować.

- Najpierw rodzina Bormanów - przypomniał Wallander. - Zaczniemy od nich.

Potrząsnęła głową.

- To naprawdę niewiele dało. Nie ma wątpliwości, że uznają jego śmierć za samobójstwo. Myślę, że ani wdowa, ani syn i

córka nie mogą tego przeboleć. Po raz pierwszy zdałam sobie sprawę, co to znaczy, kiedy ktoś z rodziny nagle i zupełnie bez powodu odbiera sobie życie.

- Niczego po sobie nie zostawił? Jakiegoś listu?

- Niczego.

- To nie pasuje do osoby Larsa Bormana. Rzucić rower na ziemię i odebrać sobie życie, nie pozostawiając jakiegoś wyjaśnienia lub usprawiedliwienia.

- Rozmawiałam o tym, co wydawało mi się najważniejsze. Nie miał kłopotów finansowych, nie uprawiał hazardu, nie dopuszczał się szwindli.

- Pytałaś o to? - zdumiał się Wallander.

- Można otrzymać konkretne odpowiedzi, stawiając pytania nie wprost.

Wallander skinął głową.

- Ludzie przygotowują się na przyście policji, jeśli są o nim uprzedzeni - powiedział Wallander. - To masz na myśli?

- Cała trójka postanowiła bronić jego dobrego imienia - odparła. - Wymienili jednym tchem wszystkie jego zalety i nie musiałam pytać, jakie miał wady.

- Ciekawe tylko, czy to prawda.

- Nie kłamali. Co Borman robił w tajemnicy, nie mogę powiedzieć. Ale nie wyglądał na człowieka prowadzącego podwójne życie.

- Mów dalej - poprosił Wallander.

- To był dla nich niewiarygodny szok - powiedziała. - I po tym szoku jeszcze się nie pozbierali. Sądzę, że dzień i noc roztrząsają, dlaczego odebrał sobie życie. I nie znajdują odpowiedzi.

- Czy dałaś im do zrozumienia, że to mogło nie być samobójstwo?

- Nie.

- Dobrze. Mów dalej.

- Jedyne, co jest dla nas interesujące, to to, że Lars Borman

i Gustaw Torstensson się znali. Rodzina to potwierdziła. I wyjaśnili, jak do tego doszło. Gustaw Torstensson i Lars Borman byli członkami stowarzyszenia, którego członkowie studiują malarstwo ikonowe. Raz jeden Gustaw Torstensson był w domu Bormanów. Lars Borman również odwiedził Gustawa Torstenssona w Ystad.

- A więc się przyjaźnili?

- To za dużo powiedziane. Nie byli ze sobą tak blisko. I to właśnie wydaje mi się interesujące.

- Nie jestem pewien, czy cię rozumiem - zastrzegł się Wallander.

- Chcę powiedzieć - ciągnęła dalej - że Gustaw Torstensson i Lars Borman byli samotnikami. Jeden był żonaty, drugi był wdowcem. Nie spotykali się często, a kiedy się spotykali to po to, żeby rozmawiać o ikonach. Ale wyobrażam sobie, że ci dwaj samotni ludzie pod naciskiem okoliczności mogli się sobie zwierzyć. Z braku innych przyjaciół.

- To całkiem możliwe - przyznał Wallander. - Ale nie tłumaczy listu z pogrózkami, skierowanego przez Bormana do wszystkich w kancelarii.

- Oprócz asystentki Sonji Lundin - przypomniała. - Może to jest ważniejsze, niż przypuszczamy.

Wallander odchylił się do tyłu na krześle i bacznie się jej przyglądał.

- Coś ci chodzi po głowie - zauważył.

- To czyste spekulacje - odparła. - W dodatku chyba mocno naciągane.

- Myśląc, nic nie ryzykujemy - powiedział Wallander. - Słucham cię.

- Przypuśćmy, że Lars Borman wyznał w zaufaniu Gustawowi Torstenssonowi, co się wydarzyło w samorządzie terytorialnym. Malwersacja. Nie rozmawiali chyba wyłącznie o ikonach. Wiemy, że Borman był przejęty i rozgoryczony tym, że nie przeprowadzono w tej sprawie

należytego dochodzenia. Przypuśćmy, że Gustaw Torstensson wiedział o istnieniu związku między Alfredem Harderbergiem a oszukańczą firmą STRUFAB. Być może wspomniał, że pracuje dla Alfreda Harderberga. Przypuśćmy dalej, że Lars Borman widział w adwokacie - człowieku o wysoko rozwiniętym poczuciu sprawiedliwości - męża opatrznosciowego. Prosił o pomoc. Lecz Gustaw Torstensson nic nie zrobił. Listy z pogrózkami można interpretować w różny sposób.

- Czyżby? - zapytał Wallander. - Listy z pogrózkami to listy z pogrózkami.

- Bardziej lub mniej groźne - odparła. - Być może popełniliśmy błąd, zapominając, że sam Gustaw Torstensson nie traktował tych listów poważnie. Nie umieścił ich w archiwum, nie zwrócił się ani do policji, ani do Izby Adwokackiej. Po prostu je schował. Czasami najtrudniej jest zaakceptować wydarzenia takimi, jakie są. To, że Lars Borman nie wymienił Sonji Lundin, świadczy prawdopodobnie o tym, że nie wiedział o jej istnieniu.

Wallander pokiwał głową.

- Dobrze to wymyśliłaś. Te spekulacje są tak samo dobre jak inne. A może i lepsze. Ale nie tłumaczą jednej rzeczy. Najistotniejszej. Zabójstwa Larsa Bormana. To kopia śmierci Gustawa Torstenssona. Zamaskowane egzekucje.

- Właściwie sam sobie odpowiadasz - powiedziała. - Ich śmierci są podobne.

Wallander się zastanowił.

- Może i tak - zgodził się. - Jeżeli założymy, że Gustaw Torstensson z jakiegoś powodu wzbudzał podejrzenia Alfreda Harderberga. I mieli go na oku. Wtedy to, co zdarzyło się Larsowi Bormanowi, byłoby kopią tego, co o mały włos nie przytrafiło się pani Duner.

- Dokładnie tak samo myślałam. Wallander wstał z krzesła.

- Niczego nie jesteśmy w stanie udowodnić - powiedział.

- Na razie - odparła.

- Nie mamy wiele czasu - przypomniał. - Podejrzewam, że Per Akesson poleci rozszerzyć dochodzenie, jeżeli nic nowego nie znajdziemy. Załóżmy, że da nam jeszcze miesiąc na tak zwany główny trop. Alfreda Harderberga.

- Może wystarczy - powiedziała.

- Dzisiaj mam zły dzień - przyznał Wallander. - Wydaje mi się, że całe dochodzenie jest gównem. Dobrze mi zrobiło, że cię wysłuchałem. Jeżeli się traci wiarę w powodzenie śledztwa, to lepiej się wypisać.

Poszli po kawę. Przystanęli w korytarzu.

- Samolot - przypomniał sobie Wallander. - Co o nim wiemy?

- Nie tak wiele - odpowiedziała. - To odrzutowiec Grumman Gulfstream z 1974 roku. W Szwecji stacjonuje na lotnisku Sturup. Serwisowany w Bremie w Niemczech. Alfred Harderberg zatrudnia dwóch pilotów. Jeden, niejaki Karl Heider, pochodzi z Austrii. Od wielu lat pracuje dla Harderberga i mieszka w Svedali. Drugi jest zatrudniony zaledwie od kilku lat. Nazywa się Luiz Manshino i pochodzi z Mauritiusa. Mieszka w Malmö.

- Od kogo zdobyłaś te wszystkie informacje? - zapytał zdziwiony Wallander.

- Powiedziałam, że jestem z gazety, która przeprowadza badania na temat szefów firm i ich prywatnych samolotów. Rozmawiałam z kierownikiem działu informacji na lotnisku. Nie sądzę, żeby Harderberg, dowiedziawszy się o tym, zaczął coś podejrzewać. Nie mogłam oczywiście pytać, czy mają w archiwum dzienniki pokładowe, z których wynika, kiedy i dokąd odbywał loty.

- Piloci mnie interesują - przyznał Wallander. - Ludzi, którzy spędzają ze sobą dużo czasu, łączą szczególne stosunki. Wiele o sobie wiedzą. Nawiasem mówiąc, czy oni nie muszą mieć ze sobą stewardesy? Ze względów

bezpieczeństwa?

- Najwyraźniej nie - odrzekła.

- Musimy zbliżyć się do pilotów - powtórzył Wallander. - I znaleźć jakiś sposób na dotarcie do dokumentacji lotów.

- Chętnie się dalej tym zajmę. Obiecuję, że będę dyskretna.

- W porządku - zgodził się Wallander. - Ale śpiesz się. Czas leci.

Tego popołudnia grupa dochodzeniowa zebrała się bez Bjórka. Tłoczyli się w biurze Wallandera, ponieważ w pokoju zebrań odbywała się narada wojewódzkich szefów policji pod przewodnictwem Bjórka. Po relacji Ann-Britt Hóglund ze spotkania z rodziną Bormana Wallander opowiedział o swojej wizycie na zamku w Farnholmie i spotkaniu z Alfredem Harderbergiem. Słuchali jego słów uważnie i w napięciu. Jak gdyby każdy starał się pochwycić w tym, co mówił Wallander, jakiś trop, który być może mu umknął.

- Przyznaję, że jestem bardziej niż kiedykolwiek przekonany, iż morderstwa i pozostałe wydarzenia mają związek z Alfredem Harderbergiem - zakończył Wallander. - Jeśli się ze mną zgadzacie, to idźmy dalej. Ale nie powinniśmy polegać na mojej intuicji. Faktem jest, że dochodzenie utknęło w miejscu. Kto wie, czy nie popełniamy omyłki.

- Czy mamy jakiś inny punkt zaczepienia? - spytał Svedberg.

- Możemy zawsze szukać jakiegoś szaleńca - rzekł Martinsson. - Szaleńca, który nie istnieje.

- Za dużo w tym premedytacji - zauważyła Ann-Britt Hóglund. - Wszystko było tak dobrze zaplanowane. Nic nie wskazuje na obłąkańca.

- Musimy wciąż być ostrożni - przypomniał Wallander.

- Wiemy, że ktoś nas ma na oku, albo Alfred Harderberg, albo ktoś inny.

- Gdyby tak można było polegać na Kurcie Strómie! -

powiedział Svedberg. - Potrzebujemy kogoś, kto ma dostęp do zamku. Kto może się poruszać wśród wszystkich sekretarek, nie budząc podejrzeń.

- Zgadzam się - przytaknął Wallander. - Jeszcze lepiej byłoby znaleźć kogoś, kto do niedawna pracował u Harderberga. Ale już nie pracuje. I w dodatku nie lubił swojego pracodawcy.

- Wydział gospodarczy twierdzi, że w bliskim otoczeniu Harderberga znajduje się niezwykle mało osób - poinformował Martinsson. - To jego wieloletni współpracownicy. Sekretarki są mniej ważne. Według mnie, niewiele wiedzą, co tam się dzieje.

- Mimo to powinniśmy kogoś mieć - upierał się Svedberg.

- Kogoś, kto mógłby nas informować o codziennym życiu na zamku.

Zebranie powoli dobiegało końca.

- Mam propozycję - powiedział Wallander. - Zamknijmy się jutro gdzie indziej, nie tutaj. Potrzebny nam jest spokój i cisza, by przewertować cały materiał. Musimy efektywnie wykorzystać czas.

- O tej porze roku hotel Continental świeci pustkami - rzeki Martinsson. - Na pewno można korzystnie wynająć jakiś pokój konferencyjny.

- Symboliczne miejsce - zauważył Wallander. - Tam Gustaw Torstensson po raz pierwszy spotkał się z Alfredem Harderbergiem.

Nazajutrz zbrali się na piętrze hotelu Continental. W czasie przerw na lunch i na kawę kontynuowali dyskusję. Gdy nadszedł wieczór, postanowili spotkać się nazajutrz w tym samym miejscu. Po rozmowie z Bjórkiem otrzymali od niego zgodę. Odcięli się od świata zewnętrznego i przekopali raz jeszcze przez wszystkie akta. Czas naglił, minęła już połowa miesiąca. Był piątek, dziewiętnastego listopada. Skończyli dopiero późnym popołudniem.

Wallander uznał później, że najlepiej określiła stan śledztwa Ann-Britt Hóglund.

- Wszystko niby mamy - powiedziała. - Ale nie wiemy, jak to ze sobą połączyć. Jeżeli Alfred Harderberg rzeczywiście pociąga za sznurki, robi to zręcznie. Gdy tylko się odwracamy plecami, rzeczy zmieniają miejsce i musimy znowu zaczynać od początku.

Wszyscy byli zmęczeni, opuszczając hotel. Ale nie był to odwrót pokonanej armii. Wallander wiedział, że nastąpiło coś ważnego. Podzielili się całą posiadaną wiedzą. Nie musieli się więcej zastanawiać nad tym, co myślą lub czego się obawiają pozostali.

- Teraz mamy wolne - powiedział Wallander, kiedy skończyli. - Musimy odpocząć. Nabrać sił do poniedziałku.

Sobotę spędził z ojcem w Lóderup. Udało mu się naprawić uszkodzony dach, a potem kilka godzin grał z ojcem w kuchni w karty. Podczas kolacji dotarło do niego ostatecznie, że Gertruda jest autentycznie zadowolona ze wspólnego życia z ojcem.

Późnym wieczorem Wallander spytał ją, czy słyszała o zamku w Farnholmie.

- Niegdyś mówiono, że tam straszny - odpowiedziała. - Ale to pewnie mówią o wszystkich zamkach?

Wallander odjechał około północy. Było poniżej zera. Bał się nadchodzącej zimy.

W niedzielę długo spał. Potem poszedł na spacer popatrzeć na statki w porcie. Po południu sprzątnął mieszkanie. Pomyślał, że to jeszcze jedna zmarnowana niedziela w jego życiu.

Rankiem dwudziestego drugiego listopada Wallander obudził się z bólem głowy. Zdziwiło go to, bo poprzedniego wieczoru nic nie pił. Ale potem przypomniał sobie, że źle spał. Noc miał pełną koszmarów. Nagle umarł ojciec. On chciał podejść do jego trumny, ale nie mógł się zdobyć na

odwagę, bo wiedział, że w rzeczywistości pod całunem leży Linda.

Wstał nie w humorze i rozpuścił tabletki przeciwbólowe w szklance z wodą. Termometr wciąż wskazywał minusową temperaturę. Robiąc kawę, pomyślał, że nocne koszmary stanowią zapewne wstęp do czekającego go przed południem spotkania z Perem Akesonem i Bjórkiem. Spodziewał się trudnej przeprawy. Wprawdzie nie wątpił, że Per Akeson da im zielone światło na kontynuowanie śledztwa pod kątem Alfreda Harderberga, lecz zdawał sobie sprawę, że dotychczasowe rezultaty nie są zadowalające. Nie potrafili złożyć do kupy zgromadzonego materiału. Dochodzenie się rozłaziło. Per Akeson miał wszelkie podstawy, by się nie zgodzić na przeciąganie chwiejącego się śledztwa.

Przystanął przed ściennym kalendarzem z filiżanką kawy w ręku. Do Bożego Narodzenia pozostało niewiele ponad miesiąc. Tyle czasu zażąda. Jeżeli do tej pory nie nastąpi jakiś przełom w śledztwie, będą zmuszeni po świętach zabrać się poważnie do rozpracowania innych tropów.

Miesiąc, pomyślał. To znaczy, że wkrótce coś się musi wydarzyć.

Rozmyślenia przerwał mu dzwonek telefonu.

- Chyba cię nie obudziłam - odezwała się Ann-Britt Hóglund.

- Piję kawę - odrzekł Wallander.

- Prenumerujesz „Ystads Allehanda”? - zapytała.

- Oczywiście. Miejscowe wiadomości czyta się rano. Kiedy świat jest jeszcze mały. Resztą świata można się zająć po południu lub wieczorem - powiedział Wallander.

- Czytałeś dzisiejsze wydanie?

- Nawet jeszcze nie zajrzałem.

- Zrób to. I popatrz na ogłoszenia.

Wyszedł zaniepokojony do przedpokoju i wziął gazetę.

Otworzył ją, trzymając słuchawkę w ręku.

- Czego mam szukać? - zapytał.

- Sam znajdziesz - zapewniła. - No to na razie. Odłożyła słuchawkę. W tej samej chwili je zauważył. Było to ogłoszenie, w którym poszukiwano stajennej do zamku w Farnholmie. Od zaraz. Dlatego tak krótko z nim rozmawiała. Nie chciała wymieniać nazwy miejscowości przez telefon.

Wallander chwilę się zastanawiał. Ujrzał pewną możliwość. Jak tylko zakończy spotkanie z Perem Akesonem, zatelefonuje do swojego przyjaciela, Stena Widena.

Kiedy Wallander z Bjórkiem usiedli w pokoju Pera Akesona, Akeson uprzedził, żeby im nie przeszkadzano. Był silnie przeziębiony, długo i dokładnie wycierał nos.

- Właściwie powinienem być w domu i leżeć w łóżku - powiedział. - Ale przegadajmy sprawę, tak jak się umówiliśmy. - Wskazał na stertę akt i ciągnął dalej: - Nie zaskoczę was chyba stwierdzeniem, że nawet przy najlepszej woli nie mogę uznać dotychczasowego rezultatu za zadowalający. Jedyne, co wskazuje na Harderberga, to niezwykle wątle poszlaki.

- Potrzebujemy więcej czasu - wtrącił Wallander. - Dochodzenie jest skomplikowane. Wiedzieliśmy to od samego początku. To jest nasz najlepszy trop.

- Pytanie, czy to w ogóle można nazwać tropem - zaprotestował Per Akeson. - Przedstawiłeś nam punkt wyjścia, który uzasadniał skierowanie całego śledztwa na osobę Alfreda Harderberga. Ale od tego czasu niewiele się ono posunęło. Przeglądając akta, nie mogę się oprzeć wrażeniu, że drepczemy w miejscu. Wydział do spraw przestępstw gospodarczych również nie wykrył żadnych nieprawidłowości. Alfred Harderberg wygląda na zadziwiająco uczciwego człowieka. Nie znaleźliśmy nic, co pośrednio lub bezpośrednio łączyłoby jego samego czy sferę

jego działalności z zamordowaniem Gustawa Torstenssona i jego syna.

- Czas - powtórzył Wallander. - Potrzebny nam jest czas. Możemy spojrzeć na wszystko z drugiego końca i powiedzieć sobie, że w momencie, kiedy ostatecznie porzucimy trop Alfreda Harderberga, będzie nam łatwiej podejść do całej sprawy od innej strony.

Björk siedział w milczeniu. Per Akeson spojrział na Wallandera.

- Właściwie powinienem to wstrzymać już teraz - powiedział. - Sam rozumiesz. Przekonaj mnie, jaki sens ma dalsze przeciąganie śledztwa skierowanego wyłącznie na Harderberga.

- To wynika z akt dochodzenia - bronił się Wallander. - Jestem w dalszym ciągu przekonany, że to właściwy trop. Cała grupa jest co do tego zgodna.

- Mimo to uważam, że należy się zastanowić, czy część pracowników nie powinna zabrać się do sprawy od innej strony.

- Od jakiej? - zapytał Wallander. - Nie ma się czego chwycić. Kto pozoruje wypadek samochodowy w celu zamaskowania mordu i z jakiego powodu? Dlaczego ktoś zastrzelił adwokata w kancelarii? Kto umieszcza minę w ogrodzie starszej pani? Kto wysadza w powietrze mój samochód? Czy mamy uznać, że chodzi o szaleńca, który bez powodu postanowił pozbawić życia pracowników pewnej kancelarii adwokackiej w Ystad, a przy okazji jakiegoś policjanta?

- Do tej pory nie prześwietliliście dokładnie rejestru klientów kancelarii - przypomniał Per Akeson. - Istnieje wciąż wiele niewiadomych.

- Mimo to proszę o więcej czasu - powtórzył Wallander.

- Nie o nieograniczoną ilość czasu. Ale więcej.

- Daję wam dwa tygodnie - oświadczył Per Akeson.

- Jeśli przez ten okres nie zdobędziecie nic godnego uwagi,

zmienimy kierunek dochodzenia.

- To nie wystarczy - zaprotestował Wallander.

- Mogę przedłużyć do trzech - westchnął Akeson.

- Daj nam czas do świąt Bożego Narodzenia - poprosił Wallander. - Jeżeli okaże się, że wcześniej zwątpimy w nasz trop, natychmiast zmienimy kurs. Ale daj nam czas do świąt.

Per Akeson zwrócił się do Bjórka.

- Co ty na to?

- Jestem zaniepokojony - odpowiedział Bjórk. - Ja również uważam, że nic nie osiągnęliśmy. Nigdy nie ukrywałem, że, moim zdaniem, doktor Harderberg nie ma z tym wszystkim nic wspólnego.

Wallander miał ochotę zaprzeczyć. Ale postanowił milczeć. W najgorszym razie będzie się musiał zgodzić na trzy tygodnie.

Per Akeson zaczął nagle grzebać w stosie papierów na biurku.

- Co to za historia z transplantacjami? - zapytał. - Przeczytałem gdzieś, że znaleźliście lodówkę do transportu ludzkich organów w samochodzie Gustawa Torstenssona? Zgadza się?

Wallander zreferował odkrycie Svena Nyberga i dotychczas uzyskane informacje.

- Avanca - powtórzył Per Akeson, kiedy Wallander skończył.

- Czy to spółka notowana na giełdzie? Nigdy o niej nie słyszałem.

- To mała firma - wyjaśnił Wallander. - Jest własnością rodziny Romanów. Powstała w latach trzydziestych i zajmowała się importem wózków inwalidzkich.

- Czyli nie należy do Harderberga - zauważył Per Akeson.

- Tego jeszcze nie wiemy.

Per Akeson spojrzał badawczo na Wallandera.

- Jakim cudem firma należąca do rodziny Romanów może

być równocześnie własnością Alfreda Harderberga? Musisz mi to wyjaśnić.

- Wyjaśnię, kiedy będę potrafił - odparł Wallander. - Ale z tego, czego się dowiedziałem w ostatnim miesiącu, stosunki własnościowe w spółkach wyglądają nieraz zupełnie inaczej niż na papierze.

Per Akeson pokręcił głową.

- Widzę, że się nie poddajesz - rzekł. Przyciągnął do siebie leżący na stole kalendarz.

- Podejmiemy decyzję w poniedziałek dwudziestego grudnia - oświadczył. - O ile wcześniej nie nastąpi radykalny zwrot w śledztwie. Jeżeli do tego czasu nie przyniesie ono widocznego rezultatu, nie dostaniecie ani dnia dłużej.

- Wykorzystamy ten czas efektywnie - przyrzekł Wallander.

- Mam nadzieję, że widzisz, że dajemy z siebie wszystko.

- Wiem - powiedział Per Akeson. - Jako prokurator muszę jednak wypełniać swoje obowiązki.

Rozmowa się zakończyła. Bjórk i Wallander w milczeniu wracali do swoich pokoi.

- Postąpił przyzwoicie, dając ci tak dużo czasu - zauważył Bjórk, gdy przystanąli w korytarzu przed jego biurem.

- Mnie? - zdziwił się Wallander. - Chcesz powiedzieć nam?

- Wiesz, co mam na myśli - odpowiedział Bjórk. - Nie wdawajmy się w jałową dyskusję.

- Całkowicie się zgadzam - rzekł Wallander i odszedł. Kiedy wszedł do pokoju i zamknął drzwi, poczuł nagły przypływ apatii. Na biurku ktoś położył mu zdjęcie odrzutowca Harderberga, stojącego na lotnisku Sturup. Wallander spojrział na nie z roztargnieniem i odsunął je na bok.

Nie panuję nad tym, pomyślał. Całe dochodzenie jest gównie warte. Muszę zrezygnować z kierowania śledztwem. Nie daję sobie rady.

Długo siedział na krześle, nie mogąc się do niczego zabrać. W myślach powracał do Rygi i do Baiiby Liepy. Kiedy

znużyła go już beczynność, napisał do niej list. Zaprosił ją do Ystad na święta Bożego Narodzenia i Nowy Rok. W obawie, że list będzie leżał niewysłany lub że go podrze, włożył go natychmiast do koperty, zaadresował i poszedł do recepcji wręczyć Ebbie.

- Ma być wysłany dzisiaj - zaznaczył. - To bardzo ważne.

- Osobiście tego dopilnuję - przyrzekła z uśmiechem. - Nawiasem mówiąc, wyglądasz na przemęczonego. Czy dobrze sypiasz w nocy?

- Nie tak jak powinienem.

- Kto ci podziękuje, jak się zaharujesz na śmierć? Na pewno nie ja.

Wallander nie odpowiedział. Wrócił do pokoju. Miesiąc, pomyślał. Miesiąc na rozbicie uśmiechu. Wątpił, czy to będzie możliwe. Mimo to zmusił się do dalszej pracy. Wybrał numer Stena Widena.

Jednocześnie postanowił znów kupić trochę kaset z muzyką operową. Zateęsknił za swoją muzyką.

W poniedziałek dwudziestego drugiego listopada, w porze kolacji, Wallander usiadł za kierownicą policyjnego radiowozu, który chwilowo zastępował mu jego spalony pojazd, i wyjechał z Ystad w kierunku na zachód. Celem jazdy była stadnina koni w pobliżu ruin zamku Stjarnsund, gdzie mieszkał Sten Widen. Kiedy znalazł się na wzgórzu za miastem, zjechał na parking, wyłączył silnik i spojrzął na morze. Daleko na horyzoncie rozpoznał zarys frachtowca podążającego w stronę Bałtyku.

Na kilka zawrotnych sekund zakreśliło mu się gwałtownie w głowie. Z początku przeraził się, że to serce, po chwili uświadomił sobie, że to coś innego, że otaczający go świat zaczyna wymykać mu się z rąk. Przymknął oczy, odchylił głowę do tyłu i starał się nie myśleć. Po chwili otworzył oczy. Przed nim nadal rozpościerało się morze, frachtowiec niestrudzenie podążał na wschód.

Jestem zmęczony, pomyślał. Mimo że odpoczywałem w czasie weekendu. Uczucie wyczerpania znajduje się głębiej, potrafię tylko częściowo domyślić się jego przyczyny i prawdopodobnie nie ma na to rady. Nie teraz, kiedy podjąłem decyzję o powrocie do służby. Wybrzeże na Jutlandii już nie jest dla mnie. Opuściłem je z własnej woli.

Nie wiedział, jak długo tak siedział. Kiedy zaczął marznąć, zapalił silnik i ruszył. Najchętniej zawróciłby i zaszył się w mieszkaniu. Ale zmusił się do dalszej jazdy. Skręcił w drogę prowadzącą do Stjarnsundu. Po przejechaniu około kilometra znalazł się na bardzo marnej drodze. Jak zwykle, kiedy jechał do Stena Widena, zastanawiał się, jak na takiej drodze odbywa się przewóz koni.

Teren kończył się nagle stromym spadkiem i oczom Wallandera ukazało się rozległe gospodarstwo z ciągnącym się szeregiem stajni. Zajechał na podwórze i zatrzymał się. Na drzewie wrzeszczało stado wron.

Wysiadł z samochodu i skierował się w stronę budynku z czerwonej cegły, gdzie Widen miał część mieszkalno-biurową. Drzwi były uchylone, słyszał, że Widen rozmawia przez telefon. Zapukał i wszedł do środka. Było jak zwykle nieposprzątane, doleciał go koński zapach. Na niezaścielonym łóżku spały dwa koty. Wallander nie potrafił zrozumieć, jak Widen znosi ten tryb życia, rok za rokiem.

Mężczyzna, który skinął mu głową na przywitanie, nie przerywając rozmowy, był chudy, o zmierzwionych włosach, na brodzie, pod dolną wargą, miał jaskrawoczerwoną egzemę. Wyglądał tak samo jak piętnaście lat wcześniej, kiedy jeszcze się regularnie spotykali. W tamtych czasach Widen marzył o tym, by zostać śpiewakiem operowym. Miał piękny tenor i wspólnie planowali przyszłość, w której Wallander zostałby jego impresariem. Lecz marzenie spełzło na niczym, a może raczej uszło - Wallander pozostał policjantem, a Widen przejął po ojcu stadninę, gdzie trenował konie wyścigowe. Ich drogi się rozeszły, żaden z nich nie wiedział właściwie dlaczego, i odnowili kontakt przy okazji przewlekłego i skomplikowanego śledztwa na początku lat osiemdziesiątych.

Kiedys był moim najlepszym przyjacielem, pomyślał Wallander. Nigdy potem nie miałem lepszego. Może już zawsze nim pozostanie.

Widen zakończył rozmowę i zamaszyście odłożył słuchawkę.

- Cholerny typ! - zaklął.

- Właściciel konia? - zapytał Wallander.

- Drań - powiedział Widen. - Miesiąc temu kupiłem od niego konia. Ma gospodarstwo w okolicach Hoór. Chciałem teraz odebrać zwierzę. Nagle zmienił zdanie. Przeklęty typ.

- Jeśli dałeś pieniądze za konia, niewiele może zrobić - uspokajał go Wallander.

- Tylko zadatek - odparł Widen. - Ale żeby nie wiem co gadał, i tak pojedę po tego konia.

Sten Widen zniknął nagle w kuchni. Kiedy wrócił, Wallander od razu poczuł słabą woń alkoholu.

- Zawsze się zjawiasz niespodziewanie - powiedział Sten. - Chcesz kawy?

Wallander skinął głową. Przeszli do kuchni. Widen odgarnął na bok sterty starych programów gonitw, zalegające na ceratowym obrusie.

- Strzelisz sobie jednego? - zapytał, przygotowując kawę.

- Jestem samochodem - przypomniał Wallander. - Jak z końmi?

- Miałem zły rok. Następny nie zapowiada się lepiej. Na rynku jest za mało pieniędzy. Koni coraz mniej. Wciąż muszę podnosić ceny trenowania, żeby wyjść na swoje. Najchętniej zlikwidowałbym to i sprzedał gospodarstwo. Ale ceny nieruchomości są zbyt niskie. Jednym słowem, utknąłem w skańskiej glinie.

Podał kawę i usiadł. Wallander zauważył, że Stenowi drży ręka, w której trzyma filiżankę. Jest na najlepszej drodze, aby stać się alkoholikiem, pomyślał. Nigdy przedtem nie widziałem, żeby w środku dnia drżały mu ręce.

- A ty? - zapytał Sten Widen. - Czym się teraz zajmujesz? Jesteś wciąż na zwolnieniu?

- kociłem do pracy. Znów jestem policjantem.

Sten Widen popatrzył na niego z nagłym zainteresowaniem.

- Tego się nie spodziewałem - powiedział po chwili.

- Czego się nie spodziewałeś?

- Że wrócisz do policji.

- Co innego miałbym robić?

- Mówiłeś coś o pracy w firmie ochroniarskiej. Albo jako szef ochrony w jakiejś instytucji.

- Zawsze już będę policjantem.

- Tak - przyznał Sten Widen. - A ja już nigdy nie opuszczę tego gospodarstwa. Poza tym koń, którego kupiłem w Hóór, jest dobry. Coś z niego będzie. Jego matką jest Cjueen Blue.

Ma po kim dziedziczyć.

Za oknem przejechała konno dziewczyna.

- Ile osób tu zatrudniasz? - zainteresował się Wallander.

- Trzy. Ale faktycznie stać mnie na dwie. A przydałyby się cztery.

- Właściwie dlatego przyjechałem - wyznał Wallander.

- Chciałbyś pracować jako stajenny? Wątpię, żebyś miał odpowiednie kwalifikacje.

- Nie ma obawy. Wytlumaczę ci, o co chodzi.

Wallander nie widział powodu, żeby nie wspomnieć Stenowi Widenowi o podejrzeniach wobec Alfreda Harderberga. Wiedział, że Sten Widen nigdy nikomu nie powtórzy tego, co od niego usłyszał.

- Pomysł nie jest mój. Nasz zespół w Ystad powiększył się o policjantkę. Zdolna dziewczyna. To ona zauważyła ogłoszenie i mnie zawiadomiła.

- Proponujesz mi, żebym odstąpił jedną z moich dziewcząt zamkowi w Farnholmie - powtórzył Sten Widen. - Ma być kimś w rodzaju szpiega. To jakiś zwariowany pomysł.

- Morderstwo to morderstwo - rzekł Wallander. - Zamek jest hermetycznie zamknięty. To byłaby szansa. Powiedziałeś, że masz o jedną dziewczynę za dużo.

- Powiedziałem, że mam o jedną za mało.

- Nie może być głupia. Musi być rozgarnięta i mieć oczy otwarte.

- Mam jedną, która by się świetnie nadawała. Jest bystra i niestrachliwa. Widzę tylko jeden problem.

- Jaki?

- Ona nie lubi policjantów.

- A to dlaczego?

- Wiesz, że często zatrudniam dziewczyny, które uciekły z domu. Mam już w tym doświadczenie. Współpracuję z pośrednikiem dla młodzieży w Malmö. Pracuje u mnie teraz pewna dziesiętnastolatka. Ma na imię Sofia. Właśnie

przed chwilą przejeżdżała.

- Nie musimy wspominać o policji - podsunął Wallander. - Możemy wymyślić jakiś powód, dla którego chcesz wiedzieć, co się dzieje na zamku. A potem mi to przekażesz.

- Wolałbym nie - powiedział Sten Widen. - Nie chcę się w to mieszać. Ale nie musimy mówić, że jesteś policjantem. Jesteś kimś, kogo interesuje, co się dzieje na zamku. Wystarczy, jak jej powiem, że jesteś w porządku.

- Możemy spróbować - zgodził się Wallander.

- Jeszcze nie dostała tej pracy. Podejrzewam, że jest dużo dziewczyn, które chciałyby pracować na zamku.

- Przyrowadź ją - poprosił Wallander. - Ale nie wymieniaj mojego imienia i nazwiska.

- To jak mam się, do diabła, do ciebie zwracać? Wallander pomyślał chwilę.

- Roger Lundin.

- Kto to taki?

- Od tej chwili to jestem ja - oświadczył Wallander.

Sten Widen pokręcił głową.

- Mam nadzieję, że nie żartujesz. Idę po nią. Dziewczyna imieniem Sofia była chuda i długonoga, z burzą rozwichrzonych włosów na głowie. Weszła do kuchni, skinęła obojętnie głową w kierunku Wallandera i usiadłszy, wypila resztkę kawy z filiżanki Widena. Wallander zastanawiał się, czy dzieli z nim również łóżko. Wiedział, że Widen nawiązywał intymne stosunki z niektórymi dziewczynami, które u niego pracowały.

- Właściwie powinienem cię zwolnić - oznajmił Sten Widen.

- Wiesz, że muszę cię koszty. Ale dowiedziałem się właśnie, że jest praca na zamku w Farnholmie, w sam raz dla ciebie. Jeśli się zgodzisz i cię przyjmą, to obiecuję, że wezmę cię z powrotem, gdy tylko nadejdą lepsze czasy.

- Jakie to konie? - zapytała.

Sten Widen spojrzał na Wallandera, lecz ten tylko wzruszył

ramionami.

- Z pewnością nie ardeny - odparł Sten Widen. - Co to ma, do diabła, za znaczenie, jakie to konie? To tylko na jakiś czas. Poza tym wyświadcysz przysługę mojemu kumpłowi Rogerowi i postarasz się mieć oczy otwarte na to, co się dzieje w zamku. Po prostu staraj się być spostrzegawcza.

- A ile płacą?

- Nie wiem - odpowiedział Wallander.

- To przecież, do cholery, zamek - powiedział Sten Widen. - Nie zwracaj głowy.

Wyszedł z pokoju i wrócił z „Ystads Allehanda” w rękę. Wallander wskazał na ogłoszenie.

- Należy się stawić osobiście - zauważył. - Ale przedtem trzeba zatelefonować.

- Załatwimy to - przyrzekł Sten Widen. - Wieczorem cię tam zawiozę.

Nagle uniosła głowę znad ceraty i wbiła wzrok w Wallandera.

- Jakie to konie? - zapytała.

- Nie wiem.

Przekrzywiła głowę.

- Z ciebie to chyba glina.

- Dlaczego tak uważasz? - zdziwił się Wallander.

- Coś tak czuję.

Sten Widen szybko się wtrącił.

- Ma na imię Roger. To wszystko, co musisz wiedzieć. Nie zadawaj tyłu cholernych pytań. Postaraj się trochę porządniej wyglądać, jak tam pojedziemy Na przykład umyj włosy. Nie zapomnij, że Winters Moon ma mieć bandaż na lewej tylnej nodze.

Bez słowa wyszła z kuchni.

- Sam widziałeś - rzekł Sten Widen. - Nie da sobie w kaszę dmuchać.

- Dziękuję za pomoc - powiedział Wallander. - Mam

nadzieję, że wszystko pójdzie dobrze.

- Zawiozę ją tam. Więcej nie mogę zrobić.

- Zadzwoń do mnie do domu - poprosił Wallander. - Muszę jak najszybciej wiedzieć, czy dostała pracę.

Wyszli do samochodu Wallandera.

- Czasami jestem cholernie tym wszystkim zmęczony - rzucił nagle Sten Widen.

- Gdyby tak można było zacząć od nowa! - westchnął Wallander.

- Myślę sobie nieraz: Więc to jest życie? Kilka operowych arii, kupa marnych koni, ciągłe kłopoty z forszą.

- Nie jest chyba aż tak źle?

- Spróbuj mnie o tym przekonać.

- Mamy teraz pretekst do częstszych spotkań. Pogadamy o tym.

- Jeszcze nie dostała posady.

- Wiem - powiedział Wallander. - Zadzwoń do mnie wieczorem.

Wsiadł do samochodu, skinął na pożegnanie Stenowi i odjechał. Spojrzał na zegarek, przed sobą miał wciąż długi dzień. Postanowił załatwić jeszcze jedną wizytę.

Po półgodzinie zaparkował nieprawidłowo na małej uliczce na tyłach hotelu Continental i udał się do różowego domu pani Duner. Ze zdziwieniem spostrzegł, że w pobliżu nie widać żadnego radiowozu. Gdzie się podziała ochrona, którą jej mieli zapewnić? Zirytowało go to i zaniepokoiło. Mina, która wybuchła w jej ogrodzie, to nie był żart. Gdyby na nią nastąpiła, zginęłaby lub straciła nogi. Zadzwoił do drzwi i postanowił niezwłocznie skontaktować się z Bjórkiem.

Otworzyła ostrożnie drzwi. Poznała go i autentycznie się ucieszyła.

- Przepraszam, że przychodzę bez wcześniejszego telefonu - powiedział.

- Pan komisarz jest mile widziany o każdej porze. Zgodził

się, gdy zaprosiła go na kawę, chociaż czuł, że od rana wypił stanowczo zbyt dużo filiżanek. Podczas gdy pani Duner krzątała się w kuchni, stał, spoglądając na ogród. Wyrwana trawa została uzupełniona. Zastanawiał się, czy kobieta liczy na to, że policja załatwi nową książkę telefoniczną.

W tym dochodzeniu wydaje się, że wszystko zdarzyło się już dawno temu, pomyślał. A przecież nie minęło tak dużo czasu od dnia, gdy rzuciłem książką telefoniczną i zobaczyłem, jak ogród wybucha.

Podawała kawę i usiadł na kwiecistej kanapie.

- Nie widziałem żadnego radiowozu, jak szedłem - zaczął.

- Czasem tu są. A czasem nie - odpowiedziała.

- Dowiem się, dlaczego tak jest.

- Czy to naprawdę konieczne? Myśli pan, że ktoś nadal zamierza mi zrobić krzywdę?

- Wie pani, co się przydarzyło obu adwokatom - przypomniał Wallander. - A u pani w ogrodzie ktoś zakopał minę. Nie przypuszczam, żeby jeszcze coś się stało. Ale należy zachować wszelkie środki ostrożności.

- Gdybym potrafiła coś z tego zrozumieć... - powiedziała.

- Dlatego przyszedłem - przyznał Wallander. - Miała pani czas, żeby się zastanowić. Często potrzeba czasu, żeby przejrzeć na oczy. Nieraz pamięć trzeba odgrzać.

Pokiwała wolno głową.

- Próbowałam - wyznała. - Dzień i noc.

- Cofnijmy się o kilka lat wstecz - zaproponował Wallander.

- Do momentu, kiedy Gustaw Torstensson otrzymał ofertę pracy od Alfreda Harderberga. Czy spotkała go pani kiedyś?

- Nigdy.

- Rozmawiała pani z nim wyłącznie przez telefon?

- I to nie. Zawsze dzwoniła jakaś sekretarka.

- Taki wielki klient musiał mieć duże znaczenie dla kancelarii?

- Oczywiście, że tak. Wpływało więcej pieniędzy niż

kiedykolwiek przedtem. Można było wyremontować cały budynek.

- Mimo że nigdy go pani nie spotkała ani pani z nim nie rozmawiała, musiała pani mieć jakieś wrażenia. Zauważyłem, że ma pani dobrą pamięć.

Namyślała się chwilę, zanim odpowiedziała. Wallander czekał, obserwując skaczącą po ogrodzie srokę.

- Zawsze był pośpiech - rzekła. - Kiedy wzywał adwokata, wszystko inne odkładano na bok.

- Zauważyła pani jeszcze coś? Pokręciła głową. Wallander mówił dalej:

- Gustaw Torstensson musiał coś opowiadać o swoim kliencie. O wizytach w zamku.

- Myślę, że mu to bardzo imponowało. I jednocześnie niepokoił się, by nie popełnić jakiegoś błędu. To było bardzo ważne. Przypominam sobie, że kilkakrotnie mówił, iż pomyłki są niedozwolone.

- Jak pani sądzi, co chciał przez to powiedzieć?

- Że Alfred Harderberg niezwłocznie zwróci się do innej kancelarii adwokackiej.

- Musiał coś chyba opowiadać o Alfredzie Harderbergu. I o zamku. Nigdy pani nie była ciekawa?

- Oczywiście, że pytałam. Nigdy jednak dużo nie opowiadał. Był pod wrażeniem, ale milczał. Kiedyś powiedział, że Szwecja powinna być wdzięczna Alfredowi Harderbergowi za wszystko, co dla niej uczynił.

- Czy nigdy nie powiedział o nim nic niepoehlebnego?

- Tak, owszem. Pamiętam to, bo zdarzyło się tylko jeden raz.

- Co powiedział?

- Pamiętam dosłownie: „Doktor Harderberg ma makabryczne poczucie humoru”.

- Co miał na myśli?

- Nie wiem. Nie pytałam, a on nie wytłumaczył.

- „Doktor Harderberg ma makabryczne poczucie humoru”?

- To są dokładnie jego słowa.
- Kiedy to było?
- Jakiś rok temu.
- W jakich okolicznościach?
- Po powrocie z zamku w Farnholmie. Z któregoś z regularnie odbywających się tam spotkań. Nie przypominam sobie, żeby zdarzyło się coś szczególnego. Wallander zrozumiał, że dalej się nie posunie. Najwyraźniej Gustaw Torstensson niezbyt szczegółowo opisywał swoje wizyty u potężnego pana na zamku w Farnholmie.
- Pomówmy teraz o czymś zupełnie innym - zaproponował.
- W kancelarii adwokackiej jest zawsze mnóstwo dokumentów. Przedstawiciele Izby Adwokackiej, którzy opracowują akta dotyczące klientów, poinformowali nas, że bardzo niewielka część dotyczy współpracy Gustawa Torstenssona z Alfredem Harderbergiem.
- Czekałam na to pytanie - rzekła. - Jeśli chodzi o Alfreda Harderberga, to traktowany był w szczególny sposób. Archiwizowano wyłącznie dokumenty, które adwokat był absolutnie zobowiązany przechowywać. Mieliśmy wyraźne polecenie, aby nic nie kopiować i nie zachowywać bez potrzeby. Wszystkie papiery potrzebne Gustawowi Torstenssonowi do pracy on sam odwoził później z powrotem do Farnholmu. Dlatego nie ma żadnej dokumentacji.
- Nie wydawało się to pani dziwne?
- Argumentem była delikatna natura interesów Alfreda Harderberga. Dopóki postępowaliśmy zgodnie z przepisami, nie miałam powodu tego kwestionować.
- Wiem, że Gustaw Torstensson zajmował się doradztwem ekonomicznym. Czy mogłaby mi pani powiedzieć na ten temat coś bliższego?
- Nie mogę. To były skomplikowane umowy między bankami i spółkami w różnych krajach na świecie. W

większości przypadków dokumenty przepisywały na czysto sekretarki Harderberga. Do rzadkości należało, żeby Gustaw Torstensson poprosił mnie o napisanie czegoś, co miał zabrać na zamek. Natomiast dużo pisał sam.

- Czego nie robił w przypadku innych klientów?

- Nigdy.

- Jak pani to wytłumaczy?

- Uważałam, że jest to tak poufne, że nawet ja nie powinnam tego zobaczyć - odpowiedziała szczerze.

Wallander podziękował za dolewkę kawy.

- Może przypomina pani sobie, czy w dokumentach, które pani widziała, figurowała firma Avanca?

Widział, że próbuje sobie przypomnieć.

- Nie - odparła. - Możliwe, że tak, ale nie pamiętam.

- W takim razie mam jeszcze tylko jedno pytanie. Czy wiedziała pani o listach z pogrózkami?

- Gustaw Torstensson mi je pokazał. Ale mówił, że nie ma co sobie tym zawracać głowy. Dlatego nigdy nie trafiły do archiwum. Myślałam, że je wyrzucił.

- Nie wiedziała pani, że człowiek, który pisał listy, Lars Borman, znał Gustawa Torstenssona?

- To dla mnie zaskoczenie.

- Poznali się w stowarzyszeniu zajmującym się studiowaniem malarstwa ikonowego.

- Słyszałam o stowarzyszeniu. Ale nie wiedziałam, że ten, który pisał listy, był jego członkiem.

Wallander odstawił filiżankę.

- Nie będę już dłużej przeszkadzał - oświadczył, wstając.

Siedziała, patrząc na niego ze zdziwieniem.

- Nic mi pan nie ma do powiedzenia? - zapytała.

- Wciąż nie wiemy, kto zabił obu adwokatów - odparł.

- Nie wiemy również dlaczego. Jak się dowiemy, to poznamy przyczynę tego, co zaszło w pani ogrodzie.

Podniosła się i chwyciła go za ramię.

- Musicie ich złapać - powiedziała.
- Tak - odparł Wallander. - Musimy. Ale to może potrwać.
- Muszę się dowiedzieć, co się stało, zanim umrę.
- Jak tylko będę miał coś do przekazania, uczynię to - obiecał, czując, jak niezadowolająco musiało to zabrzmieć w jej uszach.

Wallander pojechał do komendy i usiłował złapać Bjórka. Kiedy dowiedział się, że Bjórk jest w Malmö, poszedł do pokoju Svedberga i poprosił go, by się dowiedział, dlaczego zawiodła ochrona pani Duner.

»- Naprawdę sądzisz, że coś się może stać? - zapytał Svedberg.

- Nic nie sądzę. Ale chyba wystarczająco dużo się stało. Wallander już wychodził, kiedy Svedberg podał mu karteczkę.

- Dzwonił ktoś, kto się przestawił jako Lisbeth Norin. Możesz ją zastać pod tym numerem. Będzie tam do piątej.

Wallander zauważył, że to numer w Malmö, nie w Göteborgu. Poszedł do swojego pokoju i zatelefonował. Odebrał starszy pan. Po krótkiej chwili Lisbeth Norin podeszła do telefonu. Wallander się przedstawił.

- Tak się złożyło, że będę przez kilka dni w Malmö - powiedziała Lisbeth Norin. - Z wizytą u mojego starego ojca, który złamał kość udową. Sprawdzalam automatyczną sekretarkę i dowiedziałam się, że pan mnie szuka.

- Chciałbym z panią porozmawiać - wyjaśnił Wallander.

- Ale najchętniej nie przez telefon.

- W jakiej sprawie?

- Mam parę pytań w związku z dochodzeniem. Mówił mi o pani lekarz z Lund, niejaki Strórnberg.

- Mam czas jutro - powiedziała. - Ale musimy się spotkać w Malmö.

- W takim razie przyjadę - oznajmił Wallander. - Czy o dziesiątej będzie dobrze?

- Tak, dobrze.

Podala mu adres w centrum Malmö. Kiedy skończyli rozmawiać, Wallander siedział i zastanawiał się, jak starszy pan ze złamaną kością udową mógł podejść do telefonu.

Nagle poczuł, jak bardzo jest głodny. Było już późne popołudnie. Dalej będzie pracował w domu. Wciąż jeszcze było dużo materiałów dotyczących imperium finansowego Alfreda Harderberga, których nie zdążył przejrzeć. Wyjął z szuflady reklamówkę i napełnił ją segregatorami. Ebbie w recepcji powiedział, że przez resztę dnia będzie pracował w domu.

Przystanął przed sklepem spożywczym i zrobił zakupy. W trafice obok kupił pięć losów zdrapak.

W domu usmażył sobie kaszankę i wypił puszkę piwa. Na próżno szukał słoika z borówkami.

Po jedzeniu zmył i sprawdził losy. Nic nie wygrał. Postanowił nie pić już tego dnia więcej kawy i położył się na niezaścielonym łóżku, by odpocząć, zanim zabierze się do studiowania zawartości reklamówki.

Obudził go dzwonek telefonu. Wallander spojrział na zegarek obok łóżka i zorientował się, że przespał sporo godzin. Było dziesięć po dziewiątej.

Dzwonił Sten Widen.

- Jestem w budce telefonicznej - poinformował. - Pomyślałem, że powinienes wiedzieć, że Sofia dostała pracę. Zaczyna jutro.

Wallander natychmiast oprzytomniał.

- Świetnie - ucieszył się. - Kto ją przyjął?

- Kobieta, niejaka Karlen.

Wallander przypomniał sobie pierwszą wizytę na zamku w Farnholmie.

- Anita Karlen.

- Dwa wierzchowce - mówił dalej Sten Widen. - Bardzo cenne. Ma się nimi zajmować. Na pensję też nie można

narzekać. Budynek stajni jest mały, ale mieści się w nim jednopokojowe mieszkanie. Zdaje się, że Sofia o wiele bardziej cię lubi, odkąd dostała tę szansę.

- To dobrze - rzekł Wallander.

- Ma do mnie zatelefonować za parę dni - ciągnął dalej Sten Widen. - Jest tylko jeden problem. Nie pamiętam twojego nazwiska.

Wallander również musiał się zastanowić, zanim sobie przypomniał.

- Roger Lundin - powiedział.

- Chyba sobie zapiszę.

- Ja też powinienem to zrobić. Pamiętaj, żeby nie dzwoniła z zamku, tylko z budki, tak jak ty.

- W mieszkaniu jest telefon. Dlaczego nie miałyby z niego korzystać?

- Może być na podsłuchu.

Wallander słyszał w słuchawce, jak Sten Widen oddycha.

- Czyś ty z byka spadł? - zapytał.

- Właściwie powinienem też uważać z moim telefonem - powiedział Wallander. - Ale mamy bieżącą kontrolę naszych łącz.

- Kim jest Alfred Harderberg? Potworem?

- Normalnym, opalonym i uśmiechniętym człowiekiem - odparł Wallander. - W dodatku elegancko ubranym. Potwory mogą różnie wyglądać.

W słuchawce rozległ się sygnał.

- Zadzwoń jeszcze - zakończył Sten Widen.

Rozmowa się urwała. Wallander pomyślał, czyby nie zatelefonować do Ann-Britt Hóglund i poinformować ją, co się dzieje. Ale rozmyślił się. Zrobiło się już późno.

Przez resztę wieczoru ślezczał nad zawartością przyniesionej do domu reklamówki. Około północy wyciągnął stary szkolny atlas i szukał w nim niektórych miejscowości o egzotycznych nazwach, gdzie sięgało imperium Alfreda

Harderberga. Uświadomił sobie jego niebywały zasięg. Powrócił jednocześnie męczący niepokój, że poprowadził śledztwo i swoich pracowników w zupełnie złym kierunku. Kto wie, czy nie istnieje całkiem inne wyjaśnienie morderstwa dwóch adwokatów?

Położył się o pierwszej. Pomyślał o Lindzie - przez długi czas się nie odzywała. Sam już dawno powinien był do niej zatelefonować.

We wtorek dwudziestego trzeciego listopada był piękny, jesienny dzień.

Tego dnia Wallander postanowił się wyspać. Tuż po ósmej zatelefonował do komendy i zawiadomił, że wybiera się do Malmö. Wrócił do łóżka z filizanką kawy i wylegiwał się do dziewiątej. Potem wziął szybki prysznic i wyruszył do Malmö. Adres podany przez Lisbeth Norin odnalazł w pobliżu centrum handlowego Triangeln w śródmieściu. Zostawił samochód na parkingu na tyłach hotelu Sheraton i punkt dziesiąta zadzwonił do wskazanych drzwi. Otworzyła mu kobieta, jak sądził, w jego wieku. Miała na sobie kolorowy strój do biegania i przez moment myślał, że się pomylił. Jej wygląd nie zgadzał się ani z obrazem, który sobie wytworzył, słysząc jej głos w słuchawce, ani z jego od dawna wyrobionym i w gruncie rzeczy pełnym uprzedzeń stosunkiem do dziennikarzy.

- Czy to pan jest tym policjantem? - zapytała wesoło.

- Myślałam, że ujrzę człowieka w mundurze.

- Niestety, tego nie mogę dla pani zrobić.

Zaprosiła go do środka. Mieszkanie było stare i wysokie. Przedstawiła go ojcu, który siedział na krześle z nogą w gipsie. Wallander dostrzegł, że starszy pan na kolanach ma bezprzewodowy telefon.

- Poznaję pana - odezwał się mężczyzna na krześle.

- Jakiś rok temu dużo o panu pisano. A może myślę pana z kim innym?

- Chyba się zgadza - rzekł Wallander.
- To było w związku z samochodem, który spłonął na moście na Olandię - ciągnął mężczyzna. - Pamiętam, bo byłem marynarzem w czasie, kiedy na drodze nie stał most.
- Gazety przesadzają - odpowiedział wymijająco Wallander.
- Mam wrażenie, że przedstawiano pana jako szczególnie utalentowanego policjanta.
- Zgadza się - przerwała Lisbeth Norin. - Teraz i ja pana poznaję ze zdjęć w prasie. Czy nie brał pan przypadkiem udziału w jakichś telewizyjnych debatach?
- Absolutnie nie. Mylicie mnie z kimś innym.
- Lisbeth Norin zrozumiała, że Wallander najchętniej zakończyłby tę rozmowę.
- Usiądźmy w kuchni - zaproponowała.
- Promienie jesienno słońca wpadały przez wysokie okno. Między doniczkami spał zwinięty w kłębek kot. Wallander przyjął propozycję wypicia kawy i usiadł.
- Moje pytania nie będą zbyt precyzyjne - zaczął. - Pani odpowiedzi okażą się z pewnością bardziej interesujące. Powiem tylko, że obecnie w Ystad prowadzimy dochodzenie w sprawie jednego, a może dwóch morderstw, i mamy pewne przesłanki, by sądzić, że w grę wchodzi transport i nielegalny handel ludzkimi organami. Nie potrafię stwierdzić, w jakim stopniu jest to ważne dla śledztwa. Nie mogę również podać więcej szczegółów ze względu na jego dobro.
- Czuł, że mówi jak maszyna. Dlaczego nie potrafię się wyrażać prościej, pomyślał ze złością. To brzmi jak parodia policjanta.
- Teraz rozumiem, dlaczego Lasse Strömberg podał panu moje nazwisko - powiedziała.
- Wallander zauważył, że się zainteresowała sprawą.
- Zrozumiałem, że zajmuje się pani tym koszmarnym handlem - ciągnął dalej. - Bardzo by mi pomogło, gdyby

mnie pani w to wprowadziła.

- To zajmie cały dzień - uprzedziła. - Możliwe nawet, że i cały wieczór. W dodatku szybko się pan zorientuje, że za każdym moim słowem stoi niewidoczny znak zapytania. To brudny temat, którego poza paroma amerykańskimi dziennikarzami nikt nie ma odwagi tknąć. Jestem chyba jedyną dziennikarką w Skandynawii, która się w tym grzebie.

- Domyślam się, że łączy się to z pewnym ryzykiem - rzekł Wallander.

- Może nie tu i nie dla mnie - odpowiedziała. - Lecz znam osobiście jednego z amerykańskich dziennikarzy - Gary'ego Beckera z Minneapolis. Odbył podróż do Brazylii, by sprawdzić pogłoski o szajce mającej działać w Sao Paulo. Nie tylko grożono mu śmiercią, ale któregoś wieczoru ostrzelano taksówkę, w której siedział, kiedy zatrzymała się przed jego hotelem. Opuścił kraj pierwszym samolotem.

- Czy pojawiły się kiedykolwiek informacje, że zaangażowani są w to jacyś ludzie ze Szwecji?

- Nie - odparła. - A są tacy?

- Tylko pytałem - powiedział Wallander.

Spojrzała na niego bez słowa. Potem nachyliła się nad stołem.

- Jeżeli w ogóle mamy rozmawiać, musi pan być ze mną szczery. I nie zapominać, że jestem dziennikarką. Nie musi pan płacić za informacje, bo jest pan policjantem. Ale mam przynajmniej prawo wymagać, żeby pan był szczery.

- Ma pani rację - przyznał Wallander. - Istnieje niewielka możliwość, że jest jakieś powiązanie. To odpowiedź najbliższa prawdy.

- W porządku - powiedziała. - Teraz się zrozumieliśmy. Proszę pana o jeszcze jedno. Jeżeli się okaże, że rzeczywiście istnieje jakiś związek, chcę się o tym dowiedzieć przed innymi dziennikarzami.

- Tego nie mogę obiecać. To sprzeczne z naszymi zasadami.
- Nie wątpię - zgodziła się. - Ale zabijanie ludzi, żeby pozbawić ich narządów wewnętrznych, jest sprzeczne z czymś dużo ważniejszym.

Wallander chwilę się namyślał. Uświadomił sobie, że broni reguł i rozporządzeń, których sam od dawna wcale ślepo nie przestrzega. W ostatnich latach nieustannie balansował na ich krawędzi, sam decydował, które reguły stosować, a których nie, kierując się wyłącznie dobrem śledztwa. Dlaczego miałby nagle zmienić podejście?

- Będzie pani pierwszą, która się o tym dowie - przyrzekł. - Ale nie wolno pani mnie cytować. Muszę pozostać anonimowy.

- W porządku - powtórzyła. - Teraz się rozumiemy jeszcze lepiej.

Kiedy Wallander wracał później myślą do godzin spędzonych w zaciszu kuchni, gdzie kot nieprzerwanie spał wśród doniczek z kwiatami, a promienie słońca powoli przesuwwały się po ceratowym obrusie, aż zupełnie znikły, dziwił się, że czas minął tak szybko, że dzień był taki krótki. Zaczęli rozmawiać o dziesiątej, a kiedy wreszcie wyszedł, zapadał już wieczór. Zrobili kilka przerw, poczęstowała go lunchem, a stary ojciec zabawiał go opowieściami z czasów, gdy był kapitanem na różnych statkach, kursujących wzdłuż wybrzeża bałtyckiego, z rzadkimi, dłuższymi wypadami do krajów nadbałtyckich, także do Polski. Po przerwach na jedzenie i kawę pozostawali sami w kuchni i dalej opowiadała mu o swojej pracy. Wallander jej zazdrościł. Oboje prowadzili dochodzenia, spędzali czas, obcując z przestępstwami i ludzkimi nieszczęściami. Różnica polegała na tym, że jej celem było zapobieganie, podczas gdy on był głównie zajęty robieniem porządków po fakcie.

To jednak, co najbardziej utkwilo mu w pamięci z dnia spędzonego w jej kuchni, to uczucie, że odbył podróż do

nieznanego kraju, gdzie ludzie i ich organy zamieniły się w towary na rynku, gdzie zanikły wszelkie względy moralne. Uprzytomnił sobie, że jeśli jej domysły są słuszne, to handel narządami ludzkimi jest tak rozległy, że aż trudno go ogarnąć. Ale najbardziej wstrząsnęło nim to, że Lisbeth Norin twierdziła, iż jest w stanie zrozumieć tych, którzy zabijają zdrowych, często młodych ludzi, aby sprzedać ich organy.

- Tak wygląda świat - mówiła. - Czy tego chcemy, czy nie. Człowiek żyjący w skrajnej biedzie jest gotów na wszystko, by bronić swojego życia, żeby nie wiem jak było nędzne. Jakie mamy prawo moralne, by takich ludzi potępiać? Nie znając tamtejszych warunków? W slumsach takich miast, jak Rio czy Lagos, Kalkuta czy Madras, możesz stanąć na rogu ulicy z trzydziestoma dolarami w ręku i szukać kogoś, kto jest gotów zabić człowieka. W ciągu minuty ustawi się kolejka oprawców. I nie pytają, kogo mają zabić ani dlaczego. Gotowi są natomiast dokonać tego za dwadzieścia dolarów, może nawet za dziesięć. Właściwie czuję, że otwiera się przede mną przepaść. Rozumiem swoje oburzenie, swoją desperację. Ale jednocześnie mam świadomość, że wszystko, co robię, może się okazać bez znaczenia, dopóki świat będzie wyglądał tak, jak wygląda.

Wallander głównie milczał. Od czasu do czasu zadawał pytanie, żeby lepiej zrozumieć. Mówiła ona i rzeczywiście usiłowała mu przekazać wszystko, co wiedziała lub podejrzewała, gdyż dowodów było bardzo niewiele.

Później, po wielu godzinach, zakończyła swoją relację.

- Więcej nie wiem - powiedziała. - Ale jeżeli to panu pomoże, to dobrze.

- Nie wiem nawet, czy zacząłem od właściwego końca - odparł Wallander. - Jeżeli tak, to wpadliśmy na ślad szwedzkiego powiązania z tamtą potworną rzeczywistością. Jeżeli uda się ten proceder przystopować, to chyba tylko

dobrze?

- Naturalnie, że tak. Jedne pocięte zwłoki mniej w południowoamerykańskim rowie są ważniejsze od wszystkiego.

Wallander wyjechał z Malmö dopiero około siódmej. Pomyślał, że powinien był zadzwonić do Ystad i powiedzieć, co się z nim dzieje. Ale rozmowa z Lisbeth Norin przykuła go do miejsca.

Dziennikarka odprowadziła go na ulicę. Pożegnali się przy parkingu.

- Poświęciła mi pani cały dzień - powiedział. - I nie mogę nawet zapłacić.

- Jest, jak jest - odrzekła. - Może kiedyś to sobie odbiorę.

- Odezwę się.

- Liczę na to. Na ogół siedzę w Göteborgu. Chyba że jestem w podróży.

Wallander pojechał do kiosku z daniami z grilla w pobliżu Jagerso i zjadł posiłek. Przez cały czas myślał o tym, co mówiła Lisbeth, i na próżno starał się umieścić w tym kontekście Alfreda Harderberga.

Nagle przyszło mu do głowy, że może się nie uda wyjaśnić morderstwa dwóch adwokatów. W ciągu wszystkich lat przepracowanych przez niego w policji jeszcze się nie zdarzyło, żeby sprawa o morderstwo pozostała niewyjaśniona. Zastanawiał się, czy tym razem nie natrafił na drzwi, które się nigdy nie otworzą.

Jechał do Ystad w jesienny wieczór, czując tępe zmęczenie w ciele. Jedyne, na co miał ochotę, to porozmawiać z Lindą po powrocie do domu.

Gdy otworzył drzwi mieszkania i wszedł do środka, natychmiast zauważył, że coś się zmieniło od czasu, kiedy rano wyszedł z domu. Stał w przedpokoju, uważnie nasłuchując. Po chwili pomyślał, że to przywidzenie. Ale dziwne uczucie go nie opuszczało. Zapalił światło w dużym

pokoju, usiadł na krześle i rozejrzył się naokoło. Nic nie zginęło, na oko nic się nie zmieniło. Wstał i przeszedł do sypialni. Niezasłane łóżko wyglądało tak, jak je zostawił. Niedopita kawa stała w filiżance obok budzika na nocnym stoliku. Wszedł do kuchni. Znow pomyślał, że to przywidzenie.

Dopiero kiedy otworzył lodówkę, żeby wyjąć margarynę i kawałek sera, uprzytomnił sobie, że się nie mylił.

Spoglądał na otwartą paczkę z kaszanką. Miał niemal fotograficzną pamięć do szczegółów. Był pewny, że położył ją na trzeciej z czterech półek w lodówce.

Teraz paczka leżała na drugiej.

Ktoś otworzył drzwi lodówki, paczka z kaszanką leżała na krawędzi półki, mogła wypaść na podłogę, jemu też to się zdarzyło. Ktoś przez pomyłkę odłożył ją potem na inną półkę.

Wiedział, że dobrze pamięta.

Ktoś był w ciągu dnia w jego mieszkaniu. I ten ktoś otworzył lodówkę, żeby coś znaleźć lub schować, i przy tej okazji popełnił błąd, kładąc kaszankę na niewłaściwej półce.

Wydało mu się to zabawne.

Po chwili szybko zamknął lodówkę i opuścił mieszkanie.

Poczuł strach.

Mimo to usiłował jasno myśleć.

Są w pobliżu, pomyślał. Niech im się wydaje, że jestem w mieszkaniu.

Zamiast wyjść bramą na ulicę, zszedł niżej, do piwnicy. Z tyłu domu były drzwi do pomieszczenia na śmieci. Otworzył je ostrożnie i wyszedł. Spojrzał na pusty parking, rozciągający się za domem. Zamknął za sobą drzwi i skrył się w cieniu ściany domu. Powoli przesuwiał się na róg od strony Mariagatan. Uklęknął i ostrożnie wyjrzał zza rynny.

Samochód stał jakieś dziesięć metrów za jego wozem, z wyłączonym silnikiem i wygaszonymi światłami. Za

kierownicą dostrzegł mężczyznę. Nie widział, czy w samochodzie jest jeszcze ktoś.

Cofnął głowę i wstał. Gdzieś słychać było nastawiony na cały regulator telewizor.

Zastanawiał się gorączkowo, co począć.

Potem podjął decyzję.

Puścił się biegiem przez pusty parking.

Na pierwszym rogu skręcił w lewo i zniknął.

Znowu wróciło uczucie, że za chwilę umrze.

Jak tylko dobiegł do ulicy Blekegatan, poczuł, że brakuje mu tchu. Z Mariagatan skręcił w Oscarsgatan, nie był to długi odcinek, a on nie biegł specjalnie szybko. Jednak jesienne powietrze szarpało mu płuca, serce pompowało z wysiłkiem. Zwolnił i przestał biec z obawy, że mu ono wyślądzie. Bardziej nim wstrząsnęło uczucie kompletnej bezsilności niż to, że ktoś był w jego mieszkaniu, a teraz obserwował go z samochodu. Stłumił w sobie tę myśl, w rzeczywistości wstrząsnął nim strach, ten sam, który pamiętał sprzed roku i którego nawrotu się obawiał. Rok trwało, zanim się od niego uwolnił, był przekonany, że go na zawsze zagrzebał na plażach w Skagen - ale strach teraz powrócił.

Znów zaczął biec, był już niedaleko ulicy Lilia Norregatan, przy której mieszkał Svedberg. Po prawej stronie miał szpital, skręcił ponownie w kierunku centrum, ze ściany kiosku przy Stora Norregatan zwisała podarta strona gazety, Wallander skręcił w prawo, później od razu w lewo i zobaczył, że na ostatnim piętrze w oknie Svedberga pali się światło.

Wallander wiedział, że często pali się tam przez całą noc. Svedberg bał się ciemności, kto wie, czy nie wybrał zawodu policjanta, żeby pozbyć się tego lęku. Wciąż jednak nocą palił światło - jego zawód mu nie pomógł.

Wszyscy się boją, pomyślał Wallander, nie tylko policjanci. Dobiegł do bramy i pchnął jej skrzydła. Na ostatnim piętrze stał przez dłuższą chwilę, aby ochłonać. Zadzwoił do drzwi. Svedberg od razu otworzył. Na czole miał okulary, w rękę popołudniową gazetę. Wallander wiedział, że Svedberg będzie zaskoczony. Przez wszystkie lata wspólnej pracy był u niego może dwa, trzy razy, i zawsze byli wcześniej umówieni.

- Potrzebna mi twoja pomoc - wyjaśnił, gdy zdziwiony

Svedberg wpuścił go do przedpokoju i zamknął drzwi.

- Jesteś zupełnie skonany - rzekł Svedberg. - Co się dzieje?

- Biegłem - odparł Wallander. - Chcę, żebyś ze mną poszedł. To nie potrwa długo. Gdzie masz samochód?

- Na ulicy.

- Pojedziemy do mnie, na Mariagatan. Wyszadziś mnie, zanim dojedziemy na miejsce. Wiesz, jak wygląda samochód, którym teraz jeżdżę. Policyjne volvo.

- Granatowe czy czerwone?

- Granatowe. Wjedziesz w Mariagatan. Za moim volvo zaparkował inny samochód. Nie można się pomylić. Chcę, żebyś przejechał obok niego i sprawdził, czy jest ktoś w środku prócz kierowcy. Potem podjedziesz do miejsca, gdzie mnie wysadziłeś. To wszystko. Później możesz wracać do domu i do gazety.

- Nie będziemy interweniować?

- Wykluczone. Chcę się tylko przekonać, ile osób jest w samochodzie.

Svedberg zdjął okulary i odłożył gazetę.

- Co się dzieje? - powtórzył.

- Wydaje mi się, że ktoś obserwuje mój dom. Chcę tylko wiedzieć, ile osób jest w samochodzie. Nic więcej. Chodzi o to, żeby ten lub ci z samochodu w dalszym ciągu myśleli, że jestem w domu. Wyszedłem tylnym wyjściem.

- Nie jestem pewny, czy dobrze zrozumiałem - powiedział Svedberg. - Czy nie lepiej interweniować? Możemy ściągnąć ludzi.

- Wiesz, co zostało postanowione. Jeśli to ma związek z Alfredem Harderbergiem, mamy sprawiać wrażenie niezbyt czujnych.

Svedberg bez przekonania pokręcił głową.

- Nie podoba mi się to - oświadczył.

- Masz tylko pojechać na Mariagatan i zaobserwować jedną rzecz. Nic więcej. Potem pójde do domu. Zadzwoń do

ciebie, jeśli będzie trzeba.

- Sam wiesz najlepiej, co robić - odpowiedział Svedberg, siadając na stołku, żeby zasznurować buty.

Zeszli na dół do audi Svedberga. Przejechali przez Stortorget, potem dalej Hamngatan i skręcili w prawo na Ósterleden. Dojechali do Borgmastaregatan i skręcili w lewo. Przy Tobaksgatan Wallander poprosił Svedberga, żeby się zatrzymał.

- Zaczekam tutaj - powiedział. - Samochód stoi jakieś dziesięć metrów za granatowym volvo.

Svedberg był z powrotem po niecałych pięciu minutach. Wallander znowu wszedł do samochodu.

- W aucie jest tylko jedna osoba - oznajmił Svedberg.

- Jesteś pewny?

- Tylko kierowca. Jestem pewny.

- Dziękuję za pomoc. Możesz jechać do domu. Ja się przejdę.

Svedberg przyglądał mu się niespokojnie.

- Czemu to takie ważne, ile osób jest w samochodzie? Wallander uprzytomnił sobie, że nie jest przygotowany na to pytanie. Był tak skoncentrowany na tym, co postanowił zrobić, że nie pomyślał o naturalnym przecież pytaniu Svedberga.

- Widziałem już kiedyś ten samochód - skłamał. - Ale wtedy było w nim dwóch facetów. Jeżeli teraz jest jeden, to może ten drugi kręci się gdzieś w pobliżu.

Słyszał, jak kiepsko brzmi to wytłumaczenie. Svedberg nie miał jednak zastrzeżeń.

- FHC 803 - powiedział. - Pewnie już sobie zapisałeś?

- Tak. Sprawdzę w rejestrze samochodów. Nie musisz się tym zajmować. Jedź do domu. Spotkamy się jutro.

- Jesteś pewny, że masz wszystko pod kontrolą?

- Dziękuję za pomoc - powtórzył Wallander.

Wysiadł z samochodu i czekał, dopóki Svedberg nie zniknął

na Ósterleden. Wtedy ruszył w kierunku Mariagatan. Teraz, kiedy został sam, czuł, jak wraca podenerwowanie, okropna świadomość, że strach wywołuje w nim słabość.

Wszedł do domu tylnym wejściem i wrócił do mieszkania, nie zapalając światła na klatce schodowej. Stojąc na palcach na klapie sedesu w łazience, widział ulicę przez małe okienko. Samochód wciąż stał. Wallander poszedł do kuchni. Gdyby chcieli mnie wysadzić w powietrze, byłoby już po wszystkim, pomyślał. Teraz czekają, aż pójdę do łóżka i zgaszę światło.

Zwlekał prawie do północy. Od czasu do czasu wchodził do łazienki, by upewnić się, czy samochód nadal stoi. Potem zgasił światło w kuchni i zapalił w łazience. Po dziesięciu minutach zgasił w łazience i zaświecił w sypialni. Po dalszych dziesięciu minutach zgasił. Wtedy szybko opuścił mieszkanie i udał się na parking, gdzie przystanął obok narożnej rynny. Pożałował, że nie włożył cieplejszego swetra. Zerwał się zimny wiatr. Ostrożnie poruszał stopami, żeby się rozgrzać. Minęła pierwsza, wciąż nic się nie wydarzyło prócz tego, że Wallander zmuszony był się wysikać pod ścianą domu. Wokół panowała cisza zakłócana jedynie odgłosami przejeżdżających pobliskimi ulicami pojedynczych samochodów.

Była za dwadzieścia druga, gdy nagle znieruchomiał. Usłyszał jakiś dźwięk na ulicy. Wyjrzał ostrożnie zza rynny. Drzwi od strony kierowcy się otworzyły. Nie zapaliło się światło w środku. Po kilku sekundach kierowca wysiadł z samochodu i ostrożnie zamknął drzwiczki. Poruszał się niezwykle czujnie. Ani na chwilę nie spuszczał wzroku z okien mieszkania.

Mężczyzna miał na sobie ciemne ubranie. Odległość była zbyt duża, by Wallander mógł rozróżnić rysy twarzy. Mimo to wiedział, że kiedyś go już spotkał. Próbował sobie przypomnieć. Mężczyzna szybko przeszedł przez ulicę i

zniknął w bramie.

W tej samej chwili Wallander przypomniał sobie, gdzie go widział. Był to jeden z mężczyzn, którzy dwukrotnie kryli się w mroku w obszernym holu zamku w Farnholmie. Jeden z cieni Alfreda Harderberga. Teraz ten sam człowiek szedł po schodach do jego mieszkania, być może po to, by go zabić. Wallander czuł się tak, jak gdyby leżał w łóżku, mimo że znajdował się na zewnątrz.

Jestem świadkiem własnej śmierci, pomyślał.

Przycisnął się do rynn i czekał. Trzy minuty po drugiej drzwi wejściowe bezgłośnie się otworzyły i mężczyzna wyszedł na ulicę. Potem słychać było, jak samochód ostro ruszył i odjechał.

Jedzie złożyć raport Harderbergowi, pomyślał Wallander. Ale nie powie prawdy, bo nie potrafi wytłumaczyć, w jaki sposób stało się tak, że byłem w mieszkaniu, zgasiłem światło i położyłem się, a w krótki czas potem już mnie nie było.

Nie mógł jednak wykluczyć, że mężczyzna zostawił coś w jego mieszkaniu. Dlatego wsiadł do samochodu i pojechał do komendy. Policjanci pełniący nocny dyżur powitali go ze zdziwieniem, kiedy pojawił się w recepcji. Wiedział, że w pokoju w podziemiu znajduje się materac. Przyniósł go do swojego biura i rozłożył na podłodze. Minęła trzecia, był bardzo zmęczony. Wiedział, że musi się przespać, żeby później móc jasno myśleć. Ale mężczyzna w ciemnym ubraniu zakradł się do jego snu.

Wallander obudził się tuż po piątej złany potem. Prześladowały go gorączkowe koszmary. Leżał, myśląc o tym, co opowiadała Lisbeth Norin. Potem wstał i przyniósł sobie kawę - była gorzka po całej nocy. Nadal nie chciał wracać do mieszkania. Wziął prysznic na dole w przebieralni. Tuż po ósmej siedział już za biurkiem. Była środa dwudziestego czwartego listopada. Przypomniał sobie

słowa Ann-Britt Hóglund sprzed kilku dni: „Niby wszystko mamy, ale nie wiemy, jak to ze sobą połączyć”.

Od tego musimy teraz zacząć, pomyślał. Złożyć do kupy wszystkie kawałki.

Zatelefonował na domowy numer Nyberga. Odebrał Nyberg.

- Musimy się zobaczyć - oznajmił Wallander.

- Szukałem cię wczoraj - powiedział Nyberg. - Nikt nie wiedział, gdzie się podziewasz. Mamy nowe wieści.

- Co za my?

- Ann-Britt Hóglund i ja.

- O Avancy?

- Wziąłem ją do pomocy. Jestem technikiem, a nie śledczym.

- Przyjdź jak najszybciej do mojego biura. Już dzwonię do Ann-Britt.

Pół godziny później Nyberg i Ann-Britt Hóglund siedzieli w jego pokoju. Svedberg wsunął głowę przez drzwi i spojrzał pytająco na Wallandera.

- Jestem potrzebny?

- FHC 803 - powiedział Wallander. - Nie zdążyłem sprawdzić w rejestrze. Możesz to dla mnie zrobić?

Svedberg skinął głową i zamknął drzwi.

- Avanca - rzekł Wallander.

- Nie spodziewaj się zbyt wiele - zaczęła Ann-Britt Hóglund.

- Mieliśmy tylko jeden dzień na sprawdzenie spółki i charakteru stosunków własnościowych. Możemy w każdym razie stwierdzić, że nie jest to już rodzinna firma Romanów. Rodzina daje swoje nazwisko i swoje dobre imię i nadal posiada część udziałów, chyba dość znaczną. Ale od paru lat Avanca wchodzi w skład konsorcjum kilku spółek, które, każda na swój sposób, działają w sektorze przemysłu farmakologicznego, służby zdrowia i wyposażenia szpitali. To szalenie zawikłane, przedsiębiorstwa zazębiają się ze

sobą. Nad całym konsorcjum jest spółka holdingowa z siedzibą w Liechtensteinie. Nazywa się Medicom i ona z kolei należy do różnych grup właścicieli. Między innymi figuruje tam brazylijska spółka, która głównie produkuje i eksportuje kawę. Ale znacznie bardziej interesujące jest to, że Medicom ma bezpośrednie powiązania finansowe z Bawarskim Bankiem Hipoteki i Wymiany.

- Co w tym interesującego? - zapytał Wallander, który już całkiem zagubił wątek Avancy.

- To, że Alfred Harderberg jest właścicielem fabryki plastiku w Genui, produkującej szybkie łodzie motorowe.

- Nic już nie rozumiem - przyznał się Wallander.

- Jeszcze chwilę - powiedziała Ann-Britt Hóglund. - Firma w Genui o nazwie CFP; cokolwiek to oznacza, ułatwia sfinansowanie zakupu swoim klientom, stosując coś w rodzaju umowy leasingu.

- Avanca - powtórzył Wallander. - Nie obchodzą mnie w tej chwili plastikowe łodzie z Włoch.

- A może powinny - zauważyła Ann-Britt Hóglund. - Zawarcie umowy leasingu z CFP odbywa się za pośrednictwem Bawarskiego Banku Hipoteki i Wymiany. Inaczej mówiąc, mamy tu powiązanie z imperium Alfreda Harderberga. Pierwsze, które znaleźliśmy w ciągu całego dochodzenia.

- To brzmi zupełnie niewiarygodnie - skomentował Wallander.

- Być może istnieją jakieś bliższe związki. Musimy zwrócić się o pomoc do wydziału przestępstw gospodarczych. Sama niewiele z tego wszystkiego pojmuję.

- Uważam, że wyniki są imponujące - oświadczył Nyberg, który do tej pory nie zabierał głosu. - Chyba powinniśmy się dowiedzieć, czy fabryka w Genui nie produkuje również innych wyrobów, a nie tylko szybkie łodzie.

- Na przykład lodówek do transportu organów do transplantacji? - zapytał Wallander.

- Na przykład.

W pokoju zapadło milczenie. Patrzeni na siebie. Wiedzieli, co mogły oznaczać słowa Nyberga.

Po chwili namysłu Wallander zabrał głos:

- Jeżeli to się zgadza, to Alfred Harderberg może być zamieszany zarówno w produkcję, jak i import plastikowych pojemników i mieć nad tym pełną kontrolę. Mimo że na pierwszy rzut oka całość wygląda na płataninę podczepionych do siebie spółek. Czy to rzeczywiście możliwe, żeby brazylijski producent kawy miał jakiś związek z małą firmą w Södertalje?

- Tak samo możliwe jak to, że amerykańscy producenci samochodów produkują wózki inwalidzkie - zauważyła Ann-Britt Hóglund. - Samochody powodują wypadki, a to zwiększa zapotrzebowanie na wózki. Wallander wstał, zacierając dłonie.

- Czas pchnąć do przodu nasze dochodzenie. Czy mogłabyś dopilnować, by eksperci ekonomiczni sporządzili coś w rodzaju mapy ilustrującej działalność Alfreda Harderberga? Chciałbym zobaczyć na niej wszystko. Plastikowe łodzie w Genui, wierzchowce na zamku w Farnholmie, wszystko, co do tej pory wiemy. Ty i Nyberg zajmiecie się plastikowym pojemnikiem. Skąd pochodzi i jak się znalazł w samochodzie Gustawa Torstenssona.

- To rozwali nasz pierwotny plan - zaprotestowała Ann-Britt Hóglund. - Alfred Harderberg się dowie, że dobieramy się do jednej z jego firm.

- Wcale nie - odparł Wallander. - To będzie w ramach zwykłego zdobywania informacji. Nic wielkiego. Poza tym przekonam Bjórka i Akesona, że już najwyższy czas zwołać konferencję prasową. Po raz pierwszy sam wystąpię z taką inicjatywą. Myślę, że warto pomóc jesieni w rozsnuwaniu

mgieł.

- Słyszałam, że Per jest przeziębiony i nadal siedzi w domu - powiedziała Ann-Britt Hóglund.

- Zadzwońię do niego. Od teraz zwiększamy tempo. Musi tu przyjść, nawet z przeziębieniem. Zawiadom Svedberga i Martinssona, że spotykamy się dzisiaj o drugiej.

Wallander postanowił zaczekać i zrelacjonować wydarzenia ubiegłej nocy, dopiero jak wszyscy się zejdą.

- Bierzmy się do roboty - zarządził.

Nyberg wyszedł z pokoju. Wallander poprosił Ann-Britt Hóglund, żeby została. Poinformował ją, że udało mu się z pomocą Stena Widena umieścić dziewczynę w stajni na zamku w Farnholmie.

- Miałaś dobry pomysł - przyznał. - Zobaczymy, co nam to da. Nie należy sobie robić zbyt wielkich nadziei.

- Żeby tylko nic jej się nie stało - powiedziała.

- Dziewczyna ma się zajmować końmi. I mieć oczy otwarte. To wszystko. Nie ma co popadać w histerię. Alfred Harderberg nie może podejrzewać każdego w swoim otoczeniu o to, że jest przebrany policjantem.

- Miejmy nadzieję, że masz rację - odparła.

- Co z trasą lotów samolotu Harderberga?

- Pracuję nad tym. Ale wczoraj cały dzień zajęła mi Avanca.

- Wykonałaś dobrą robotę - pochwalił ją Wallander.

Zauważył, że się ucieszyła. Zanadto sobie skąpimy pochwał, pomyślał. Natomiast nasza hojność w krytykowaniu i rozpuszczaniu pogłosek jest niewyczerpana.

- To by było tyle - zakończył.

Wyszła z pokoju. Wallander stanął przy oknie, zadając sobie pytanie, jak na jego miejscu postąpiłby Rydberg. Ale tym razem poczuł, że nie ma czasu czekać na odpowiedź od swego zmarłego przyjaciela. Musi uwierzyć, że kieruje śledztwo na właściwe tory.

Przez resztę popołudnia Wallander działał z olbrzymią

energiją. Przekonał Bjórka o zwołaniu konferencji prasowej na następny dzień. Obiecał również, że sam będzie rozmawiał z dziennikarzami po uprzednim uzgodnieniu z Perem Akesonem, co mają powiedzieć.

- To do ciebie niepodobne, żeby z własnej woli zwoływać konferencję prasową - zauważył Bjórk.

- Może staję się lepszym człowiekiem - zażartował Wallander. - Podobno nigdy nie jest za późno.

Po rozmowie z Bjórkiem zadzwonił do Pera Akesona do domu. Telefon odebrała żona, nie chciała poprosić do telefonu leżącego w łóżku męża.

- Czy ma gorączkę? - zapytał Wallander.

- Jest chory i już - odpowiedziała niechętnie.

- Nic na to nie poradzę - upierał się Wallander. - Muszę z nim porozmawiać.

Po paru minutach usłyszał w słuchawce zmęczony głos Akesona.

- Jestem chory - powiedział. - Grypa żołądkowa. Całą noc przesiedziałem w toalecie.

- Nie zawracajbym ci głowy, gdyby to nie było ważne - tłumaczył się Wallander. - Ale potrzebuję cię na chwilę po południu. Możemy po ciebie wysłać samochód.

- Przyjadę - zdecydował Per Akeśon. - Ale wezmę taksówkę.

- Chcesz wiedzieć, dlaczego to takie ważne?

- Wiesz, kto ich zamordował?

- Nie.

- Chcesz, żebym wystawił nakaz zatrzymania Alfreda Harderberga?

- Nie.

- W takim razie wystarczy, jak się dowiem po południu. Po rozmowie z Perem Akesonem Wallander zadzwonił do zamku w Farnholmie. Odebrała kobieta, której głos rozpoznał. Przedstawił się i poprosił o połączenie z Kurtem Strómem.

- Ma służbę dopiero wieczorem - poinformowała kobieta. - Ale może pan naturalnie próbować go złapać w domu.
- Przypuszczam, że nie poda mi pani jego domowego numeru - powiedział Wallander.
- Dlaczego pan tak sądzi?
- Myślałem, że to niezgodne z obowiązującym u was szczegółowym regulaminem bezpieczeństwa.
- Wcale nie - odparła kobieta i podała mu numer.
- Proszę pozdrowić pana Harderberga i podziękować mu za spotkanie.
- Jest teraz w Nowym Jorku.
- Więc proszę to przekazać, jak wróci. Może nie wyjechał na długo?
- Spodziewamy się go pojutrze.

Kiedy Wallander zakończył rozmowę, uświadomił sobie, że zaszła jakaś zmiana. Zastanawiał się, czy może Alfred Harderberg polecił uprzejmie traktować policję z Ystad, a nie tak niechętnie jak dotychczas.

Wybrał numer do Stroma. Odczekał dużo sygnałów, ale nikt nie podniósł słuchawki. Zadzwoił do recepcji i poprosił Ebbę, by dowiedziała się o adres Kurta Stroma. Przez ten czas poszedł po kawę. Przypomniał sobie, że do tej pory nie skontaktował się z Lindą, mimo że sobie przyrzekł. Postanowił poczekać do wieczora.

Tuż przed wpół do dziesiątej opuścił komendę i pojechał w kierunku Osterlen. Według informacji od Ebby Kurt Stróm mieszkał w niewielkim gospodarstwie w pobliżu Glimmingehus. Ebba, która znała okolice Ystad i Osterlen lepiej niż większość ludzi, narysowała mu mapkę dojazdu. Kurt Stróm nie odpowiadał na telefon. Wallander miał jednak przecucie, że go zastanie w domu. Przejeżdżając przez Sandskogen, rozmyślał nad tym, co Svedberg opowiadał o powodach, dla których Kurt Stróm został zwolniony z policji. Wallander usiłował sobie wyobrazić

jego reakcję. Zaledwie kilka razy w życiu miał okazję zetknąć się z policjantami oskarżonymi o popełnienie przestępstwa. Wspominał to z niechęcią. Wiedział jednak, że nie uniknie czekającej go rozmowy.

Ebba narysowała mu mapę, dzięki której trafił bez trudu. Przystanął przed typowym w Skanii podłużnym pobielonym domem, położonym na uboczu we wschodniej części Glimmingehus. Dom otaczał ogród, który bez wątpienia był piękny na wiosnę i latem. Dwa owczarki w stalowej klatce rozszczękały się na widok samochodu. Zobaczył otwarty garaż, a w nim samochód. Pomyślał, że zgadł. Kurt Stróm powinien być w domu. Nie musiał zresztą długo czekać. Kurt Stróm wyszedł zza budynku. Miał na sobie kombinezon, w rękę trzymał kielnię. Na widok Wallandera stanął jak wryty.

- Mam nadzieję, że nie przeszkadzam - powiedział Wallander. - Próbowałem telefonować. Ale nikt nie odbierał.

- Naprawiam pęknięcia w podmurówce - wyjaśnił Kurt Stróm. - Po co przyjechałeś?

Wallander wyczuł, że Kurt Stróm ma się na baczności.

- Muszę cię o coś zapytać - powiedział. - Możesz uspokoić psy?

Kurt Stróm krzyknął na psy, które natychmiast ucichły.

- Wejźmy do środka - zaproponował.

- Nie trzeba - odpowiedział Wallander. - Możemy zostać na zewnątrz. To nie potrwa długo.

Rozejrzał się po małym ogrodzie.

- Ładnie tu sobie mieszkasz. To nie to, co mieszkanie w Malmö.

- Tam też dobrze mieszkałem. Ale stąd mam bliżej do pracy.

- Mieszkasz tu sam? Zdawało mi się, że jesteś żonaty. Kurt Stróm spojrział na niego zimnym wzrokiem.

- Co cię obchodzi moje prywatne życie? Wallander rozłożył

ramiona w przeproszającym geście.

- Nic - odpowiedział. - Ale wiesz, jak to jest między dawnymi kolegami. Wypada zapytać, jak się miewa rodzina.

- Nie jestem twoim kolegą - odciął się Kurt Stróm.

- Ale kiedyś byłeś. Może nie?

Wallander zmienił ton. Dążył teraz do konfrontacji.

Wiedział, że ze Strómem najlepiej zagrywać ostro.

- Przypuszczam, że nie przyszedłeś tutaj rozmawiać o mojej rodzinie?

Wallander spojrzał na niego i uśmiechnął się.

- Nie - powiedział. - Nie po to przyszedłem. Tylko z czystej uprzejmości wspomniałem, że kiedyś byliśmy kolegami.

Kurt Stróm zrobił się biały na twarzy. Przez moment Wallander pomyślał, że posunął się za daleko, że Kurt Stróm się na niego rzuci.

- Nie mówmy o tym - rzekł. - Pomówmy raczej o jedenastym października. O poniedziałkowym wieczorze sprzed sześciu tygodni. Domyślasz się, o jaki wieczór chodzi?

Kurt Stróm w milczeniu skinął głową.

- Właściwie mam tylko jedno pytanie - kontynuował Wallander. - Zanim jednak odpowiesz, chcę jasno postawić sprawę. Nie próbuj zasłaniać się regulaminem bezpieczeństwa, obowiązującym na zamku w Farnholmie. W przeciwnym razie urządzę ci takie piekło, że nawet sobie nie wyobrażasz.

- Nic mi nie możesz zrobić - odparował Kurt Stróm.

- Taki jesteś pewny? Mogę zabrać cię do Ystad, mogę dziesięć razy dziennie dzwonić do zamku i prosić cię do telefonu. Dojdą do wniosku, że policja zanadto się interesuje ich szefem ochrony. Ciekawe, czy znają twoją przeszłość? To może być dla nich kłopotliwe. Wątpię, żeby Alfred Harderberg życzył sobie zakłócania ciszy i spokoju w Farnholmie.

- Spadaj stąd, do jasnej cholery - warknął Kurt Stróm. -

Wynoś się, zanim cię wyrzucę za furtkę.

- Chcę tylko, żebyś odpowiedział na jedno pytanie, dotyczące wieczoru jedenastego października - powtórzył niewzruszony Wallander. - Mogę ci przyrzec, że pozostanie to między nami. Czy warto ci ryzykować pracę? O ile pamiętam z naszego spotkania przy bramie, mówiłeś, że znakomicie się tam czujesz.

Wallander zauważył, że Kurt Stróm ma niewyraźną minę. Wciąż patrzył na niego z nienawiścią. Ale Wallander już wiedział, że dostanie odpowiedź.

- Jedno pytanie - powtórzył. - I jedna odpowiedź. Prawdziwa. Potem się stąd zabieram. Możesz dalej latać podmurówkę i zapomnieć, że kiedykolwiek tu byłem. Możesz strzec bramy na zamku w Farnholmie aż do śmierci. Jedno pytanie. I jedna odpowiedź.

Wysoko w górze przeleciał samolot. Wallander pomyślał, że może to gulfstream Alfreda Harderberga w drodze z Nowego Jorku.

- Co chcesz wiedzieć? - zapytał Kurt Stróm.

- Jedenastego października wieczorem, zgodnie z wydrukiem komputerowym, Gustaw Torstensson opuścił zamek w Farnholmie dokładnie czternaście minut po ósmej. Naturalnie wydruk mógł być sfalszowany. Ale przyjmijmy, że tak naprawdę było. Wiemy przecież, że na pewno odjechał z zamku. Pytanie, które chcę ci zadać, jest bardzo proste. Czy między przyjazdem a odjazdem Gustawa Torstenssona jakiś samochód opuszczał zamek?

Kurt Stróm nie odpowiedział. Po chwili kiwnął potakująco głową.

- To była pierwsza część pytania - powiedział Wallander. - Teraz jest druga i ostatnia. Kto wyjeżdżał z zamku?

- Nie wiem.

- Widziałeś samochód?

- Odpowiedziałem już na więcej niż jedno pytanie.

- Nie pieprz głupot, Stróm. To wciąż to samo pytanie. Co to był za samochód? I kto w nim siedział?

- Samochód należący do zamku, bmw.

- Kto był w samochodzie?

- Nie wiem.

- Zatruję ci życie, jeśli nie odpowiesz.

Wallander nie musiał udawać złości. Był autentycznie zły.

- To prawda. Nie wiem, kto był w środku.

Wallander zorientował się, że Kurt Stróm istotnie mówi prawdę. Powinien był to zrozumieć.

- Dlatego że szyby były przyciemnione? I nie było widać, kto siedzi w samochodzie?

Kurt Stróm przytaknął.

- Masz już swoją odpowiedź - powiedział. - A teraz wynoś się, do cholery.

- Zawsze miło się spotkać z dawnym kolegą - oświadczył Wallander. - Masz rację, na mnie już pora. Dziękuję za rozmowę.

Odwrócił się i ruszył do samochodu. Psy natychmiast zaczęły szczekać. Kurt Stróm stał nieruchomo na podwórzu i patrzył za nim. Wallander poczuł spływający po plecach pot. Wiedział, że Kurt Stróm potrafi być brutalny.

Pomyślał, że nareszcie otrzymał możliwą do zaakceptowania odpowiedź na to, co tak długo go dręczyło. Miał świadomość, że wszystko się zaczęło w ów październikowy wieczór, kiedy Gustaw Torstensson zginął podczas samotnej jazdy samochodem. Teraz domyślał się, co zaszło. Podczas gdy Torstensson siedział w głębokim, skórzanym fotelu, konferując z Alfredem Harderbergiem i dwoma włoskimi bankierami, inny samochód opuścił teren zamku i czekał na starego adwokata przy drodze, którą ten wracał do domu. W jakiś sposób - przemocą, podstępem lub życzliwą perswazją - skłoniono go do zatrzymania samochodu na pustym, starannie wybranym odcinku drogi.

Wallander nie potrafił odpowiedzieć na pytanie, czy decyzja o tym, że Gustaw Torstensson nie wróci do domu, została podjęta tego właśnie wieczoru, czy też postanowienie zapadło już wcześniej. Niemniej jednak zarysowało się jakieś wyjaśnienie.

Myślał o mężczyznach w mroku obszernego holu.

Nagle przeszedł go dreszcz. Przypomniał sobie zdarzenie z ubiegłej nocy.

Nie był świadom, że coraz mocniej dociska prawą nogą pedał gazu. Kiedy zbliżał się do Sandskogen, jechał tak szybko, że w razie kontroli od razu straciłby prawo jazdy. Gwałtownie wyhamował prędkość. Dotarł do Ystad i zatrzymał się na kawę w cukierni Fridolfa. Domyślał się, jaką radę dałby mii Rydberg.

„Cierpliwości”, powiedziała. „Kiedy kamienie toczą się z góry na dół, nie należy od razu za nimi biec. Stój i patrz, jak się toczą, i obserwuj, gdzie się zatrzymają”.

Właśnie, pomyślał Wallander.

Właśnie tak postąpimy.

W ciągu następnych dni po raz kolejny miał okazję się przekonać, że jego współpracownicy nie szczczędzą sił, gdy sytuacja tego wymaga. Pomimo że już wcześniej intensywnie pracowali, nikt nie oponował, kiedy Wallander oświadczył, że muszą zwiększyć wysiłki. Zaczęło się już w środę po południu, kiedy zwołał grupę dochodzeniową do pokoju zebrań. Zjawił się również Per Akeson, mimo gorączki i chorego żołądka. Wszyscy się zgadzali, że śledztwo w sprawie światowego imperium Alfreda Harderberga należy prowadzić niezwykle energicznie i precyzyjnie. Podczas zebrania Per Akeson chwycił za słuchawkę i zatelefonował do wydziału przestępczości gospodarczej w Malmö i w Sztokholmie.

Obecni w pokoju z zaskoczeniem słuchali, jak domaga się zwiększonych wysiłków i absolutnego priorytetu dla

dochodzenia, jakby to była sprawa najwyższej państwowej wagi. Kiedy zakończył rozmowę, rozległy się spontaniczne oklaski. Poradził zebrany także, by w dalszym ciągu się zajmowali firmą Avanca, starając się nie wchodzić w drogę ekspertom ekonomicznym. Przy tej okazji Wallander uznał, że najbardziej odpowiednią osobą do tego zadania jest Ann-Britt Hóglund. Nikt nie oponował i tym samym Ann-Britt Hóglund przestała być młodą nowicjuszka i stała się pełnoprawnym członkiem grupy dochodzeniowej. Część jej dotychczasowych zadań przejął Svedberg, między innymi pracę nad trasami przelotów gulfstreama. Między Wallanderem a Perem Akesonem doszło do dyskusji, czy warto wkładać tyle wysiłku w zdobycie tej informacji. Wallander twierdził, że wcześniej czy później będą zmuszeni zapoznać się z podniebnymi eskapadami Alfreda Harderberga, szczególnie w tych dniach, kiedy popełniono morderstwa. Per Akeson uważał, że jeśli istotnie Alfred Harderberg jest zamieszany w te zdarzenia, to ma on dostęp do najnowocześniejszych środków komunikacji, jakie istnieją. Co oznacza, że posiada łączność z zamkiem w Farnholmie niezależnie od tego, czy się znajduje w powietrzu nad Atlantykiem, czy na przykład na australijskiej pustyni, gdzie, według ekspertów ekonomicznych, miał liczne udziały w kopalniach. Wallander uznał argumenty Pera Akesona i już miał ustąpić, gdy nagle Akeson rozłożył ręce, tłumacząc, że chce tylko przedstawić swoją opinię i nie zamierza utrudniać już rozpoczętej pracy. Sprawę pojawienia się na scenie stajennej Sofii Wallander przedstawił w taki sposób, że Ann-Britt Hóglund mu pogratulowała, gdy już zostali sami. Wallander przewidział, że wprowadzenie do śledztwa obcej osoby może wzbudzić zastrzeżenia nie tylko Bjórka i Pera Akesona, ale również Martinssona i Svedberga. Zakomunikował więc, że przypadkiem uzyskali dodatkowe

źródło informacji na zamku w Farnholmie w osobie stajennej, którą od dawna zna osobiście. Nie kłamał, ale nie mówił też całej prawdy. Powiedział to mimochodem, w momencie kiedy na stół w pokoju zebrani wjeżdżał półmisek z kanapkami i wszyscy słuchali jednym uchem. Bez słowa wymienił spojrzenia z Ann-Britt Hóglund i domyślił się, że przejrzała jego zamysł.

Jeszcze później, gdy kanapki zostały zjedzone, a pokój przewietrzony, Wallander opowiedział o swoim odkryciu z ubiegłej nocy, o tym, że był śledzony. Przemilczał tylko, że samotny mężczyzna z samochodu wszedł na górę do jego mieszkania. Obawiał się, że ten incydent może sprowokować Bjórka do przystopowania dochodzenia i nałożenia ograniczeń ze względów bezpieczeństwa. Dalej nastąpiła zdumiewająca informacja Svedberga, że samochód jest zarejestrowany na mieszkańca Óstersundu, strażnika w ośrodku domków wczasowych w górach Jamtlandii. Na zakończenie zebrania Wallander zrelacjonował spotkanie z Kurtem Strómem. Potem w pokoju zapadła cisza.

- Ten szczegół był nam potrzebny - powiedział później Wallander Ann-Britt Hóglund. - Policjanci są ludźmi praktycznymi. Ten drobny szczegół, że z zamku odjechał samochód, zanim Gustaw Torstensson rozpoczął swą ostatnią podróż, spowodował, że wszystko, co dotąd było płynne i niejasne, spoczęło na pewniejszym gruncie. I jeśli taki był przebieg wypadków, a jest to bardzo możliwe, zdobylibyśmy potwierdzenie, że Gustaw Torstensson został zamordowany w starannie, z zimną krwią zaplanowanej akcji. Wtedy szukalibyśmy rozwiązania tam, gdzie nie ma przypadków. Mielibyśmy do czynienia ze świadomym, dobrze obmyślonym przestępstwem. Moglibyśmy zapomnieć o przypadkach i szalonych namiętnościach. Od tej chwili wiedzielibyśmy po prostu, gdzie mamy szukać.

Zebranie grupy dochodzeniowej zakończyli z poczuciem jasno wytkniętego celu. Tego właśnie pragnął Wallander. Zanim Per Akeson wrócił do łóżka, zostali jeszcze chwilę z Bjórkiem. Omawiali temat konferencji prasowej, która miała się odbyć nazajutrz. Wallander uważał, że niezupełnie miną się z prawdą, jeśli wyjawią, że wpadli na trop, ale ze względu na dobro śledztwa nie mogą powiedzieć nic bliższego.

- Ten trop - zagadnął Per Akeson. - Jak masz go zamiar przedstawić, nie wzbudzając podejrzania Alfreda Harderberga, że prowadzi do zamku w Farnholmie?

- Dramat, którego źródła należy szukać w prywatnym życiu.

- To nie brzmi zbyt wiarygodnie - sprzeciwił się Akeson. - W dodatku podejrzanie cienki materiał, jak na konferencję prasową. Przygotuj się starannie. Musisz szybko i stanowczo odpowiadać na wszelkie pytania.

Po zebraniu Wallander pojechał do domu. Przeprowadził sam ze sobą rozmowę na temat istnienia ewentualnego ryzyka, że mieszkanie wyleci w powietrze, kiedy będzie wkładał klucz do zamka. Uznał, że upłynęło zbyt mało czasu. Mężczyzna, który wszedł do jego mieszkania, nic ze sobą nie niósł, tego był pewny. A czas od chwili, gdy wszedł do bramy, do chwili, kiedy ponownie się pojawił na ulicy, nie wystarczyłby, żeby założyć ładunek wybuchowy.

Niemniej wracał do domu z oporami. Sprawdził, czy w telefonie nie zamontowano podsłuchu. Nic nie znalazł, mimo to postanowił, że od tej pory nie będzie rozmawiał przez telefon o niczym, co ma związek z Alfredem Harderbergiem.

Potem wziął prysznic i przebrał się.

Wieczorem zjadł kolację w pizzerii przy Hamngatan. Resztę wieczoru spędził na przygotowywaniu się do konferencji prasowej.

Od czasu do czasu podchodził do okna i wyglądał na ulicę.

Ale stał tam tylko jego samochód.

Konferencja prasowa poszła lepiej, niż się spodziewał. Zresztą morderstwo dwóch adwokatów nie uchodziło za szczególnie interesujące dla ogółu. Przybyło niewiele gazet, zabrakło telewizji, a lokalne radio puściło zaledwie krótką informację.

- To powinno uspokoić Alfreda Harderberga - zwrócił się Wallander do Bjórka po wyjściu dziennikarzy z komendy.

- O ile nie przejrzał naszych planów.

- Oczywiście może sobie różnie myśleć. Ale nie może mieć żadnej pewności.

Kiedy wrócił do pokoju, zastał na stole karteczkę z wiadomością, żeby zatelefonował do Stena Widen. Cekał długo, zanim Widen podniósł słuchawkę.

- Dzwoniłeś do mnie.

- Cześć, Roger - powiedział Widen. - Nasza przyjaciółka Sofia przed chwilą się odezwała. Jest w Simrishamn. Ma coś, co powinno cię zainteresować.

- Co takiego?

- Okazuje się, że jej praca jest tymczasowa.

- Co to ma znaczyć?

- Wygląda na to, że Alfred Harderberg szykuje się do opuszczenia zamku.

Wallander milczał ze słuchawką przy uchu.

- Jesteś tam? - zapytał Sten Widen.

- Tak. Jestem.

- No, to już wszystko - powiedział Sten Widen. Wallander opadł na krzesło.

Znów ogarnęło go uczucie, że czas nagli.

Kiedy dwudziestego piątego listopada po południu funkcjonariusz policji kryminalnej Ove Hansson powrócił do pracy, było to po miesięcznej nieobecności. Spędził ten czas w Halmstad, gdzie brał udział w szkoleniu dotyczącym skomputeryzowanej walki z przestępczością. Na wiadomość o zamordowaniu Stena Torstenssona skontaktował się z Bjórkiem, pytając, czy ma przerwać szkolenie i wrócić do Ystad. Ale Bjórk powiedział, żeby kontynuował swoje zajęcia. Wtedy też Hansson dowiedział się, że Wallander powrócił na służbę. Z hotelu w Halmstad, gdzie mieszkał, Hansson zadzwonił do Martinssona, by zapytać, czy to prawda. Martinsson potwierdził wiadomość i dodał od siebie, że Wallander wydaje się bardziej energiczny niż kiedykolwiek.

Niemniej Hansson nie był przygotowany na to, co zastał, gdy tego popołudnia szedł korytarzem w komendzie i przystanął przed pokojem, gdzie pod nieobecność Wallandera mieściło się jego biuro, a który Wallander znów zajął. Hansson delikatnie zapukał do drzwi i wszedł, nie czekając na zaproszenie. Na widok Wallandera przystanął zaskoczony i już zamierzał się wycofać, jako że Wallander stał na środku pokoju, trzymając nad głową krzesło, i wpatrywał się w Hanssona z obłąkanym, jak się temu wydawało, wyrazem twarzy. Wszystko to trwało mgnienie oka i Wallander natychmiast odstawił krzesło i przybrał bardziej normalny wyraz twarzy. Ale obraz wnikał do świadomości Hanssona i tam pozostał. Jeszcze długo potem, nie dzieląc się swymi obawami z żadnym kolegą, czekał, kiedy Wallandera ogarnie prawdziwy szal.

- Widzę, że przychodzę nie w porę - zauważył Hansson, kiedy Wallander odstawił krzesło na podłogę. - Chciałem się tylko przywitać i zawiadomić, że jestem z powrotem.

- Przestraszyłem cię? - zapytał Wallander. - Nie miałem

zamiaru. Właśnie odebrałem telefon, który mnie zdenerwował. Dobrze, że przyszedłeś. Inaczej rzuciłbym krzesłem o ścianę.

Potem usiedli, Wallander za biurkiem, a Hansson na krześle, które przed chwilą uniknęło roztrzaskania o ścianę. Spośród wszystkich policjantów kryminalnych Hanssona znał Wallander najślabiej, mimo że od wielu lat razem pracowali. Zanadto się różnili charakterem i sposobem bycia, często wdawali się w próżne dyskusje, które kończyły się bezowocnymi kłótniami. Niemniej Wallander szanował umiejętności zawodowe Hanssona. Potrafił być opryskliwy, gburowaty i trudny we współpracy, ale jednocześnie dokładny i wytrwały. Zdarzało się, że zadziwiał kolegów zręcznie przeprowadzoną analizą, która potrafiła ruszyć śledztwo z martwego punktu. W ciągu minionego miesiąca Wallanderowi często brakowało Hanssona. Zastanawiał się, czy nie poprosić Bjórka o odwołanie go z Halmstad, ale na tym się skończyło.

Wallander zdawał sobie sprawę, że Hansson najmniej ze wszystkich żałowałby, gdyby on nie powrócił na służbę. Hansson miał wygórowane ambicje, co u policjanta nie musi być wadą, i nigdy nie pogodził się z tym, że właśnie Wallanderowi przypadł w udziale niewidzialny płaszcz, który pozostawił po sobie Rydberg. Uważał, że należał się jemu. Tak się jednak nie stało i Wallander miał świadomość, że Hansson żywi wobec niego żal, którego nie potrafi do końca ukryć.

Było jeszcze coś, co psuło ich stosunki. Wallander potrafił się wściekać, że Hanssonowi zbyt wiele czasu zajmuje maniacka gra na wyścigach konnych. Biurko Hanssona było wiecznie zavalone programami gonitw i przemysłnymi systemami obstawiania. Wallander nieraz myślał, że Hansson połowę czasu pracy spędza na obliczaniu wyników, jakie w nadchodzących gonitwach osiągną setki koni na

licznych torach w kraju. Z kolei Hansson nie cierpiał muzyki operowej.

Teraz jednak, gdy siedzieli naprzeciwko siebie, Wallander myślał, że najważniejsze jest, że Hansson wrócił. Wzmocni grupę i rym samym przyspieszy śledztwo. Jedyne to się w tej chwili liczyło.

- Wróciłeś - skonstatował Hansson. - Ostatnio mówiono, że odchodzisz.

- Zmieniłem zdanie po zamordowaniu Stena Torstenssona - odpowiedział Wallander.

- A potem odkryłeś, że ojciec również został zamordowany - dodał Hansson. - My uznaliśmy to za wypadek.

- To było sprytnie zakamuflowane - wyjaśnił Wallander. - Miałem po prostu szczęście, że znalazłem w glinie nogę od krzesła.

- Nogę od krzesła? - zdziwił się Hansson.

- Musisz mieć czas, żeby się ze wszystkim zapoznać - powiedział Wallander. - Wiedz, że jesteś potrzebny. Szczególnie po telefonie, który właśnie dostałem.

- O co chodziło? - zapytał Hansson.

- Wygląda na to, że człowiek, na którym koncentrujemy całe nasze dochodzenie, zamierza się stąd wynieść.

Hansson patrzył na niego, nie rozumiejąc.

- Muszę się ze wszystkim zapoznać - powtórzył słowa komisarza.

- Chętnie wprowadziłbym cię w całą sprawę - powiedział Wallander. - Ale nie mam czasu. Porozmawiaj z Ann-Britt. Potrafi wyłować to, co jest ważne, i pominąć rzeczy bez znaczenia. Jest w tym dobra.

- Naprawdę?

Wallander spojrzał na niego zdziwiony.

- Co naprawdę?

- Dobra. Ann-Britt Hóglund jest dobra?

Wallander przypomniał sobie, co mówił Martinsson, kiedy

on wrócił do pracy. Hansson uważał, że Ann-Britt zagraża jego pozycji.

- Tak - potwierdził Wallander. - Już teraz jest dobrą policjantką. A będzie jeszcze lepszą.

- Trudno mi w to uwierzyć - rzekł, wstając, Hansson.

- Zobaczysz. Powiem ci jedno - Ann-Britt Hóglund tu zostaje.

- Wolę chyba rozmawiać z Martinssonem - oznajmił Hansson.

- Zrobisz, jak zechcesz.

Hansson był już w drzwiach, kiedy Wallander zadał mu jeszcze jedno pytanie:

- Co robiłeś w Halmstad?

- Główny Zarząd Policji dał mi możliwość spojrzenia w przyszłość - odparł Hansson. - Wtedy policja całego świata będzie ściagała przestępców, siedząc przed ekranem komputera. Będziemy podłączeni do sieci komunikacyjnej o światowym zasięgu i wszystkie informacje zebrane przez policje w różnych krajach będą dostępne w znakomicie opracowanych bazach danych.

- To brzmi przerażająco. I nudno.

- Ale będzie raczej skuteczne - odparował Hansson.

- Zresztą i ty, i ja będziemy już wtedy na emeryturze.

- Ann-Britt Hóglund tego doczeka - zauważył Wallander.

- A jak tam gonitwy w Halmstad?

- Są raz w tygodniu.

- Jak ci szło?

- Raz tak, raz siak - normalnie. Niektóre konie biegną tak, jak powinny. Inne nie.

Hansson wyszedł, zamykając za sobą drzwi. Wallander przypomniał sobie swój nagły napad wściekłości na wieść, że Alfred Harderberg się stąd wynosi. Rzadko coś wyprowadzało go z równowagi, nie pamiętał, kiedy ostatnio do tego stopnia stracił panowanie nad sobą, że mało

brakowało, a zaczęłyby ciskać sprzętami.

Teraz, gdy został sam w pokoju, starał się zastanowić nad wszystkim spokojnie. Wiadomość, że Alfred Harderberg zamierza ewentualnie opuścić zamek w Famholmie, może po prostu oznaczać, że tak jak wiele razy w życiu, postanowił zmienić swoją siedzibę. Wcale nie musiało świadczyć o tym, że się szykuje do ucieczki. Od czego miałyby uciekać? I dokąd? W najgorszym przypadku śledztwo by się skomplikowało. Należałoby wciągnąć do niego policję z innych regionów, w zależności od tego, gdzie Harderberg zdecydowałby się zamieszkać.

Istniała jeszcze inna ewentualność, którą Wallander natychmiast musiał rozważyć. Zatelefonował do Stena Widena. Odebrała stajenna. Miała bardzo młody głos.

- Sten jest w stajni - oznajmiła. - Przyszedł kowal.

- Ma tam telefon - powiedział Wallander. - Połącz mnie z nim.

- Aparat w stajni nie działa - wyjaśniła dziewczyna.

- To go przyprowadź. Powiedz, że Roger Lundin chce z nim mówić.

Minęło prawie pięć minut, zanim Widen wziął słuchawkę.

- Co jest? - zapytał. Słysząc było, że jest poirytowany, że mu przeszkadzono.

- Czy Sofia nie mówiła przypadkiem, dokąd Alfred Harderberg zamierza się przenieść?

- Skąd, do jasnej cholery, miałyby to wiedzieć?

- Tylko pytam. Nie mówiła, czy planuje wyjazd z kraju?

- Mówiła to, co ci powtórzyłem. Nic więcej.

- Muszę się z nią zobaczyć. Dzisiaj. Jak najprędzej.

- Nie zapominaj, że ona pracuje.

- Wymyśl coś. Przedtem pracowała u ciebie. Trzeba wypełnić jakieś papiery. Jakoś to załatwisz.

- Nie mam czasu. Siedzi u mnie kowal. Weterynarz jest w drodze. Mam zaplanowane rozmowy z właścicielami koni.

- To ważne. Wierz mi.
- No dobrze, spróbuję. Zadzwoń później. Wallander odłożył słuchawkę. Było już wpół do czwartej. Czekał. Za piętnaście czwarta wyszedł i przyniósł sobie kawę. Pięć minut później Svedberg zapukał do drzwi i wszedł do środka.
- O facecie z Óstersundu możemy zapomnieć - oznajmił. - Jego samochód z numerem FHC 803 został skradziony tydzień temu, kiedy był w Sztokholmie. Nie ma powodu, by mu nie wierzyć. Jest zresztą członkiem rady gminy.
- Dlaczego mamy bardziej wierzyć członkowi rady gminy niż komu innemu? - zaproponował Wallander. - Gdzie ukradziono samochód? I kiedy? Postaraj się o kopię protokołu kradzieży.
- Czy to naprawdę takie ważne? - zapytał Svedberg.
- Może się okazać, że tak - odparł Wallander. - Poza tym to nie wymaga wiele zachodu. Rozmawiałeś z Hanssonem?
- Tylko przelotnie. Jest u Martinssona i zapoznaje się z aktami śledztwa.
- Niech się tym zajmie. To w sam raz dla niego na początek. Svedberg wyszedł. Było piętnaście po czwartej, a Sten Widen wciąż nie dzwonił. Wallander poszedł do toalety, prosząc w recepcji, by notowali ewentualne rozmowy. Przeglądał w roztargnieniu pozostawioną przez kogoś gazetę. Pięć po wpół do piątej ponownie usiadł za biurkiem. Połamał dwanaście spinaczy, zanim Sten Widen zatelefonował.
- No, wymyśliłem jakąś cholerną historię - poinformował. - Za godzinę możesz się z nią spotkać w Simrishamn. Powiedziałem, że ma wziąć taksówkę, za którą zapłacisz. Na ulicy, która schodzi w dół do portu, jest kawiarnia. Wiesz, gdzie to?
- Wallander wiedział, o jaką kawiarnię chodzi.
- Ona nie ma dużo czasu - podkreślił Sten Widen. - Weź ze

sobą jakieś papiery i niech udaje, że je wypełnia.

- Sądziysz, że zaczęli ją podejrzewać?
- Diabli wiedzą.
- Dziękuję za pomoc.
- Musisz zapłacić za taksówkę z powrotem do zamku.
- Już jadę - zakomunikował Wallander.
- Co się właściwie dzieje? - spytał Sten Widen.
- Powiem ci, jak będę wiedział. Zadzwońię.

Wallander wyszedł z komendy punkt pięta. W Simrishamn zaparkował w porcie i poszedł do kawiarni. Tak jak przypuszczał, dotarł tam przed Sofią. Wyszedł z lokalu, przeszedł na drugą stronę ulicy i ruszył pod górę. Przystanął przed witryną sklepową i stamtąd obserwował kawiarnię. Było osiem po szóstej, kiedy zobaczył, jak Sofia nadchodzi od strony portu, gdzie prawdopodobnie wysiadła z taksówki. Weszła do kawiarni. Wallander pozostał jeszcze chwilę, obserwując ludzi przechodzących przed wejściem do lokalu. Kiedy upewnił się - o tyle, o ile mógł - że nikt jej nie śledzi, szybko przeszedł przez ulicę. Żałował, że nie wziął ze sobą kogoś, kto mógłby obserwować otoczenie. Sofia zajęła stolik w rogu. Nie przywitała się, kiedy do niej podszedł.

- Przykro mi, że się spóźniłem - powiedział.
- Mnie też - odparła. - Czego pan ode mnie chce? Muszę jechać z powrotem do zamku. Ma pan pieniądze na taksówkę?

Wallander wyjął portfel i wręczył jej pięćset koron.

- Wystarczy? Pokręciła głową.
- Potrzebuję tysiąc.
- Tysiąc koron z Simrishamn i z powrotem? - zdziwił się. Dał jej jeszcze jeden banknot, podejrzewając, że chyba go naciąga. Zirytowało go to. Ale opanował się, nie było czasu.
- Na co masz ochotę? - zapytał. - Zamówiłaś już coś?
- Może być kawa. I ciastko.

Wallander podszedł do kontuaru i złożył zamówienie. Przy

placeni poprosił o fakturę. Z tacą wrócił do stołu. Patrzyła na niego i na jej twarzy ujrzał wyraz pogardy.

- Roger Lundin - powiedziała. - Nie wiem, jak się pan naprawdę nazywa, i nie obchodzi mnie to. Ale na pewno nie Roger Lundin. I jest pan gliną.

W tym momencie Wallander postanowił wyjaśnić, jak się sprawy mają.

- Racja - przyznał. - Nie nazywam się Roger Lundin. Jestem policjantem. Ale nie musisz znać mojego prawdziwego nazwiska.

- Dlaczego?

- Bo ci to mówię - odpowiedział Wallander, nie ukrywając, że sprawa nie podlega dyskusji.

Zauważyła, że zmienił ton, i spojrzała na niego z niejakim zainteresowaniem.

- Teraz słuchaj uważnie - mówił dalej Wallander. - Pewnego dnia ci wyjaśnię, po co te wszystkie tajemnice. W tej chwili mogę tylko powiedzieć, że jestem policjantem i prowadzę śledztwo w sprawie kilku wyjątkowo brutalnych zabójstw. Żebyś wiedziała, że to nie przelewki. Jasne?

- Może - burknęła.

- Teraz odpowiesz na kilka pytań. A potem pojedziesz z powrotem do zamku.

Przypomniał sobie o papierach w kieszeni. Położył je na stole i podał jej pióro.

- Być może ktoś cię śledził. Udawaj, że wypełniasz te papiery. Napisz swoje nazwisko.

- Kto mnie śledzi? - spytała, rozglądając się po kawiarni.

- Spójrz na mnie - rzekł ostro Wallander. - Nie patrz w inną stronę. Bądź pewna, że jeśli ktoś cię śledzi, to cię widzi. Ale ty jego nie zobaczysz.

- Skąd wiesz, że to mężczyzna?

- Nie wiem.

- To wszystko jakies wariactwo.

- Pij kawę, jedz ciastko, pisz swoje nazwisko i patrz na mnie
- powtórzył Wallander. - Jak nie będziesz się słuchać, to postaram się, żebyś więcej nie wróciła do Stena Widena. Chyba mu uwierzyła. Od tej chwili już nie protestowała.
- Skąd wiesz, że wynoszą się z zamku? - zapytał.
- Słyszałam, że będę pracowała tylko miesiąc. A potem już nie. Mają opuścić zamek.
- Od kogo słyszałaś?
- Przyszedł jakiś facet do stajni.
- Jak wyglądał?
- Jakiś taki czarny.
- Murzyn?
- Nie. Ale ubrany na ciemno i miał czarne włosy.
- Cudzoziemiec?
- Mówił po szwedzku.
- Z akcentem?
- Może.
- Wiesz, jak się nazywa? - Nie.
- Wiesz, co robi? - Nie.
- Ale pracuje na zamku?
- Chyba tak.
- Co jeszcze mówił?
- Nie podobał mi się. Był nieprzyjemny.
- Dlaczego?
- Krążył po stajni, przyglądał się, jak oporządam konia. Pytał, skąd jestem.
- Co powiedziałaś?
- Że szukałam pracy, bo nie mogłam być dłużej u Stena Widena.
- Czy jeszcze o coś pytał? - Nie.
- A co potem?
- Poszedł sobie.
- Dlaczego był nieprzyjemny? Chwilę się zastanawiała.
- Pytał mnie w taki sposób, jakby nie chciał, żebym to

zauważyła.

Wallander pokiwał głową. Domyślał się, co chciała powiedzieć.

- Spotkałaś tam jeszcze kogoś?

- Tylko kobietę, która mnie przyjęła do pracy.

- Anitę Karlen.

- Chyba tak.

- Nikogo innego? - Nie.

- Nikt inny nie zajmował się końmi?

- Tylko ja. Dwa konie to niewiele.

- Kto się nimi zajmował przedtem?

- Nie wiem.

- Nie powiedzieli, dlaczego nagle potrzebny był stajenny?

- Ta Karlen mówiła, że ktoś zachorował.

- Ale nikogo nie widziałaś? - Nie.

- A co widziałaś?

- O co panu chodzi?

- Musiałaś widzieć innych ludzi. Samochody, które przyjeżdżały i odjeżdżały.

- Stajnia leży na uboczu. Widziałam stamtąd tylko boczną ścianę zamku. A pastwisko jest jeszcze dalej. Zresztą nie wolno mi było iść do zamku.

- Kto to powiedział?

- Anita Karlen. Od razu bym wyleciała, gdybym zrobiła coś, czego nie wolno. Poza tym muszę dzwonić i prosić o zgodę za każdym razem, kiedy chcę opuścić zamek.

- Gdzie czekała taksówka?

- Za bramą.

- Masz jeszcze do opowiedzenia coś, co mogłoby mnie zainteresować?

- Skąd mam wiedzieć, co pana interesuje?

Nagle ogarnęło go uczucie, że chciałaby coś powiedzieć, ale nie może się zdecydować. Przez chwilę milczał, a potem ciągnął dalej, ostrożnie, jakby poruszał się po ciemku.

- Cofnijmy się jeszcze - zaczął. - Ten człowiek, który przyszedł do stajni, czy nic więcej nie mówił?

- Nie.

- Nie wspomniał ani słowem, że opuszczą zamek i przeniosą się za granicę?

- Nie.

To prawda, pomyślał Wallander. Mówi tak, jak było. I nie muszę się martwić, że źle zapamiętała. Chodzi o coś innego.

- Opowiedz o koniach - poprosił.

- To dwa piękne wierzchowce. Jedna klacz nazywa się Afrodyta i ma dziewięć lat. Druga, Jupitess, ma siedem lat i jest karej maści. Widać było, że dawno ich nikt nie ujeżdżał.

- Jak było widać? Bardzo mało wiem o koniach.

- Zauważyłam.

Wallander uśmiechnął się, słysząc jej ironiczny komentarz. Nie odezwał się, czekał na dalszy ciąg.

- Zupełnie oszalały, jak przyniosłam siodła - powiedziała. - Widać było, że stęskniły się za galopem.

- I pogalopowały sobie? - Tak.

- Jechałaś w zamkowym parku?

- Dostałam instrukcję, po których ścieżkach wolno mi jeździć.

Wallander wyostrzył uwagę, słysząc w jej głosie ledwie dostrzegalną zmianę, jakby cień niepokoju. Była już blisko czegoś, co chciała powiedzieć, ale wciąż nie mogła się zdecydować.

- Pojechałaś do parku.

- Najpierw na Afrodycie. W tym czasie Jupitess hasała na padoku.

- Jak długo jeździłaś?

- Pół godziny. Park zamkowy jest duży.

- A potem wróciłaś?

- Zostawiłam Afrodytę i osiodlałam Jupitess. Po półgodzinie byłam z powrotem.

Wallander od razu się domyślił. Coś musiało się wydarzyć podczas jazdy na drugim koniu. Odpowiedź nastąpiła zbyt szybko, jak gdyby Sofia brała rozbieg, żeby pokonać wywołującą lęk przeszkodę. Tym razem postanowił mówić bez ogródek.

- Wszystko, co mówisz, jest na pewno całkowitą prawdą - powiedział najbardziej przyjaźnie, jak potrafił.

- Nie mam nic więcej do dodania. Muszę już jechać z powrotem. Jak się spóźnię, to mnie wyrzucą.

- Zaraz pojedziesz. Mam jeszcze tylko kilka pytań. Wróćmy na chwilę do stajni i mężczyzny, który tam przyszedł. Myślę, że nie powiedziałaś mi wszystkiego, co mówił. Prawda? Mówił, że są w parku miejsca, do których nie wolno ci się zbliżać?

- To wiedziałam od Anity Karlen.

- Od niej również. Ale mężczyzna w stajni powiedział to w taki sposób, że cię wystraszył? Czy tak?

Kiwnęła głową, spuszczając wzrok.

- Ale kiedy wyjechałaś na Jupitess, pomyliłaś drogę. A może wybrałaś inną ścieżkę z ciekawości? Trudno nie zauważyć, że najchętniej robisz to, co ci się podoba. Więc jak było?

- Pomyliłam drogę.

Mówiła tak cicho, że Wallander musiał się pochylić nad stołem, żeby dosłyszeć.

- Wierzę ci - zapewnił. - Opowiedz, co się wydarzyło na ścieżce.

- Jupitess nagle się spłoszyła i wypadłam z siodła. Dopiero jak już się znalazłam na ziemi, zobaczyłam, co ją wystraszyło. Na ścieżce leżał człowiek. Wyglądał jak nieżywy. Ale kiedy podeszłam bliżej, okazało się, że to lalka wielkości człowieka.

Widać było po niej, że w dalszym ciągu jest zalekniiona. Wallander przypomniał sobie, co Gustaw Torstensson powiedział kiedyś pani Duner. Mianowicie, że Alfred

Harderberg ma makabryczne poczucie humoru.

- Przestraszyłaś się - skonstatował. - Sam bym się zląkł. Nie masz się czego obawiać. Dopóki będziesz utrzymywała ze mną kontakt.

- Lubię konie - wyznała. - Ale nie całą resztę.

- Zajmuj się końmi - poradził Wallander. - I uważaj na ścieżki, po których ci nie wolno jeździć.

Widać było, że spadł jej kamień z serca, kiedy już mu się zwierzyła.

- Teraz wracaj - polecił. - Ja tu jeszcze chwilę posiedzę. Masz rację, że nie powinnaś się spóźnić.

Sofia wstała i opuściła kawiarnię. Po jakichś trzydziestu sekundach Wallander wyszedł za nią na ulicę. Domyślał się, że poszła w dół do portu. Przyśpieszył kroku i zdążył zobaczyć, jak wsiada do taksówki przy portowym kiosku. Samochód odjechał. Wallander czekał, dopóki się nie upewnił, że nikt za nią nie jedzie. Potem poszedł do swojego samochodu i ruszył w powrotną drogę do Ystad. Rozmyślał o tym, co usłyszał od Sofii. Nie uzyskał żadnej pewności co do rzeczywistych planów Alfreda Harderberga.

Piloci, pomyślał. I trasy lotów. Jeżeli Harderberg zamierza wkrótce wyjechać z kraju, musimy być o krok przed nim.

Wallander uznał, że nadszedł czas, by złożyć kolejną wizytę na zamku w Farnholmie. Chciał się ponownie spotkać z Alfredem Harderbergiem.

Za piętnaście ósma był z powrotem w komendzie. W korytarzu wpadł na Ann-Britt Hóglund. Skinęła pośpiesznie głową i zniknęła za drzwiami swojego pokoju. Przystanął zmieszany. Dlaczego tak dziwnie się zachowała? Zawrócił do jej pokoju i zapukał. Kiedy go zaprosiła, wszedł i stanął w drzwiach.

- Mamy zwyczaj mówić sobie „cześć” w naszej komendzie.

Nic nie odpowiedziała. Siedziała pochylona nad teczką z dokumentami.

- Co cię ugryzło? Podniosła na chwilę wzrok.
 - Ty się mnie pytasz? Wallander wszedł do pokoju.
 - Nic nie rozumiem. Co ja takiego zrobiłem?
 - Myślałam, że jesteś inny - powiedziała. - Ale teraz widzę, że jesteś taki sam jak tamci.
 - Dalej nic nie rozumiem - powtórzył bezradnie Wallander. - Wy tłumacz mi, o co chodzi.
 - Nie mam nic więcej do powiedzenia. Najlepiej będzie, jak sobie pójdiesz.
 - Nie pójdę, dopóki mi nie wytłumaczysz.
- Wallander nie wiedział, czy ma się spodziewać wybuchu wściekłości, czy łez.
- Myślałem, że się zaprzyjaźniamy - oświadczył. - Że nie tylko się kolegujemy.
 - Ja też tak myślałam. Ale już tak nie myślę.
 - Powiedz wreszcie, o co chodzi!
 - Będę z tobą szczerą. Nie tak jak ty ze mną. Myślałam, że jesteś człowiekiem, na którym można polegać. Ale teraz zrozumiałam, że się myliłam. Trochę potrwa, zanim to przetrawię.
- Wallander rozłożył ramiona.
- Ciągłe nie rozumiem.
 - Wrócił dzisiaj Hansson - odparła. - Na pewno wiesz, bo przyszedł do mnie powtórzyć mi waszą rozmowę.
 - Co ci powiedział?
 - Że ucieszyłeś się z jego powrotu.
 - Zgadza się. Potrzebna nam jest wszelka dostępna pomoc.
 - Tym bardziej że nie jesteś ze mnie zadowolony. Wallander patrzył na nią, nie rozumiejąc.
 - Tak mówił? Że nie jestem z ciebie zadowolony? Że mu to powiedziałem?
 - Wolałabym się tego dowiedzieć od ciebie.
 - To nieprawda. Przeciwnie, powiedziałem, że okazałaś się dobrą policjantką.

- Mówił bardzo przekonująco.
- Przekłęty Hansson! - niemal krzyknął Wallander, nie panując nad złością. - Jeśli chcesz, zadzwonię do niego i natychmiast go tu ściągnę. Mogłaś się domyślić, że to wszystko kłamstwo.

- To dlaczego on to opowiada?

- Bo się ciebie boi.

- Mnie?

- A jak myślisz, dlaczego wciąż biega na szkolenia? Bo się boi, że go prześcigniesz. Nie może znieść myśli, że mogłabyś się okazać lepsza od niego.

Widział, że zaczyna mu wierzyć.

- To prawda - zapewnił ją. - Jutro porozmawiamy z Hanssonem - ty i ja. Mogę ręczyć, że nie będzie to dla niego przyjemna rozmowa.

Nie odezwała się. Potem spojrzała na niego.

- W takim razie przepraszam.

- On ma to zrobić. Nie ty.

Jednak nazajutrz rano, w piątek dwudziestego szóstego listopada, gdy gałęzie drzew przed komendą pokrywał szron, Ann-Britt Hóglund poprosiła Wallandera, żeby nie przeprowadzał rozmowy z Hanssonem. Przemyślała sprawę w nocy i wołałaby z nim porozmawiać sama - później, jak już nabierze do tego dystansu. Wallander był przekonany, że mu uwierzyła, więc się nie sprzeciwiał. Ale zapamiętał to Hanssonowi. Po południu, gdy wszyscy robili wrażenie przeziębionych i osowiałych, z wyjątkiem Pera Akesona, który już powrócił do zdrowia, Wallander zwołał zebranie. Opowiedział, jak poprzedniego wieczoru spotkał się z Sofią w Simrishamn, lecz to nie podniosło kolegów na duchu. Wtedy Svedberg zademonstrował szczegółową mapę obszaru należącego do zamku w Farnholmie. Był to bardzo duży teren. Svedberg dowiedział się, że rozległy park powstał pod koniec dziewiętnastego wieku, kiedy zamek był

w posiadaniu rodziny o nieszlacheckim nazwisku Martensson. Jego właściciel zbił majątek na budowie domów w Sztokholmie i najwyraźniej postanowił zrealizować marzenie o zamku, co przerodziło się w istną obsesję, graniczącą z pyszałkowatym szaleństwem. Kiedy Svedberg powiedział już wszystko o zamku, przeszli do eliminowania wszelkich szczegółów, które okazały się bez znaczenia lub w tym momencie zdawały się mniej ważne. Ann-Britt Hóglund znalazła wreszcie czas, by przesłuchać Kim Sung-Lee, sprzątaczkę z kancelarii adwokackiej. Tak jak się spodziewali, rozmowa nie wniosła nic nowego, a przeprowadzona kontrola jej osoby ujawniła, że ma wszystkie papiery w porządku i przebywa w Szwecji całkowicie legalnie. Ann-Britt Hóglund przesłuchiwała dodatkowo, z własnej inicjatywy, Sonję Lundin, pomoc biurową w kancelarii. Wallander stwierdził z satysfakcją, że siedzący przy końcu stołu Hansson nie potrafił ukryć niezadowolenia z okazywanej przez Ann-Britt samodzielności. Sonja Lundin również nic nie wiedziała. W notatkach przybywało skreśleń. Później, gdy wszyscy stali się jeszcze bardziej ociężali, a pokój zebrań spowiły szare opary zniechęcenia, Wallander usiłował dodać kolegom otuchy, zachęcając ich do podjęcia wysiłku w celu zdobycia dokumentacji o trasach lotu gulfstreama. Zaproponował także, by Hansson dyskretnie wywiedziać się czegoś o obu pilotach. Nie udało mu się jednak rozproszyc oparów, ogólna niemoc nagle go zaniepokoiła i pomyślał, że jedyną nadzieją są eksperci ekonomiczni. Wyniki ich pracy przy komputerach mogłyby tchnąć nowe życie w dochodzenie. Tego dnia przyrzekli dostarczyć szczegółową dokumentację finansowego imperium Harderberga. Zmuszeni byli jednak poprosić o kilka dodatkowych dni i spotkanie ustalono na najbliższy poniedziałek, dwudziestego dziewiątego listopada.

Wallander właśnie postanowił zakończyć zebranie, gdy Per Akeson podniósł rękę na znak, że chce zabrać głos.

- Powinniśmy omówić obecną fazę śledztwa - zaczął. - Zgodziłem się na skoncentrowanie dochodzenia na Alfredzie Harderbergu przez kolejny miesiąc. Nie mogę jednak zamykać oczu na fakt, że jedyne, co mamy, to bardzo wątpliwe poszlaki. Odnoszę wrażenie, że codziennie się od czegoś oddalamy, zamiast się przybliżać. Sądzę, że dobrze byłoby uświadomić sobie jasno i wyraźnie, na czym stoimy, i to w oparciu o fakty. Wyłącznie fakty.

Wszyscy spojrzeli na Wallandera. Słowa Akesona nie były dla niego zaskoczeniem, choć wolałyby ich nie usłyszeć.

- Masz rację - przyznał. - Trzeba wiedzieć, na czym stoimy. Mimo że wciąż nie dostaliśmy wyników od wydziału do walki z przestępczością gospodarczą.

- To, że pokroimy na kawałki i dokładnie zbadamy finansowe imperium, nie oznacza jeszcze, że znajdziemy mordercę lub morderców.

- Zgoda - przyznał Wallander. - Ale obraz nie będzie pełny bez tej informacji.

- Nie ma pełnego obrazu - wtrącił przygnębiony Martinsson.

- Nie ma w ogóle żadnego obrazu.

Wallander zrozumiał, że jeżeli zdecydowanie nie zapanuje nad sytuacją, wymknie mu się ona z rąk. Chcąc zebrać myśli, zaproponował przewietrzenie pokoju i kilkuminutową przerwę. Kiedy znów zajęli miejsca wokół stołu, przemówił stanowczym tonem.

- Dostrzegam istnienie pewnego wzoru - zaczął - podobnie jak wy wszyscy. Spróbujmy jednak podejść do całej sprawy z innej strony i najpierw ustalmy, czym ona nie jest. Nic nie wskazuje na to, że mamy do czynienia z szaleńcem. Inteligentny psychopata jest naturalnie w stanie zaplanować morderstwo, a następnie upozorować wypadek samochodowy. Ale nie mamy żadnego wyraźnego motywu,

a z perspektywy psychopaty zabójstwo Stena Torstenssona nie ma związku z tym, co zdarzyło się ojcu. Ani z próbą wysadzenia w powietrze pani Duner i mnie. Jeżeli mówię mnie, a nie Ann-Britt Hóglund, to dlatego, że jestem o tym przekonany. W rezultacie zaczynam postrzegać pewien ciąg wydarzeń, którego elementami są zamek w Farnholmie i Alfred Harderberg. Cofnijmy się teraz w czasie. Do dnia, kiedy Harderberg, jakieś pięć lat temu, po raz pierwszy nawiązał kontakt z Gustawem Torstenssonem.

W tym momencie do pokoju wszedł Bjórk i usiadł przy stole. Wallander przypuszczał, że Per Akeson, korzystając z krótkiej przerwy, zaprosił go na drugą część zebrania.

- Gustaw Torstensson zaczyna pracować dla Alfreda Harderberga - ciągnął dalej Wallander. - Jest to sytuacja nietypowa i rodzi pytanie, jaki pożytek może mieć magnat finansowy z usług prowincjonalnego adwokata. Przypuśćmy, że Alfred Harderberg zamierza obrócić mankamenty Gustawa Torstenssona na swoją korzyść, zakładając, że w razie potrzeby będzie mógł nim manipulować. Nic na ten temat nie wiemy, są to czyste spekulacje z mojej strony. Gdzieś po drodze zachodzi coś nieoczekiwanego. Gustaw Torstensson staje się niespokojny, a ściślej mówiąc, przygnębiony. Zauważa to jego syn i jego sekretarka. Co więcej, sekretarka twierdzi, że Torstensson sprawia wrażenie, jakby się czegoś bał. Mniej więcej w tym samym czasie wydarza się jeszcze coś. Lars Borman i Gustaw Torstensson poznają się w stowarzyszeniu miłośników malarstwa ikonowego. Nagle jednak ich stosunki się psują - możemy się tylko domyślać, że powodem jest Harderberg, który figuruje w tle afery finansowej w samorządzie terytorialnym Malmöhus. Pozostaje wciąż najważniejsze pytanie: dlaczego Gustaw Torstensson zaczął się dziwnie zachowywać? Sądzę, że pracując dla Alfreda Harderberga, musiał natrafić na coś, co

go wzburzyło. Może to samo, co wzburzyło Larsa Bormana. Nie wiemy, co to było. Po jakimś czasie Gustaw Torstensson zostaje zamordowany w upozorowanym wypadku samochodowym. Z informacji uzyskanych od Kurta Stroma możemy mniej więcej odtworzyć przebieg wypadków. Sten Torstensson odwiedza mnie w Skagen. W kilka dni później nie żyje. Musi czuć się zagrożony, bo usiłuje zmylić trop, sugerując, że przebywa w Finlandii, podczas gdy w rzeczywistości udaje się do Danii. Jestem zresztą przekonany, że w Danii ktoś za nim chodził. Ktoś był świadkiem naszego spotkania na wybrzeżu. Mordercy Gustawa Torstenssona deptali mu po piętach. Nie byli pewni, czy Gustaw Torstensson nie wyjawiał czegoś synowi. Nie mogli ustalić, o czym Sten ze mną rozmawiał. I jak dużo wie pani Duner. Dlatego Sten Torstensson zostaje zamordowany, pani Duner o mało nie wylatuje w powietrze, a mój samochód płonie. To jest również powód, dla którego obserwuję mnie, a nie kogoś z was. Teraz wracamy z powrotem do pytania, co odkrył Gustaw Torstensson. Czy ma to jakiś związek z plastikowym pojemnikiem, znalezionym na tylnym siedzeniu jego samochodu? A może chodzi o coś innego, czego moglibyśmy się dowiedzieć od ekspertów z działu ekonomicznego? W każdym razie rysuje się pewien bieg zdarzeń, którego początkiem jest zamordowanie z zimną krwią Gustawa Torstenssona. Natomiast los Stena Torstenssona został przypieczętowany w chwili, kiedy zdecydował się odwiedzić mnie w Skagen. Te zajścia usiłujemy wyjaśnić. W tle widoczna jest tylko osoba Alfreda Harderberga i jego imperium. W każdym razie niczego innego nie dostrzeżliśmy.

Kiedy Wallander skończył, wokół stołu zaległa cisza. Zastanawiał się, co to oznacza - czy jego słowa pogłębiły uczucie zwątpienia, czy też przeciwnie?

- Rysujesz bardzo sugestywny obraz sytuacji - odezwał się

Per Akeson, przerywając przytłaczające milczenie. - Być może masz słuszość. Niestety, nie posiadamy na to żadnych dowodów, w szczególności technicznych.

- Dlatego należy jak najszybciej wyjaśnić sprawę plastikowego pojemnika - upierał się Wallander. - Trzeba zerwać zasłonę z Avancy i zobaczyć, co się za nią kryje. Gdzieś musi być nitka, która doprowadzi nas do kłębka.

- Zastanawiam się, czy nie trzeba poważnie porozmawiać z Kurtem Strómem - powiedział Per Akeson. - Co to są za faceci, którzy stale się kręcą w pobliżu Alfreda Harderberga?

- Myślałem o tym - przyznał Wallander. - Od Kurta Stroma mogliśmy chyba wyciągnąć więcej informacji. Ale jak tylko zaczniemy podpytywać kogoś z zamku w Farnholmie, Alfred Harderberg domyśli się, że podejrzewamy go o bezpośredni udział w morderstwach. Wątpię, czy wtedy uda nam się kiedykolwiek znaleźć rozwiązanie. Mając takie pieniądze, Harderberg wymiecie wokół siebie teren do czysta. Sądzę natomiast, że ponownie się z nim skontaktuję w ramach przyjętej przez nas taktyki fałszywego tropu.

- Musisz być wiarygodny - zaznaczył Per Akeson. - Inaczej cię przejrzy. - Postawił na stole teczkę i zaczął do niej wkładać swoje papiery. - Kurt przedstawi! kierunek naszego śledztwa. Może jest on prawidłowy, ale jak na razie mało konkretny i niepoparty dowodami. Niemniej proponuję, by poczekać do poniedziałku na opinię wydziału gospodarczego.

Zakończyli zebranie. Wallander był niespokojny. Jego własne słowa tłukły mu się po głowie. A może Per Akeson ma rację? On, Wallander, dokonał, co prawda, przekonującego podsumowania śledztwa, ale co będzie, jeżeli jego trop doprowadzi ich do przepaści?

Coś musi się wydarzyć, pomyślał.

Coś musi się wydarzyć bardzo szybko.

Kiedy później Wallander wracał myślą do tamtych tygodni, uważał je bodaj za najgorsze w całej swojej karierze policjanta. Albowiem wbrew jego nadziejom nie wydarzyło się absolutnie nic. Ekspertki ekonomiczni przedstawiali im rozwlekłe opracowania, które nieodmiennie kończyły się zapewnieniem, że potrzebują więcej czasu. Wallanderowi udawało się pohamować zniecierpliwienie, a może nawet rozczarowanie, gdyż zdawał sobie sprawę, że personel z wydziału gospodarczego pracuje ciężko i z poświęceniem. Próbował ponownie nawiązać kontakt z Kurtem Strómem, ale okazało się, że ten wyjechał do Vasteras na pogrzeb matki. Zamiast jechać za nim, Wallander postanowił czekać. Hansson nie był w stanie złapać pilotów gulfstreama, ponieważ ciągle odbywali loty z Harderbergiem. Jedyne, co im się udało w tym pozbawionym widoków okresie, to zdobyć dostęp do tras przelotów Harderberga. Stwierdzili, że odbywał niewiarygodną liczbę podróży. Svedberg obliczył, że same koszty paliwa musiały sięgać wielu milionów koron rocznie. Ekspertki ekonomiczni skopiowali trasy przelotów i na ich podstawie usiłowali odtworzyć przebieg pośpiesznie zawieranych transakcji.

Wallander odbył dwa spotkania z Sofią, oba w kawiarni w Simrishamn, ale nie dowiedział się niczego nowego.

Nadszedł grudzień i Wallander coraz wyraźniej sobie uświadamiał, że dochodzenie się nie posuwa, a właściwie utknęło w martwym punkcie.

Nic ważnego nie następowało. Zupełnie nic.

W sobotę czwartego grudnia Ann-Britt Hóglund zaprosiła go na obiad. Jej mąż był akurat w domu, w przerwie między podróżami, jakie odbywał po całym świecie w poszukiwaniu uszkodzonych urzędzeń pompujących. Wallander stanowczo za dużo wypił. Przez cały wieczór ani razu nie wspomnieli o dochodzeniu. Późno w nocy Wallander postanowił wrócić do domu na piechotę. W pobliżu poczty

przy Kyrkogardsgatan oparł się o ścianę jakiejś kamienicy i zwymiotował. Gdy znalazł się wreszcie w domu na Mariagatan, siadł z ręką na telefonie, żeby zadzwonić do Baiby do Rygi. Jakoś się jednak opamiętał i zamiast tego zadzwonił do Lindy do Sztokholmu. Była zła, kiedy usłyszała jego głos, i powiedziała, żeby zadzwonił nazajutrz rano. Z tej krótkiej rozmowy Wallander wywnioskował, że nie była sama. Zrobiło mu się nieprzyjemnie i zawstydził się tego uczucia. Kiedy jednak zadzwonił następnego dnia, nie zapytał jej, czy dobrze zgadł. Opowiadała mu o swojej pracy praktykantki w warsztacie tapicerskim i odniósł wrażenie, że jest zadowolona z tego, co robi. Rozczarowała go natomiast, oświadczając, że nie przyjedzie do Skanii na święta Bożego Narodzenia. Waz z przyjaciółmi wynajęła domek w górach w Vasterbotten. Na koniec zapytała go, jak się miewa.

- Ścigam Jedwabnego Rycerza - odpowiedział.

- Jedwabnego Rycerza?

- Kiedyś ci wytłumaczę, kim jest Jedwabny Rycerz.

- Brzmi bardzo pięknie.

- Ale nie jest piękne. My, policjanci, rzadko ścigamy coś pięknego.

Nic się nie działo. W czwartek dziewiątego grudnia Wallander był już gotów się poddać. Zamierzał nazajutrz zaproponować Perowi Akesonowi, żeby skierował śledztwo na inne tory.

Jednakże w piątek, dziesiątego, coś wreszcie się ruszyło. Nie wiedział jeszcze, że czas zniechęcenia mają za sobą. Kiedy przyszedł rano do pracy, znalazł wiadomość, że ma niezwłocznie zadzwonić do Kurta Stroma. Zdjął kurtkę, usiadł na krześle i wybrał numer. Kurt Ström odebrał natychmiast.

- Chciałbym się z tobą zobaczyć - powiedział.

- Tutaj czy u ciebie w domu? - zapytał Wallander.

- Ani tu, ani tam - odparł Kurt. - Mam niewielki domek w Sandskogen, przy Svarta vagen dwanaście. Czerwony dom. Możesz tam być za godzinę?

- Już jadę.

Rozmowa się skończyła. Wallander odłożył słuchawkę i wyjrzał przez okno.

Potem wstał, wziął kurtkę i pośpiesznie opuścił gmach komendy.

Deszczowe chmury gnały po niebie.

Wallander był zdenerwowany. Wyszedł z komendy i wyjechał z miasta w kierunku na wschód. Skrzył w prawo przy Jaktpaviljongsvagen i zatrzymał się, kiedy dojechał do schroniska. Mimo że wiało i było zimno, udał się na opustoszały brzeg. Wydało mu się nagle, że cofnął się w czasie o kilka miesięcy. Brzeg, po którym szedł, znajdował się na Jutlandii i w Skagen, a on znów odbywał samotny patrol na chłostanym wiatrem obszarze.

Uzucie to opuściło go równie szybko, jak się pojawiło. Co jak co, ale nie miał czasu na bujanie w obłokach. Próbował odgadnąć, co spowodowało, że Kurt Stróm nawiązał z nim kontakt. Miał nadzieję, że dostarczy mu czegoś, co wreszcie spowoduje tak długo oczekiwany przełom w śledztwie. Zdawał sobie jednak sprawę, że jest to tylko pobożne życzenie. Kurt Stróm nie cierpiał nie tylko jego osobiście, nienawidził całej policji, bo wyrzuciła go poza nawias środowiska. Na jego pomoc nie ma co liczyć. Czego mógł chcieć od Wallandera, pozostawało zagadką.

Zaczęło padać. Wiatr zagnał go z powrotem do samochodu. Zapalił silnik i włączył ogrzewanie. Przeszła kobieta z psem i skierowała się na wybrzeże. Wallander przypomniał sobie kobietę z psem, którą tak często mijał w Skagen. Pozostało mu jeszcze blisko pół godziny do spotkania ze Strómem. Jechał powoli Strandvagen w kierunku miasta, potem zawrócił i wjechał pomiędzy letniskowe domy w Sandskogen. Z łatwością odnalazł czerwony dom Stroma. Zaparkował i wszedł do ogródka. Dom wyglądał jak domek dla lalek w powiększeniu. Był w marnym stanie. Ponieważ na ulicy nie stał żaden samochód, Wallander sądził, że przyjechał pierwszy. Nagle w drzwiach stanął Kurt Stróm.

- Nie widziałem samochodu - powiedział Wallander. - Myślałem, że cię jeszcze nie ma.

- Ale już jestem. O mój samochód nie musisz się martwić. Skinął głową, zapraszając Wallandera do środka. Komisarz poczuł słaby zapach jabłek. Zasłony były zaciągnięte, meble okrywały białe prześcieradła.

- Masz ładny dom - pochwalił Wallander.

- Kto powiedział, że to mój? - odparł niechętnie Stróm, ściągając prześcieradła z dwóch krzeseł. - Nie mam kawy - oświadczył. - Będziesz musiał się obejść smakiem.

Wallander usiadł na krześle. Wewnątrz było zimno i wilgotno. Kurt Stróm usadowił się naprzeciwko. Miał na sobie wymięty garnitur i długi, gruby płaszcz.

- Chciałeś się ze mną zobaczyć - zaczął Wallander. - Oto jestem.

- Pomyślałem, że możemy ubić interes, ty i ja - powiedział Kurt Stróm. - Przypuśćmy, że mam coś, co ty chciałbyś mieć.

- Nie robię interesów - odparł Wallander.

- Nie bądź taki prędko - rzekł Kurt Stróm. - Na twoim miejscu przynajmniej bym posłuchał.

Wallander uświadomił sobie, że Stróm ma rację. Powinien był się wstrzymać. Skinął głową na znak, by Stróm mówił dalej.

- Nie było mnie parę tygodni, bo zmarła mi matka - poinformował Stróm. - Miałem dużo czasu do namysłu. Między innymi zastanawiałem się, dlaczego policja tak się interesuje zamkiem w Farnholmie. Po twojej wizycie u mnie domyśliłem się naturalnie, że zamordowanie tych dwóch adwokatów ma jakiś związek z zamkiem. Problem w tym, że nie wiem jaki. Syn nigdy tam nie postawił nogi. Tylko stary miał do czynienia z Harderbergiem. Ten, który, jak sądziliśmy, zabił się w wypadku.

Patrzył na Wallandera, jakby oczekiwał jakiegoś komentarza.

- Mów dalej - rzucił Wallander.

- Po powrocie do pracy twoja wizyta wyleciała mi z głowy - ciągnął Stróm. - Ale sytuacja się niespodziewanie zmieniła. Wyjął z kieszeni płaszcz, papierosy i zapalniczkę. Wyciągnął paczkę w stronę Wallandera, lecz ten pokręcił odmownie głową.

- Jednej rzeczy się w życiu nauczyłem - rzekł Stróm.

- Przyjaciół należy trzymać na dystans. Natomiast wrogów trzeba mieć jak najbliżej siebie.

- Domyślam się, że dlatego tu jestem - wtrącił Wallander.

- Być może. Wiedz, że cię nie lubię. Dla mnie jesteś najgorszym przykładem dzielnego policjanta, od których aż się roi w szwedzkiej policji. Ale interesy można robić nawet z wrogami albo z ludźmi, których się nie lubi. I to całkiem dobre interesy.

Stróm wyszedł do kuchni, wrócił ze spodkiem, do którego strząsał popiół. Wallander czekał.

- Nowa sytuacja - powtórzył Stróm. - Wróciłem do pracy i zastałem wiadomość, że mam pracować tylko do świąt Bożego Narodzenia. Tego się nie spodziewałem. Ale Harderberg postanowił najwyraźniej wyprowadzić się z Farnholmu.

Przedtem był doktor Harderberg, przemknęło przez myśl Wallanderowi. Teraz już tylko Harderberg.

- Byłem, rzecz jasna, wściekły - mówił Stróm. - Kiedy dostałem pracę jako szef ochrony, obiecano mi stałe zatrudnienie. Nikt nie wspominał o tym, że Harderberg zechce się pewnego dnia wyprowadzić. Pensja była dobra, kupiłem dom. Nagle miałem znów zostać bez pracy. Wcale mi się to nie uśmiechało.

Wallander zrozumiał, że się omylił. Całkiem możliwe, że Kurt Stróm ma coś ważnego do powiedzenia.

- Nikt nie lubi tracić pracy - przyznał Wallander.

- Co ty możesz o tym wiedzieć?

- Oczywiście nie tyle, co ty.

- Nie ma co owijać w bawełnę - powiedział Stróm.
- Ty potrzebujesz informacji z zamku. Informacji, których nie możesz zdobyć, nie okazując zarazem zainteresowania. A tego nie chcesz. Inaczej wjechałbyś przez główną bramę i przeprowadził przesłuchanie Harderberga. Nie interesuje mnie, dlaczego chcesz zdobyć informacje bez ujawniania się. Najważniejsze, że ja jeden mogę ci w tym pomóc. W zamian za coś, czego potrzebuję od ciebie.
- Wallander zastanawiał się przez chwilę, czy to nie jest pułapka. Czyżby Harderberg nasłał Kurta Stroma? Doszedł do wniosku, że nie. Ryzyko, że ich przejrzy, było zbyt wielkie.
- Masz rację - przyznał. - Są sprawy, które chciałbym poznać. Tak żeby nikt nie zauważył. Czego żądasz w zamian?
- Bardzo niewiele - rzekł Stróm. - Kawałka papieru.
- Papieru?
- Muszę myśleć o przyszłości - oświadczył Stróm. - Jeżeli takowa istnieje, to tylko w prywatnej firmie ochroniarskiej. Kiedy mnie przyjmowali do pracy na zamku w Farnholmie, miałem wrażenie, że mój negatywny stosunek do szwedzkiej policji był raczej plusem. Ale w innej sytuacji może się, niestety, okazać minusem.
- Co ma być na tym papierze?
- Pięknie sformułowane zaświadczenie. Na policyjnym papierze. Z podpisem Bjórka.
- To nie przejdzie - zaprotestował Wallander. - Można łatwo sprawdzić. Nigdy nie pracowałeś w Ystad. Kontrola w Głównym Zarządzie Policji wykaże, że zostałeś wyrzucony.
- Naturalnie, że jesteś w stanie załatwić zaświadczenie, jeśli zechcesz - odparł Stróm. - A z tym, co się znajduje w archiwum Głównego Zarządu Policji, dam sobie radę w inny sposób.
- Jak?

- To moja sprawa. Od ciebie potrzebuję zaświadczenia.
- Jak miałbym namówić Bjórka do wystawienia fałszywego zaświadczenia?
- To twój problem. Zresztą nigdy nie wyjdzie na jaw, że maczałeś w tym palce. Na świecie się roi od fałszywych dokumentów.
- W takim razie załatw sobie ten papier bez mojej pomocy. Podpis Bjórka można podrobić.
- Naturalnie - zgodził się Stróm. - Ale zaświadczenie musi się znaleźć w systemie komputerowym. Do tego właśnie jesteś mi potrzebny.
- Wallander wiedział, że Stróm ma rację. Sam kiedyś brał udział w fałszowaniu paszportu. Mimo to pomysł wydał mu się odstręczający.
- Powiedzmy, że się nad tym zastanowię - rzekł Wallander. - Pozwól mi zadać kilka pytań. Twoje odpowiedzi potraktujemy jako próbki towaru. Potem ci powiem, czy się zgadzam, czy nie.
- Ja będę decydował, ile razy odpowiem - zaznaczył Stróm. - I sprawa ma być załatwiona tu i teraz. Zanim sobie pójdziesz.
- Zgadzam się.
- Kurt Stróm zapalił kolejnego papierosa i popatrzył na Wallandera.
- Dlaczego Alfred Harderberg się wyprowadza?
- Nie wiem.
- Dokąd się przenosi?
- Tego też nie wiem. Przypuszczam, że za granicę.
- Dlaczego tak sądzisz?
- W zeszłym tygodniu przewinęło się wielu agentów z zagranicznych agencji mieszkaniowych.
- Skąd?
- Ameryka Południowa. Ukraina. Birma.
- Czy zamek jest na sprzedaż?

- Alfred Harderberg ma zwyczaj zachowywać siedziby, w których kiedyś mieszkał. Nie sprzeda zamku w Farnholmie. To, że sam w nim nie będzie mieszkał, nie oznacza, że wpuści tam kogoś innego. Posypie go naftaliną.

- Kiedy się wyprowadza?

- On sam może nawet jutro. Nikt nie wie. Ale podejrzewam, że bardzo niedługo, najpewniej przed świętami.

Wallander zastanawiał się nad dalszymi pytaniami. Było ich wiele, stanowczo za wiele. Nie mógł się zdecydować, co jest najważniejsze.

- Mężczyźni w cieniu - zapytał w końcu. - Co to za jedni? Kurt Ström skinął głową zdziwiony.

- Wyjątkowo trafne określenie - zauważył.

- Widziałem dwóch mężczyzn w głównym holu - mówił dalej Wallander. - Tego wieczoru, kiedy odwiedziłem Harderberga. Widziałem ich również wtedy, kiedy po raz pierwszy byłem na zamku i rozmawiałem z Anitą Karlen. Co to za jedni?

Kurt Ström zamyślony śledził wzrokiem dym z papierosa.

- Odpowiem - rzekł. - Ale to będzie ostatnia próbka towaru.

- Jeżeli odpowiedź będzie dobra - zastrzegł Wallander. - Co to za jedni?

- Jeden z nich to Richard Tolpin. Urodził się w Afryce Południowej. Myślę, że nie było wojny lub konfliktu w Afryce, w których przez ostatnie dwadzieścia lat nie brałby udziału.

- Po czyjej stronie?

- Po tej, która w danym momencie najlepiej płaciła. Ale o mały włos, a skończyłoby się źle już na samym początku. Kiedy Angola wyparła Portugalczyków w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym piątym roku, wzięto do niewoli około dwudziestu najemników, których postawiono przed sądem. Piętnastu z nich skazano na śmierć. Między innymi Richarda Tolpina. Czternastu z nich zastrzelono. Dlaczego

darowali życie Tolpinowi, nie wiem. Prawdopodobnie udowodnił, że może się przydać również nowym władcom.

- Ile ma lat?

- Około czterdziestki. Znakomicie wysportowany. Mistrz karate. Dobry strzelec.

- A drugi?

- Pochodzi z Belgii. Maurice Obadia. Też żołnierz. Młodszy od Tolpina, ma trzydzieści cztery, może trzydzieści pięć lat. Więcej nie wiem.

- Co robią na zamku w Farnholmie?

- Określa się ich jako „specjalnych doradców”. Ale są po prostu goryłami Harderberga. Bardziej doświadczonych i niebezpiecznych ludzi trudno znaleźć. W dodatku Harderberg najwyraźniej dobrze się czuje w ich towarzystwie.

- Skąd wiesz?

- Nieraz w nocy ćwiczą strzelanie w zamkowym parku. Strzelają do bardzo nietypowego celu.

- Mów dalej!

- Do lalek naturalnej wielkości. Zawsze celują w głowę. I najczęściej trafiają.

- Czy Harderberg bierze w tym udział?

- Tak. Bywa, że strzelają całą noc.

- Wiesz może, czy Tolpin lub Obadia mają pistolet marki Bernardelli?

- Trzymam się jak najdalej od ich broni palnej - oświadczył! Stróm. - Istnieje pewien rodzaj ludzi, do których w ogóle nie należy się zbliżać.

- Muszą mieć pozwolenie na broń - zauważył Wallander. Kurt Stróm się uśmiechnął.

- Tylko wtedy, kiedy przebywają w Szwecji. Wallander uniósł pytająco brwi.

- Co masz na myśli? Zamek w Farnholmie leży chyba w Szwecji?

- „Specjalni doradcy” są w nieco szczególnej sytuacji - wyjaśnił Stróm. - Oni nigdy nie przyjechali do Szwecji. Nie można więc powiedzieć, że tu przebywają.

Starannie zgasił papierosa i mówił dalej.

- Na zamku jest lądowisko dla helikopterów. Od czasu do czasu, zawsze nocą, zapalają się podziemne reflektory. Ląduje helikopter, nieraz dwa. Odlatują przed świtem. Nisko latające helikoptery, których nie wyłapuje radar. Kiedy Harderberg wybiera się w podróż swoim gulfstreamem, Tolpin i Obadia odlatują w noc poprzedzającą jego wyjazd. Potem gdzieś się spotykają. Może w Berlinie. Helikoptery są tam zarejestrowane. Kiedy wracają, to w ten sam sposób. Czyli nigdy nie przekraczają normalnej granicy. Wallander pokiwał głową w zadumie.

- Ostatnie pytanie - rzekł. - Skąd to wszystko wiesz? Siedzisz zamknięty w bunkrze przy bramie. Na pewno nie możesz się swobodnie poruszać.

- Na to pytanie - odrzekł z poważną miną Stróm - nie odpowiem. Powiedzmy, że to tajemnica zawodowa, której nie mogę ujawnić.

- Załatwię ci zaświadczenie - przyrzekł Wallander.

- Co takiego chcesz wiedzieć? - Stróm uśmiechnął się.

- Wiedziałem, że się dogadamy.

- Nie wiedziałeś - odparował Wallander. - O której zaczynasz służbę na zamku?

- Pracuję trzy noce z rzędu. Dziś wieczór zaczynam o siódmej.

- Wróć tu o trzeciej po południu - powiedział Wallander.

- Wtedy coś ci pokażę. I zadam pytanie.

Stróm wstał i wyrzwał przez zasłonę.

- Czyżby ktoś cię śledził? - zapytał Wallander.

- Ostrożność nigdy nie zawadzi - odparł Stróm. - Myślałem, że się tego nauczyłeś?

Wallander wyszedł z domu i szybko wszedł do samochodu.

Pojechał prosto do komendy. W recepcji poprosił Ebbę, aby natychmiast zawiadomiła grupę dochodzeniową o zebraniu.

- Coś taki zagoniony? - spytała zatroskana. - Stało się coś?

- Tak - odparł Wallander. - Nareszcie coś się stało. Nie zapomnij zawiadomić Nyberga. Chcę, żeby też przyszedł.

Zebrał się w dwadzieścia minut później. Ebbie nie udało się złapać Hanssona, który wcześniej rano wyszedł z komendy, nie mówiąc, dokąd idzie. Per Akesson i Björk weszli do pokoju w momencie, kiedy Wallander postanowił już dłużej nie czekać. Nie wspominając, rzecz jasna, o porozumieniu zawartym z Kurtem Strómem, zdał relację z ich spotkania w domu przy ulicy Svarta vagen. Zniechęcenie, które panowało w czasie poprzednich zebrań ekipy śledczej, zdawało się ustępować, chociaż Wallander widział malującą się na twarzach kolegów niepewność. Pomyślał, że jego sytuację można porównać do sytuacji trenera, który próbuje przekonać swoją drużynę o czekającej ją wygranej, mimo że w ciągu ostatniego półrocza przegrywała wszystkie mecze.

- Wierzę w to - zakończył swoje sprawozdanie. - Kurt Ström może się okazać bardzo cenny.

Per Akesson pokręcił głową.

- Nie podoba mi się to - oświadczył. - Dalsze losy śledztwa miałyby zależeć od ochroniarza, który został kiedyś wylany z policji? I on ma być naszym zbawcą?

- Jest jakieś inne wyjście? - zapytał Wallander. - Zresztą nie widzę w tym nic sprzecznego z prawem. To on do nas przyszedł, a nie odwrotnie.

Reakcja Björka była zdecydowanie bardziej negatywna.

- To wykluczone, żebyśmy się mogli posłużyć informatorem, który został wyrzucony z policji - powiedział. - W razie niepowodzenia i przecieku do mediów byłby straszny skandal. Szef Głównego Zarządu Policji rozszarpałby mnie na kawałki.

- Niech rozszarpie mnie - rzekł Wallander. - Jestem

przekonany, że Stróm mówi serio. Chce nam pomóc. Dopóki nie wdajemy się w coś nielegalnego, nie ma powodu do skandalu.

- Już widzę nagłówki gazet - upierał się Bjórk. - Nie są przychylnie.

- A ja widzę inne nagłówki - zaproponował Wallander. - Głoszące, że policji nie udało się rozwikłać dwóch kolejnych morderstw.

Martinsson, słysząc, że rozmowa przybiera zły obrót, przerwał im.

- Dziwne, że nie zażądał niczego w zamian za swoją pomoc. Czy rzeczywiście wściekłość z powodu utraty pracy jest wystarczającym motywem, żeby ofiarować swoje usługi zniechęconej policji?

- On nienawidzi policji - przyznał Wallander. - A mimo to uważam, że ma szczerą intencję.

W pokoju zapadła cisza. Per Akeson namyślał się, przygryzłszy górną wargę.

- Co z pytaniem Martinssona? Nie odpowiedziałeś na nie.

- Nie żądał niczego w zamian - skłamał Wallander.

- Czego ty właściwie od niego chcesz?

Wallander skinął głową w stronę Nyberga, który w milczeniu siedział obok Ann-Britt Hoglund.

- Sten Torstensson zginął od kul, które przypuszczalnie wystrzelono z pistoletu marki Bernardelli. Nyberg stwierdził, że to rzadka broń. Chcę, żeby Stróm sprawdził, czy któryś z goryli Harderberga ma taki pistolet. Wtedy moglibyśmy pójść do zamku z nakazem zatrzymania.

- I tak możemy - zauważył Per Akeson. - Uzbrojeni ludzie, niezależnie od rodzaju posiadanej broni, przebywający nielegalnie w kraju. Dla mnie to wystarczy.

- A co dalej? - zapytał Wallander. - Zatrzymamy ich. Wydalimy z kraju. Postawiliśmy wszystko na jedną kartę i tę kartę zmarnujemy. Zanim się upewnimy, czy ci faceci są

ewentualnymi mordercami, musimy przynajmniej wiedzieć, że któryś z nich ma poszukiwaną przez nas broń.

- Odciski palców - wtrącił nagle Nyberg. - To byłoby coś. Moglibyśmy zwrócić się do Europolu i Interpolu.

Wallander przytaknął. Zapomniał o odciskach palców. Per Akeson nadal przygryzał górną wargę.

- Masz jeszcze coś?

- Nie - powiedział Wallander. - Nie w tej chwili. Wiedział, że stąpa po linie, z której w każdej chwili może spaść. Jeśli powie za dużo, Per Akeson może zakazać dalszych kontaktów ze Strómem. W każdym razie wywołałoby to dalsze dyskusje, które wszystko by znacznie opóźniły. Dlatego Wallander zdecydował się nie ujawniać całego planu.

Podczas gdy Per Akeson wciąż się namyślał, Wallander pochwycił spojrzenia Nyberga i Ann-Britt Hóglund. Ann-Britt Hóglund się uśmiechała. Nyberg prawie niedostrzegalnie skinął głową. Zrozumieli, pomyślał Wallander. Wiedzą, co naprawdę myślę. I są po mojej stronie.

Akeson dogadał się wreszcie sam ze sobą.

- Jeszcze tym razem - powiedział. - Ale tylko ten jeden raz. Żadnych więcej kontaktów ze Strómem bez mojej wiedzy. Chcę wiedzieć, o co macie go zamiar pytać, zanim zgodzę się na jego dalszy udział. I liczcie się z tym, że raczej się nie zgodzę.

- Jasne - zapewnił Wallander. - Nie jestem nawet pewny, czy będzie jeszcze jakiś następny raz.

Po zakończeniu zebrania Wallander zabrał Nyberga i Ann-Britt Hóglund do siebie do pokoju.

- Widziałem, że odgadliście mój plan - oznajmił, kiedy zamknął drzwi. - Ponieważ nic nie mówiliście, rozumiem, że zgadzacie się ze mną, że należy pójść o krok dalej, niż powiedziałem Akesonowi.

- Plastikowy pojemnik - rzekł Nyberg. - Jeśli Stróm znajdzie taki sam na zamku, będę wdzięczny.

- Właśnie tak - zgodził się Wallander. - Pojemnik to najważniejsze, co posiadamy. Albo jedyne, co posiadamy - zależy, jak na to popatrzeć.

- Jak go ze sobą zabierze? - zapytała Ann-Britt Hóglund. Wallander i Nyberg wymienili porozumiewawcze spojrzenia.

- Jeżeli jest tak, jak myślimy, to pojemnik, który znaleźliśmy w samochodzie Gustawa Torstenssona, został podmieniony. Pomyślałem, że możemy znowu dokonać zamiany.

- Powinam była na to wpaść - powiedziała. - Za wolno myślę.

- Czasami to Wallander myśli za szybko - rzekł spokojnie Nyberg.

- Muszę go mieć za kilka godzin - przypomniał Wallander. - O trzeciej mam się znów spotkać ze Strómem.

Nyberg wyszedł. Ann-Britt Hóglund chwilę zwlekała.

- Czego on od ciebie chciał?

- Nie wiem - odparł Wallander. - Twierdził, że wystarczy mu zaświadczenie, że nie był złym policjantem. Ale za tym kryje się coś więcej.

- Co takiego?

- Nie wiem na pewno. Mogę się tylko domyślać. Ale niewykluczone, że się mylę.

- Nie chcesz oczywiście powiedzieć, czego się domyślasz?

- Jeszcze nie teraz. Dopiero jak będę wiedział na pewno.

Tuż po drugiej Nyberg przyszedł do biura Wallandera z plastikowym pojemnikiem. Zapakował go w czarne torby na śmieci.

- Nie zapomnij o odciskach palców - przypomniał Nyberg. - Cokolwiek będą trzymali w ręce. Szklanki, filizanki, gazety.

O wpół do trzeciej Wallander zaniósł pojemnik do samochodu. Postawił go na tylnym siedzeniu i ruszył do

Sandskogen. Deszcz zaczął, gnany wiatrem od morza. Kiedy Wallander wysiadał z samochodu, Stróm otworzył drzwi. Wallander zauważył, że ma na sobie uniform. Wniósł pojemnik do czerwonego domu.

- Co to za uniform? - zapytał.

- Z zamku w Farnholmie, ich własny. Nie wiem, kto go wymyślił.

Wallander ściągnął z pojemnika czarne torby na śmieci.

- Widziałeś to kiedyś? - spytał. Stróm pokręcił głową.

- Gdzieś w zamku musi być identyczny - mówił dalej Wallander. - Prawdopodobnie jest ich więcej. Chcę, żebyś zamienił ten na któryś z tamtych. Czy możesz się dostać do zamku?

- Robię w nocy obchód.

- Jesteś pewny, że nigdy tego nie widziałeś?

- Nigdy. Nawet nie wiem, gdzie szukać. Wallander chwilę się namyślał.

- Nie muszę wcale mieć racji. Może gdzieś w zamku jest chłodnia?

- W piwnicy - powiedział Stróm.

- To poszukaj tam. I nie zapomnij o bernardellim.

- Z tym będzie trudniej. Zawsze mają przy sobie broń. Podejrzewam, że biorą ją ze sobą do łóżka.

- Potrzebne nam jeszcze odciski palców Tolpina i Obadii. To wszystko. Potem dostaniesz zaświadczenie. Jeśli rzeczywiście o to ci chodzi.

- A o co niby miałoby mi chodzić?

- Myślę, że chcesz pokazać, że wcale nie jesteś takim złym policjantem, za jakiego wielu cię uważa.

- Mylisz się - odparł Stróm. - Muszę myśleć o przyszłości.

- Tak mi tylko przyszło do głowy. Nic więcej.

- Jutro o trzeciej - zakończył Stróm. - Tutaj.

- Jeszcze jedno - przypomniał Wallander. - Jeżeli coś nie wypali, ja nic nie wiem o twoich zamiarach.

- Znam reguły gry - powiedział Stróm. - Jeśli to już wszystko, to możesz sobie iść.

Wallander pobiegł w deszczu do samochodu. Zatrzymał się w kawiarni Fridolfa, napił się kawy i zjadł parę kanapek. Czuł niesmak na myśl, że nie wyjawiał całej prawdy na zebraniu grupy dochodzeniowej. Niemniej wiedział, że gotów jest sfalszować zaświadczenie dla Kurta Stroma, jeśli okaże się to konieczne. Myślał o Stenie Torstenssonie, który zwrócił się do niego z prośbą o pomoc. I o tym, jak on odmówił. Jedyne, co mu teraz pozostaje, to przynajmniej wyjaśnić, kto go zamordował.

Wsiadł do samochodu i siedział, nie włączając silnika. Patrzył na śpieszących w deszczu ludzi, wspominając zajście sprzed kilku lat, kiedy pijany wracał z Malmö i zatrzymali go jego własni koledzy. Nikt nigdy się o tym nie dowiedział. W tamtej chwili nie był zwykłym obywatelem. Był policjantem, którego chronili jego ludzie. Zamiast sprawić, by został ukarany, zawieszony w obowiązkach lub nawet zwolniony, Peters i Noren - dwaj policjanci, którzy przerwali jego wariacką jazdę - wzięli w zastaw jego lojalność. Jak by postąpił, gdyby pewnego dnia jeden z nich zażądał zwrotu długu?

Kurt Stróm tęskni w głębi duszy do policji, pomyślał Wallander. Uraza i nienawiść, które demonstruje, to tylko przykrywka. Z pewnością marzy o powrocie.

Wallander pojechał do komendy. Wszedł do pokoju Martinssona, który rozmawiał przez telefon. Kiedy odłożył słuchawkę, natychmiast zapytał go o spotkanie.

- Stróm ma wywęszyć włoski pistolet i zdobyć odciski palców - poinformował Wallander.

- Wciąż nie mogę uwierzyć, że nic za to nie chce - rzekł Martinsson.

- Ja też nie - odpowiedział wymijająco Wallander. - Być może nawet taki Kurt Stróm ma swoje dobre strony.

- Jego pierwszym błędem było, że wpadł - powiedział Martinsson. - A drugim, że zawsze przeginał pałę i był zbyt brutalny. Nawiasem mówiąc, czy wiesz, że on ma ciężko chorą córkę?

Wallander pokręcił przecząco głową.

- Rozwiódł się z jej matką, kiedy dziewczynka była bardzo mała. Przez wiele lat się nią opiekował. Ona ma jakąś chorobę mięśni. W końcu, gdy była już tak chora, że nie mogła z nim mieszkać, znalazła się w domu opieki. Ale on stale ją odwiedza.

- Skąd to wszystko wiesz?

- Zadzwoiłem do Roslunda do Malmö i zapytałem. Powiedziałem, że przypadkiem wpadłem na Stroma. Roslund chyba nie wie, że on pracuje na zamku w Farnholmie. Naturalnie nic nie powiedziałem.

Wallander stał i wyglądał przez okno.

- Jedyne, co możemy zrobić, to czekać - powiedział Martinsson.

Wallander nie odpowiedział. Po chwili zorientował się, że Martinsson coś mówił.

- Nie słyszałem, co mówiłeś.

- Że jedyne, co możemy zrobić, to czekać.

- Tak - zgodził się Wallander. - Mało co przychodzi mi z takim trudem.

Wyszedł z pokoju Martinssona i wrócił do siebie. Usiadł na krześle i spoglądał na powiększony wykres międzynarodowego imperium Alfreda Harderberga, który dostali od wydziału gospodarczego. Wallander starannie przymocował go do ściany.

Zupełnie jakbym patrzył na atlas świata, pomyślał. Granice państw są zastąpione przez wciąż zmieniające się obszary działalności najróżniejszych firm, których wpływy i obroty są wyższe niż budżety wielu krajów. W papierach na biurku odszukał informację o dziesięciu największych koncernach

świata - załącznik do ogólnej informacji, dostarczonej przez nadgorliwy wydział gospodarczy. Wśród dziesięciu największych koncernów sześć było japońskich, trzy amerykańskie i jeden angielsko-holenderski Royal Dutch Shell. Cztery banki, dwie firmy telekomunikacyjne, jeden koncern samochodowy i jeden naftowy. Poza tym General Electric i Exxon. Próbował sobie wyobrazić ich potęgę. Ale nie potrafił zrozumieć, co właściwie oznacza taka koncentracja kapitału. Nic zresztą dziwnego - nie zdołał nawet rozgryźć imperium Alfreda Harderberga, chociaż w porównaniu z tamtymi było jak mysz przy słońcовой nodze. Kiedyś Alfred Harderberg nazywał się Alfred Hansson. Poszedł w świat z nieznanego Vimmerby i stał się jednym z Jedwabnych Rycerzy, którzy panują nad światem, podejmując nieustające krucjaty w celu wymanewrowania lub zniszczenia konkurencji. Na zewnątrz działa zgodnie z prawem i przepisami, jest szanowanym człowiekiem, któremu przyznano kilka doktoratów honorowych, słynie ze szczodrości - dary od niego płyną nieprzerwanym strumieniem z na pozór niewyczerpanych źródeł.

Björk uważa go za prawego człowieka, dumę Szwecji. Taka też jest opinia ogółu.

Tymczasem ja usiłuję udowodnić istnienie jakiejś ciemnej plamy, pomyślał Wallander. Pracuję zgodnie z teorią, że trzeba się przedrzeć przez jego uśmiech, by dotrzeć do mordercy. Próbuję znaleźć coś, co jest po prostu nie do pomyślenia. Alfred Harderberg nie ma ciemnej plamy. Jego opalona twarz i jego uśmiech powinny napawać nas dumą.

O szóstej Wallander wyszedł z komendy. Przestało padać i porywisty wiatr zelżał. Kiedy wszedł do mieszkania, na podłodze w przedpokoju, wśród ulotek reklamowych, ujrzał list. Miał stempel pocztowy z Rygi. Położył go na stole i przyglądał mu się. Dopiero kiedy napił się piwa z butelki, otworzył go i przeczytał, co napisała. Żeby się upewnić, że

dobrze zrozumiał, przeczytał niezwłocznie jeszcze raz. Wtedy dopiero uwierzył, że dała mu odpowiedź. Odłożył list na stół i pomyślał, że to nie może być prawda. Potem zaczął liczyć dni na ściennym kalendarzu. Nie mógł sobie przypomnieć, kiedy ostatnio był w tak świetnym humorze. Wziął kąpiel i udał się do pizzerii przy Hamngatan, gdzie się zwykle stołował. Wypił butelkę wina do jedzenia i dopiero gdy lekko podchmielony zabierał się do płacenia, zdał sobie sprawę, że przez cały wieczór w ogóle nie pomyślał ani o Alfredzie Harderbergu, ani o Kurcie Strómie. Wyszedł z pizzerii, nucąc pod nosem zaimprovizowaną melodię. Potem przechadzał się do północy po ulicach w centrum miasta. Po powrocie do domu raz jeszcze przeczytał list od Baiby, z obawy, czy jednak czegoś źle nie zrozumiał.

Dopiero przed zaśnięciem wrócił myślami do Kurta Stroma. Od razu oprzytomniał. Czekać, powiedział Martinsson. To jedyne, co mogą zrobić. Zniecierpliwiony wstał z łóżka i usiadł na kanapie w pokoju. Co będzie, jeżeli Stróm nie znajdzie włoskiego pistoletu? - pomyślał. Co będzie, jeżeli plastikowy pojemnik okaże się ślepym torem? Najwyżej będziemy mogli wydalić cudzoziemskich goryli, którzy nielegalnie przebywają w kraju. Ale nic poza tym. Alfred Harderberg opuści zamek w Farnholmie w swym dobrze skrojonym garniturze i z niezmiennym uśmiechem, pozostawiając nas z resztkami poronionego dochodzenia. Będziemy musieli zaczynać od początku i czeka nas bardzo trudna droga. Znów trzeba się będzie przyjrzeć wszystkiemu na nowo, jak za pierwszym razem.

Kiedy tak siedział na kanapie, postanowił, że jeśli do tego dojdzie, zrezygnuje z kierowania śledztwem. Niech je prowadzi Martinsson. Decyzja była nie tylko słuszna, ale również konieczna. To on, Wallander, zażądał i doprowadził do tego, by potraktować Alfreda Harderberga jako główny trop. Dotrze zatem do samego dna dochodzenia, a kiedy

znów wychynie na powierzchnię, przekaże odpowiedzialność Martinssonowi.

Kiedy w końcu powrócił do łóżka, zasnął niespokojnym snem. Odpryski snów mieszały się ze sobą, w tym samym obrazie widział uśmiechniętego Alfreda Harderberga i zawsze tak samo poważną Baibę Liepę.

Była siódma, gdy się obudził, nie mógł już dalej spać. Zaparzając kawę, myślał o liście od Baiby. Następnie usiadł przy kuchennym stole i począł studiować ogłoszenia motoryzacyjne w „Ystads Allehanda”. Nadal nie miał wiadomości od towarzystwa ubezpieczeniowego. Bjórk obiecał mu jednak, że będzie mógł korzystać z policyjnego samochodu, jak długo będzie potrzebował. Wyszedł z mieszkania tuż po dziewiątej. Było bezchmurne niebo i trzy stopnie powyżej zera. Spędził kilka godzin, jeżdżąc po różnych dealerach. Długo krążył wokół pewnego nissana, żałując, że nie stać go na kupno. W drodze do domu zatrzymał się przy Stortorget i poszedł na Stora Óstergatan do sklepu muzycznego. W dziale muzyki operowej wybór był niewielki. Poprzestał więc z konieczności na CD ze zbiorem słynnych arii operowych. Potem kupił jedzenie i wrócił do domu. Pozostało jeszcze sporo godzin do spotkania z Kurtem Strómem na Svarta vagen.

Za pięć trzecia Wallander zajechał przed czerwony dom dla lalek w Sandskogen. Wysiadł z samochodu i wszedł przez furtkę. Zapukał do drzwi - nikt się nie odezwał. Czekał, spacerując po ogrodzie. O wpół do czwartej ogarnął go niepokój. Tknęło go jakieś złe przeczucie. Czekał do kwadrans po czwartej. Potem wsunął w szparę pod drzwiami wiadomość dla Stroma na skrawku koperty, który znalazł w samochodzie. Podał numer swojego telefonu i telefon do komendy. Pojechał z powrotem do miasta, zastanawiając się, co robić. Kurt Stróm działał sam, wiedział, że musi sobie poradzić. Wallander nie wątpił, że

da sobie radę w trudnych sytuacjach. Mimo to jego niepokój się wzmagał. W komendzie dowiedział się, że na miejscu nie ma nikogo z ekipy śledczej. Wstąpił do swojego biura i zatelefonował do Martinssona. Jego żona poinformowała go, że pojechał na basen z jedną z córek. Już miał telefonować do Svedberga, kiedy zmienił zdanie i wybrał domowy numer Ann-Britt Hóglund. Słuchawkę podniósł mąż. Kiedy podeszła do telefonu, Wallander powiedział jej, że Kurt Stróm nie zjawił się na umówionym spotkaniu.

- Co to może znaczyć? - zapytała.

- Nie wiem - odparł Wallander. - Prawdopodobnie nic. Ale jestem niespokojny.

- Gdzie jesteś?

- W biurze.

- Chcesz, żebym przyjechała?

- Nie trzeba. Zadzwoń do ciebie, jak będzie coś nowego.

Zakończył rozmowę i nadal czekał. O wpół do szóstej znowu wrócił na Svarta vagen. Oświetlił latarką drzwi wejściowe. Skrawek koperty wystawał na zewnątrz. Kurt Stróm się nie pojawił. Wallander miał ze sobą komórkę, wybrał numer Kurta w Glimmingehus. Odczekał dużo sygnałów, lecz nikt nie odpowiadał. Był teraz przekonany, że coś się wydarzyło. Postanowił wrócić do komendy i zawiadomić Pera Akesona. Właśnie stał na czerwonym świetle przed wjazdem na obwodnicę Ósterleden, kiedy zadzwoniła komórka.

- Szuka cię jakiś Sten Widen - poinformował dyżurny policjant. - Masz jego numer?

- Mam - rzekł Wallander. - Już do niego dzwonię. Światło zmieniło się na zielone, a za Wallanderem rozległ się wściekły klakson samochodu. Zjechał z szosy na bok i wybrał numer do Stena Widena. Odebrała któraś ze stajennych.

- Czy to pan się nazywa Roger Lundin? - zapytała dziewczyna.

- Tak - zdziwił się Wallander. - To ja.
- Mam przekazać, że Sten jest w drodze do pana do Ystad.
- Kiedy wyjechał?
- Piętnaście minut temu.

Wallander ruszył z kopyta na żółtym świetle. Teraz był już pewien, że coś się stało. Kurt Stróm nie wrócił, a Sofia odezwała się do Stena Widena z czymś na tyle ważnym, że Widen postanowił natychmiast do niego jechać. Kiedy skręcił w Mariagatan, zobaczył, że nie ma jeszcze starego volvo duetta Stena Widena. Zatrzymał się na ulicy i czekał. Zastanawiał się zdenerwowany, co mogło się przytrafić Kurtowi Strómovi. Co spowodowało, że Sten Widen wskoczył do samochodu i zostawił gospodarstwo, żeby się z nim zobaczyć?

Kiedy duett w chwilę potem zajechał na Mariagatan, Wallander doskoczył i otworzył drzwi, zanim Sten Widen zdążył zgasić silnik.

- Co się dzieje? - zapytał, podczas gdy Sten próbował się wydostać z zaplątanego pasa bezpieczeństwa.
 - Zadzwoiła Sofia. Pełna histeria.
 - Dlaczego?
 - Chcesz naprawdę stać na ulicy? - spytał Sten Widen.
 - Nie, ale się niepokoję.
 - O Sofię?
 - O Kurta Stroma.
 - A to kto, do cholery?
 - Lepiej będzie, jak wejdziemy na górę - powiedział Wallander. - Masz rację. Nie możemy tak stać na ulicy.
- Kiedy szli po schodach, Wallander poczuł, że od Stena Widena zalatuje alkoholem. Pomyślał, że powinien z nim poważnie porozmawiać. Innym razem, jak już się dowiedzą, kto zabił obu adwokatów. Usiedli przy stole w kuchni, gdzie w dalszym ciągu leżał list od Baiby.
- Kto to jest Kurt Stróm? - powtórzył Sten Widen.

- Później - rzekł Wallander. - Najpierw ty. Co z Sofią?
- Telefonowała jakąś godzinę temu - powiedział, krzywiąc się, Sten Widen. - Z początku nie rozumiałem, co mówi. Była zupełnie rozhisteryzowana.
- Skąd dzwoniła?
- Z mieszkania w stajni.
- Niech to diabli!
- Nic się na to nie poradzi - oznajmił Sten Widen, drapiąc się w zarost na brodzie. - O ile dobrze zrozumiałem, jechała konno i nagle na ścieżce zauważyła leżącą lalkę. Słyszałeś o lalkach? Naturalnej wielkości?
- Opowiadała mi - potwierdził Wallander. - Mów dalej.
- Koń przystanął i nie chciał ruszyć z miejsca. Sofia zeskoczyła, żeby odciągnąć lalkę na bok. Tylko że to nie była lalka.
- Jasna cholera! - zaklął przeciągle Wallander.
- Wygląda na to, że już wiesz, o co chodzi - zauważył zdziwiony Sten Widen.
- Później ci wytłumaczę. Mów dalej.
- To był mężczyzna. Cały we krwi.
- Martwy?
- Nie pytałem. Tak przypuszczam.
- A co dalej?
- Odjechała stamtąd i zadzwoniła do mnie.
- Co jej poradziłeś?
- Nie wiem, czy postąpiłem słusznie. Powiedziałem, żeby na razie nic nie robiła.
- Dobrze - pochwalił go Wallander. - Postąpiłeś prawidłowo. Sten Widen przeprosił i wyszedł do toalety. Wallander usłyszał słaby brzęk szkła. Kiedy Widen wrócił, Wallander opowiedział mu o Kurcie Strómie.
- Sądzisz, że to on leżał na ścieżce - rzekł Sten Widen, kiedy Wallander umilkł.
- Obawiam się, że tak.

Sten nagle wpadł w gniew. Wymachiwał rękami nad stołem. List z Rygi spadł na podłogę.

- Policja musi interweniować, do ciężkiej cholery! Co się dzieje w tym zamku? Nie chcę, żeby Sofia tam dłużej siedziała.

- To właśnie zrobimy - odparł, wstając, Wallander.

- Jadę do domu - oświadczył Sten Widen. - A ty zadzwoń, jak tylko wyciągniesz stamtąd Sofię.

- Nie ma mowy - powiedział Wallander. - Zostajesz tutaj. Piłeś. Nie puszczę cię na szosę. Możesz tu spać.

Sten Widen spojrzał na Wallandera, jakby nie rozumiał.

- Twierdzisz, że jestem pijany?

- Nie pijany. Ale podchmielony - rzekł spokojnie Wallander.

- Nie chcę, żeby ci się coś stało.

Kluczyki Stena Widena leżały na stole. Wallander wziął je i włożył do kieszeni.

- Na wszelki wypadek - oświadczył. - Nie chcę, żebyś zmienił zdanie podczas mojej nieobecności.

- Chyba ci na mózg padło - zaprotestował Sten Widen.

- Nie jestem pijany.

- Porozmawiamy, jak wrócę. Teraz muszę iść.

- Nie obchodzi mnie Kurt Ström - rzekł Sten Widen.

- Ale nie chcę, żeby jej się coś stało.

- Podejrzewam, że bywa u ciebie w łóżku - powiedział Wallander.

- Tak - przyznał Sten Widen. - Ale to nie dlatego nie chcę, żeby jej się coś stało.

- To nie moja sprawa - oświadczył Wallander.

- Nie - odparł Sten Widen. - Nie twoja.

Wallander odnalazł w szafie parę nowych sportowych butów. Wiele razy obiecywał sobie, że będzie trenował. Ale nic z tego nie wyszło. Wciągnął gruby sweter, włożył czapkę na głowę i był gotów do wyjścia.

- Sam się tu jakoś urządź - rzucił Stenowi, który już otwarcie

postawił butelkę whisky na stole.

- Martw się o Sofię, a nie o mnie - odciął się Widen. Wallander zamknął za sobą drzwi. Stał w mroku klatki schodowej i zastanawiał się, jak postąpić. Jeżeli Kurt Stróm rzeczywiście nie żyje, to wszystko poszło na marne. Nagle wróciło uczucie sprzed roku, że we mgle czai się śmierć. Mężczyźni na zamku w Farnholmie byli groźni, zarówno uśmiechający się Alfred Harderberg, jak i kryjący się w cieniu Tolpin i Obadia.

Muszę wyciągnąć Sofię, myślał. Zadzwonić do Bjórka i zorganizować akcję policji. Zaangażujemy wszystkie rejony w Skanii, jeżeli to będzie konieczne.

Zapalił światło na schodach i zbiegł na dół, na ulicę. Wsiadł do samochodu i wybrał numer Bjórka.

Lecz kiedy Bjórk odebrał telefon, Wallander się rozłączył.

Muszę to wyjaśnić sam, pomyślał. Nie chcę już więcej martwych policjantów.

Pojechał do komendy po służbową broń i latarkę. Zapalił światło w pustym pokoju Svedberga i odnalazł mapę terenu należącego do zamku w Farnholmie. Złożył ją i wetknął do kieszeni. Opuścił komendę za kwadrans ósma. Pojechał na Malmövägen i zatrzymał się przed domem Ann-Britt Hóglund. Drzwi otworzył jej mąż. Zaprosił go do środka, ale Wallander podziękował. Chciał jej tylko przekazać wiadomość. Kiedy wyszła do przedpokoju, miała na sobie szlafrok.

- Słuchaj uważnie - powiedział. - Zamierzam się dostać do zamku w Farnholmie. Wiedziała, że mówi poważnie.

- A Kurt Stróm? - zapytała.

- Podejrzewam, że nie żyje.

Zrozumiała i twarz jej zbladła. Wallander przez moment myślał, że zemdleje.

- Nie możesz sam jechać do zamku - zaprotestowała, już opanowana.

- Muszę.

- Dlaczego musisz?

- Bo chcę to sam wyjaśnić - odparł zirytowany. - Nie pytaj więcej. Lepiej posłuchaj.

- Jadę z tobą - rzekła. - Nie możesz tam jechać sam. Wallander widział, że już podjęła decyzję. Nie było sensu wszczynać dyskusji.

- Możesz jechać - zgodził się. - Ale będziesz czekała na zewnątrz. Potrzebuję kogoś do łączności radiowej. Poszła na górę. Mąż kiwnął głową, zapraszając go do środka.

- Przed tym mnie ostrzegęła - powiedział z uśmiechem. - Że kiedy wreszcie będę w domu, ona będzie musiała wyjść.

- Może to nie zajmie zbyt dużo czasu - rzekł Wallander, słysząc, jak nieprzekonująco brzmią jego słowa.

Po kilku minutach zeszła z góry w sportowym dresie.

- Połóż się i nie czekaj na mnie - poradziła mężowi.

A kto na mnie czeka? - pomyślał Wallander. Nikt, nawet zaspany kot na oknie wśród doniczek z kwiatami. Pojechali do komendy i wzięli dwa radiotelefony.

- Może powinnam mieć ze sobą broń? - zapytała.

- Nie - odparł Wallander. - Poczekasz na zewnątrz. I niech cię diabli wezmą, jeśli mnie nie posłuchasz.

Pozostawili za sobą Ystad. Wieczór był zimny i bezchmurny. Wallander prowadził szybko.

- Co masz zamiar zrobić? - zapytała.

- Dowiedzieć się, co się stało - odpowiedział. Przejrzała mnie, pomyślał. Wie już, że nie mam najmniejszego pojęcia, jak postąpić.

Jechali w milczeniu i tuż po wpół do dziesiątej dotarli do drogi prowadzącej do zamku w Farnholmie. Wallander zatrzymał się na płycie parkingowej dla traktorów, wyłączył silnik i światła. Siedzieli w ciemności.

- Będę się z tobą kontaktował co godzinę - oznajmił Wallander. - Jeżeli się nie odezwę przez dwie godziny,

zadzwonisz do Bjórka i zażadasz pełnej mobilizacji.

- Nie powinieneś tego robić - ostrzegła.

- Przez całe życie robię to, czego nie powinienem - odparł Wallander. - Dlaczego miałbym teraz przestać?

Nastawili radiotelefony.

- Dlaczego zostałeś policjantką, a nie pastorem? - zapytał, gdy ujrzał jej twarz w nikłym świetle telefonów.

- Zgwałcono mnie - odparła. - To zmieniło całe moje życie. Jedyne, czego potem pragnęłam, to zostać policjantką.

Wallander milczał. Potem otworzył drzwiczki samochodu i ostrożnie je za sobą zamknął.

Ogarnęło go uczucie, że wkroczył w inny świat. Ann-Britt Höglund już nie było w pobliżu.

Noc była bardzo spokojna. Ni stąd, ni zowąd przypomniało mu się, że za dwa dni jest Lucia*[* Lucia (skrót od Sankta Lucia, czyli Święta Łucja) - radosne święto światła przypadające na 13 grudnia.]. Skrył się w cieniu drzewa i rozłożył mapę. Przy świetle latarki starał się wbić w pamięć jak najwięcej szczegółów. Następnie zgasił latarkę, wsunął mapę do kieszeni i pobiegł drogą prowadzącą do bramy. Przedostanie się przez podwójne ogrodzenie nie wchodziło w rachubę. Była tylko jedna droga i prowadziła przez bramę. Po dziesięciu minutach przystanął, żeby złapać tchu. Po chwili ruszył ostrożnie naprzód i szedł, dopóki nie zobaczył reflektorów oświetlających bramę i bunkier strażnika. Muszę założyć, że się tego nie spodziewają, pomyślał. Że jakiś uzbrojony człowiek będzie próbował się dostać do zamku.

Zamknął oczy i wziął kilka głębokich oddechów. Potem wyjął z kieszeni pistolet.

Za bunkrem strażnika był wąski pas nieoświetlonego terenu.

Spojrzał na zegarek. Była za trzy minuty dziesiąta. Ruszył w tamtą stronę.

Pierwszy sygnał radiotelefonu odezwał się już po trzydziestu minutach.

Słyszała go zupełnie wyraźnie, bez zakłóceń, jak gdyby wcale się nie oddalił od samochodu, lecz wciąż był w pobliżu, wśród cieni.

- Gdzie jesteś? - zapytała.

- W środku, na terenie zamku - odparł. - Bądź przygotowana na następny kontakt za godzinę.

- Co się dzieje?

Odpowiedź nie nastąpiła. Ann-Britt pomyślała, że połączenie się przerwało, i czekała na sygnał. Po chwili zrozumiała, że to Wallander zakończył rozmowę, nie odpowiadając na jej pytanie. Telefon milczał.

Wallander miał wrażenie, że wstępuje w dolinę cieni. Wejście na teren okazało się zresztą łatwiejsze, niż się spodziewał. Szybko przeszedł przez wąski cień za bunkrem. Ku swojemu zdziwieniu odkrył tam okienko. Wspiął się na palce i zajrzał do wnętrza. Wśród ekranów komputerów i aparatów telefonicznych siedziała jedna osoba. Tylko jedna, i na dodatek kobieta. Robiła na drutach. Wallander stwierdził z niedowierzaniem, że robótka to sweterek dla dziecka. Kontrast między tym, co robiła, a tym, co się działo za bramą, której strzegła, był zbyt wielki, by mógł go ogarnąć. Pomyślał, że wszystkiego mogłaby się spodziewać, ale nie bliskiej obecności uzbrojonego mężczyzny. Dlatego zupełnie spokojnie okrążył bunkier i grzecznie - tak przynajmniej uważał - zapukał. Na szczęście nie uchyliła ostrożnie drzwi, lecz otworzyła je na oścież, nie podejrzewając żadnego niebezpieczeństwa. Na to właśnie liczył. W ręce trzymała robótkę i ze zdziwieniem patrzyła na Wallandera. Nie przyszło mu nawet do głowy, żeby wyciągnąć pistolet. Powiedział, kim jest: komisarz Wallander z policji w Ystad. Przeprosił nawet, że

przeszkadza. Jednocześnie lekko popychał ją do środka, zamykając za sobą drzwi. Usiłował się zorientować, czy centrala obserwacyjna na zamku w Farnholmie monitoruje również wnętrze bunkra. Nie zauważył żadnej kamery, poprosił więc kobietę, by usiadła na krześle. Dopiero wtedy się zorientowała, w czym rzecz, i podniosła krzyk. Wallander wyciągnął pistolet. Jak tylko poczuł w ręce broń, z miejsca dostał bólu brzucha. Nie mierząc do kobiety, kazał jej zamilknąć. Robiła wrażenie bardzo wystraszonej i miał ochotę ją uspokoić i powiedzieć, że może dalej robić sweterek, który z pewnością jest przeznaczony dla wnuka. Ale pomyślał o Kurcie Strómie i Sofii, pomyślał o Stenie Torstenssonie i minie w ogrodzie pani Duner. Zapytał, czy kobieta ma obowiązek na bieżąco raportować do zamku, ale zaprzeczyła.

Następne pytanie było dla niego najważniejsze.

- Dziś wieczór na służbie miał być Kurt Stróm - powiedział.
- Dzwonili z zamku, że zachorował, i mam przyjść do pracy.
- Kto dzwonił?
- Jakaś sekretarka.
- Co dokładnie powiedziała?
- „Kurt Stróm zachorował”. Nic więcej.

Dla Wallandera stanowiło to potwierdzenie, że wszystko diabli wzięli. Kurt Stróm został nakryty i Wallander nie miał wątpliwości, że goryle Alfreda Harderberga wycisnęli z niego prawdę.

Przyglądał się przerażonej kobiecie, która kurczowo zaciskała dłonie na swojej robótce.

- Na zewnątrz stoi człowiek - oświadczył, wskazując na okienko. - I też ma broń. Jeżeli po moim wyjściu zaalarmuje pani zamek, nigdy nie dokończy pani tego sweterka.

Widział, że mu uwierzyła.

- Każde otwarcie bramy jest rejestrowane na zamku - powiedział. - Zgadza się?

Skinęła potakująco głową.

- A co w wypadku przerwy w dostawie prądu?

- Mamy silny generator, który automatycznie się włącza.

- Czy można ręcznie otworzyć bramę? Tak, żeby nie zarejestrowały tego komputery?

Znów skinęła głową.

- Proszę zamknąć dopływ prądu do bramy - polecił.

- Otworzy ją pani i zamknie. A potem ponownie włączy pani prąd.

Kiwnęła głową. Był przekonany, że zrobi to, czego zażądał. Otworzył drzwi i zawołał do człowieka, którego nie było w ciemnościach, że wyszedł na zewnątrz, brama zostanie otwarta i wszystko jest w porządku. Kobieta otworzyła szafkę przy bramie, mieściła się tam korba. Jak tylko brama się trochę rozsunęła, przecisnął się przez szparę.

- Niech pani robi to, co mówiłem - ostrzegł. - Wtedy nic pani nie grozi.

Potem puścił się biegiem przez park do budynku stajni, zgodnie z mapą, którą miał w pamięci. Wokół było bardzo cicho i kiedy dostrzegł światło ze stajni, przystanął i nawiązał kontakt z Ann-Britt Hóglund. Przerwał połączenie, jak tylko zaczęła zadawać pytania. Ostrożnie ruszył w stronę stajni. Mieszkanie, które zajmowała Sofia, znajdowało się w przybudówce. Długo stał pod osłoną kilku drzew, obserwując stajnię i jej otoczenie. Od czasu do czasu słyszał szuranie i stukot, dobiegające z boksów. W przybudówce paliło się światło. Usiłował zebrać myśli. To, że Kurt Stróm został zastrzelony, nie musiało oznaczać, że odkryto związek między nim i nową stajenną. Nie było również pewne, czy podsłuchiwano jej rozmowy ze Stenem Widenem. Jedyne, czym dysponował, to niepewność całego położenia. A jednak zastanawiał się, czy przewidzieli, że ktoś w pojedynkę może się przedostać na teren zamku.

Stał jeszcze przez kilka minut pod osłoną drzew. Potem

skulił się i podbiegł najszybciej, jak potrafił, do drzwi przybudówki. W każdej chwili spodziewał się, że dosięgnie go kula z niewidocznej broni. Zapukał do drzwi i jednocześnie nacisnął klamkę. Drzwi były zamknięte. Po chwili usłyszał wystraszony głos Sofii, powiedział, kim jest, Roger, przyjaciel Stena Widena. Nazwisko Lundin, które sam sobie nadał, wyleciało mu nagle z głowy. Otworzyła drzwi i spostrzegł na jej twarzy mieszaninę zaskoczenia i ulgi. Mieszkanie składało się z kuchenki i pokoju z wnęką sypialną. Położył palec na ustach na znak, żeby była cicho. Usiedli w kuchni naprzeciwko siebie. Stukot z boksów słysząc było teraz wyraźniej.

- Musisz dokładnie odpowiadać na moje pytania - uprzedził.

- To ważne. Nie mam dużo czasu i nie mogę wyjaśniać, dlaczego tu jestem. Odpowiadaj tylko na pytania, nic więcej. Rozłożył na stole mapę.

- Na drodze twojego konia leżał martwy człowiek. Pokaż gdzie.

Pochyliła się nad stołem i narysowała palcem małe kółko na południe od stajni.

- Mniej więcej tu.

- Wiem, że to było okropne - powiedział Wallander. - Muszę cię jednak zapytać, czy go już kiedyś widziałaś.

- Nie.

- Jak był ubrany?

- Nie wiem.

- Czy miał uniform? Pokręciła głową.

- Nie wiem. Nic nie pamiętam.

Pomyślał, że nie ma sensu naciskać. Strach wymazał zapamiętane obrazy.

- Czy dziś wydarzyło się coś jeszcze? Coś szczególnego? - Nie.

- Nikt z tobą nie rozmawiał? - Nie.

Wallander usiłował wywnioskować, co to może oznaczać.

Ale obraz Kurta Stroma leżącego tam w ciemnościach wypierał wszystkie inne myśli.

- Muszę już iść - oznajmił. - Gdyby ktoś cię pytał, nie było mnie tu.

- Wróci pan jeszcze? - zapytała.

- Nie wiem. Ale możesz być spokojna. Nic ci nie grozi. Wyrzwał ostrożnie przez szparę w zasłonie, zastanawiając się, jak dalece szczerze było jego zapewnienie. Potem otworzył drzwi i biegiem okrążył budynek. Zatrzymał się, dopiero gdy dobiegł do cienia. Podniósł się słaby, ledwie wyczuwalny wiatr. Między drzewami widać było z daleka silne reflektory, oświetlające ciemnoczerwoną fasadę zamku. W oknach na różnych piętrach paliło się światło.

Przeszedł go dreszcz.

Jeszcze raz porównał otaczający go teren z mapą, którą miał w głowie, po czym ruszył dalej z latarką w ręce. Przeszedł obok sztucznej sadzawki, w której nie było wody. Następnie skręcił w lewo i zaczął szukać ścieżki. Spojrzał na zegarek, pozostało jeszcze czterdzieści minut do następnego kontaktu z Ann-Britt Hóglund.

Już myślał, że zabłądził, kiedy odnalazł ścieżkę. Miała jakiś metr szerokości i nosiła ślady końskich kopyt. Stał bez ruchu i nasłuchiwał. Wszędzie panowała cisza, słychać było tylko nasilające się podmuchy wiatru. Ostrożnie posuwał się dalej, w ciągłym napięciu, że lada chwila ktoś go zaatakuje.

Po pięciu minutach przystanął. Jeśli Sofia prawidłowo oznaczyła miejsce na mapie, to musiał zająć za daleko.

Czyżby zaczął szukać na niewłaściwej ścieżce? Powoli szedł dalej.

Po przejściu kolejnych stu metrów był już pewien, że minął zaznaczony punkt.

Stał, nie poruszając się.

Kurta Stroma nie było. Ciało zostało najwyraźniej usunięte. Wracał tą samą drogą, którą przyszedł, zastanawiając się, co

ma począć. Zatrzymał się znowu, tym razem musiał się wysikać. Wszedł w krzaki rosnące wzdłuż ścieżki. Potem znów wyjął z kieszeni mapę. Chciał się upewnić, że nie pomylił ścieżek ani nie przeoczył miejsca, które Sofia zaznaczyła palcem na mapie.

Zapalił latarkę. Krąg światła rozjaśnił ziemię. Wallander ujrzał nagą stopę. Wzdrygnął się i upuścił latarkę, która zgasła, padając na ziemię. Myśląc, że to przywidzenie, schylił się i zaczął szukać latarki.

Palcami wyczuł jej uchwyt. Kiedy ponownie ją zaświecił, spoglądał prosto w martwą twarz Kurta Stroma. W białą twarz z mocno zaciśniętymi wargami. Spływająca krew zastygła na policzkach. Strzał trafił go prosto w czoło. Pomyślał o Stenie Torstenssonie. Odwrócił się i uciekł. Zwymiotował oparty o drzewo i znów biegł dalej. Dotarł do pustej sadzawki i opadł na jej krawędź. Z wierzchołka drzewa poderwał się z furkotem jakiś ptak. Wallander wskoczył do pustej sadzawki i skulił się w rogu. Czuł się jak w podziemnym grobowcu. Wydawało mu się, że słyszy zbliżające się kroki, i wyciągnął pistolet. Ale nikt nie przyszedł i nie zajrzał do sadzawki. Wziął kilka głębokich oddechów i zmusił się do myślenia. Ogarniała go panika, uczucie, że w każdej chwili może stracić panowanie nad sobą. Za czternaście minut powinien zadzwonić do Ann-Britt Hóglund. Zresztą nie musi czekać, może wywołać ją od razu i polecić, by skontaktowała się z Bjórkiem. Kurt Ström nie żył, został trafiony w głowę, i już nic nie przywróci mu życia. Przyjedzie policja, Wallander będzie na nich czekał przy bramie, a co nastąpi później, nie wiedział.

Jednak jej nie wywołał. Odczekał czternaście minut. Dopiero potem wysłał sygnał. Odpowiedziała natychmiast.

- Co się dzieje? - zapytała.

- Jeszcze nic - odparł. - Odezwę się znów za godzinę.

- Znalazłeś Stroma?

Zanim zdążyła powtórzyć pytanie, wyłączył radiotelefon. Znowu był sam w ciemności. Zdecydował się na coś, nie bardzo wiedząc na co. Dał sobie godzinę na osiągnięcie nieznanego celu. Powoli wstał. Było mu zimno. Wydostał się z sadzawki i skierował się w stronę światła prześwitującego między drzewami. Przystanął w miejscu, gdzie kończył się zagajnik, a zaczynał rozległy trawnik, który ciągnął się aż do zamku.

To była nieprzystępna twierdza. Mimo to Wallander czuł, że musi przedostać się przez te mury. Nie było jego winą, że Kurt Stróm nie żyje. Tak samo jak nie poczuwał się do winy za śmierć Stena Torstenssona. Niemniej odczuwał ciężar na myśl, że mógłby ponownie zawieść, i to teraz, gdy był już tak blisko rozwiązania. Mówił sobie, że gdzieś musi istnieć granica. Nie zastrzelą przecież komisarza policji z Ystad, który po prostu wykonuje swoje obowiązki. A jeżeli ci ludzie nie znają żadnych granic? Próbował znaleźć odpowiedź - jedyną i słuszną, ale nie przychodziła mu do głowy. Zrezygnował i zaczął okrążyć zamek, zachodząc od tyłu. Zajęło mu to dziesięć minut, mimo że poruszał się szybko, nie tylko ze strachu, ale również dlatego, że trząśł się z zimna. Z tyłu zamku był taras w kształcie półksiężyca, który wychodził na park. Lewa strona tarasu pozostawała w cieniu, niewidoczne reflektory przestały zapewne działać. Z tarasu na trawnik prowadziły kamienne schody. Biegł co sił, dopóki znowu nie schronił się w cieniu. Począł ostrożnie wchodzić po schodach. W jednej ręce trzymał radiotelefon, w drugiej latarkę, pistolet schował do kieszeni.

Nagle przystanął i zaczął nasłuchiwać. Co takiego usłyszał? Po chwili zdał sobie sprawę, że ostrzega go jego wewnętrzny sygnał alarmowy. Coś jest nie tak, przeleciało mu gorączkowo przez myśl. Ale co? Nasłuchiwał, lecz wokół panowała cisza, słyszał tylko podmuchy wiatru. Coś ze światłem, pomyślał. Szukam miejsc zacienionych i zawsze je

znajduję, zupełnie jakby na mnie czekały. Kiedy zorientował się, że został wyprowadzony w pole, było już za późno. Zawrócił, chcąc zbiec na dół schodami, gdy oślepiło go ostre, białe światło. Został zwabiony w pułapkę, którą był cień, i właśnie się zatrzasnęła. Przysłonił oczy dłonią, w której trzymał radiotelefon, by nie oślepiało go światło. W tej samej chwili poczuł, jak ktoś chwyta go od tyłu. Próbował się wyrwać, lecz było za późno. Jego głowa eksplodowała i wszystko znowu spowija ciemność.

Cały czas miał świadomość, co się z nim dzieje. Ramiona podniosły go w górę i przenosiły, słyszał czyjś głos, czyjś śmiech. Otworzyły się drzwi i kroki na kamiennych schodach ucichły. Znalazł się wewnątrz, być może wnoszono go na schody, a potem położono na czymś miękkim. Kiedy otworzył oczy, znajdował się w bardzo obszernym pokoju, półleżąc na kanapie. Posadzka była z kamienia, może z marmuru. Na podłużnym stole stały komputery z rozświetlonymi ekranami. Słyszał szum wentylatorów i stukanie teleksu gdzieś poza zasięgiem jego wzroku. Starał się nie poruszać głową, czuł bardzo silny ból w okolicy prawego ucha. Nagle ktoś przemówił za jego plecami, całkiem blisko, głos był znajomy.

- Chwila szaleństwa - powiedział Alfred Harderberg. - Kiedy człowiek popełnia czyn, który może mu wyłącznie zaszkodzić lub go zniszczyć.

Wallander ostrożnie się przekręcił i spojrzał w jego stronę. Harderberg się uśmiechał. Za nim, w głębi, tam gdzie światło prawie nie docierało, Kurt odgadł zarys dwóch nieruchomych postaci.

Harderberg obszedł dokoła kanapę i podał mu jego radiotelefon. Garnitur miał nieskazitelny, czarne buty lśniły.

- Jest trzy minuty po północy - oznajmił. - Kilka minut temu ktoś próbował się z panem skontaktować. Nie wiem kto i mało mnie to obchodzi. Ktoś jednak, jak przypuszczam,

czeka na wiadomość od pana. Najlepiej będzie, jeśli zrobi pan to, co pan zaplanował. Myślę, że nie muszę panu przypominać, że wzywanie pomocy jest bezcelowe. O szaleństwach radzę zapomnieć.

Wallander nawiązał łączność. Odpowiedziała natychmiast.

- Wszystko w porządku - oznajmił. - Odezwę się znów za godzinę.

- Znalazłeś Stroma? - zapytała.

Wallander się zawahał, nie wiedział, co powiedzieć. Zauważył, że Harderberg skinął przyzwalająco głową w jego kierunku.

- Znalazłem go - odpowiedział Wallander. - Następną transmisja o pierwszej.

Wallander położył radio obok siebie na kanapie.

- Kobieta policjant - powiedział Harderberg. - Przypuszczam, że jest tu gdzieś w pobliżu. Moglibyśmy naturalnie ją odszukać, gdybyśmy chcieli. Ale nie chcemy.

Wallander zacisnął zęby i wstał z kanapy.

- Przyszedłem, żeby zawiadomić pana o podejrzeniu o współudział w popełnieniu licznych poważnych przestępstw - powiedział.

Harderberg przyglądał mu się w zamyśleniu.

- Nie skorzystam z prawa do obecności adwokata. Proszę mówić dalej, komisarzu Wallander.

- Jest pan podejrzany o współodpowiedzialność za śmierć Gustawa Torstenssona i jego syna Stena Torstenssona. Ponadto jest pan podejrzany o współudział w zamordowaniu pańskiego szefa ochrony, Kurta Stroma. Do tego dochodzi usiłowanie zabójstwa sekretarki w kancelarii adwokackiej, pani Duner, oraz mnie i mojej koleżanki Ann-Britt Hóglund. Jest jeszcze wiele innych możliwych powodów oskarżenia, między innymi sprawa Larsa Bormana. Ale tym zajmie się bliżej oskarżyciel.

Harderberg powoli usiadł w fotelu.

- Czy pan komisarz Wallander chce powiedzieć, że jestem zatrzymany? - zapytał.

Wallander, czując, że za chwilę zemdleje, ponownie opadł na kanapę.

- Nie mam formalnej decyzji - powiedział. - Ale to nic nie zmienia.

Harderberg siedział w fotelu pochylony do przodu, z brodą wspartą na dłoni. Potem odchylił się do tyłu i pokiwał potakująco głową.

- Ułatwię panu sprawę - rzekł. - Przyznaję się. Wallander spojrzał na niego, nie rozumiejąc.

- Dobrze pan usłyszał - zapewnił Harderberg. - Przyznaję się do wszystkich zarzuconych mi czynów.

- Nawet jeśli chodzi o Larsa Bormana?

- Oczywiście, nawet do tego.

Wallander znowu poczuł pełzający lęk, tym razem bardziej mrozący, bardziej złowrogi niż przedtem. Cała sytuacja była niebezpieczna. Powinien wydostać się z zamku, póki nie jest za późno.

Alfred Harderberg przyglądał mu się uważnie, jak gdyby chciał odgadnąć jego myśli. Żeby zyskać na czasie i zastanowić się, jak nadać wezwanie o pomoc do Ann-Britt Hóglund w taki sposób, żeby Harderberg nie zauważył, Wallander zaczął zadawać pytania, jak gdyby siedzieli w pokoju przesłuchań. W dalszym ciągu nie miał pojęcia, co planuje Harderberg. Czy wie, że on, Wallander, przebywa na terenie należącym do zamku od chwili, kiedy przeszedł przez bramę? Co powiedział Kurt Stróm, zanim został zlikwidowany?

- Prawda - odezwał się nagle Harderberg, wdzierając się w jego myśli. - Czy istnieje coś takiego dla szwedzkiego policjanta?

- Rozpoznanie, gdzie przebiega granica między kłamstwem a rzeczywistością, jest podstawą, na której opiera się cała

praca policji - odpowiedział Wallander.

- Prawidłowa odpowiedź - odparł z uznaniem Harderberg. - A mimo to błędna. Ponieważ nie istnieje absolutna prawda ani kłamstwo. Istnieją tylko porozumienia. Które można zawierać, dotrzymywać lub łamać.

- Jeżeli ktoś, posługując się bronią, zabija innego człowieka, trudno tego nie nazwać rzeczywistością - rzekł Wallander.

W głosie Harderberga zabrzmiał odcień irytacji, kiedy odpowiedział:

- Nie ma co rozprawiać o sprawach oczywistych. Ja szukam prawdy, która leży głębiej.

- Mnie wystarczy śmierć - oznajmił Wallander. - Gustaw Torstensson był pana adwokatem. Kazał go pan zabić. Próba zamaskowania przestępstwa upozorowanym wypadkiem się nie powiodła.

- Ciekawi mnie, jak pan na to wpadł.

- W glinie została noga od krzesła. A krzesło leżało w bagażniku. Bagażnik był zamknięty.

- Takie proste. Zwykle niedbalstwo.

Harderberg nie ukrywał spojrzenia, które rzucił w kierunku dwóch mężczyzn, ukrytych w cieniu.

- Co się wydarzyło? - spytał Wallander.

- Gustaw Torstensson dawał dowody słabnącej lojalności. Zobaczył coś, czego nie powinien był widzieć. Byliśmy zmuszeni raz na zawsze zapewnić sobie jego lojalność. Zabawiamy się czasami w strzelanie do celu na zamku. Używamy do tego lalek. Wystawiliśmy na drodze lalkę. On się zatrzymał. I zginął.

- W ten sposób zapewniliście sobie jego lojalność?

Harderberg przytaknął i przez chwilę wydawał się nieobecny. Potem pośpiesznie wstał i zaczął się wpatrywać w rzędy cyfr na rozświetlonych ekranach komputerów. Wallander odgadł, że były to notowania giełdowe z tej części

świata, gdzie już nastał dzień. Ale czy giełdy były otwarte w niedzielę? Zresztą może obserwował jakieś inne operacje finansowe.

Harderberg wrócił na fotel.

- Nie mogliśmy wiedzieć, jak dalece poinformowany był syn - ciągnął dalej, nieporuszony. - Obserwowaliśmy go. Odwiedził pana na Jutlandii. Nie wiedzieliśmy, co panu powiedział w zaufaniu. Albo pani Duner. Widzę, że dokonał pan znakomitej analizy, komisarzu Wallander. Ale naturalnie natychmiast się domyśliliśmy, że chce pan, byśmy uwierzyli, że trafiliście na inny trop. Czuję się dotknięty tym, że mnie pan nie docenił.

Wallanderowi zrobiło się niedobrze. Od Harderberga bił taki przeraźliwy chłód, z jakim nigdy się jeszcze nie zetknął. Ale ciekawość zwyciężyła, dalej stawiał pytania.

- Znaleźliśmy plastikowy pojemnik w samochodzie Gustawa Torstenssona - powiedział. - Podejrzewam, że został podmieniony przy okazji popełnionego morderstwa.

- Dlaczego miałby zostać podmieniony?

- Nasi technicy udowodnili, że nigdy nic nie zawierał. Doszliśmy do wniosku, że pojemnik sam w sobie nie jest ważny. Co innego jego przeznaczenie.

- Jakie przeznaczenie?

- Nagle pan zaczyna zadawać pytania - zauważył Wallander.

- A ja mam udzielać odpowiedzi.

- Jest późna noc - rzekł Harderberg. - Dlaczego nie możemy prowadzić tej rozmowy, która w gruncie rzeczy nie ma żadnego znaczenia, w atmosferze miłej pogawędki?

- W grę wchodzi morderstwo - odparł Wallander. - Podejrzewam, że pojemnik był przeznaczony do przechowywania i transportu organów do transplantacji, które usunięto z zamordowanych ludzi.

Na moment Harderberg zeszytywniał. Trwało to bardzo krótko, lecz nie umknęło uwagi Wallandera. I potwierdziło

słuszność jego wniosków.

- Robię interesy tam, gdzie znajduję możliwość - wycedził powoli Harderberg. - Jeżeli istnieje rynek na nerki, to kupuję i sprzedaję nerki, żeby podać konkretny przykład.

- Skąd one pochodzą?

- Od ludzi, którzy zmarli.

- Którego pan uśmiercił.

- Ja zawsze zajmowałem się wyłącznie zakupem i sprzedażą

- tłumaczył cierpliwie Harderberg. - To, co dzieje się z towarem, nim trafi w moje ręce, mnie nie interesuje. Nawet tego nie wiem.

Wallander zaniemówił.

- Nie zdawałem sobie sprawy, że istnieją ludzie pana pokroju - wydusił w końcu.

Alfred Harderberg pochylił się nagle do przodu.

- W tej chwili pan kłamie - powiedział. - Wie pan doskonale, że istniejemy. Uważam nawet, że w głębi duszy pan nam zazdrości.

- Pan chyba oszalał - rzucił Wallander, nie kryjąc obrzydzenia.

- Oszalały ze szczęścia, oszalały ze złości, tak. Ale nie tylko oszalały, komisarzy Wallander. Musi pan zrozumieć, że jestem człowiekiem wielkich namiętności. Uwielbiam robić interesy, patrzeć na pokonanego konkurenta, pomnażać swój majątek i nigdy sobie niczego nie odmawiać. Być może jestem jak Latający Holender i bez wytchnienia coś mnie gna. Ale raczej uważam się za poganina w pełnym i pozytywnym znaczeniu tego słowa. Pan komisarz wie może, kto to był Machiavelli?

Wallander pokręcił głową.

- Chrześcijanin, według tego włoskiego myśliciela, twierdzi, że najwyższe szczęście osiąga się przez pokorę, wyrzeczenie i pogardę dla wszystkiego, co ludzkie. Natomiast dla poganina najwyższym dobrem jest wielkość ducha, siła

fizyczna i wszystkie cechy, które składają się na człowieka wzbudzającego strach. Mądre słowa, które stale mam w pamięci.

Wallander się nie odzywał. Harderberg skinął głową w kierunku radiotelefonu, wskazując na swój zegarek na ręce. Była pierwsza. Wallander włączył radio i pomyślał, że już najwyższy czas, by wreszcie znaleźć jakiś sposób na wezwanie pomocy. Kolejny raz powiedział Ann-Britt, że wszystko jest w porządku i przebiega zgodnie z planem. O drugiej miała się spodziewać ponownego kontaktu.

Noc mijała, Wallander wywoływał regularnie Ann-Britt, lecz nie udało mu się przekazać sygnału, że powinna wszcząć alarm i wezwać pomoc do Farnholmu. Zrozumiał, że są na zamku sami i Alfred Harderberg oczekuje świtu, żeby opuścić nie tylko swój zamek, ale również swój kraj w towarzystwie nieruchomych cieni w głębi pokoju - narzędzi do zabijania ludzi, na których wskazał palcem. Prócz nich była tylko Sofia i strażniczka przy bramie. Sekretarki znikły, te wszystkie, których Wallander nigdy nie widział. Może czekały już na Harderberga w innym zamku, gdzieś w świecie?

Ból głowy mijał, Wallander był bardzo zmęczony i pomyślał, że udało mu się dotrzeć do prawdy, ale że to za mało. Zostawią go na zamku, prawdopodobnie zwiążą, i kiedy zostanie odnaleziony albo kiedy uda mu się uwolnić z więzów, oni będą już wysoko w bezmiernej przestrzeni powietrznej. Wszystkiemu, co zostało powiedziane w ciągu nocnych godzin, zaprzeczą adwokaci wynajęci przez Alfreda Harderberga. Mężczyźni, którzy użyli broni i którzy nigdy nie przekroczyli szwedzkiej granicy, pozostaną cieniami - żaden prokurator nie będzie mógł wytoczyć przeciw nim oskarżenia. Nie uda się im niczego udowodnić, sprawa rozejdzie się po kościach, i Alfred Harderberg nadal pozostanie szanowanym obywatelem poza wszelkimi

podejrzeniami.

Wallander trzymał w garści prawdę, dowiedział się nawet, że Lars Borman został zamordowany, ponieważ wpadł na ślad związku Alfreda Harderberga z oszustwem finansowym, dokonanym w samorządzie terytorialnym. Nie chcieli wtedy ryzykować, że Gustaw Torstensson zobaczy coś, czego nie powinien widzieć. Mimo to i tak do tego doszło, chociaż starali się temu przeszkodzić. Prawda nie ma jednak wartości, umrze śmiercią naturalną, ponieważ nigdy nikogo nie zatrzymają za popełnienie tych zbrodni.

To, co Wallander będzie pamiętał z tej nocy, co na długo wbije mu się w pamięć jako dowód przerażającej natury Harderberga, to kilka słów, które padły, gdy zbliżała się pięta nad ranem i powrócili z jakiegoś powodu do rozmowy o plastikowym pojemniku i ludziach, których zabijano, by móc sprzedać ich organy.

- Musi pan zrozumieć, że jest to tylko nieistotny szczegół w mojej działalności. Błahy, marginalny. Ja kupuję i sprzedaję, panie komisarzu Wallander. Występuję na scenie zwanej rynkiem. Nie przepuszczam żadnej szansy, choćby nieznaczej.

Nieznaczne życie ludzkie, pomyślał Wallander. To jest punkt wyjścia w świecie Alfreda Harderberga.

Później już nie rozmawiali. Alfred Harderberg wyłączył komputery jeden po drugim i włożył jakieś papiery do niszczarki dokumentów. Wallander myślał o ucieczce, lecz nieruchome cienie wciąż były w pobliżu. Zrozumiał, że został pokonany.

Alfred Harderberg przeciągnął palcami po wargach, jak gdyby sprawdzał, czy uśmiech nadal tam jest. Spojrzał po raz ostatni na Wallandera.

- Wszyscy musimy umrzeć - powiedział, i zabrzmiało to tak, jak gdyby mimo wszystko istniał jakiś wyjątek, on sam. - Nawet dni komisarza policji kryminalnej są policzone. W

rym przypadku przeze mnie.

Spojrzał na zegarek i mówił dalej:

- Wkrótce będzie świtało, mimo że jeszcze jest ciemno. Wtedy wyląduje tu helikopter. Moi dwaj współpracownicy odlecą i pan razem z nimi. Ale tylko kawałek. Potem dam panu okazję wypróbowania umiejętności latania.

Mówiąc to, nie spuszczał wzroku z Wallandera. Chce, żebym prosił o darowanie życia, pomyślał Wallander. Ale to mu się nie uda. Kiedy strach osiąga pewien pułap, zamienia się w swoje przeciwieństwo. Tego się nauczyłem.

- Badania nad wrodzoną człowiekowi zdolnością latania przeprowadzono gruntownie podczas żalosnej wojny w Wietnamie - ciągnął dalej Harderberg. - Wypuszczano więźniów, ale na dużej wysokości, na krótką chwilę odzyskiwali swobodę ruchów, zanim się roztrzaskali o ziemię, by dostąpić największej z możliwych wolności.

Wstał z krzesła i obciągnął marynarkę.

- Moi piloci są bardzo zręczni - oznajmił. - Myślę, że uda im się wypuścić pana tak, żeby wylądował pan na środku Stortorget. To wydarzenie na zawsze zostanie utrwalone w kronikach miasta.

On jest szalony, pomyślał Wallander. Usiłuje mnie przerazić, żebym błagał o życie. Ale nie zrobię tego.

- Nasze drogi się rozchodzą - mówił dalej Harderberg. - Spotkaliśmy się dwa razy. Myślę, że pana zapamiętam. Chwilami okazywał pan niejaką przenikliwość. W innych okolicznościach mógłbym znaleźć dla pana miejsce w moim bliskim otoczeniu.

- Poczłówka - powiedział Wallander. - Ta, którą Sten Torstensson wysłał z Finlandii. Mimo że wtedy był u mnie w Danii.

- Bawi mnie naśladowanie charakterów pisma - odpowiedział Harderberg z nieobecny m wyrazem twarzy. - Mogę nawet powiedzieć, że jestem w tym dobry. Spędziłem

kilka godzin w Helsinkach tego dnia, kiedy Sten Torstensson był na Jutlandii. Miałem spotkanie, zresztą nieudane, z pewnym dyrektorem z Nokii. To była zabawa, coś jak grzebanie patykami w mrowisku. Zabawa po to, żeby zamącić. Nic innego.

Harderberg wyciągnął rękę do Wallandera. Wallander był tak zaskoczony, że podał mu dłoń.

Później Alfred Harderberg odwrócił się i wyszedł.

Po jego wyjściu Wallander doznał wrażenia pustki. Alfred Harderberg dominował nad całym otoczeniem. Kiedy zamknął za sobą drzwi, nie pozostało nic.

Tolpin przyglądał się Wallanderowi, oparty o kolumnę. Obadzia siedział z pustym wzrokiem, utkwionym przed siebie.

Wallander zrozumiał, że coś musi zrobić. Wciąż nie potrafił uwierzyć, że Harderberg mógł rzeczywiście polecić, żeby wyrzucono go z helikoptera nad centrum Ystad.

Mijały minuty. Obaj mężczyźni nie ruszali się z miejsca.

Mają go więc wyrzucić żywego, roztrzaska się o dachy miasta albo o kamienną posadzkę placu. Na myśl o tym ogarnęła go paraliżująca panika i jak trucizna rozlała się po ciele. Z trudem oddychał. Rozpaczliwie poszukiwał jakiegoś wyjścia.

Obadzia powoli uniósł głowę. Wallander usłyszał zbliżający się szybko słaby odgłos silnika. Helikopter nadlatywał. Tolpin skinął na niego głową na znak, że pora iść.

Kiedy wyszli we wczesny świt, zanim jeszcze ukazał się pierwszy promień światła, helikopter stał już na płycie. Płaty śmigła cięły powietrze. Pilot czekał, aż wejdą na pokład, żeby natychmiast wzbić się w górę. Wallander desperacko szukał jakiegoś ratunku. Tolpin szedł przed nim, Obadzia kilka kroków za nim z pistoletem w dłoni. Byli już prawie przy helikopterze. Płaty śmigła wciąż rozcinały chłodne, poranne powietrze. Wallander zauważył, że przed

nim leży kupka starego, pokruszonego cementu. Ktoś łatał szpary w płycie i nie posprzątał. Wallander zwolnił kroku i Obadia na krótką I chwilę znalazł się między nim a Tolpinem. Wallander schylił się szybko, nabrał cementu w dłoń jak w szufle i cisnął go prosto w płaty śmigła. Usłyszał huk, kawałki rozbijanego cementu wirowały naokoło. Tolpin i Obadia, sądząc, że są ostrzeliwani, na moment skierowali uwagę w inną stronę. Wallander rzucił się na Obadię z desperacką siłą i zdołał wyrwać mu pistolet. Cofając się, potknął się i przewrócił. Tolpin przez kilka sekund przyglądał się, nie rozumiejąc, co się dzieje. Potem sięgnął po broń pod marynarkę. Wallander strzelił i zdołał trafić go w udo. W tej samej chwili Obadia się na niego rzucił. Wallander strzelił powtórnie. Nie widział, gdzie trafił. Obadia upadł ciężko, krzyknąwszy z bólu.

Wallander podniósł się z ziemi i przyszło mu na myśl, że piloci także mogą być uzbrojeni. Kiedy jednak skierował broń w kierunku otwartych drzwi maszyny, zobaczył jedynie przerażonego młodego człowieka z podniesionymi do góry rękami. Wallander spojrzał na mężczyzn, których postrzelił. Obaj żyli. Wziął broń Tolpina i odrzucił ją, jak mógł najdalej. Potem podszedł do helikoptera. Pilot nadal trzymał ręce nad głową. Wallander dał mu znak, żeby odleciał. Cofnął się o kilka kroków i patrzył, jak helikopter wznosi się w górę i z zapalonymi światłami przelatuje nad dachem zamku. Widział wszystko jak we mgle. Kiedy przesunął ręką po policzku, zostały na niej ślady krwi. Nie poczuł nawet, że fruujący kawałek cementu trafił go w twarz.

Później puścił się biegiem w stronę stajni. Kiedy tam dotarł, Sofia sprzątała w boksie. Krzyknęła na jego widok. Usiłował się uśmiechnąć, lecz twarz miał zeszywniała od zakrzepłej krwi.

- Wszystko w porządku - powiedział, łapiąc oddech. - Ale

muszę cię o coś poprosić. Zadzwoń na pogotowie. Na trawniku przed zamkiem leżą dwaj ranni mężczyźni. Potem już nie będę cię o nic więcej prosił.

Pomyślał o Alfredzie Harderbergu. Czasu było bardzo niewiele.

- Zadzwoń na pogotowie. Jest już po wszystkim. Wychodząc ze stajni, poślizgnął się na glinie zrytej przez konie. Szybko wstał i puścił się biegiem do bramy. Zastanawiał się, czy zdąży.

Wyszła z samochodu, żeby rozprostować zeszywniałe nogi, kiedy zauważyła, jak nadbiega. Ujrzał przerażenie na jej twarzy i dotarło do niego, jak wygląda - zakrwawiony, brudny i w podartym ubraniu. Nie miał czasu się tłumaczyć, obchodziło go tylko jedno - jak przeszkodzić Alfredowi Harderbergowi w opuszczeniu kraju. Zawołał na nią, żeby wsiadła do wozu. Zanim zdążyła zamknąć drzwi, już wycofywał samochód. Ciągnął i szarpał drążek skrzyni biegów i ignorując znak stopu, pełnym gazem wjechał na główną szosę.

- Jak najszybciej dojechać na lotnisko Sturup? - zapytał. Odszukała mapę w schowku i wytłumaczyła mu, jak jechać. Nie zdążymy, pomyślał. Za daleko, za mało czasu.

- Zadzwoń do Bjórka - powiedział.

- Nie mam jego numeru domowego.

- To dzwoń, do diabła, do komendy! - ryknął. - Pomyśl trochę!

Zrobiła to, co polecił. Kiedy dyżurny policjant zapytał, czy nie może poczekać, aż Bjórk przyjdzie, ona również zaczęła krzyczeć. Wybrała numer, jak tylko dyżurny jej go podał.

- Co mam powiedzieć? - spytała Wallandera.

- Alfred Harderberg zamierza opuścić kraj swoim samolotem - odparł Wallander. - Bjórk musi temu zapobiec. Ma na to nie więcej niż pół godziny.

Bjórk podszedł do telefonu. Wallander słyszał, jak Ann-Britt

powtarza dokładnie jego słowa. Wysłuchawszy w milczeniu Bjórka, podała mu telefon.

- Chce z tobą mówić.

Wziął telefon do prawej ręki i odpuścił pedał gazu.

- Dlaczego mam zatrzymać samolot Harderberga? - zachrypiął Bjórk w słuchawce.

- To on inspirował zabójstwo Gustawa i Stena Torstenssonów. Poza tym Kurt Stróm nie żyje.

- Jesteś pewny tego, co mówisz? Gdzie jesteś? Dlaczego tak źle słyhać?

- Jadę z zamku w Farnholmie. Nie mam czasu na dyskusje. On jest teraz w drodze na lotnisko. Trzeba go natychmiast zatrzymać. Nigdy go nie złapiemy, jeżeli samolot wystartuje i opuści szwedzką przestrzeń powietrzną.

- Przyznaję, że to brzmi bardzo dziwnie - zauważył Bjórk. - Co robiłeś na zamku w Farnholmie o tej porze?

Wallander przyznawał, że nieufne pytania Bjórka są całkowicie uzasadnione. Przemknęło mu przez myśl, jak sam zachowałby się w jego sytuacji.

- Wiem, że to brzmi jak kompletne wariactwo - przyznał. - Ale musisz zaryzykować i uwierzyć mi.

- W takiej sprawie muszę się porozumieć z Perem Akesonem - oznajmił Bjórk.

Wallander jęknął.

- Nie ma na to czasu - przekonywał. - Słyszysz przecież, co mówię. Na Sturupie chyba jest policja? Muszą zatrzymać Harderberga.

- Zadzwoń za kwadrans - polecił Bjórk. - Będę natychmiast łapał Akesona.

Wallander był tak rozjuszony, że nieomal stracił panowanie nad samochodem.

- Opuść tę przeklętą szybę! - wrzasnęła. Opuściła szybę, Wallander cisnął telefon przez okno.

- Możesz teraz zamknąć - oznajmił. - Sami musimy sobie z tym poradzić.

- Masz pewność, że to Harderberg? - spytała. - Co się stało? Jesteś ranny?

Wallander zignorował dwa ostatnie pytania.

- Tak, mam pewność - powiedział. - Wiem również, że nigdy go nie schwytamy, jeśli opuści kraj.

- Co zamierzasz zrobić? Potrzęsnał głową.

- Nie wiem - przyznał. - Nie mam najmniejszego pojęcia. Muszę coś wymyślić.

Lecz gdy czterdzieści minut później dojeżdżali do Sturupu, wciąż nie miał żadnego pomysłu. Z piskiem opon zajechał przed bramę z prawej strony budynku lotniska. Żeby móc coś zobaczyć, wdrapał się na dach samochodu. Naokoło zebrali się poranni pasażerowie, zaciekawieni tym, co się dzieje. Stojący za bramą ciężarowy samochód z firmy cateringowej zasłaniał widok. Wallander wymachiwał rękami, krzyczał i przeklinał po to, by kierowca zwrócił na niego uwagę i zjechał na bok. Ale mężczyzna za kierownicą, pogrążony w lekturze gazety, nie zauważył człowieka wrzeszczącego na dachu samochodu. Wtedy Wallander wyjął pistolet i wystrzelił w powietrze. Wśród ludzi, którzy przystanęli, żeby zobaczyć, co się dzieje, natychmiast wybuchła panika. Rozbiegli się we wszystkie strony, zostawiając walizki na chodniku. Kierowca ciężarówki zareagował na wystrzał i zrozumiał, że Wallander chce, żeby przestawił samochód.

Grumman gulfstream Harderberga wciąż stał na postoju. Bładożółte światło reflektorów połyskiwało na kadłubie samolotu.

Dwaj piloci, zdążający do maszyny, usłyszeli wystrzał i przystanęli. Wallander rzucił się w dół z dachu samochodu, żeby go nie zauważyli. Uderzył się mocno w ramię o nawierzchnię jezdni. Ból rozjuszył go jeszcze bardziej.

Wiedział, że Alfred Harderberg znajduje się gdzieś w żółtym budynku lotniska, i nie zamierzał pozwolić mu uciec. Pobiegł do drzwi wejściowych, potykając się o walizki i wózki, a kilka kroków za nim podążała Ann-Britt Hóglund. W ręku miał wciąż pistolet, kiedy wbiegał przez szklane drzwi i pędził do komisariatu policji na Sturupie. Był wczesny niedzielny poranek i na lotnisku znajdowało się niewiele osób. Jedyna kolejka ustawiła się do odprawy na czarterowy lot do Hiszpanii. Kiedy Wallander nadbiegł, zakrwawiony i brudny, ludzie wpadli w gwałtowny popłoch. Ann-Britt Hóglund nawoływała do spokoju, ale jej głos tonął w ogólnym zamieszaniu. Policjant, który właśnie kupił gazetę, ujrzał nadbiegającego Wallandera. Nie miał wątpliwości, że ten trzyma w dłoni pistolet. Rzucił gazetę i zaczął nerwowo wyciskać kod do drzwi komisariatu. Ale Wallander chwycił go za ramię, zanim drzwi się otworzyły.

- Wallander z policji w Ystad! - zawołał. - Trzeba zatrzymać samolot. Gulfstream Alfreda Harderberga. I to piorunem!

- Nie strzelaj - powiedział przerażony policjant.

- Do diabła! - krzyknął Wallander. - Sam jestem policjantem. Nie słyszysz, co mówię?

- Nie strzelaj - powtórzył policjant. Po czym zemdłał.

Wallander z niedowierzaniem spoglądał na człowieka leżącego u jego stóp. Potem zaczął łomotać pięściami w drzwi. Ann-Britt Hóglund dobiegła do niego.

- Pozwól mi spróbować - powiedziała.

Wallander rozglądał się naokoło, jakby spodziewał się w każdej chwili pojawienia się Harderberga. Potem podbiegł do wysokich przeszklonych okien z widokiem na pasy startowe.

Alfred Harderberg wchodził po schodkach prowadzących do samolotu. Pochylił się, zrobił ostatni krok i znikł. Drzwi natychmiast zaczęły się zasuwać.

- Nie zdążymy! - krzyknął Wallander do Ann-Britt Hóglund.

Znowu wybiegł z budynku lotniska. Cały czas mu towarzyszyła. Zauważył samochód należący do obsługi lotniska. Właśnie wjeżdżał przez bramę. Ostatkiem sił dopadł bramy i przecisnął się przez nią, zanim zdążyła się zasunąć. Walił w bagażnik samochodu, wołając, by się zatrzymał. Ale wystraszony mężczyzna za kierownicą wcisnął gaz do deski i uciekł. Ann-Britt Hóglund została za bramą. Nie zdążyła przejść. Wallander rozłożył bezradnie ramiona i odwrócił się. Gulfstream zmierzał już w stronę pasa startowego. Jeszcze sto metrów i skreśli, gotując się do startu, jak tylko piloci dostaną zezwolenie.

Obok Wallandera stał ciągnik bagażowy. Nie miał wyboru. Wdrapał się do kabiny kierowcy, uruchomił silnik i ruszył w kierunku pasa startowego. W lusterku zobaczył, że z tyłu telepie się długi wąż wózków bagażowych. Nie zauważył, że cały ich szereg przyczepiono do ciągnika. Teraz było za późno, żeby się zatrzymać. Gulfstream ustawiał się już do startu. Jadące za Wallanderem wózki bagażowe zaczęły się przewracać, kiedy przecinał trawnik między pasem postojowym a pasem startowym.

Węszcie dotarł na długi pas startowy, gdzie czarne ślady hamowania wyglądały jak szerokie pęknięcia w asfalcie. Jechał prosto na gulfstreama, który stał dziobem w jego stronę. Zostało mu jeszcze jakieś dwieście metrów, gdy samolot ruszył. Ale już wiedział, że mu się udało. Zanim samolot osiągnie prędkość konieczną do oderwania się od ziemi, piloci będą zmuszeni się zatrzymać, aby uniknąć zderzenia z ciągnikiem.

Wallander zaczął hamować. Ale ciągnik nie reagował, mimo że on szarpał, ciągnął i naciskał. Bez skutku. Pojazd miał niewielką prędkość, niemniej wystarczającą, aby wjechać w samolot i uszkodzić dziób. Wallander wyskoczył z ciągnika, odczepiające się wózki wpadały jeden na drugi.

Piloci wyłączyli silniki z obawy przed ryzykiem pożaru.

Wallander, który dostał w głowę wózkami, podniósł się oszołomiony. Wszystko widział jak przez mgłę, gdyż krew zalewała mu oczy. Ale dziwnym trafem wciąż miał pistolet w ręce.

Kiedy otworzyły się drzwi i wysunęły się schody samolotu, usłyszał zbliżającą się od tyłu istną orkiestrę syren alarmowych.

Wallander czekał.

Alfred Harderberg wyszedł z maszyny i zszedł na asfalt płyty.

Wallander pomyślał, że coś się zmieniło. Potem zauważył co.

Z twarzy tamtego zniknął uśmiech.

Ann-Britt Hóglund wyskoczyła z pierwszego radiowozu, który dotarł do samolotu. Wallander ocierał właśnie krew z oczu strzępami podartej koszuli.

- Jesteś ranny? - zapytała.

Pokręcił przecząco głową. Przygryzł sobie język i trudno mu było mówić.

- Lepiej zadzwoń do Bjórka - powiedziała. Wallander spojrzał na nią przeciągle.

- Nie - zaprzeczył. - Ty to zrobisz. I zajmiesz się Alfredem Harderbergiem.

Odwrócił się i zaczął oddalać. Pobiegła za nim.

- Dokąd idziesz? - zapytała.

- Do domu, położyć się - odpowiedział szczerze Wallander. - Jestem naprawdę bardzo zmęczony. I przybity. Mimo że się udało.

Potem odszedł.

Z jakiegoś niepojętego powodu nikt nie próbował go zatrzymać.

W czwartek rano, dwudziestego trzeciego grudnia Wallander wybrał się na Ósterportstorget w Ystad po zakup choinki. Dzień był mglisty, święta Bożego Narodzenia zapowiadały się w Skanii w roku 1993 bez śniegu i zimowej aury. Długo przebierał w drzewkach, nie wiedząc właściwie, czego szuka, aż w końcu wybrał takie, które się mieściło na stole. Zaniósł je do siebie na Mariagatan i bezskutecznie szukał małego stojaka, myśląc, że jest w domu, dopóki sobie nie przypomniał, że dostał się Monie w ramach podziału majątku po rozwodzie. Usiadł w kuchni i sporządził listę wszystkich rzeczy, które powinien zakupić na święta. Uprzytomnił sobie, że przez ostatnie lata jego życie stawało się coraz bardziej szare i ubogie. W szafkach i szufladach brakowało niemal wszystkiego. Lista zapełniła w końcu całą stronę notesu. Kiedy odwrócił kartkę, zobaczył nagle, że na następnej stronie coś zapisał. Imię i nazwisko.

Sten Torstensson.

Przypomniał sobie pierwszą notatkę, którą zrobił na początku listopada, niemal dwa miesiące wcześniej, rankiem w dniu, kiedy na nowo podjął pracę. Pamiętał, jak siedział przy biurku i wpadł mu w oczy nekrolog w „Ystads Allehanda”. W ciągu dwóch miesięcy wszystko się zmieniło, pomyślał. Teraz, gdy spoglądał wstecz, listopadowy poranek wydawał się odległy, należał do innego czasu.

Alfred Harderberg i jego dwa cienie zostali zatrzymani. Po świętach Wallander będzie kontynuował dochodzenie, które zapowiada się na długo.

Ciekawe, co się stanie z zamkiem w Farnholmie, przemknęło mu przez myśl.

Przyszło mu również do głowy, że powinien zatelefonować do Stena Widena i zapytać, czy Sofia już doszła do siebie po ostatnich przeżyciach.

Nagle wstał zza biurka i poszedł do łazienki przejrzeć się w

lustrze. Patrząc na swoją twarz, stwierdził, że schudł. Poza tym się zestarzał. Nie było wątpliwości, że brakuje mu tylko kilku lat do pięćdziesiątki. Otworzył szeroko usta i ponuro przyglądał się zębom. Niezadowolony lub poirytowany - nie bardzo wiedział, jak określić swój stan - postanowił zamówić wizytę u dentysty na samym początku nowego roku. Potem wrócił do listy w kuchni, przekreślił nazwisko Stena Torstenssona i zanotował, że ma nabyć nową szczoteczkę do zębów.

Spędził potem trzy godziny w siąpiącym deszczu, żeby zakupić wszystko, co miał na liście. Dwa razy musiał podejmować pieniądze w bankomacie i cierpiał, że wszystko, czego potrzebuje, jest takie drogie. Kiedy wreszcie tuż przed pierwszą przytargał do domu torby i usiadł przy stole w kuchni, żeby po raz ostatni spojrzeć na listę, okazało się, że w końcu zapomniał kupić stojak.

Równocześnie zadzwonił telefon. Ponieważ w okresie świąt Wallander miał wolne, nie spodziewał się telefonu z komendy. Ale kiedy podniósł słuchawkę, usłyszał głos Ann-Britt Hóglund.

- Wiem, że masz wolne - powiedziała. - Nie dzwoniłabym, gdyby to nie było ważne.

- Kiedy wiele lat temu rozpocząłem pracę w policji, wiedziałem, że policjant nigdy nie ma wolnego - odparł. - Co na ten temat sądzą dzisiaj w Wyższej Szkole Policji?

- Profesor Persson miał raz wykład na ten temat - oznajmiła. - Ale szczerze mówiąc, nic z niego nie pamiętam.

- O co chodzi?

- Dzwonię od Svedberga - oznajmiła. - U mnie siedzi w tej chwili pani Duner. Bardzo jej zależy na rozmowie z tobą.

- O czym?

- Tego nie powiedziała. Chce rozmawiać tylko z tobą. Wallander zdecydował się natychmiast.

- Powiedz jej, że przyjdę. Niech poczeka u mnie w pokoju.

- Poza tym jest tu spokojnie - poinformowała Ann-Britt Hóglund. - Jesteśmy tu tylko z Martinssonem. Policjanci z drogówki przygotowują się do świąt. W tym roku mieszkańcy Skanii będą dmuchać w baloniki.

- To dobrze - zauważył. - Wzrasta liczba nietrzeźwych kierowców. Trzeba ich karać.

- Czasami brzmisz jak Bjórk - powiedziała, śmiejąc się.

- Mam nadzieję, że nie - odrzekł z przestraczeniem.

- Czy znasz jakieś przestępstwa, których liczba spada? - zapytała.

Zastanawiał się chwilę.

- Kradzieże czarno-białych telewizorów - powiedział w końcu. - Chyba nic poza tym.

Skończył rozmowę i zaczął się zastanawiać, jaką sprawę może mieć do niego pani Duner. Nie znalazł zadowalającej odpowiedzi.

Wallander przyszedł do komendy tuż po pierwszej. W recepcji mieniła się choinka, przypomniał sobie, że znowu nie kupił kwiatów dla Ebby. Po drodze do swojego pokoju zajrzał do kafeterii i złożył życzenia świąteczne. Zapukał do drzwi Ann-Britt Hóglund, odpowiedziało mu milczenie.

Pani Duner czekała na niego na krześle dla odwiedzających. Zauważył, że oparcie z lewej strony jest obluźwane. Wstała na jego widok, uściśniła sobie ręce, Wallander odwiesił kurtkę, zanim usiadł. Kobieta wyglądała na zmęczoną.

- Chciała pani ze mną rozmawiać - powiedział uprzejmie.

- Nie zamierzałam przeszkadzać - odparła. - Łatwo się zapomina, że policja ma zawsze pełne ręce roboty.

- W tej chwili akurat mam czas - zapewnił Wallander. - Co panią sprowadza?

Z reklamówki, która stała obok krzesła, wyjęła jakąś paczkę i podała mu przez stół.

- To prezent - wyjaśniła. - Może pan otworzyć go dzisiaj lub jutro.

- Dlaczego daje mi pani prezent? - zapytał zdziwiony.
- Dlatego że teraz już wiem, co się stało z adwokatami - odpowiedziała. - To pana zasługa, że sprawca został schwytany.

Wallander pokręcił głową i zrobił przeczący ruch dłonią.

- To nieprawda - zaprotestował. - To była praca zespołowa i wiele osób brało w niej udział. Nie mnie powinna pani dziękować.

Jej odpowiedź go zaskoczyła.

- Panu komisarzowi Wallanderowi nie przystoi fałszywa skromność - oświadczyła surowo. - Wszyscy uznają, że to pańska zasługa.

Wallander nie wiedział, co odpowiedzieć, zaczął więc otwierać pakunek. W środku była ikona, jedna z tych, które widział w piwnicy Gustawa Torstenssona.

- Nie mogę tego przyjąć - oświadczył. - O ile wiem, należy do zbiorów mecenasa Torstenssona.

- Już nie - odparła. - Zapisał mi swoje ikony w testamencie. A ja bym chciała ofiarować panu jedną z nich.

- Na pewno jest bardzo dużo warta - zauważył. - Jako policjant nie mogę jej przyjąć. W każdym razie muszę najpierw porozmawiać z moim szefem.

Zaskoczyła go po raz wtóry.

- Już to załatwiłam - rzekła. - Powiedział, że może pan ją przyjąć.

- Rozmawiała pani z Bjórkiem? - spytał Wallander.

- Pomyślałam, że tak będzie najlepiej.

Wallander spoglądał na ikonę. Przypominała mu Rygę, Łotwę. A przede wszystkim Baibę Liepę.

- Nie jest aż tak wartościowa, jak pan sądzi - powiedziała kobieta. - Ale piękna.

- Tak - przyznał Wallander. - Bardzo piękna. Chyba nie zasługuję na nią.

- Nie tylko dlatego przysłałam - rzekła pani Duner.

Wallander spoglądał na nią, czekając na dalszy ciąg.

- Przyszłam, żeby zapytać pana komisarza o jedną rzecz. Czy rzeczywiście ludzkie zło nie ma granic?

- Nie jestem właściwą osobą, żeby na to odpowiedzieć - odparł Wallander.

- Więc kto odpowie, jeśli nie policja?

Wallander ostrożnie odłożył ikonę. To pytanie równie dobrze mógł zadać on.

- Przypuszczam, że chodzi pani o to, jak ktoś może pozbawić życia inną osobę, żeby zdobyć jej organ na sprzedaż. Nie wiem, co mam powiedzieć. To dla mnie równie niepojęte jak dla pani.

- Dokąd świat zmierza? - zapytała. - Alfred Harderberg był wzorem dla innych. Jak można jedną ręką dawać pieniądze na pomoc dla ludzi, a drugą ich zabijać?

- Musimy stawiać opór w miarę naszych możliwości. To jedyne, co nam pozostaje.

- Jak można stawiać opór rzeczom niepojętym?

- Nie wiem - odparł Wallander. - Ale musimy to robić.

Krótką rozmowę dobiegła końca. Nie odzywali się przez dłuższą chwilę. Z korytarza dobiegał radosny śmiech Martinssona. Po chwili pani Duner wstała.

- Nie będę już dłużej pana zatrzymywać.

- Przykro mi, że nie mogłem udzielić pani lepszej odpowiedzi - rzekł Wallander, otwierając przed nią drzwi.

W tej samej chwili przypomniał sobie, że też ma coś dla niej. Wrócił do biurka, wyciągnął szufladę i sięgnął po pocztówkę przedstawiającą fiński krajobraz.

- Przyrzekłem, że dostanie ją pani z powrotem - powiedział.

- Nie jest już potrzebna.

- Zapomniałam o niej - odrzekła, chowając pocztówkę do torebki.

Odprowadził ją do wyjścia z gmachu.

- Życzę panu wesołych świąt.

- Dziękuję, nawzajem - odparł Wallander. - Będę dbał o ikonę.

Wrócił do pokoju. Wizyta kobiety wywołała w nim uczucie niepokoju. Przypomniała mu się depresja, która tak długo go nie opuszczała. Odsunął od siebie niepokój, wziął kurtkę i wyszedł. Teraz ma wolne. Nie tylko od pracy, ale również od wszystkich przygnębiających myśli.

Nie zasłużyłem na ikonę, pomyślał. Ale zasłużyłem na kilka dni spokoju.

Dojechał do domu w lekkiej mgłę i zaparkował samochód. Potem sprzątnął mieszkanie. Zanim się położył, zmajstrował prowizoryczny stojak i ubrał choinkę.

Ikonę zawiesił w sypialni. Przed zgaszeniem światła przyglądał się jej, leżąc w łóżku.

Ciekaw był, czy go będzie chronić.

Nazajutrz wypadała Wigilia. Na dworze wciąż utrzymywała się szara mgła. Kurt Wallander był w nastroju, którego nie potrafiła zepsuć byle szarość.

Pojechał na lotnisko Sturup już o drugiej, mimo że samolot miał lądować dopiero o wpół do czwartej. Ogarnęło go nieprzyjemne uczucie, gdy zaparkował samochód i zbliżał się do żółtego budynku. Miał wrażenie, że wszyscy go obserwują.

Jednakże nie mógł się powstrzymać, aby nie podejść do bramy z prawej strony budynku.

Gulfstreama nie było. Nigdzie go nie widział.

Skończyło się, pomyślał. Tu i teraz z tym skończyłem.

Natychmiast poczuł ulgę.

Obraz uśmiechającego się mężczyzny zniknął.

Wchodził i wychodził z hali przylotów, podniecony jak nastolatek, liczył szpary w nawierzchni ulicy, trenował swój słaby angielski i nieustannie, z emocją myślał o tym, co nastąpi.

Kiedy samolot wylądował, on wciąż stał na zewnątrz. Potem wpadł do hali przylotów i zajął miejsce obok kiosku z gazetami.

Wyszła jako jedna z ostatnich.

Ale to była ona. Baiba Liepa.

Wyglądała dokładnie tak, jak ją zapamiętał.



Kurt Wallander zastrzelił na służbie człowieka. Z tego powodu popada w depresję i pogrąża się w alkoholizmie. Od ponad roku jest na urlopie i wszystko wskazuje na to, że jego odejście z policji jest tylko kwestią czasu. Właśnie wtedy z prośbą o pomoc zwraca się do niego Sten Torstensson - znajomy prawnik, podejrzewający, że wypadek samochodowy, w którym zginął jego ojciec, doradca finansowy, był w istocie starannie zaplanowanym morderstwem. Po pierwsze, ojciec nigdy nie jechałby szybko we mgle; po drugie, jakiś czas temu w jego zachowaniu zaszła niepokojąca zmiana. Kilka dni później Sten zostaje zastrzelony w swoim biurze. Walladner rozpoczyna kolejne śledztwo.

